

John Stack

Kapitan Rzymu

Przełożyła Marta Dziurosz

*Dla moich dzieci,
Zoe, Andrew i Amy,
z wyrazami czułości i wdzięczności.
Kocham was.*

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Prędkość bojowa!

Na okrzyk Attyka *Aquila* ożyła. Zwieńczony taranem dziób rzymskiej triremy rozcinał czubki fal, galera przyspieszyła do siedmiu węzłów, a rytm nadawany przed dobosza kierował ruchami dwustu skutych łańcuchami niewolników, pracujących jak jeden mąż. Rozkaz powtórzono na pokładach rufowych galer otaczających *Aquilę* i kapitan zauważył z zadowoleniem, że mało wprawne niegdyś załogi ruszają się teraz szybko i zdecydowanie. Wszystkich galer, zbudowanych w nowym, opancerzonym stylu, było trzydzieści, *Aquila* jednak różniła się od nich subtelnie, szczegółami świadczącymi o większym doświadczeniu bojowym: znaczyły ją załatane blizny po zapomnianych potyczkach, a jej belki zahartowane były w setkach sztormów.

– Dwa rumby na sterburte! – rozkazał Attyk.

Gajusz, sternik, dostosował trym *Aquili*, nakierowując ją na środek ujścia portu.

Kontrolowane przez Kartagińczyków miasto portowe Terme było wtulone za cyplami, które obejmowały i chroniły wody przybrzeżne, a w jego basenach portowych przebywała nieprzeliczona flota galer i okrętów transportowych wroga. Attyk podszedł do bocznego relingu na rufie i wyjrzał za rampę do abordażu zwaną krukiem, która teraz zajmowała pokład dziobowy *Aquili*.

Odruchowo przeklął tę szpecącą konstrukcję; jej spora bryła wydawała się nie na miejscu na niezagraconym poza tym pokładzie. Ten nowy dodatek zniekształcił strzelisty zarys galery.

– Oko... raport! – krzyknął Attyk, podnosząc zielone oczy na Korina, obserwatora stojącego niepewnie na rei, na wysokości piętnastu metrów.

Najmłodszy załogant był Grekiem, jak Attyk, i też pochodził z Lokr, a wzrok miał jak sokół. Milczał przez chwilę, zanim potwierdził swoją ocenę sytuacji.

– Najwyżej dziesięć galer! Jedna kwinkwerema! Jakieś dwadzieścia okrętów transportowych!

Attyk przytaknął i odwrócił się w poszukiwaniu Lucjusza. Zastępca Attyka kroczył po rufie, bezustannie przesuważąc czujnym wzrokiem po pokładzie *Aquili* obserwując każdą czynność załogi. Czterdzieści pięć lat życia nie przygarbiło jeszcze jego krzepkiej sylwetki.

– Jesteś tam, Baro? – ryknął po drodze Lucjusz. – Jeden łokieć mniej na szocie rufowym od sterburty!

Załogant zareagował natychmiast i wraz z dwoma ludźmi mocniej napiął żagiel.

– Jak oceniasz sytuację, Lucjuzu? – spytał kapitan. Często korzystał z doświadczenia starszego mężczyzny, jego wiedzy, która zdawała się obejmować wiele żywotów.

– Jest tak jak w meldunkach. Jeden oddział. Minimalna aktywność – odparł Lucjusz ze strapioną miną.

– I... – zachęcił Attyk, wyczuwając jego niepokój.

– Czy kiedykolwiek czytałeś tak dokładny raport, kapitanie?

Attyk kiwnął głową, rozważając niewypowiedzianą opinię Lucjusza. Od trzech miesięcy, kiedy to Rzymianie odnieśli zwycięstwo pod przylądkiem Myle, wróg całkowicie zaprzestał działalności na północnym wybrzeżu Sycylii – zarówno na lądzie, jak i na morzu – i rzymskie okręty transportowe, kursujące co tydzień z Brolium do Rzymu, pływały bez przeszkód pustymi szlakami wodnymi.

Attyk spojrział na bakburtę i szybko wschodzące słońce, które wyłoniło się ponad horyzont godzinę wcześniej. Lśniło bielą zza zasłony lekkich chmur, a powierzchnia fal łamała poranne światło na miriady iskier, jarzyło się tak, że Attyk musiał odwrócić wzrok. Horyzont na zachodzie był równie pusty; linia brzegowa opadała i ginęła za krzywizną odległego cypla. Wyglądało to tak, jakby Kartagińczycy właściwie porzucili północną Sycylię na rzecz Rzymian.

– A zatem, kapitanie? – usłyszał Attyk. Zostawiając za sobą zbitą grupkę czterech senatorów, podszedł doń Tytus Aureliusz Warro, trybun i dowódca floty trzydziestu galer.

– Liczebność wroga zgodna z doniesieniami, trybunie – odparł, a w jego głosie słychać było ledwie skrywaną niepewność.

– Świetnie! – Warro klasnął w dłonie, zupełnie nie rozumiejąc podtekstu. – Dobrze więc, przygotować okręt

do starcia.

– Tak jest, trybunie. – Twarz Attyka nie zdradzała, co myśli naprawdę.

Tytus Aureliusz Warro nie miał nawet dwudziestu lat, lecz jego ojciec, starszy senator, zapłacił podobno królewską sumę za mianowanie dla swojego syna. Attyk mógł się tylko dziwić, jak szybko olbrzymi majątek zmienił rzymską flotę. Niecałe sześć miesięcy wcześniej była to prowincjonalna siła licząca dwanaście galer, a słynne rzymskie legiony gardziły żeglarzami oraz żołnierzami piechoty morskiej, którzy służyli w jej szeregach. Teraz *classis Romana* składała się z ponad dwustu galer, zarówno rzymskich, jak i zdobycznych kartagińskich; śmietanka rzymskiego społeczeństwa pożądała stanowisk jej dowódców. Attyk podejrzewał, że też z tego powodu Warro wybrał jego jednostkę na swój okręt flagowy: niewątpliwie chciał powtórzyć sukces Gajusza Duiliusza, konsula rzymskiego, który płynął na *Aquili* pod Myle.

Attyk odwrócił się do Lucjusza i powtórzył rozkaz trybuna. Natychmiast opuszczono wielką płócienną płachtę grotzagła, zwinięto ją i uwiązano. Reję szybko ponownie podniesiono do połowy wysokości masztu i przerzucono o dziewięćdziesiąt stopni, żeby przymocować ją równolegle do niego. Załogi galer otaczających *Aquilę* powtórzyły ten sygnał do zaangażowania się w potyczkę na całej długości szyku.

Zbliżając się do ujścia portu, grupa trzydziestu galer

się ścieśniła. Ten nieświadomy manewr wyostrzył cienką krawędź formacji w kształcie klina, zgrupował okręty, dodając ich natarciu energii, śmiertelnej siły, którą miały rozpętać w starciu z nieprzygotowanym do bitwy wrogiem w Terme.

Dno doliny wypełniał monotony łomot dziesięciu tysięcy stóp oraz sporadyczny brzęk metalu o metal: ekwipunek i uzbrojenie kołysały się w rytm marszu pięciu tysięcy legionistów. Czterdzieści manipułów Dziewiątego legionu otrzymało zadanie zabezpieczenia miasta Terme. Były to „wilki Rzymu”, legion ludzi przepełnionych niemal fanatyczną żądzą zemsty na kartagińskim wrogu, który ledwie kilka miesięcy wcześniej upokorzył ich pod Makellą. Punijczycy rzucili Dziewiąty na kolana za pomocą obosiecznej broni głodu i zarazy, izolując ich od reszty świata na wrogim terytorium. Kartagińska blokada Sycylii odcięła legionom dostawy zapasów z Rzymu i dopiero zwycięstwo w bitwie morskiej pod Myle przerwało tę zabójczą patową sytuację.

Kiedy groźba śmierci głodowej zniknęła, Dziewiąty powoli odzyskał siły: napływ ludzi, ekwipunku, żywności i innych dostaw usunął ostatnie ślady słabości. Mimo to legioniści nie pozwolili ranom się zagoić, bezustannie rozdrapywali strupy do żywego, aby ból nie ustąpił, aby nie mogli zapomnieć o tym, jak bardzo należy im się zemsta. Ich rany mógł skauteryzować tylko ogień bitwy, zasklepić je mogła jedynie krew ich wroga.

Septymus Letoniusz Kapito, centurion żołnierzy floty służących na *Aquili*, maszerował wraz z czwartym manipulem. Mierzący prawie dwa metry, potężnie zbudowany mężczyzna wyróżniał się wśród żołnierzy idących w pierwszym szeregu, ale kulał lekko z powodu rany odniesionej pod Myle, kiedy jego pomniejszony manipuł – sześćdziesięciu legionistów – opanował główny pokład kartagińskiego okrętu flagowego podczas tej zajadłej bitwy, w której zwycięstwo okupili wielkim wysiłkiem. Po bitwie Septymus znajdował się w jednej z pierwszych kolumn posiłków, które dotarły do Makelli i uratowały Dziewiąty. Dotrzymał więc przysięgi złożonej maszerującemu teraz obok niego Markowi Fabiuszowi Buteonowi. Był to centurion czwartego manipułu i był dowódcą Septymusa z czasów, zanim ten przeniósł się do piechoty morskiej. Marek miał na koncie tuzin lat i setki bitew więcej niż Septymus, ale energicznym chodem dorównywał najmłodszym legionistom, a wolą i dyscypliną przewyższał ich wszystkich.

– Widzisz coś? – spytał Marek, zauważywszy, że Septymus obrzuca spojrzeniem wzgórze po obu stronach ich szlaku; bardziej ufał oczom młodszego mężczyzny niż swoim.

– Nic – odparł Septymus, a ton jego głosu zdradzał niepokój. – Ani śladu na obu flankach.

– Przeklęta jazda! – syknął Marek. Tak jak Septymus powstrzymał się przed wyrażeniem niepokoju, świadom, że ludzie idący za nim by to usłyszeli.

– Wciąż jest czas – powiedział Septymus, jakby mówił do siebie.

Marek mruknął twierdząco w odpowiedzi i obaj ponownie zamilkli.

Septymus zerknął na czoło kolumny i siedzącego na koniu Lucjusza Postumiusza Megellusa, legata oraz dowódcę legionów Dziewiątego i Drugiego na Sycylii. Megellus jechał z wyprostowanymi plecami i wysoko podniesioną głową; przypadkowy obserwator uznałby, że nie odrywa on wzroku od odległego teraz o niecałą milę miasta. Septymus wiedział jednak, że ukradkiem rozgląda się za członkami konnej eskorty, która chroniła flanki maszerującej kolumny. Wcześniej podjeżdżali do niego co milę, za każdym razem raportując, że teren jest czysty i mogą bez przeszkód pokonać kolejną. Tym razem byli spóźnieni.

Hamilkar Barkas niemal przywierał piersią do szyi swojego wierzchowca; koń i jeździec poruszali się jak jeden organizm. Kartagińczyk pędził co sił, wiatr szumiał mu w uszach, a szorstka grzywa konia co rusz chłostała go po policzkach. Nos przepelniała mu woń końskiego potu i skóry. Przechylił głowę i obejrzał się przez ramię, mrugając szybko, żeby oczyścić oczy z wywołanych wiatrem łez. Za nim pięciuset jego ludzi, samych Kartagińczyków, gnało z taką samą furią – lecz nie byli w stanie utrzymać tempa arabskiej klaczy, na której jechał Hamilkar. Tę lekką rasę koni hodowano na pustyni dla ich

prędkości i wytrzymałości, a owe zwierzęta miały dumny, wojowniczy temperament wyróżniający je spośród innych ras.

Hamilkar wprawnym okiem ocenił ukształtowanie terenu, po czym przesunął ciężar ciała lekko w lewo, co było sygnałem dla wierzchowca, aby skrócić i ruszyć po łagodnym zboczu oddzielającym Kartagińczyków od przeciwnika. Reszta podążała śladem dowódcy. W Hamilkarze zapłonął nagle płomień wstydu, ale zamiast go stłamsić, podsycił go w duszy tętniącej nienawiścią do wroga. Dowodził pod Myle prawą flanką i na własne oczy widział zdumiewające odwrócenie losów niegdyś niepokonanej kartagińskiej floty. To on wydał ogólny rozkaz do odwrotu, zarówno haniebną, jak i konieczną komendę, która splamiła honor jego i jego ludzi. Jego gniew po części uśmierzyło ukrzyżowanie Hannibala Giskona, szaleńczo ryzykanckiego dowódcy floty, ale teraz uczucie to powróciło na myśl o Rzymianach przebywających tuż poza zasięgiem jego wzroku; pogonił pędzącego z trudem po zboczu wierzchowca.

– Kapitanie, sygnał dla floty, do ataku.

– Trybunie? – spytał skonsternowany Attyk, obracając się twarzą do młodszego mężczyzny.

– Do ataku, kapitanie! – powtórzył Warro. Z ożywioną miną i niespokojnym spojrzeniem obserwował wewnętrzny port.

– Ależ, trybunie, mamy nad Kartagińczykami wielką

przewagę liczebną – zaczął ostrożnie Attyk, usiłując zrozumieć intencje młodzieńca. Jeżeli wyślemy na czoło samotnego posłańca, możliwe, że poddadzą się bez walki.

– Poddadzą się? – powtórzył Warro ze szczerym zdumieniem. – Dlaczego mielibyśmy chcieć, żeby się poddali? Gdzie w tym chwała? Przybyliśmy tu stoczyć bitwę i, na bogów, stoczymy ją. Zarządź natarcie.

Attyk kiwnął głową, lecz uznał, że należy zwrócić uwagę na jeszcze jeden ważny element. Był ciekaw, czy trybun o nim pomyślał.

– A straż tylna? – spytał. – Proponuję pięć galer z trzeciego oddziału.

– Straż tylna? – znów powtórzył Warro, a w jego głosie pojawił się ślad niecierpliwości. – Wróg znajduje się tam, kapitanie – powiedział, wskazując przed siebie.

Attyk już miał odpowiedzieć, ale Warro nie dopuścił go do głosu:

– Zarządź pełne natarcie, kapitanie. Natychmiast! – warknął, patrząc nań zimno.

Attyk się zawahał, ponieważ instynkt i doświadczenie kazały mu się sprzeciwić tej absurdalnej komendzie. Słowa trybuna zdumiały go; aż nagle spłynęło na niego zrozumienie. Warro chciał zdobyć sławę w boju i miał zamiar wymusić otwartą bitwę, jeśli będzie to konieczne. Attyk jeszcze się zastanawiał, jakie ma możliwości. Nie było żadnej.

– Lucjuszu, sygnał do floty! – rozkazał.

Warro uśmiechnął się raz jeszcze i wrócił do grupki

senatorów; po drodze przemawiał z ożywieniem, rozprawiając o tym, jak genialna jest jego strategia.

– To obłąd – szepnął cicho stojący u boku Attyka Lucjusz. – Moglibyśmy zająć Terme bez walki, a w dodatku nie lubię wpływać do wrogiego portu, kiedy nikt nie pilnuje moich tyłów.

– Zgadzam się – odparł Attyk.

Od piętnastu pokoleń punicka marynarka panowała na Morzu Śródziemnym; nikt jej nie dorównywał pod względem umiejętności żeglarskich i kunsztu taktycznego. Kruk zaskoczył ją pod Myle, ale była to jedyna dostępna Rzymianom taktyka. Ponieważ Warro chciał wymusić potyczkę, rzymscy legionieści będą musieli dokonać licznego abordażu, wykazać się inicjatywą w walce z wrogiem. Szykowało się niełatwe starcie, w dodatku bezsensowne w sytuacji, która go nie wymagała. Omiótł wzrokiem twarze legionistów *Aquili* zebranych na głównym pokładzie. Tego dnia ich krew splami rzymskie ręce.

– Uformować szyki! Rozmieścić przedskoczki!

Marek zaczął odruchowo powtarzać rozkaz wydany na czele kolumny swojemu manipułowi; ten nawyk zakorzenił się w nim w ciągu dobrych piętnastu lat na stanowisku dowódcy. Zdyscyplinowani żołnierze ustawiali się w szyku potrójnym, *triplex acies*: lekko uzbrojeni *hastati* stali z przodu, bardziej doświadczeni i ciężiej uzbrojeni *principes* zajmowali drugi szereg, a weterani, *triarii* – trzeci. Również lekko uzbrojeni,

bardziej niezależni *velites* odłączyli się, pełniąc rolę przeskoczków. Z włóczniami w rękach krążyli przed ustawiającymi się w szyku legionistami.

Septymus bez wahania dołączył do drugiego szeregu, choć nie był już jednym z *principes* czwartego manipułu Dziewiątego legionu, jak w bitwie pod Agrigentum. Rozważał przy tym nagły rozkaz legata, aby żołnierze utworzyli szyk bojowy. Terme znajdowało się niecałe dwieście kroków przed nimi i wyglądało na całkowicie opustoszałe. Nie było to zaskakujące, biorąc pod uwagę, że maszerujący rzymski legion widać z odległości ponad mili, a na ten widok wszyscy cywile z pewnością schronili się w głębi miasta. Niezwykłe było jednak to, że rzymska konna eskorta już się nie pojawiła, a ponieważ legion znajdował się na terytorium wroga – choć szykował się do zdobycia miasta, które według raportów było słabo bronione – bojowe rozmieszczenie sił wydawało się rozsądniejsze niż natarcie bez rekonesansu. Septymus uznał, że legat Megellus jest człowiekiem ostrożnym.

Czterdzieści manipułów Dziewiątego stworzyło szyk bojowy w ciągu pięciu minut, po czym znów zapadła cisza. Żołnierze czekali cierpliwie na rozkaz do natarcia. Septymus mrugnięciem usunął kroplę potu, która wpadła mu do oka, opierając się pokusie, żeby podnieść rękę i wytrzeć twarz. Wciąż miał we krwi wpojona mu legionową dyscyplinę. Przesunął wzrokiem z lewa na prawo po oddziale awangardy, który właśnie docierał na obrzeża miasta. Zamknięte okiennice niskich, pobielonych

budynków nie ujawniały niczego nadchodzącym żołnierzom. Przyglądał się, jak jeden z lekkobrojnych *velites* obchodzi uwięzane psa. Ciszę przerwało najpierw przenikliwe szczekanie kundla, a potem jego skowyt bólu. Wzdłuż drogi wiodącej środkiem pola widzenia Septymusa tłoczył się oddział *velites*. Dowódca właśnie wydawał im rozkazy i przygotowywali się do wmaszerowania do samego miasta.

Septymus wyczuł drobną wibrację pod stopami i opuścił wzrok. W mgnieniu oka zanalizował to wrażenie, które przywołało wspomnienie, a wraz z nim niepokój. Jakby dla uzasadnienia jego lęku dookoła rozległ się dźwięk niewtajemniczonym przypominający odległy rumor burzy, lecz dla weterana nader charakterystyczny. Już miał wszczać alarm, ale uprzedził go tuzin innych ludzi z tylnego szeregu; ich nieskoordynowane głosy nałożyły się chaotycznie, ale ostrzeżenie było jasne.

– Jazda wroga na tyłach!

Nisko zawieszone słońce oślepiło Hamilkara, kiedy dotarł do szczytu wzgórza, po chwili jednak ogarnął bystrym spojrzeniem rozciągający się przed nim widok. Po lewej, milę dalej i niecałe dwieście kroków od miasta, rzymskie legiony sprawiały wrażenie pogrążonych w bezwładzie, ale wprawnym okiem wojskowego Hamilkar nawet z tej odległości widział, że już ustawiają się w formację bojową. Nie patrzył jednak długo na wroga, lecz przeniósł wzrok naprzeciwko, na drugie wzgórze

tworzące dolinę wiodącą do Terme. Zdążył dotrzeć do połowy wysokości zbocza – jego ludzie wciąż tłumnie za nim podążali – zanim dostrzegł, że szczyt pokonał drugi zastęp, też złożony z pięciuset jeźdźców, który na dnie doliny miał spotkać się z jego oddziałem.

Hamilkar zawrócił konia ku środkowi doliny, a jego ludzie uformowali szyk bojowy po obu jego flankach, wciąż galopując. Wyprostował się w siodle, przeniósł ciężar ciała i zacisnął uda na bokach swojej klaczy. Koń, również weteran wielu bitew, wyczuł zmianę i unosząc lekko łeb, pozwolił się prowadzić nogami, tak aby jeździec nie musiał trzymać lejców. Barkas sięgnął do tyłu i wyciągnął miecz z pochwy przypasanej do pleców, wysokim, płynnym ruchem tocząc klingą po łuku; był to sygnał dla jego ludzi, że wkraczają do bitwy.

Utkwił wzrok w rzymskiej formacji oddalonej od niego o tysiąc kroków. Przygotowywał się do tej chwili od trzech miesięcy, od dnia, kiedy na jego oczach Hannibal Gisko cierpiał i zmarł na krzyżu, ukarany za arogancję, która zgubiła Kartagińczyków pod Myle. Zebrał swoje siły i niemal natychmiast ukrył je przed Rzymianami, płynącymi bez przeszkód wzdłuż północno-wschodniego wybrzeża Sycylii. Potajemnie przyglądał się każdemu ich ruchowi; spodziewał się, że wkrótce zaatakują Terme, a gdy to potwierdził, zastawił pułapkę, płonąć zapiekłą nienawiścią. Teraz zaszkliły mu się oczy, kiedy szeptał modlitwę do Anat, kartagińskiej bogini wojny, aby wróg szedł dalej, niczego nieświadom. Pomodlił się też o to,

żeby rzymska flota płynęła przed siebie pod tą samą zasłoną niewiedzy i arogancji. Kiedy spojrzenie znów mu się wyostrzyło, miał wrażenie, że szeregi wroga – choć wciąż odległe o osiemset kroków – wypełniają całe jego pole widzenia. Wezbrał w nim instynktowny okrzyk bojowy i ryknął prowokująco w stronę Rzymian. Ten okrzyk podchwycił tysiąc ludzi, którzy wypełniali jego komendy bez chwili wahania.

– Prędkość ofensywna! – rozkazał Attyk.

Na te słowa dobiegające spod pokładu uderzenia bicia stały się częstsze, a dwustu niewolników *Aquili* pracowało co sił, aby trirema zwiększyła prędkość do jedenastu węzłów. Rytm bębna zgęstniał, na co w żyłach Attyka wezbrało podniecenie w oczekiwaniu na bitwę. Mniej niż trzysta kroków dalej znajdował się kartagiński szyk: dziewięć trirem i jedna kwinkwerema ustawione w szeregu, prostopadle do doku, zwrócone dziobami w stronę rzymskiego natarcia.

– Kapitanie... – powiedział powoli Lucjusz, stając u boku Attyka.

– Widzę – odparł Attyk, zastanawiając się gorączkowo. Pokłady statków wroga tętniły życiem, zauważył jednak, że okręty nie ruszają z miejsca. Co więcej, wcale nie wyglądało na to, żeby miały przypuścić atak.

Silną stroną Kartagińczyków była umiejętność taranowania okrętów przeciwnika. Potrzebowali do tego

dużo miejsca, a to, że rzymska awangarda szybko się do nich zbliżała, z każdą chwilą zmniejszało tę przestrzeń. W ciągu niecałej minuty będzie za późno i staną się łatwym celem.

Albo idealną przynętą, pomyślał nagle Attyk, i wyjrzał ponad relingiem na rufie w stronę cypli, które otaczały port oraz całą znajdującą się w nim teraz rzymską flotę.

– Niech Posejdon nas chroni! – wyszeptał, a potem krzyknął: – Obserwator na gnieździe! Sprawdź szlak do portu, za jego ujściem!

Korin natychmiast odwrócił się plecami do nieuchronnie zbliżającej się bitwy i spojrzął poza niskie cyple. Stojący piętnaście metrów niżej Attyk wyraźnie dostrzegł niepokój na twarzy obserwatora i poczuł w brzuchu skurcz przerażenia.

– Statki wroga napływają ze wschodu! – wrzasnął Korin, wskazując palcem ujście portu oraz kartagińskie galery nadciągające z prędkością bojową.

Attyk już pędził na główny pokład, szukając Lucjusza w tłumie ludzi otaczających główny maszt. Od razu zauważył potężną postać przepychającą się między legionistami: zastępca też już szukał swojego dowódcy.

– Lucjuszu! Na maszt. Chcę dokładnych liczb! – rozkazał Attyk, wiedząc, że niedoświadczony Korin sobie z tym nie poradzi.

Lucjusz kiwnął głową, chwycił linę spracowanymi dłońmi i zwinnie wspiał się na szczyt grotmasztu.

– Druzusie!

Dowódca pełniący obowiązki centuriona natychmiast stanął przed Attykiem.

– Każ swoim ludziom utworzyć szyk na pokładzie dziobowym za krukiem. Kiedy już opanujecie główny pokład wroga, chcę, żebyście podpalili go i się wycofali. Nie angażujcie się w walkę pod pokładem.

Druzus uderzył pięścią o napierśnik, odwrócił się i wydał zwięzłe rozkazy swoim ludziom, a ci złamali szyk, aby odtworzyć go na pokładzie dziobowym. Attyk przystanął na moment, żeby się mu przyjrzeć. Druzus był *optio* Czwartego legionu, którego zaciągnięto do służby na okręcie na stanowisku zastępcy Septymusa. Podczas nieobecności centuriona Druzus miał pełną kontrolę nad żołnierzami floty; jeszcze nigdy wcześniej nie zajmował tej pozycji podczas bitwy morskiej. Był milczącym mężczyzną, zachowywał swoje opinie dla siebie, ale Attyk wiedział, że bardzo pilnuje dyscypliny, skrupulatnie wypełnia rozkazy i nigdy nie kwestionuje decyzji dowódcy. Brakowało mu jednak doświadczenia i kapitan zdał sobie sprawę, że w nadchodzącej potyczce sam będzie musiał dowodzić i galerą, i działaniami żołnierzy floty.

– Trzydzieści galer wroga! – wrzasnął nagle Lucjusz z masztu. – Trzy kwinkweremy na przedzie! Płyną w formacji klina!

– Kapitanie! – krzyknął Warro, dekoncentrując Attyka. – Co się dzieje?

– To zasadzka, trybunie – odparł opryskliwie Attyk, patrząc nie na Warrona, ale na kartagińską galerę przed *Aquilą*, odległą już tylko o niecałe sto kroków – i wpłynęliśmy prosto w nią.

– Zasadzka? – powtórzył Warro głosem, w którym dało się słyszeć obawę. Jego pewność siebie nagle przysła.

– Przygotować kruka! – krzyknął Attyk, patrząc kątem oka, jak Gajusz manewruje dziobem *Aquili*.

– Co robisz? – spytał Warro, jakby zapominając o swojej poprzedniej komendzie. – Musimy się wycofać.

– Nie! – powiedział gniewnie Attyk, ale natychmiast się uspokoił, ponieważ musiał sprawić, że trybun zrozumie sytuację. – Musimy zaatakować, trybunie. Jesteśmy zbyt blisko, zbyt uwikłani. Musimy zniszczyć zagrożenie przed nami, zanim się odwrócimy. W przeciwnym razie będziemy musieli walczyć na dwa fronty.

Warro odwrócił głowę. Twarz miał wykrzywioną niepewnością, błędził wzrokiem to tu, to tam. Attyk ponownie skupił się na natarciu.

Kiedy znaleźli się w odległości dwudziestu kroków, Druzus rozkazał *hastati* rzucić oszczepy. Był to ostatni etap preludium do ataku. *Aquila* zadrżała, kiedy siedemdziesięcotonowa galera uderzyła o nieustępliwy kadłub statku nieprzyjaciela, i natychmiast opuszczono *corvus*. Jedenastometrowa rampa uderzyła z trzaskiem o pokład wroga, a umieszczone na jej spodzie metrowe szpikulce wbiły się w zahartowane drewno sosnowe na

dziobie, aż dwie galery znalazły się w śmiertelnym uścisku. Dopiero wtedy legionieści ryknęli, a ów pełen żączy krwi wrzask wypełnił ich serca gniewem i odwagą. Druzus w mgnieniu oka przeprowadził wszystkich sześćdziesięciu ludzi po rampie i na dziobie kartagińskiej galery powstała formacja bojowa. Nakładające się jak dachówki *scutum*, długie na ponad metr tarcze legionistów stworzyły nieprzebytą barierę, której Punijczycy nie byli w stanie pokonać. Rzymianie rozpoczęli powolne, nieubłagane natarcie, wysuwając miecze przez szpary między tarczami; każde pchnięcie trafiało w ciało wroga i kolejni ludzie padali pod ciosami rzymskiego żelaza. Hałas bitewny – krzyki gniewu i bólu, brzęk oręża – niósł się wyraźnie na całej długości *Aquili*, aż po pokład rufowy. Wrzawa ta była niepodobna do wszystkich innych odgłosów na świecie, a Attyk nie potrafił oderwać wzroku od tego, co działo się przed nim, od zjadłej walki, która towarzyszyła mu przez pół życia, najpierw gdy walczył z piratami, a teraz – z Punijczykami.

Septymus zacisnął zęby w biegu; niemal się potknął, ponieważ musiał oszczędzać ranną nogę. Wszędzie dookoła rozlegały się rozkazy dowódców, którzy usiłowali przekrzyczeć łoskot stóp pięciu tysięcy ludzi biegnących w stronę budynków Terme. Ich komendy musiały okiełznać panikę, która czaiła się w duszy każdego rzymskiego piechura na myśl o tym, że mógłby zostać otoczony na otwartym terenie przez jazdę wroga.

Pole widzenia Septymusa wypełniał tłum ludzi, ale inne zmysły dawały mu znać o natarciu Kartagińczyków za jego plecami; powietrze zdawało się przesycać zbliżający się grzmot, a Septymus oszacował na tej podstawie, jak daleko znajduje się wróg. Niecałe dwieście kroków – Rzymianie nie mogli zdążyć. Septymus usłyszał, że legat desperackim głosem wydaje rozkaz, aby żołnierze spróbowali powstrzymać kartagiński atak.

– *Hastati!* Przygotować się do utworzenia szyku!

Septymus pobiegł dalej, przez zbierające się szeregi młodych żołnierzy, którzy szykowali się do rzucenia oszczepów (*pila*) ponad głowami wycofujących się legionistów. Decyzja, aby zaangażować ich w walkę, była desperacką próbą dania reszcie legionu dodatkowych kilku chwil na ukrycie się. Żołnierze tłoczyli się w odstępach między budynkami i na głównej drodze do miasta. Septymus wyplątał się z tłumy i dotarł do wysepki spokoju pod nagą, pobieloną ścianą jednego z domów. Dobył miecza i natychmiast zaczął kierować ludzi ze szczególnie tłocznych miejsc na prawo i lewo, karcąc tych, którzy pchali innych przed sobą. Pilnował, żeby ludzi gorączkowo usiłujących się schronić w mieście nie ogarnęła panika. Obejrzał się na nacierających nieprzyjaciół, których pierwotne okrzyki bojowe niemal zagłuszały rozkazy centurionów dowodzących *hastati*. Młodzi żołnierze stali na rozstawionych nogach, gotowi rzucić oręż w stronę atakującego wroga. Przedstawiali wspaniały widok i Septymus poczuł dumę, widząc hart

ducha tych młodzieńców, z których wielu po raz pierwszy stawiało czoło atakowi jazdy. Wprawnym okiem ocenił odległość między zastępami, odliczając w myślach kroki. Z odległości trzydziestu kroków *hastati* rzucą oszczepami i rozbiegną się, by się ukryć. Czy im się to uda, czy nie, zależało od odwagi wroga.

Septymus odruchowo wyszeptał rozkaz na mgnienie oka, zanim okrzyk: „Teraz!” rozpętał pełen furii atak.

Tysiąc dwieście oszczepów poleciało jednocześnie po niemal płaskiej trajektorii; odległość była tak mała, że unosiły się w powietrzu ledwie moment, po czym gruchnęły w szeregi wroga. Żelazne groty dwumetrowych włóczni wbiły się na oślep w odsłonięte fragmenty ciał przeciwników, a dłoń Fortuny rozdzielała szczęściarzy od potępionych. Pęd natarcia został na chwilę zahamowany, kiedy konie i ludzie padali pod chmurą rzymskiego żelaza. Czas zdawał się płynąć wolniej, a Septymus utkwiał wzrok w przednich szeregach Kartagińczyków. Ze swojego miejsca mógł dostrzec twarze poszczególnych ludzi i zobaczyć decydujący moment, kiedy ich odwaga albo wzniesie się na wyżyny, albo zupełnie ich opuści. Chwila ta minęła, a jego ciało ruszyło, zanim umysł zdążył w pełni zarejestrować rezultat; jego instynkt samozachowawczy działał szybciej niż świadome myśli.

Septymus zdążył już minąć pustą teraz przestrzeń między stojącymi za nim domami, kiedy wydano rozkaz, aby *hastati* złamali szyk. Dopiero wtedy ponownie przywołał w myślach chwilę, która właśnie rozegrała się

na jego oczach. Kartagińczycy ani na moment się nie zatrzymali. Przejechali po własnych zmarłych i rannych bez wahania. Powietrze za Septymusem rozdarł straszliwy odgłos: jazda wroga uderzyła w wystawione na ciosy szeregi *hastati*, desperacko pokonujących ostatnie metry dzielące ich od schronienia, do którego tak wielu pisane było nigdy nie dotrzeć.

Hamilkar ryknął triumfalnie, kiedy na twarz trysnęła mu rzymska krew, a legionista na drugim końcu jego klingi padł na plecy z wyciągniętymi ramionami i rozplataną klatką piersiową. Fenicki miecz położył kres jego odważnemu oporowi, kiedy wszyscy dookoła już zdążyli uciec. Galopując dalej, Hamilkar nie opuścił oręża – miecz ze straszliwą szybkością trafił w hełm kolejnego uciekającego żołnierza; klinga bez trudu przecięła cienki metal, a legionista padł na ziemię jak rażony.

Wszędzie dookoła kartagiński szyk otaczał biegnących Rzymian. Nic nie mogło powstrzymać rzezi umykających *hastati*, z których wielu odrzucało broń, by szybciej rejterować. Przednie szeregi miały za daleko. Za cenne chwile, które dały swoim towarzyszom, zapłaciły życiem. Hamilkar brutalnie ściągnął lejce wierzchowca ledwie kilka kroków przed pierwszymi budowlami miasta, a po obu jego stronach inni Kartagińczycy wciąż masakrowali stłoczonych legionistów. Przesunął dłonią po wargach i poczuł smak krwi wroga; wyczulonymi zmysłami chłonał każdy moment swojej pierwszej

potyczki wręcz z Rzymianami.

Kiedy ostatni z nich zginął, a może uciekł, Kartagińczycy wydali okrzyk triumfu, wznosząc miecze. Hamilkar rozejrzał się dookoła. Pięćdziesiąt kroków za sobą dostrzegł ciała swoich ludzi, leżących w szeregu znaczącym miejsce, w którym opadły rzymskie włócznie.

Rzymianie zapłacili za to czterokrotnie wyższą cenę – ich ciałami usiana była zryta końskimi kopytami ziemia, włącznie z jazdą, z taką łatwością rozgromioną w kartagińskiej zasadzce godzinę wcześniej. Raptem przez wiwaty przedarły się ostrzegawcze okrzyki. Obróciwszy się, Hamilkar zobaczył, jak od strony miasta nadlatuje grad rzymskich oszczepów. Rzucane na oślep pociski spadały tu i tam między jego żołnierzy.

– Odwrót! – ryknął, a ludzie natychmiast usłuchali. – Dowódco! – krzyknął Hamilkar, zawracając konia jakieś pięćdziesiąt kroków od miasta. Wysoki rangą dowódca jazdy czym prędzej do niego podjechał. – Ponownie utworzyć szyk. Niech twoi ludzie dopadną każdego Rzymianina, który się pojawi, ale niech nie próbują się dostać do miasta.

Dowódca pogalopował wzdłuż szeregu, wykrzykując rozkazy, a ludzie znów utworzyli formację bojową, która praktycznie więziła Rzymian w Terme. Hamilkarowi przemknęło przez myśl, że trzeba będzie silnej ręki, żeby utrzymać ich w ryzach, a to, że konie grzebały niespokojnie kopytami, zdradzało ledwie hamowaną agresję jeźdźców. Puszczeni wolno zaatakują samo serce

miasta, a żądza krwi zaślepi ich tak, że zaatakują piechotę w ciasnych uliczkach, gdzie dająca im przewagę prędkość i zwrotność przestaną się liczyć. Przyglądał się zaprowadzaniu dyscypliny w szeregach, po czym skoncentrował się z powrotem na mieście. Między budynkami i na głównej drodze było pełno czerwonego materiału i wypolerowanej stali: Rzymianie przecinali jego pole widzenia, a ich dowódcy robili co mogli, żeby odzyskać kontrolę nad rozproszonymi formacjami. Hamilkar się uśmiechnął, choć jego oczy miały zimny wyraz. Leżało przed nim co najmniej czterystu martwych Rzymian, lecz jego zraniona duma wciąż cierpiała, a serce wołało o surowszą zemstę. Spiał konia i popędził w stronę południowego krańca miasta i na flankę; tamtędy mógł najszybciej dostać się na brzeg wewnętrznego portu. Obejrzał się jeszcze raz przez ramię na kawalerię, która dokonała takiej rzezi. Konni stoczyli walkę i ją wygrali. Teraz Hamilkar miał zamiar rozpętać drugą falę potyczki, atak, który rozgromi Rzymian i przywróci mu honor.

– Na bogów... – wyszeptał Attyk, kiedy z luków kartagińskiej galery, z którą *Aquila* była teraz złączona, nagle wyłoniła się horda Punijczyków. Było ich mnóstwo, znacznie więcej, niż liczyła normalna załoga galery, i ten tłum pędził właśnie w stronę wątlej formacji bojowej złożonej z ludzi Druzusa. Natarli jak jeden mąż, a zdyscyplinowani legioniści prawie wcale nie osłabili siły ich ataku – trzykrotnie liczniejszy przeciwnik zmusił

Rzymian do zajęcia pozycji defensywnej.

Z kartagińskiej galery po lewej burcie *Aquili* dał się słyszeć wiewat i Attyk ujrzał, jak rzymski szyk na *Minerwie* łamie się pod podobnym atakiem. Legioniści zaczęli się wycofywać po kruk, a wróg podążył za nimi na pokład rzymskiej galery. Attyk spojrział w stronę wód zewnętrznego portu leżącego za nim. Kartagińskie galery ustawiały się w szyku bojowym wszerz portu, ale kapitan zauważył, że zwalniają, i się zawahał. Próbował pojąć taktykę wroga, zrozumieć, dlaczego nie atakuje. Na razie postanowił zapomnieć o tym pytaniu i odwrócił się raz jeszcze.

– Lucjusz! – Musiał podnieść głos ponad punickie okrzyki bojowe dające się słyszeć z odległej o niecałe trzydzieści kroków *Minerwy*. – Wszyscy na dziób, wyślij gońca do Druzusa i każ mu się wycofać. Ochronimy jego odwrót!

– Tak jest, kapitanie – odparł Lucjusz i zniknął.

Właśnie pierwsza salwa strzał wroga uderzyła o główny pokład *Aquili*. Jeden z pocisków śmignął tuż obok Attyka. Kapitan stanął pośrodku pokładu, szepcząc swoją zwyczajową modlitwę do Fortuny; wiedział, że jeśli chroni go jej ręka, przeżyje kolejny dzień, a jeśli nie – Hades, władca zmarłych, zabierze go jeszcze przed zachodem słońca na drugi brzeg Acherontu. Poczuł, że nabiera odwagi, a towarzyszące na początku bitwy każdemu żołnierzowi przerażenie szybko ustępuje; jak przy niezliczonych wcześniejszych okazjach powierzył

swoje życie losowi.

Myśli Attyka powędrowały ku Septymusowi. Jeśli flotę wciągnięto w pułapkę, legion z pewnością spotkało to samo. Kiedy błędził wzrokiem po pobielonych budynkach, zobaczył, jak w powietrze frunie płonąca strzała. Za jej złotopomarańczowym grotem unosiła się czarna smuga dymu, odznaczająca się na tle kobaltowego nieba. Nawet mimo otaczającej go bitewnej wrzawy Attyk wyraźnie usłyszał gardłowy okrzyk bojowy dobiegający z trzewi miasta, i instynktownie powtórzył modlitwę, tym razem za swojego przyjaciela.

W nieruchomym powietrzu poniósł się straszliwy okrzyk bojowy Punijczyków. Septymus odwrócił głowę w stronę jego źródła, zachodniego krańca miasta. Krzyczących nie było jeszcze widać zza labiryntu wąskich uliczek, na których tłoczyli się teraz legionie. Centurion zauważył na niebie płonąca strzałę, której przeznaczenie natychmiast stało się jasne: rozległ się ryk ze wschodniego krańca Terme, z gardeł nieprzyjaciół na drugiej flance. Septymus czym prędzej zaczął zbierać dookoła siebie ludzi, a jego głos dołączył do dezorientującego chaosu rozkazów, którymi centurionowie i *optiones* usiłowali zaprowadzić w tym zamieszaniu choć namiastkę porządku.

Dziewiąty wbiegł do Terme bezładnie: porządne formacje stworzone na pustej przestrzeni na skraju miasta rozpadły się, kiedy ludzie rzucili się do ucieczki przed

kartagińską jazdą. Septymus rozejrzał się za sztandarem czwartego manipułu pod komendą Marka, ale nie dostrzegł go w najbliższym otoczeniu, tłoczonym od przepychających się żołnierzy chcących wrócić do własnych jednostek.

Okrzyki dobiegające z zachodu nasiliły się i Septymus skierował tarczę w tamtą stronę. Wielu ze stojących dookoła ludzi wzięło z niego przykład. Septymus gorączkowo szukał wzrokiem jednostki *hastati* – struktura linii obrony była głęboko zakorzeniona w umyśle dowódcy – ale nie znalazł żadnej, która byłaby wciąż cała, a poza tym w tym tłoku i tak nie miałyby ona dość miejsca, żeby utworzyć szyk i rzucić oszczepami. Nagle uświadomił sobie, jak świetnie pomyślana była zasadzka Kartagińczyków. Rzymski legion narodził się i udoskonalił na otwartym polu bitwy, gdzie jego uporządkowany szyk był nie do przebicia. W ciasnym mieście, gdzie nie było miejsca na manewry, ta zdyscyplinowana struktura nie miała racji bytu.

Uliczki rozbrzmiały sygnałem rzymskiej wojskowej trąbki. Jeden z centurionów krzyknął: „Odwrót taktyczny w stronę doków!” i Septymus powtórzył rozkaz wszystkim żołnierzom stojącym w zasięgu jego głosu, aż komenda rozniosła się po całej ulicy. Część żołnierzy zaczęła przepychać się za niego, w stronę centrum miasta i drogi do doków, u część stała oszołomiona i zagubiona bez swojej jednostki. Septymus stał twardo w miejscu, wlepiając wzrok w ulicę przed sobą; nie widział nic za

ostrym zakrętem w prawo, odległym o niecałe trzydzieści kroków. Wielu *principes* – zaprawionego w boju trzonu legionu – zauważyło jego pozycję i ustawiło się za nim, co stworzyło klin, który rozdzielał ludzką falę niczym dziób galery.

Odgłos nacierających nieprzyjaciół był już blisko, ich głosy mieszały się teraz z łoskotem biegnących stóp, a hałas odbijał się echem od murów miasta. Dźwięk był zwodniczy i Septymus musiał obracać głowę w lewo i prawo, aby ocenić odległość i kierunek szarży.

– Utworzyć szereg! – ryknął, a żołnierze rozstawili się w poprzek szerokiej na sześć metrów ulicy, tworząc ścianę tarcz.

Septymus zajął miejsce tuż za pierwszym szeregiem i przesunął wzrokiem po ustawionych dookoła ludziach; różniły ich insygnia z tuzina różnych manipułów, lecz jednoczył ten sam strój. Hałas natarciu wezbrał jeszcze bardziej i centurion skoncentrował się na zakręcie przed nimi.

– Spokojnie, chłopcy! – warknął. – Spokojnie!

Zobaczył, że ludzie przed nim wsuwają ramiona za tarcze i zapierają się nogami, przygotowując się na napór pędzącego w ich stronę wroga.

– Idą!

Centurion patrzył z zaciętą miną, jak zza rogu wypadają pierwsi Punijczycy. Na widok ściany tarcz zwolnili nieco, ale czysta agresja ani na chwilę nie zniknęła z ich twarzy i biegli dalej na złamanie karku.

– Utrzymać szyk! – krzyknął Septymus.

Legioniści przyjęli rozkaz wydanym prosto z trzewi okrzykiem. Utrzymać szyk. Ani kroku w tył, dopóki nie odeprzemy wroga.

Kartagińczycy jak jeden mąż uderzyli w przedni szereg, a ludzie zahartowani w kuźniach rzymskich legionów zniwelowali ich rozpęd. Następnie legioniści zaczęli się pchać do przodu w odpowiedzi na napór wroga, aż między ich tarczami powstały szpary, przez które mogli wysunąć miecze, aby zadawać śmiertelne ciosy w krocza i brzuchy wrogów. Punijczycy dźgali drewno i płótno tarcz, ich żelazne okucia, a nienawiść do rzymskiego najeźdźcy podsycała ich brutalną siłę. Padł jeden legionista, potem następny, a Septymus od razu skierował na ich miejsca innych, żeby załatali wyłomy w szyku.

– Odwrót taktyczny! – krzyknął Septymus. Szyk był silny i nieruchomy, ale napór wroga zwiększał się z każdą chwilą. Wrzawa bitewna przepełniała zmysły centuriona: docierały do niego uderzenia żelaza o żelazo, drewno i ciało, nieskładne, ogłuszające okrzyki bojowe przemieszane z wrzaskami bólu i agonii, zapach krwi i woń niekontrolowanych wypróżnień ludzi ginących od mieczy.

– Wytrzymać! – warknął Attyk do swoich zebranych na pokładzie dziobowym ludzi. – Spokojnie, chłopcy!

Załoga *Aquili* ustawiła się po obu stronach kruka.

Łucznicy byli rozmieszczeni przy relingu na dziobie, tworząc lejek, przez który legioniści mogli się wycofywać w uporządkowany sposób. Attyk miał chwilę na to, żeby się rozejrzeć, i na tyłach szyku zauważył Warrona. Jego strażą przyboczną dowodził weteran legionów Witulus. Wielu ze stojących przed nimi senatorów miało za sobą kariery wojskowe i teraz dobyli mieczy.

Attyk wyciągnął oręż. Tylne szeregi ludzi Druzusa dotarły do kruka i skradały się po nim powoli. Po chwili rampą abordażową szedł już pierwszy szereg, w tym sam Druzus. Na jego szyk bezustannie napierał zastęp kartagińskich wojowników, a okrzyki bojowe wroga nabierały coraz większej intensywności, kiedy usiłował dostać się na pokład rzymskiej galery.

Gdy po kruku przeszedł już ostatni legionista, załoga *Aquili* starła się z nieprzyjacielem. W stronę Attyka przepchnął się punicki wojownik z uniesionym toporem w ręce. Kapitan wyprostował się jak struna, wymierzył cios od dołu, za plecami przeciwnika, a klinga wbiła się głęboko w jego odsłonięte nerki. Mężczyzna przewrócił się z okrzykiem bólu. Attyk walczył dalej, bez chwili przerwy, przeklinając w sercu każdego, kto śmiał postawić stopę na jego galerze.

Warro ryczał buntowniczo, choć krzyk ten był podszyty przerażeniem i niemal ginął we wrzawie bitwy. Przed nim stało sześciu legionistów z jego straży z zachodzącymi na siebie tarczami; usiłowali w ten sposób powstrzymać kartagińską horde. Tuż przed Warronem

Witulus wykonywał metodyczne pchnięcia mieczem przez szczelinę między swoją tarczą a tarczą człowieka po prawej. Trybun stał skamieniały, nie wyciągnąwszy miecza, wściekły, że wbrew własnej woli znalazł się na linii frontu, że zmusili go do wzięcia udziału w natarciu senatorowie, którzy bez wahania odpowiedzieli na wezwanie kapitana, aby wszyscy ruszyli do przodu; musiał pójść ich śladem, jeśli nie chciał się narazić na oskarżenia o tchórzostwo. Teraz szalał z niepokoju, modlił się o to, by przeżyć, i usiłował zrozumieć, dlaczego szczęście nagle się od niego odwróciło. Godzinę wcześniej patrzył z narastającą euforią, jak jego flota wpływa bez przeszkód do portu w Terme. Koło Fortuny się obróciło i łatwe zwycięstwo, które przewidywał, na jego oczach przeobrażało się w krwawą rzeź.

Attyk poczuł, że kartagińskie natarcie słabnie; słyszał zdyscyplinowane komendy wydawane stojącym za nim legionistom, którzy ponownie tworzyli szyk. Ich nagła mobilizacja sprawiła, że nawet najbardziej zajadli Kartagińczycy się zawahali. Rzymianie wypierali wroga z pokładu piędz po piędzi.

– Podpalić ich pokład! – krzyknął Attyk.

Łucznicy wypuścili salwę płonących strzał na drugą stronę wąskiej przepaści dzielącej okręty, w stronę olinowania i pokładu kartagińskiej galery. Ogień nie strawi całej galery, ale z pewnością ją unieruchomi, kiedy załoga będzie walczyć z płomieniami.

– Podnieść kruka! Cała wstecz! – ryknął kapitan,

kiedy niedobitki wycofujących się teraz Kartagińczyków usiłowały wrócić po rampie abordażowej.

Wielu wpadło do kotłującej się wody; rampa pod ich stopami przechyliła się gwałtownie. Dwieście wiosł *Aquili* wbiło się głęboko w wodę, a Gajusz z niezwykłą zręcznością odsunął galerę od kartagińskiego okrętu.

– Galera wroga na kursie! – rozległ się gorączkowy okrzyk ze szczytu masztu.

Attyka zalała fala przerażenia, kiedy zobaczył, że jedna z kartagińskich galer zbliża się do nich z prędkością do taranowania. Z szyku rozpiętego wszerz zewnętrznego portu wyłamało się tylko kilka okrętów nieprzyjaciela, nie dość, żeby pokonać wyplątujące się szybko z potyczki rzymskie jednostki. Attyk znów poczuł, że zupełnie nie pojmuje taktyki Punijczyków.

– Gajuszu! – krzyknął. – Manewry wymijające... Już!

Sternik naparł całym ciężarem ciała na rumpel, usiłując wycofać wystawioną na ciosy rufę *Aquili* poza zasięg bezlitosnego kartagińskiego tarana, i pokład galery przechylił się gwałtownie.

– Kapitanie!

Attyk obejrzał się i dostrzegł zbliżającego się Druzusa. Twarz miał umazaną brudem bitwy, teraz zakrwawioną i porysowaną. – Sygnał trąbki z Terme – oznajmił ze zmartwioną miną.

– I co z tego? – Attyk przypomniał sobie dźwięk trąbki, który rozległ się tuż po tym, jak nad miastem przeleciała strzała o płonącym grocie.

– To był sygnał do całkowitego odwrotu, kapitanie.

Attyk zamarł na chwilę. Całkowity odwrot. Pięć tysięcy ludzi z Dziewiątego. Dokąd mają się wycofać?

Kiedy Septymus skręcił za kolejny róg, obejrzał się przez ramię i uśmiechnął zimno w reakcji na widok rozpościerający się za nim. Zwarty szereg rzymskich *hastati* gotowych do rzutu oszczepami. Ponownie spojrzął przed siebie i najpierw wyczuł, a potem zobaczył, że salwa *pila* przelatuje mu nad głową w stronę tylnych szeregów wroga. Kartagińczycy zawahali się na ten niespodziewany atak i zwolnili nieco, widząc zgromadzone u wylotu ulicy liczne szeregi przegrupowanego Dziewiątego. Na mgnienie oka ogarnęło ich niezdecydowanie, po czym rzymskie szeregi wypluły drugą salwę, a każdy żelazny grot trafił w cel w wąskiej uliczce. Tyłne szeregi Kartagińczyków rzuciły się do ucieczki w przecinający ją zaułek; przedni szereg wahał się jeszcze chwilę, ale i on podał tyły.

Rzymski szereg rozstąpił się, aby Septymus i jego ludzie mogli się wycofać. Centurion przesunął wzrokiem po tłumie ludzi zgromadzonych za szykiem. Wielu uciekło przed pierwszym natarciem, ale Septymus wiedział, że ta chwila wytchnienia nie potrwa długo. Kartagińczycy z pewnością odzyskają siły, a choć otaczały go teraz setki rzymskich żołnierzy, przeciwnik i tak miał ogromną przewagę liczebną.

Centurion wbiegł na ostatnią ulicę przed portem i

poczuł na twarzy morską mgiełkę oraz woń dymu. Dotarły do niego charakterystyczne odgłosy towarzyszące bitwie morskiej. Obrzucił spojrzeniem cały port i zmartwiał. Na nabrzeżu tłoczyli się żołnierze; ich szeregi wciąż były przemieszane, ale Septymus dostrzegał teraz wśród nich niejaki porządek, a zwarty szereg obronny, przez który przed chwilą przebiegł, (świadczył o tym, że w Dziewiątym na powrót zaprowadzono dyscyplinę. Pośrodku tłumu Septymus dostrzegł sztandar legata, punkt zbiórki dla dowódców legionu, i ruszył w stronę tej grupy. Podchodząc, zauważył Marka: szpakowaty centurion wykrzykiwał rozkazy pod adresem *optio*, który pospiesznie zasalutował i odbiegł.

– Marku! – krzyknął Septymus, a starszy mężczyzna się odwrócił.

– Septymusie, ty szczeniaku, gdzie się chowałeś? – spytał Marek z ulgą na twarzy.

Septymus uśmiechnął się i uderzył pięścią napierśnik centuriona.

– Zatrzymali nas Kartagińczycy! – wyjaśnił.

Marek kiwnął głową i nagle spowaźniał.

– Jesteśmy uwięzieni, Septymusie, całkowicie odcięci.

Septymus domyślał się tego.

– Jaki jest plan? – spytał.

– Megellus chce ewakuować *hastati* drogą morską, a potem wraz z resztą żołnierzy wyłamać się poza siły Kartagińczyków i uciec w stronę Brolium.

Septymus przypomniał sobie odprawę sprzed dwóch dni. Na wybrzeżu na wschodzie ciągnął się mały łańcuch górski: nie było to miejsce dla jazdy. W porcie toczyła się chaotyczna potyczka połączonych ze sobą galer, z których wiele płonęło. Septymus poczuł przypływ radości na widok *Aquili*, która płynęła równolegle do brzegu, oddalając się od płonącej kartagińskiej galery. Na jej tylnym pokładzie było tłoczno i nie mógł dojrzeć Attyka, ale wyraźnie widział Lucjusza, który stał przy relingu, aby odebrać wiadomość od legata Dziewiątego przekazywaną każdej przepływającej galerze.

Attyk obrzucił spojrzeniem plamę czerwieni zebraną na nabrzeżu w Terme. Dziewiąty był uwięziony przez niewidoczne punickie zastępy, ale nawet on – nieobeznany z taktyką lądową – wiedział, że legiony są najsilniejsze na otwartym terenie, a nie w labiryncie uliczek miasta portowego. Od relingu podszedł do niego Lucjusz.

– Wiadomość od legata dla floty – zaczął. – Prosi, żebyśmy ewakuowali *hastati* drogą morską.

Attyk kiwnął głową i przesunął wzrokiem po całym porcie, szacując liczbę ludzi do ewakuacji oraz rzymskich galer, które wciąż mogły zareagować na to wezwanie.

– Stanać w dryfie! – rozkazał Gajuszowi. – Lucjuszu, daj sygnał wszystkim galerom w zasięgu wzroku, żeby opróżniły pokłady i zaczęły ewakuację.

– Nie!

Wszyscy stojący na tylnym pokładzie zwrócili oczy w stronę relingu. Stał tam Warro, sam, z morderczym grymasem na twarzy.

– Wycofamy się... zanim będzie za późno! – powiedział i potykając się, ruszył w stronę Attyka.

– Ależ, trybunie... – zaczął jeden z senatorów, zastępując Warronowi drogę.

Młodzieniec odepchnął go.

– Nie! Pokonano nas. Nie możemy ryzykować, żeby ponownie nas zaatakowano, żeby... – Warro umilkł. Na jego twarzy widać było strach. Zerknął w stronę zwartej ściany kartagińskich galer rozstawionych w porcie.

Attyk odwrócił się plecami do trybuna, wiedząc, że każda chwila się liczy.

– Trzy rumby na sterburtę. Przygotować się do wpłynięcia do doku! – krzyknął.

– Nie! – wrzasnął Warro. – Zabraniam. Musimy uciec, póki czas.

– Trybunie – powiedział jeden z senatorów, chwytając Warrona za łokieć. – Musimy pomóc Dziewiątemu.

– Nie – powtórzył Warro i strząsnął rękę senatora, po czym przepchnął się do przodu, aż stanął za Gajuszem i Attykiem.

– Spokojnie, Gajuszu – powiedział Attyk, ignorując Warrona. – Przygotować się do wciągnięcia wioseł na pokład!

Trybun chwycił Attyka za ramię i odwrócił go do

siebie.

– Bądź przeklęty! – ryknął Warro, którego spojrzenie płonęło gniewem i frustracją. – Rozkazuję ci zawrócić tę galerę i wydostać nas stąd!

Attyk zrobił krok do tyłu. Zaciskał pięści, a w jego żyłach płynęła czysta furia. Najpierw Warro bez wahania wepchnął jego galerę w ziejącą gardziel bitwy, a gdy jej realia szybko zniszczyły jego marzenia o chwale, a wielu ludzi już straciło życie z powodu tej ignorancji, chciał poświęcić życie wszystkich Rzymian w Terme tylko po to, żeby ocalić własne.

– Słyszałeś mnie, kapitanie? – krzyknął Warro. – Rozkazuję...

Urwał, kiedy Attyk uderzył go otwartą dłonią w twarz. Trybun zatoczył się, podnosząc dłoń do policzka, oszołomiony bólem pękniętej górnej wargi. Attyk wyciągnął rękę, żeby go podtrzymać, ale właśnie wtedy zobaczył, że zza pleców trybuna wychodzi Witulus, sięgając do rękojeści miecza. Attyk już miał zareagować, ale wyczuł, a potem zobaczył po swojej prawej wyciągniętą klingę: Lucjusz podszedł do przodu w obronie swojego kapitana. Witulus przesunął wzrokiem między Attykiem a Lucjuszem i zatrzymał się, wciąż ściskając rękojeść miecza, ale nie wyciągając go z pochwy. Cofnął się o krok, a jego wzrok znów spoczął na kapitanie; w jego oczach widać było wyraźne ostrzeżenie.

– Lucjuzu – odezwał się Attyk, wyciągając rękę, aby obniżyć klingę miecza Lucjusza – zaprowadź trybuna pod

pokład, do głównej kabiny. Dopilnuj, żeby dla własnego bezpieczeństwa został tam, aż wypłyniemy z Terme.

Lucjusz skinął głową bez słowa i schował miecz, po czym chwycił za ramię Warrona, który był na tyle oszołomiony, że nie stawiał oporu, kiedy go odprowadzano.

Attyk oprzytomniał, przypomniawszy sobie, że na pokładzie rufowym stoi czterech senatorów, z których każdy był świadkiem jego niesubordynacji i przestępstwa, jakim było uderzenie dowódcy – przestępstwa karanego egzekucją. Złapał spojrzenie tego, który przed chwilą stanął Warronowi na drodze. Senator patrzył mu przez chwilę w oczy, po czym kiwnął głową niezauważalnie, podejmując jakąś decyzję, i odwrócił się, aby spojrzeć ponad relingiem. Pozostali trzej senatorowie przyglądali się z napięciem jego gestowi i bez wahania zrobili to samo, zgadzając się z jego postanowieniem. Wszyscy walczyli dzielnie, kiedy Punijczycy wdarli się na pokład, i bezzwłocznie stanęli w szyku bojowym. Każdy z nich był niegdyś wojownikiem i w młodości przy niezliczonych okazjach pokonywał strach i przystępował do walki. Było im wstyd za Warrona, za jawne okazanie strachu, które przyniosło hańbę jego randze, teraz więc odwrócili się plecami. Niczego nie widzieli.

Attyk westchnął w duchu z ulgą i ponownie skoncentrował się na nabrzeżu. Ręka mu drżała z gniewu i ekscytacji wywołanej lekkomyślnym ryzykiem. Przez moment myślał o Warronie i jego zszokowanej minie

zaraz po tym, jak otrzymał policzek. Attyk już wielokrotnie widział taką minę: był to spowodowany przemocą fizyczną szok u ludzi, którzy nie byli do niej przyzwyczajeni. Attyk był pewien, że choć senatorowie mogą zaprzeczyć, jakoby widzieli uderzenie, Warro nie zapomni tej zniewagi.

– Wszyscy *principes* i *triarii*, ustawie się w szyku defensywnym. *Hastati*, w szeregi na nabrzeżu!

Rozkaz powtórzono we wszystkich szeregach Dziewiątego, a Septymus ruszył z powrotem w stronę szyku defensywnego. Zatrzymało go czyjeś wyciągnięte ramię.

– A ty dokąd się wybierasz? – spytał Marek.

– Do szyku – odparł odruchowo Septymus. Nie rozumiał pytania.

– Akurat! – odparł Marek. – To nie jest twoja walka.

– Przecież... – zaczął Septymus, ale przyjaciel mu przerwał.

– Jesteś centurionem żołnierzy floty, Septymusie. Masz zobowiązanie względem swojej galery i swoich ludzi.

Septymus już miał znów zaprotestować, ale Marek go zignorował i krzyknął przez ramię:

– Chorąży czwartego!

Chorąży czwartego manipułu w mgnieniu oka znalazł się przy nich.

– Septymusie – zaczął Marek – chcę cię prosić o

przysługę.

– Znowu? – spytał z uśmiechem Septymus, wiedząc już, o co Marek poprosi.

– Zabierz moich *hastati* z czwartego na *Aquilę* i upewnij się, że są bezpieczni.

Septymus kiwnął głową, przyjmując obowiązki, które pełnił ponad dwu lata wcześniej w Dziewiątym.

– Tak jest, centurionie – odparł, salutując starszemu mężczyźnie, swojemu przyjacielowi i byłemu mentorowi.

Marek dwukrotnie uderzył pięścią w napierśnik Septymusa z przyjacielskim wyrazem twarzy i odwróciwszy się bez słowa, pomaszerował w stronę szyku obronnego, który bardziej doświadczeni ludzie z jego manipułu już zaczęli tworzyć pod komendą *optio* czwartego.

Septymus ruszył w stronę nabrzeża i zobaczył, że chorąży stoi już na pozycji, a *hastati* z czwartego bezbłędnie odnajdują drogę do sztandaru i tworzą szeregi wzdłuż brzegu. Okazało się, że zostało ich nie więcej niż dwudziestu – początkowo było ich ponad dwa razy tyle, lecz ich towarzysze przepadli w czasie pierwszego ataku i potyczki ulicznej.

– Ludzie z czwartego, do mnie! – krzyknął, szukając wzrokiem *Aquili* wśród zbliżających się do brzegu rzymskich galer.

– Tam! – powiedział Attyk, wskazując sztandar czwartego manipułu. – Widzisz go, Gajuszu?

– Tak jest, kapitanie – odpowiedział sternik i skorygował kurs *Aquili*.

Po chwili galera szła prosto w stronę nabrzeża, naprzeciwko sztandaru byłego manipułu Septymusa, gdzie Attyk miał nadzieję znaleźć przyjaciela.

– Prędkość sterowna! – krzyknął Attyk.

Galera zwolniła do dwóch węzłów, a Gajusz ustawił kadłub prostopadle do nabrzeża.

– Cała stop!

Pióra dwustu wiosł zanurzyły się w wodzie, stawiając opór, dzięki czemu *Aquila* zatrzymała się na odcinku równym połowie swojej długości. Kiedy taran trącił lekko nabrzeże, wydano rozkaz do podniesienia wiosł i opuszczono *corvus*. Po lewej i prawej śladem triremy podążyło jeszcze sześć galer. Ich rufy chroniła zapora utworzona przez trzy kolejne okręty, których załoga bezustannie obserwowwała wciąż kręcące się po porcie kartagińskie jednostki. Nagromadzenie rzymskich okrętów ze śmiertcionośnymi krukami jak na razie utrzymywało nieprzyjaciela na odległość.

Attyk przeszedł główny pokład, nie spuszczać oka z zakończenia kruka. Niemal natychmiast wśród tłumu zmęczonych bitwą żołnierzy zauważył znajomą sylwetkę przyjaciela. Kiedy centurion podszedł, Attyk wyciągnął rękę i przywitali się tak, jak było to przyjęte w legionach, chwytając się dłońmi za przedramiona. Nie widzieli się od czasu Myle.

– Witaj w domu – powiedział Attyk z uśmiechem.

Dookoła nich przepychali się legioniści, a na głównym pokładzie robiło się coraz bardziej tłoczno.

Septymus kiwnął głową, obejmując wzrokiem każdy szczegół galery, na której służył ponad rok. Czuł, jak pokład unosi się i opada; wrażenie to było mu obce po tylu miesiącach na lądzie.

– Dobrze tu znowu być – odpowiedział. Uśmiech zniknął z jego twarzy, kiedy spojrzał ponad ramieniem kapitana na rzeź toczącą się w zewnętrznym porcie. – Jakie mamy szanse? – spytał.

– Zobaczymy – odparł Attyk. – Jak wygląda plan legata?

– Wyłamię się na wschód z *principes* i *triarii*.

Attyk kiwnął głową. Obejrzał się za siebie i policzył rzymskie galery. Było ich dosyć, żeby wywieźć *hastati*, ale nie więcej. Resztę Dziewiątego trzeba będzie zostawić na łasce Fortuny.

Aquila, której załoga powiększyła się teraz o dodatkową grupę osiemdziesięciu legionistów z Dziewiątego, chwilę później ruszyła w drogę. Wypływając z wewnętrznego portu, pozostałe rzymskie galery utworzyły na jej flankach szyk w kształcie grotu strzały. Było ich prawie dwadzieścia. Gajusz obrał kurs na środek formacji w zewnętrznym porcie, tak aby przy odrobinie szczęścia mogli się przez nią przebić, co pozwoliłoby uciec jak największej liczbie rzymskich galer. Attyk zauważył, że pojedyncze kartagińskie okręty, które dotarły do wewnętrznego portu, przyspieszają do

prędkości ofensywnej, chcąc zaatakować statki na skraju formacji. Nieświadomie zacisnął dłoń na relingu tak mocno, że zbieleły mu kostki, i zaczął obliczać prędkość oraz kurs wszystkich galer, rzymskich i punickich. Nie wszystkie rzymskie statki zdążą.

Dotarłszy do brzegu, Hamilkar zatrzymał konia i przesunął wzrokiem po porcie. Przez jego twarz przemknął wyraz zdumienia, które powoli przekształciło się we frustrację, a potem w zajadły gniew. W porcie było nie więcej niż czterdzieści kartagińskich galer, a rzymskie siły liczyły ich prawie tyle samo, bitwa więc toczyła się między niemal równymi siłami; nie była potężnym uderzeniem, które planował Hamilkar. Gdzie, w imię Anat, reszta floty? Kiedy ponad dwa tygodnie wcześniej opuszczał Panormos, główny port Kartagińczyków na północnym wybrzeżu Sycylii, zebrana była tam flota licząca sto galer – w pełni obsadzonych załogą i gotowych do wypłynięcia – z rozkazami, żeby zastawić pułapkę w Terme.

Obecna była tylko część tej siły, a co gorsza, większość galer wciąż wypełniała pierwotne rozkazy Hamilkara: tworzyła szyk blokujący port, zamiast angażować się w potyczkę. Taktyka ta była pomyślana dla stu galer, grupy, która zgodnie z przekonaniem Hamilkara z pewnością mogła zmusić Rzymian do kapitulacji bez wdawania się w bitwę. Barkas jednak pojął, że ponieważ liczebność obu flot jest bardziej zrównowazona,

Rzymianie mają zamiar przebić się przez szyk.

Zauważył, że niektórzy kapitanowie mają dość rozsądku, aby w świetle całkowicie odmiennej sytuacji taktycznej zignorować jego poprzednie rozkazy, lecz ich nieskoordynowane ataki nie wystarczały, żeby doprowadzić do miażdżącej klęski, którą miał zamiar ściągnąć na Rzymian. Atakowali galery najbardziej wysunięte na flanki, ale główny trzon rzymskiej floty płynął przed siebie bez przeszkód, nacierając na zbyt płytki punicki szyk.

Wierzchowiec Hamilkara wierzgnął pod nim dziko z przerażenia, a on sam dopiero wtedy zdał sobie sprawę, że wrzeszczy na całe gardło: jego gniew znalazł ujście w pierwotnym wyzwaniu pod adresem wroga, który uniknie zagłady, i nieznanych sił, które udaremniły jego plan.

Powietrze rozdarł ogłuszający trzask, kiedy napędzany osiemdziesięcotonowym kadłubem kartagiński taran wbił się w burtę rzymskiej galery płynącej na flance formacji w kształcie klina. Uderzeniu towarzyszył demoniczny wiewat Punijczyków. Siła zderzenia nadziała okręt na dziób punickiej galery, a jego zatłoczony pokład przechylił się gwałtownie; wielu ewakuowanych legionistów spadło w kotłujące się wody portu, momentalnie niknąc w odmętach pod ciężarem uzbrojenia. Attyk zaklął, ale szybko spojrzął z powrotem przed siebie, patrząc, jak kartagińska formacja odpowie na rzymską próbę wyłamania się poza jej szyk.

– Statek przed nami się obraca! – ryknął Korin ze szczytu masztu.

Attyk odszukał wzrokiem punicką galerę, która skręciła na ich kurs.

– Jeden rumb na sterburtę! – rozkazał.

Gajusz zareagował ze skwapliwością, która świadczyła o intuicyjnej więzi między kapitanem i sternikiem.

– Punicka galera na kursie kolizyjnym! – krzyknął Korin. Kurs tego okrętu był już wyraźnie widoczny dla każdego na pokładzie rufowym.

– Przygotować się do skrętu na bakburtę! – zakomenderował kapitan.

Lucjusz podbiegł do trapu prowadzącego na pokład wioślarzy i powtórzył jego rozkaz doboaszowi. Zajął tam pozycję, oglądając się przez ramię na Attyka i skupiając na nim całą uwagę; bezgranicznie mu ufał.

– Septymusie, przygotujcie się do ustawienia ściany z tarcz na sterburcie!

Centurion rozmieścił swoich ludzi tuż przy relingu. Trzymali tarcze, gotowi w każdej chwili ułożyć je tak, aby na siebie zachodziły i utworzyły barierę przed nieuchronnym gradem pocisków.

Attyk stanął przy Gajuszu, a sternik zmienił położenie kadłuba *Aquili*; starannie wyważony kil długiego na czterdzieści metrów okrętu reagował na najłżejsze dotknięcie. Przez chwilę Attyk patrzył, jak Gajusz pracuje, jak tworzy fatamorganę, zwodząc

Kartagińczyków, aby myśleli, że rzymska galera ma zamiar przypuścić frontalny atak.

Przy prędkości jedenastu węzłów *Aquila* przebyła ostatnie sto kroków w mgnieniu oka. Rytm bębnow kontrolujący jej szybkość utrzymywał się niezmiennie w tym samym tempie, a Lucjusz rozkazał stu wiosłarzom siedzącym na sterburcie przygotować się do wycofania wiosła. Przyjęli rozkaz bez wahania, napinając ciała w oczekiwaniu na następny – razy batem już dawno wytresowały ich, aby ślepo i bez wahania wypełniali komendy.

W odległości dwudziestu kroków stłoczeni na pokładzie dziobowym Kartagińczycy zaczęli wyzywająco wrzeszczeć, gotowi na spotkanie i odparcie rzymskich legionistów. Attyk poczuł, że Gajusz sztywnieje w oczekiwaniu, i niemal nieświadomie krzyknął:

– Wycofać!

Dowódcy ruszyli równocześnie: Gajusz skierował *Aquile* ostro w lewo, Lucjusz przekazał rozkaz pod pokład, a Septymus rozmieścił swoje szeregi przy relingu na sterburcie. W czasie potrzebnym na wykonanie trzech pociągnięć niewolnicy podnieśli wiosła i wciągnęli je, aż poza burtę wystawały wyłącznie pióra.

Gajusz zapałł się o rumpel, prostując kurs *Aquili*, która zaczęła płynąć równoległe do galery Kartagińczyków, trzy kroki od jej kadłuba. Rozległy się punickie okrzyki niepokoju i gniewu, gdy nadwodna część dziobnicy *Aquili* uderzyła o wyciągnięte wiosła ich galery

i długie na cztery i pół metra sosnowe drzewce złamały się o nieustępliwie nacierający siedemdziesięcotonowy kadłub. Krzyki niewolników obsługujących wiosła zagłuszyły wszystkie odgłosy poza trzaskiem drewna. Wielu Kartagińczyków natychmiast zareagowało na ten nieoczekiwany obrót wydarzeń, a wykształcone na drodze całej kariery wojskowej instynkty kazały im wypuścić grad strzał w stronę rzymskiej galery. Tarcze legionistów udaremniły atak łuczników.

– Wysunąć wiosła! – rozkazał Attyk, kiedy *Aquila* minęła kartagińską galere.

Wiosła na sterburcie znów wysunięto i przy prędkości jedenastu węzłów Rzymianie w ciągu kilku chwil oddalili się poza skuteczny zasięg łuków, a załoga unieruchomionego teraz punickiego okrętu mogła tylko wykrzykiwać obelgi w stronę oddalającej się galery. Attyk zignorował te wrzaski i skupił całą uwagę na płynącej za nim formacji, której jednostki zbliżyły się do siebie, aby powiększyć wyłom stworzony przez *Aquilę*, a potem się przedostać poza kartagiński szyk.

Wielu młodych *hastati* na pokładzie *Aquili* wzniosło spontaniczny wiwat, kiedy galera znalazła się poza portem i wypłynęła na pełne morze. Tej radości nie podzielali bardziej doświadczeni członkowie załogi, między innymi stojący na tylnym pokładzie Attyk i Septymus. Kapitan wlepił wzrok w odosobnioną rzymską galere, *Opis*, która wciąż walczyła w piekle zewnętrznego portu. Została

odcięta od reszty formacji, a Kartagińczycy otoczyli ją jak gromada hien, dając upust wściekłości spowodowanej tym, jak wiele rzymskich galer im uciekło, i mordując tych niewielu pozostałych żołnierzy wroga. Desperackie krzyki Rzymian cichły, gdy ostatni z nich padali pod ciosami fenickich mieczy. Septymus sięgał wzrokiem w stronę nabrzeża i myślał o Dziewiątym legionie, który tak długo stanowił jego dom i rodzinę, oraz swojej z nim więzi, ponownie obudzonej w ciągu ostatnich trzech miesięcy. Ich ucieczka z miasta będzie szczytem desperacji, a odwrót prawie trzech tysięcy ludzi od pogromu dzielić będzie wyłącznie klinga miecza. Septymus wierzył, że więcej niż jedna trzecia z nich będzie miała okazję znów zobaczyć Brolium.

– Podnieść żagiel, wycofać wiosła! – rozkazał Attyk, w końcu odwracając się plecami do Terme. Rozkaz powtórzono na siedemnastu rzymskich galerach płynących śladem *Aquili*, niedobitkach rozgromionej floty. Bitewne podniecenie tętniące w żyłach Attyka zaczęło zanikać i kapitan nagle poczuł chłód i wyczerpanie. Trzy miesiące wcześniej *classis Romana* oczyściła morze z jednostek wroga i to wielkie zwycięstwo sprawiło, że wszyscy – włącznie z nim – uwierzyli, że nowa rzymska flota za jednym zamachem położyła kres trzystuletniej przewadze Punijczyków na morzach. Przekonanie to wynikało z głupiej pewności siebie i Attyk poczuł w gardle żółć wstydu na myśl o

swojej pyszałkowatości. Wcale nie zniszczyli molocha, zranili go tylko, a teraz bestia uniosła łeb z zamiarem zemsty, brutalnego odwetu, a wody Ternie zabarwiły się na czerwono od rzymskiej krwi.

ROZDZIAŁ DRUGI

Nie mógł złapać tchu; cuchnące powietrze było zbyt gęste, zbyt przesycone zapachem strachu i ludzkich odchodów. Jego umysł wypełniały rozpaczliwe dźwięki wydawane przez ludzi powoli umierających w tych nieprzeniknionych ciemnościach. Próbował wstać, uciec, ale sufit się obniżył, pchając go w dół, aż miał wrażenie, że od tego naporu zaraz pękną mu plecy. Poczł dreszcze, które najpierw zaatakowały jego kończyny, zmuszając go do zwinięcia się w pozycję embrionalną; maleńkie ohydne stworzenia dobierały się do każdego kawałka jego skóry, wspinały się po jego plecach i klatce piersiowej, a chrobot ich odnóży zagłuszał wszelkie inne odgłosy w jego udręczonym umyśle. Insekty nieubłaganie docierały do jego szyi, a on wyciągnął głowę, łudząc się, że przed nimi ucieknie. Pierwszy z nich dotknął jego twarzy, przemknął po policzku i dostał się we włosy. Za tym owadem podążył tuzin kolejnych, potem sto, a wydawany przez nie szmer był jak ogłuszający ryk; cała jego twarz roiła się od insektów.

Scypion poderwał się i z głębi jego duszy wyrwał się pełen rozpaczny okrzyk. Jego żona natychmiast się obudziła, wyciągając rękę, żeby dotknąć męża i wyzwolić go z okowów koszmaru, straszliwego snu, który nawiedzał go niezawodnie każdej nocy. Scypion usiadł na łóżu, łykając wielkie hausty powietrza, jakby chciał

oczyścić płuca. Wytrzeszczone oczy wlepił w łagodne światło lampy, która teraz paliła się bez przerwy podczas długich godzin nocnych.

– Gnejuszu... – zaczęła łagodnie Fabiola, szukając człowieka zagubionego w tym straszliwym miejscu, które opisał jej tylko raz, a które na zawsze odebrało mu część odwagi.

Scypion strząsnął z ramienia jej dłoń, zsunął stopy na podłogę i oparł łokcie na kolanach, ścierając z twarzy ostatnie ślady koszmaru sennego.

– Śpij dalej, Fabiolo – odparł, wiedząc, że sam już tej nocy nie zaśnie. Wstał i przeszedłszy nago przez pokój, odsunął jedwabne zasłony dzielące go od chłodnego nocnego powietrza na balkonie. Widok z tarasu położonego na niższej części zbocza Kapitolu obejmował tereny zalewowe Tybru, skąpane teraz w miękkim blasku księżyca. Widok był piękny i kojący, ale nie sprawił Scypionowi żadnej przyjemności: conocne przypomnienia o upadku nie pozwalały mu ukoić gniewu i wstydu.

Scypion nie miał pojęcia, jak długo był więźniem w ładowni kartagińskiej galery po tym, jak pojmano go w Liparze – tygodnie, miesiąc, wieczność? – ponieważ czas stracił znaczenie w mrokach tamtej przestrzeni. Jednak podczas niewoli towarzyszyła mu ta sama myśl, którą owinał sobie dookoła serca: myśl o zemście, o *vindicta* na ludziach, którzy odebrali mu jego prawowity los. Scypion wzdrygnął się nieco ze strachu, kiedy jego ponure wspomnienia przerwał dotyk nagiego ciała Fabioli, wciąż

ciepłego: żona przytuliła się do jego pleców, rozgrzewając skórę, która zdążyła się ochłodzić w powietrzu przedświt. Wzięła go w ramiona, a on dotknął dłoni obejmujących jego klatkę piersiową. Wiedział, że ona też nie zasypiała już po jego koszmarach, i choć zazwyczaj wolał być w takich chwilach sam, tej nocy – poprzedzającej dzień, kiedy miał uczynić pierwszy krok na drodze do zemsty – bez wahania zaakceptował jej obecność. Odwrócił się i spojrzał jej w twarz; jej delikatne rysy były jeszcze piękniejsze w półmroku. Popatrzył jej głęboko w oczy i zobaczył w nich inteligencję, ale też zimną bezwzględność ukrywaną przed wszystkimi poza mężem. Na jej twarzy pojawił się uśmiech, a Scypion kiwnął lekko głową, czując, jak wzbiera w nim wyczekiwanie na myśl o nadchodzących godzinach i planie, który umożliwił niezwykle instynkt jego żony.

– Wkrótce... – wyszeptała.

Znów pokiwał głową. To słowo stało się dla niego mantrą, talizmanem na chwilę, kiedy ludzie, którzy pokrzyżowali jego plany, zapłacą za swoje zbrodnie.

– Wkrótce... – odpowiedział, po czym wziął Fabiolę za rękę i poprowadził ją z powrotem za falujące jedwabne zasłony.

Attyk wpłynął głębiej pod kadłub *Aquili*, a chłodna niebieskozielona woda portu w Brolium opróżniła jego umysł z wszelkich myśli. Niedawno uszczelniony kil galery oświetlało zniekształcone światło porannego

słońca, przefiltrowane przez łagodne krzywizny fal. Napór na jego płuca narastał, kiedy Attyk unosił się pod powierzchnią wody; ponieważ wypuścił powietrze, żeby łatwiej się zanurzyć, jego ciało protestowało przeciwko niedoborowi tlenu. Attyk zignorował to, że pali go trochę w piersi, a dokładna znajomość granic własnej wytrzymałości fizycznej, sprawdzona wiele razy, pozwoliła mu uspokoić myśli i objąć wzrokiem cały kadłub galery. Trzy pasy poszycia na bakburcie od strony rufy miały głębokie zarysowania w miejscach, gdzie się zderzyli z okrętem wroga. Attyk wprawnym okiem obejrzał szkody, szukając charakterystycznych bąbelków powietrza zdradzających nie szczelność kadłuba, ale ich nie znalazł. Przypomniało mu się, że powinien nabrać powietrza, co przerwało tok jego myśli; uderzył dwukrotnie pięścią w kadłub, po czym ruszył w stronę powierzchni. Przebił się ponad fale tuż obok przedniej kotwicy i sięgnął po cumę, głęboko wdychając powietrze poranka. Dwie minuty pod wodą odświeżyły go po nocy niespokojnego snu. Popatrzył w stronę siedemnastu galer zebranych dookoła *Aquili* na wschodnim krańcu tętniącego życiem portu; ich oddalenie od krzątaniny panującej zazwyczaj w porcie było czymś w rodzaju narzuconego sobie wygnania, aby zmniejszyć hańbę porażki.

Flota dotarła do Brolium o świcie, a jej niespodziewane przybycie przyciągnęło tłumy ciekawskich na nabrzeże, gdzie galery szybko wysadziły

żołnierzy Dziewiątego, a potem się oddaliły, aby zająć miejsce na głębszych wodach. Legioniści pomaszerowali luźną formacją do obozu za miastem. Warro – wraz ze strażą i czwórką senatorów – też zszedł na ląd i natychmiast udał się do położonej na wzgórzu nad miastem rezydencji dowódcy portu. Attyk w napięciu przyglądał się temu, spodziewając się, że trybun podejdzie do niego i zażąda wyjaśnień w kwestii jego niesubordynacji, ale Warro zszedł na brzeg, nie oglądając się za siebie.

Słońce przesłoniła zablakana chmura; lekki wietrzyk od morza poruszył falami i wychłodził wystające nad wodę ramiona Attyka. Wdrapał się po drabince sznurowej i przeciął pokład, po drodze naciągając tunikę, którą wcześniej przewiesił przez reling. Septymus stał na pokładzie rufowym i Attyk kiwnął mu głową na powitanie.

– Musztra? – spytał na widok wyważonego drewnianego miecza do treningu, który Septymus trzymał luźno przy boku.

– Nie inaczej – odparł przyjaciel, przesuwając wzrokiem po szeregach żołnierzy zebranych na pokładzie głównym. – Wszystko, żeby przestali rozmyślać o wydarzeniach ostatniej doby!

Attyk skinął głową, uśmiechając się w duchu. Spodziewał się po Septymusie rozkazów tego rodzaju; centurion chciał za wszelką cenę przywrócić rutynę.

– Trybun jeszcze nie wrócił? – spytał.

– Jeszcze nie – odparł Septymus świadom, że nieunikniona konfrontacja niepokoi przyjaciela.

Wyglądało na to, że Attyk nie dosłyszał tej odpowiedzi, więc Septymus nie ciągnął tematu; znał już całą sytuację z wcześniejszych komentarzy kapitana. Klepnął go w ramię i zszedł z pokładu, unosząc miecz i przymierzając się do jego ciężaru; całą uwagę skupił na swoich żołnierzach. Zwolnił nieco, kiedy dostrzegł wyłomy w szeregach, które zostawili za sobą martwi i ranni, ale wysiłkiem woli stłumił żal, jak zawsze zdecydowany, żeby jego ludzie znali go tylko jako zdyscyplinowanego dowódcę.

Scypion powoli wynurzył się spod powierzchni krystalicznie czystej wody. Otarł resztki wody z twarzy i znów ułożył się w letniej kąpieli, oddychając głęboko i miarowo. Okrągła wanna mieściła się w samym środku kwadratowego *tepidarium*, widział więc każde z trojga drzwi w komnacie. Dwoje prowadziło do pozostałych komnat jego prywatnej łaźni, a trzecie – na których teraz skupiał uwagę – do kwater niewolników. Zerknął ukradkiem na drzwi, nadstawiając uszu w ciszy wyłożonego płytkami pokoju, czekając na jakikolwiek odgłos świadczący o tym, że nadchodzi łaźiebny.

Drzwi się otworzyły i wszedł mężczyzna w średnim wieku. Był przygarbiony od pasa, jakby przygniatał go niewidoczny ciężar, a kontur jego głowy był przedłużeniem linii pleców: twarz miał opuszczoną w służalczy sposób właściwy niewolnikom. Scypion uważał,

żeby nie zdradzić się z zainteresowaniem, jakie wzbudziło u niego przybycie służącego, świadom, że jakikolwiek przejaw uwagi byłby nietypowy, i powstrzymał złowrogi uśmiech, który niemal wypełził na jego twarz, kiedy rozpoznał niewolnika. Na imię miał Amalryk, a jego blada skóra świadczyła, że pochodził z jakiegoś obcego plemienia zza wielkiego łańcucha gór, na północ od granic republiki. Niewolnicy kręcili się po całym domostwie Scypiona, często nie zwracając uwagi konsula: jego obojętność sprawiała, że stawali się niewidoczni. Ale Amalryk i stajenny o imieniu Tiago wyróżniali się wśród służby Scypiona, co niemal trzy miesiące wcześniej odkryła jego żona Fabiola.

Drzwi do pierwszej komnaty, gdzie mieściło się gorące *caldarium*, otworzyły się nagle i weszła Fabiola otoczona kłębem pary. Scypion zachwycił się jej wytwornością i wdziękiem; elegancję ruchów podkreślało to, że była całkowicie naga, a jej wrodzona pewność siebie była niezwykle pociągająca. Przywitała męża cierpkim uśmiechem i płynnym ruchem wślizgnęła się pod wodę, ani razu nie zerkając nawet w stronę łaźniebnego, jakby w ogóle nie istniał. Zaczęła prowadzić z mężem lekką rozmowę, przeskakując z jednego trywialnego tematu na inny. W odpowiedzi Scypion kiwał jedynie głową, uśmiechając się przelotnie, kiedy słowa żony to uzasadniały, i koncentrował się na umówionym pytaniu, które miało zaraz paść.

– Czy podjąłeś już decyzję co do swojej przyszłości

w senacie? – spytała Fabiola, nie zmieniając tonu.

Scypion wyprostował się niedostrzegalnie, podziwiając, w jak niewymuszony sposób żona wprowadziła ten temat do rozmowy. Milczał przez chwilę, jakby się zastanawiał.

– Tak – odparł, nie spuszczając wzroku z żony, lecz usilnie koncentrując się na niewolniku, który im towarzyszył. – Mam zamiar zdobyć urząd cenzora.

Fabiola z aprobatą kiwnęła głową.

– Sądzisz zatem, że uda ci się zdobyć poparcie *censores*? – spytała, nawiązując do dwóch urzędników, których zadaniem było obdarzanie tą rangą następców.

– Jestem tego pewien – odparł Scypion. – Byłem konsulem, spełniam warunki wymagane do tego stanowiska, a ponieważ Duiliusz celuje w urząd starszego konsula, potajemnie zdobędę aprobatę cenzorów przed wyborami, na długo zanim dowie się o moich planach.

Twarz Fabioli stężała na wzmiankę o Duiliuszu.

– To nie do pomyślenia, że ten sklepikarz, ten rolnik zajmie najwyższą pozycję w senacie – syknęła. Te słowa nie były częścią ich starannie przygotowanej rozmowy: nienawiść względem człowieka, który przechytrył jej męża, chwilowo pokonała zwykłe opanowanie Fabioli. Natychmiast pożałowała tego błędu i mówiła dalej, jakby nie wypowiedziała obelgi. – Będzie miał w senacie większą władzę niż ty – powiedziała. – Będziesz na jego łasce.

– Pod każdym względem poza jednym –

odpowiedział Scypion, a jego twarz również zdradzała nienawiść, której nie potrafił powstrzymać – i dzięki władzy, którą dysponuje cenzor, sprawię, że Duiliusz za wszystko zapłaci.

Fabiola uśmiechnęła się złośliwie na te słowa, a Scypion na moment zapomniał o odgrywanej przez nich farsie, pod wpływem nagłego požądania, jakie poczuł do żony, urzeczony jej złowrogą urodą.

– Zostaw nas – rzucił opryskliwie pod adresem Amalryka.

Niewolnik natychmiast wyszedł. Scypion odprowadził go wzrokiem, dopiero teraz pozwalając sobie na triumfalną minę wyrażającą prawdziwe emocje. Gdy odwrócił się do żony, zauważył u niej podobną minę. Przesunął się powoli wzdłuż krawędzi wanny w jej stronę, nie odrywając wzroku od jej pięknej twarzy, a ekscytacja i podniecenie zmieszały się w odurzający eliksir, który opróżnił jego głowę z wszelkich myśli.

Amalryk cicho zamknął dębowe drzwi prowadzące do *tepidarium*. Trzęsąca się dłoń była jedyną oznaką rozpierającej go radości – jego nieustannie pochylona twarz jak zawsze wyrażała wyłącznie niemą służalczość. Zatrzymał się w korytarzu na moment, zerkając na boki. Upewnił się, że jest sam, po czym upuścił ręczniki na ziemię i poszedł prosto do stajni na tyłach domu. Po drodze w kącikach jego ust pojawił się uśmiech, co nie zdarzało się często, a na myśl o wdzięczności swojego

pana nieświadomie przyspieszył kroku, kiedy dotarł do niego gryzący zapach stajni i rytmiczne dźwięki dobiegające z kuźni. Skręcił za róg na końcu korytarza i popchnął wzmocnione drzwi na dziedziniec. Znów rozejrzał się ukradkiem w prawo i w lewo świadom, że jego obecność tutaj nie jest czymś normalnym. Zauważył, że Tiago oporządza gniadego źrebaka, i od razu ruszył w jego stronę, przerabiając w myślach usłyszane właśnie wiadomości w krótki raport, który stajenny miał dostarczyć jeszcze tego dnia.

Warro omiół wzrokiem twarze czterech innych ludzi zebranych w pomieszczeniu na parterze posiadłości dowódcy portu i poczuł, że na jego policzkach znów wykwita rumieniec wstydu. Całkowicie go ignorowali, rozmawiając, jakby zniknął, gdy skończył relacjonować wydarzenia ostatniej doby. Dwukrotnie się wtrącił ze starannie przygotowanym komentarzem, lecz jego głos ginął we wrzawie zajadłej debaty; jego opinię uznano za niewartą uwagi. Raz jeszcze przestąpił z nogi na nogę – w udręczonych mięśniach dolnych kończyn koncentrowało się głębokie zmęczenie. Zauważył, że wysoki rangą trybun z Drugiego legionu zerka w jego stronę, i wyprostował się wyczekująco, tłumiąc strach w obliczu nieskrywanej pogardy trybuna. Znów oblał się rumieńcem.

Rozmowa toczyła się burzliwie dookoła Warrona, a on zamknął się w sobie, wracając myślami do pewności

przepelniającej dni i tygodnie przed katastrofą, która pogrzebała jego zamiary. Wraz z ojcem byli całkowicie przekonani, że zdobycie Terme będzie jedynie formalnością, tylko kolejnym krokiem, który otworzy każde drzwi na korytarzach władzy w Rzymie. Poprzedni dzień zadał kłam tym ambicjom. Odtworzył bitwę w wyobraźni, przywołując pojedyncze obrazy, a na myśl o toku wydarzeń, który ukształtował jego los poczuł, że budzi się w nim gniew, że jego duma wyje o zemstę za niesubordynację greckiego kapitana. Uderzenie w twarz było niewybaczalne; podróżujący z nim senatorowie twierdzili później, że nie widzieli tego, a ich lojalność wobec człowieka niższej rangi stanowiła jeszcze jedną obelgę. Na twarzy trybuna z Drugiego Warro dojrzał szyderczość ich spojrzeń.

Kiedy *Aquila* dotarła do nabrzeża w Brolium, Warro zszedł na ląd, nie oglądając się za siebie, ponieważ nie był pewien, czy potrafi się opanować, gdyby zobaczył, że kapitan mu się przygląda. Senatorowie stanęli twardo po stronie Attyka, a Warro zdał sobie sprawę, że bez zeznań naocznych świadków każde wystosowane przezeń oskarżenie mogłoby zostać uznane za desperacką próbę zrzucenia winy na człowieka, który już dowiódł swojej wartości pod Myle. Była to zatem prosta sprawa honoru rozgrywająca się między dwoma mężczyznami, a oskarżenie Warrona z pewnością spotkałoby się z wyzwaniem; młody trybun wiedział, że nie jest w stanie wygrać z człowiekiem, który miał o dziesięć lat więcej

doświadczenia i był dziesięciokrotnie lepszy w wojennym rzemiośle. Kiedy *Aquila* uchodziła spod Terme, Warro w mroku swojej kabiny postanowił, że nie będzie żadnego wypowiedzianego oskarżenia, żadnego jawnego wyzwania. Będzie tylko zemsta.

Wrócił myślami do terażniejszości i zauważył, że wszystkie oczy są zwrócone na niego. Zdał sobie sprawę, że zgromadzeni czekają, aż odpowie na pytanie, którego nie dosłyszał.

– Ja... – Zawahał się, a po jego minie widać było, że przez chwilę nie uważał. – Ja nie...

– Prefekt obozu zadał ci pytanie, Warronie – przerwał mu trybun Dziewiątego, wskazując najstarszego mężczyznę w pomieszczeniu. – Kiedy będziesz mógł wypłynąć?

– Wypłynąć? – spytał niepewnie Warro, wściekły na siebie, że przestał śledzić tok rozmowy.

– Do Rzymu, człowieku, do Rzymu! – powiedział niecierpliwie trybun.

Warro uświadomił sobie, że nie ma pojęcia, ile zajmuje przygotowanie galery do podróży morskiej.

– Będziemy musieli uzupełnić zapasy... – zaczął, usiłując ukryć niewiedzę.

– Dopilnuję, żeby udostępniono wszystkie konieczne artykuły w magazynach obozowych – wtrącił dowódca portu w Brolium. – *Aquila* może być ponownie zaopatrzona przed odpływem, w ciągu najwyżej dwóch godzin.

Warro kiwnął głową, ale wyglądało na to, że dowódca portu tego nie zauważył – czekał natomiast na znak aprobaty trybuna.

– Niech tak będzie – rozkazał trybun, uzurpując sobie stanowisko Warrona.

– Zgadzą się więc – ciągnął dowódca Dziewiątego, patrząc na swojego odpowiednika z Drugiego. – Tacycie, pomaszujesz czym prędzej z dwoma tysiącami żołnierzy Drugiego na zachód, aby spotkali się z wracającymi żołnierzami Dziewiątego. Ja popłynę wraz z resztą floty równoległym kursem, wzdłuż brzegu.

– Ale flota jest... – zaczął Warro i urwał, od razu żałując tej uwagi.

– No co, Warronie? Twoja? – odparł z szyderczym uśmiechem trybun. – Twoją flotę rozgromiono pod Terme. Teraz twoim jedynym zadaniem jest popłynąć do Rzymu i poinformować senat o swojej porażce!

Trybun odwrócił się lekceważąco od młodego człowieka i skinieniem głowy odprawił prefekta oraz dowódcę portu, po czym zasalutował równemu rangą dowódcy z Drugiego. Wszyscy czterej mężczyźni bez słowa opuścili komnatę, mijając Warrona szerokim łukiem i uważając, żeby nie dotknąć zhańbionego dowódcy i nie splamić własnego losu. Warro stał jak skamieniały, kiedy kroki pozostałych cichły w korytarzu.

Nadpływająca łódź dotarła do linii fal przyboju u

brzegu Terme i Hamilkar rzucił tarczę na piasek. Kiedy jeden z wioślarzy wyskoczył zwinnie z łódki i przytrzymał dziób, aby unieruchomić ją i umożliwić dowódcy dostanie się na pokład, Hamilkar wskoczył do środka i usiadł na dziobie, a łódkę zawrócono znów w stronę floty zakotwiczonej w połowie długości kanału portowego. Obaj wioślarze pospiesznie wrócili na swoje miejsca i zaczęli sprawnie przeprowadzać łódź z powrotem przez fale przyboju.

Hamilkar patrzył obojętnie na plażę, którą właśnie opuścił, i wycieńczonych żołnierzy stojących nieruchomo na wysokości kęp wodorostów znaczących najdalszą linię przyływu. Walczyli dzielnie przez ostatnie dwadzieścia cztery godziny, bezlitośnie nękając Rzymian, kiedy ci wycofywali się wzdłuż wybrzeża na wschód. Na początku Hamilkar i jego ludzie byli w stanie dopaść jedynie maruderów i rannych: nagła zbiorowa ucieczka Rzymian zaskoczyła ich i opóźniła powrót Hamilkara do floty. Co prawda Rzymianie musieli się ustawić w rozciągniętym, słabym szyku, co dowódcy Hamilkara bezlitośnie wykorzystali, nacierając szybko w stronę flank wroga i urządzając zasadzki na każdy jego oddział tylnej straży. Wiele z tych szarż Hamilkar poprowadził osobiście, a zagniewany, że jego plan spalił na panewce, brawurowo zajmował pozycję na froncie. Miał wrażenie, że tym załagodzi swoją furję. Jego rozkazów nie wypełniono, a ktoś – nie wiedział kto – zmniejszył jego flotę do bezsilnego ułamka jej pierwotnego rozmiaru. Myśl o

zdemaskowaniu zdrajcy bezustannie krążyła Hamilkarowi po głowie, kiedy więc wzorzec natarcia już się ustalił, Barkas przekazał zadanie nękania Rzymian jednemu ze swoich dowódców, aby móc wrócić do Terme i odnaleźć przeniewiercę.

Łódka zatrzymała się tuż przy okręcie flagowym, kwinkweremie o nazwie *Alissar*. Hamilkar wskoczył na drabinę i wspiał się na główny pokład, ignorując zebraną na jego cześć załogę i szukając wzrokiem człowieka, którego obdarzył dowództwem nad flotą. Himilko stał pośrodku pierwszego szeregu, salutując oficjalnie. Teraz podszedł w stronę Hamilkara i wyciągnął dłoń.

– Witaj na pokładzie, wodzu – powiedział, a na jego pociągłej twarzy pojawił się szeroki uśmiech. – Gratuluję wielkiego zwycięstwa!

Na ten sygnał załoga wzniosła wiwat, wychwalając swojego dowódcę, ale Hamilkar nie zmienił surowego wyrazu twarzy i zbliżając się do kapitana, dostrzegł w jego oczach zwątpienie.

– Za mną – powiedział opryskliwie, ucinając rozmowę.

Himilko zawahał się, usiłując zrozumieć zachowanie Hamilkara, ale w końcu pospieszył za dowódcą.

Hamilkar otworzył drzwi do głównej kabiny pod pokładem rufowym i wszedł do środka. Pomieszczenie było oszczędnie umeblowane, jak przystało na okręt bojowy: pośrodku stał zarzucony mapami stół, a od strony sterburty – koja. Po przeciwnej stronie kabiny znajdowała

się skrzynia na rzeczy osobiste. Hamilkar zamknął oczy, opuścił głowę i odetchnął głęboko, usiłując opanować chęć przebicia kapitana zakrwawionym mieczem, który wisiał u jego boku, i starcia z jego twarzy tego idiotycznego uśmieszku. „Gratuluje” – powiedział ten głupiec, a ręka Barkasa odruchowo powędrowała do rękojeści miecza. Usłyszał za sobą kroki kapitana i głuchy odgłos zamykanych drzwi. Znaleźli się sami.

Hamilkar błyskawicznie okręcił się na pięcie, dobywając miecza; klinga, której gładkie niegdyś ostrze było wyszczerbione i porysowane po walce z poprzedniego dnia, wysunęła się z pochwy bez trudności. Reakcję Himilkona widać było tylko na jego twarzy: miał zbyt wolny refleks, żeby zareagować na niespodziewany atak, ponieważ Hamilkar był przy nim, zanim kapitan zdążył mrugnąć. Klinga zatrzymała się o włos od jego szyi.

– Gdzie jest reszta floty?! – krzyknął Barkas, w gniewie przyciskając ostrze do gardła Himilkona. Na ziemistej skórze pojawiła się krew.

– Panie... ? – spytał skonsternowanym i przerażonym głosem Himilko.

– Flota! – ryknął Hamilkar. – Zebrałem w Panormos sto galer z rozkazami, aby płynęły do Terme. Wczoraj widziałem tu tylko czterdzieści. Gdzie jest reszta?

– Przy wybrzeżu Malaki w Iberii – wyjąkał Himilko z oniemiałą miną, unosząc odruchowo dłonie obronnym ruchem.

– Na mocy czyich rozkazów? – warknął Hamilkar, gotów przeszyć Himilkona mieczem, gdyby jego odpowiedź go nie usatysfakcjonowała.

Przerażenie na twarzy kapitana znów zmieszało się z niezrozumieniem.

– Twoich – odparł błagalnie. – Radny Hannon wydał je w twoim imieniu trzy dni po twoim wyjeździe z Panormos.

Zaszokowany Hamilkar nieświadomie rozluźnił rękę i czubek miecza oparł się o klatkę piersiową kapitana.

– Hannon? – powiedział niemal do siebie.

– Tak, panie – odparł Himilko i zalała go fala ulgi, że w końcu znalazła się odpowiedź na pytanie wodza.

– Powiedział ci, że to mój rozkaz?

– Tak jest, panie – powtórzył Himilko.

Hamilkar cofnął się i schował miecz.

– Zbierz oddział i natychmiast płyn do Panormos – rozkazał.

Himilko – który miał wrażenie, że jest bezpieczniejszy, skoro Hamilkar nie przystawia już miecza do jego gardła – wyczuł, co zamierza Barkas, i ośmielił się odezwać:

– Radny popłynął do Kartaginy w dniu, kiedy opuściliśmy Panormos.

– Płyniemy więc za nim – odparł Hamilkar po chwili namysłu. – Czym prędzej do Kartaginy.

Himilko opuścił kabinę niemal biegiem, aby jak najszybciej oddalić się od miecza dowódcy.

Hamilkar odprowadził go wzrokiem, powtarzając słowa kapitana w myślach. Jeśli się nie pojawi w Panormos, nie będzie mógł się udać na umówione spotkanie z Belusem, jednym ze swoich wysokich rangą dowódców, którym powierzył już odpowiedzialność za kluczowy element planu, i przez chwilę martwił się, że Hannon mógł zablokować także te rozkazy. Natychmiast odsunął od siebie te zmartwienia, pewien lojalności Belusa, i znów się skoncentrował na radnym Hannonie. Nie potrafił wyjaśnić jego działania, a ten podstęp – to, jak posłużył się jego własnym autorytetem – stanowił akt zdrady, za który każdy człowiek niższy rangą zapłaciłby życiem. Barkas był tak zamyślony, że nie przeszkodził mu nawet głuchy, rytmiczny łomot budzącego się do życia bębna, który rozbrzmiał, gdy *Alissar* ruszyła w drogę, a załoga skierowała ją na kurs do Kartaginy.

Gajusz Duiliusz siedział w milczeniu w kurii Hostyliusza, siedzibie senatu rzymskiego, i rozglądał się po twarzach pozostałych senatorów, zasłuchanych w sugestywne, niemal hipnotyzujące słowa mówcy, Lucjusza Manliusza Wulsona Longusa. Na zewnątrz popołudniowe słońce wisiało na niebie od zachodu, znacząc marmurową podłogę sali posiedzeń cieniami i wzorami.

Duiliusz obserwował zarówno sprzymierzeńców, jak i przeciwników, niezdecydowanych i stanowczych w obu grupach, obliczając szanse i wypróbowując scenariusze.

Kiedy tak patrzył, wielu senatorów przytakiwało słowom Longusa z wystudiowanymi, mądrymi minami, a Duiliusz uśmiechnął się w duchu, czekając na aplauz, którego z pewnością należało się spodziewać, na wyraz aprobaty wobec założeń przemowy, którą napisał dla Longusa. Senatorowie zaczęli klaskać jak na sygnał i Duiliusz ponownie spróbował przeniknąć powierzchowne demonstracje zgody na obliczach senatorów i poznać ich prawdziwe zamiary.

Do wyborów zostały jeszcze trzy dni i mimo że Duiliusz był pewien zwycięstwa, doskonale zdawał sobie sprawę z ograniczeń swojej wiedzy. Na pewno zostanie wybrany na konsula, nie wiadomo jednak, jak duża jest jego przewaga w tajnym głosowaniu, tak samo jak prawdziwa siła i liczebność jego przeciwników. Jako zwycięzca spod Myle Duiliusz wciąż wykorzystywał resztki wdzięczności ludu rzymskiego i senatu, a poza tym użył swoich wpływów, aby doprowadzić do nominacji Longusa na stanowisko młodszego konsula; jego mowa była starannie przygotowanym manifestem, który – jak miał nadzieję Duiliusz – zyska mu przychylną niezdecydowaną większość izby.

Duiliusz jeszcze raz przesunął wzrokiem po zebranych, tym razem w poszukiwaniu głównych rywali Longusa. Byli oni rozproszeni wśród trzystu senatorów i choć części udało się zajść wyżej niż innym, wszyscy zaliczali się do prastarej, zachowawczej warstwy patrycjuszy, przeciwko której walczył podczas całej

swojej kariery w senacie. To współzawodnictwo osiągnęło kulminację poprzedniego roku, kiedy on sam był młodszym konsulem, a starszym był Gnejusz Korneliusz Scypion, patriarcha tej pompatycznej faksji. Otwarta rywalizacja ujawniła popleczników obu ludzi, a tym samym obu filozofii – konserwatywnej i postępowej – a senat podzielił się zgodnie z tymi zasadami, podczas gdy środek zajmowała kapryśna większość, której głosy kupowały lub wymuszały walczące strony. Jednak teraz, kiedy Scypion był nieobecny i w niełasce, jego stronnicy się rozproszyli i ukryli wśród biernego centrum, co utrudniało Duiliuszowi oszacowanie rezultatu głosowań.

Longus skończył swoją mowę, wielu obecnych zgotowało młodemu senatorowi owację na stojąco, a on uśmiechnął się odważnie do swoich stronników. Duiliusz też wstał, co było widocznym znakiem poparcia, przesuając klaszczącymi dłońmi z prawa na lewo, jakby chciał zademonstrować swoją aprobatę całemu senatowi. Na mgnienie oka złapał kontakt wzrokowy z młodym senatorem i Longus kiwnął głową z wdzięcznością, a jego przymilne oddanie dostrzegłby nawet najmniej lotny obserwator. Duiliusz odwrócił szybko spojrzenie, chcąc zetrzeć pochlebny uśmiech z twarzy Longusa; ten wyraz twarzy był nie na miejscu, ponieważ większość senatorów przywiązywała wagę do tradycji mówiącej, że obaj konsulowie powinni być samodzielni i przynajmniej stwarzać pozory, że kontrolują się nawzajem.

Longus wrócił na miejsce, a jego rywal stanął na

środku pomieszczenia, aby przedstawić własne argumenty zachęcające do zagłosowania na niego. Duiliusz odwrócił się plecami do mówcy, ale też do Longusa, świadom, że młody senator najprawdopodobniej wlepią w niego wzrok z nadzieją, że znów wymienią się spojrzeniami. Zaczął ponownie analizować swoją decyzję forsowania kandydatury Longusa na stanowisko konsula, co nie było dla niego typowe. Ponieważ jego własne zwycięstwo było zapewnione, rekomendacja Duiliusza miała duże znaczenie, dokonał więc starannego wyboru. Longus miał wiele wad, a brak doświadczenia tylko pogłębiał niektóre z nich, ale Duiliusz był pewien jego jednej niezrównanej zalety: lojalności. W zawierusze zmieniających się sojuszy i dwulicowych przysiąg, która cechowała senat, mógł być zawsze pewien poparcia Longusa. Sięgnął spojrzeniem do obstawionego kolumnami wejścia do senatu i coraz dłuższych cieni, usiłując wysiłkiem woli zmusić słońce, aby przyspieszyło wędrówkę za horyzont. Błądząc wzrokiem między kolumnami, dostrzegł Lutacjusza. Jego osobisty sekretarz stał nieruchomo, wpatrzony weń, i choć nie zrobił żadnego gestu, sama jego obecność świadczyła, że sytuacja jest paląca. Duiliusz nie mógł jej zignorować. Wstał i ruszył prosto w stronę wyjścia. Mówca przerwał, oburzony na ten nagły ruch, który oznaczał pozbawioną skrupułów obelgę; po pomieszczeniu poniósł się cichy pomruk dezaprobaty. Duiliusz nie zwrócił na to jednak uwagi. Przyszło mu do głowy, że od zachodu słońca, zwyczajowej pory

zakończenia obrad senatu, dzieliła ich niecała godzina. Co było tak pilne, że Lutacjusz nie mógł poczekać na jego powrót do domu?

Kiedy konsul się zbliżył, Lutacjusz wyszedł z za filara prosto w pełny blask popołudniowego słońca, kryjąc się przed wścibskimi spojrzeniami z wnętrza senatu. Duiliusz obszedł kolumnę, osłaniając oczy, dopóki nie przywykły do światła odbijającego się od marmurowych filarów.

– Jakże wieści? – spytał sekretarza, który kontrolował również rozległą siatkę szpiegów konsula działającą w mieście.

– Scypion – odpowiedział lakonicznie Lutacjusz.

– Ujawnił swoje plany? – Duiliusz był coraz bardziej podekscytowany.

– Tak. – Lutacjusz kiwnął głową. – Tiago przyniósł wieści od Amalryka nie dalej jak godzinę temu.

– I...?

– Urząd cenzora, panie. Scypion chce objąć urząd cenzora.

Duiliusza zalały sprzeczne uczucia: ulga i triumf, że w końcu poznał plany wroga, jak też przerażenie wywołane perspektywą chaosu, jaki rozpętałby Scypion, gdyby mu się udało. Każdego roku wybierano dwóch cenzorów spośród byłych konsulów zasiadających w senacie. Zgodnie z tradycją jedno ze stanowisk było zarezerwowane dla jednego ze starszych senatorów w uznaniu za życie spędzone w służbie republiki, o drugie zaś ubiegali się bardziej ambitni byli konsulowie. Duiliusz

podjął już kroki w celu zapewnienia sobie sprzymierzeńca, Anicjusza Paulinusa, który miał być głównym kandydatem na drugiego cenzora, ale teraz wcale nie było pewne, że Paulinus zdobędzie to stanowisko.

Duiliusz w milczeniu wyminął swojego sekretarza i zszedł po schodach kurii – Lutacjusz podążył za nim w pełnej szacunku odległości – podczas gdy senatorowie dalej debatowali, nieświadomi, że najpotężniejszy człowiek w Rzymie już do nich tego dnia nie dołączy.

– Zbliża się łódź!

Attyk podszedł szybko do burty. Natychmiast rozpoznał siedzącego na dziobie Warrona: kształt charakterystycznego hełmu trybuna widać było nawet z odległości stu kroków. Towarzyszyła mu tylko straż – senatorowie najwyraźniej zostali w Brolium – i Attyk złapał się na tym, że wlepia w niego wzrok, że próbuje zgłębić myśli człowieka, którego w ogóle nie znał. Warro pochodził z zamożnej rodziny; władza i wydawanie rozkazów były prawem przysługującym mu z urodzenia. Attyk był synem rybaka, urodzonym w nędznej chacie na przedmieściach Lokr, który wielkim wysiłkiem dotarł na szczyt swojego świata – szczyt całkowicie pozbawiony znaczenia dla syna wysoko postawionego rzymskiego urzędnika. Attyk usiłował w myślach odwrócić ich pozycje i podjął skomplikowaną próbę znalezienia sposobu, aby Warro uratował twarz, on sam zaś nie stracił

w najlepszym razie mianowania, a w najgorszym – życia.

– Zapomnij – rozległ się obok głos Septymusa.

– O czym zapomnieć? – spytał zdumiony.

– Zbyt dobrze cię znam, Attyku – odparł Septymus, stając u boku przyjaciela. – Usiłujesz obmyślić rozwiązanie twojego problemu z tym młodym idiotą Warronem.

– I co w związku z tym?

– I mówię ci: zapomnij. Spotkałem wielu takich w Dziewiątym, z jedną ręką na rękojeści sztyletu i drugą wyciągniętą po pieniądze tatusia, a wszyscy oni to ambitne zmije, dumni, jakby byli senatorami. Jakikolwiek los dla ciebie wymyślił, na pewno nie pozwoli nikomu zmienić swojej decyzji, a szczególnie tobie.

Attyk kiwnął głową i porzucił wszelkie myśli o wyjaśnieniach i pojednaniu. Odsunął się od Septymusa i zaczął chodzić tam i z powrotem wzdłuż relingu.

Przed Myle mógł dysponować *Aquilą* wedle własnego uznania, a Septymus dyskretnie odpowiadał za żołnierzy floty; ich stanowiska były równe rangą i oddzielne, nie mieli jeden nad drugim żadnego zwierzchnictwa, obowiązywały ich wyłącznie stałe rozkazy, wedle których mieli pilnować, aby na morskich szlakach Rzymu nie grasowali piraci. Wypełnianie tego zadania często oznaczało całe miesiące spędzone na morzu, z dala od sztywnych struktur dowództwa, które oplatały ich za każdym razem, kiedy wpływali do portu. Attyk uwielbiał tę niezależność. Utracił jednak ową

wolność pod Myle, kiedy *Aquilę* wcielono do *classis Romana*. Samotny wilk nagle stał się częścią większej watahy, nie polował już, robiąc użytek ze swoich wyjątkowych umiejętności, lecz jako część grupy, a samo polowanie stało się skomplikowaną grą o władzę i spełnienie ambicji. Szanse na awans wciągały do potyczki ludzi takich jak Warro.

Attyk zatrzymał się, kiedy łódka zbliżyła się do burty, i patrzył, jak trybun wyskakuje z niej ze zwinnością właściwą młodemu wiekowi. Czekając, kapitan czuł, jak narasta w nim gniew wywołany zmiennymi kolejami losu, przez które znalazł się na łasce Warrona. Pod Myle Duiliusz stał na pokładzie rufowym *Aquili* jako dowódca największej floty, jaką Rzym kiedykolwiek wystawił do bitwy, a jednak traktował Attyka jak równego sobie, ich wspólna walka jednoczyła ich przeciwko Kartagińczykom, a konsul rozumiał, że podczas potyczki ludzie są równi wobec Plutona, władcy zaświatów. Warro natomiast traktował ludzi niższych rangą od niego niemal z pogardą, bez względu na to, jakie usługi wyświadczyli republice. Attyk wspominał wyzwania, którym stawiał czoło podczas swojej trudnej kariery, i opuściła go troska o swój los. Walczył już z groźniejszymi przeciwnikami niż młody trybun, który teraz szedł w jego stronę po pokładzie, i nie miał zamiaru ustąpić bez walki, nawet jeśli nie miał nadziei na zadośćuczynienie. Stanął na baczność i zasalutował energicznie.

– Przygotuj się do drogi do Rzymu, kapitanie –

powiedział szorstko Warro.

Attyk zawahał się, czekając na następne słowa trybuna, ale żadne już nie padły.

– Tak jest, trybunie – odparł.

Warro ruszył zdecydowanym krokiem do luku prowadzącego do głównej kabiny pod pokładem. Attyk odprowadził go wzrokiem, zdumiony zwięzłością tej wymiany zdań. Wyraz twarzy trybuna był zimny i pełen determinacji. Attyk zauważył w jego oczach coś, co go zaniepokoiło: iskrę wrogości, która świadczyła o głębszych emocjach, niewypowiedziany antagonizm przeczący spokojnemu zachowaniu trybuna. Attyk zmierzył się już z wieloma wrogami i dobrze znał ten wyraz twarzy – jego znaczenie było równie jasne, jak gdyby trybun rzucił mu na pokładzie otwarte wyzwanie.

ROZDZIAŁ TRZECI

Longus szedł szybko ruchliwymi ulicami Palatynu, trzymając się prawej strony ulicy Raz po raz musiał wyminąć kruszące się sterty zwierzęcych odchodów – zbierali je mali ulicznicy, którzy sprzedawali je na nawóz rolnikom. Miał wrażenie, że ludzie schodzą mu z drogi. Uderzenie rzymskiego senatora było przestępstwem karanym śmiercią i nikt nie śmiał ryzykować tego, żeby poirytowany senator w drodze z kurii do domu zinterpretował przypadkową kolizję jako atak. Longus nie zmierzał jednak do domu, lecz do rezydencji jego mentora i idola Duiliusza, którą znał niemal równie dobrze jak własną.

Longus szedł ciemniejącymi ulicami zatroskany ucieczką Duiliusza z senatu. Przyglądał się wtedy uważnie konsulowi, czekając, aż się odwróci i skinie mu głową z aprobatą dla tego, jak wygłosił mowę, którą Duiliusz tak mistrzowsko ułożył poprzedniego wieczoru. Longus nasycił jego słowa pasją i elokwencją, ale z powodu niewyjaśnionego odejścia konsula jego euforia przemieniła się w niepokój i złapał się na tym, że usiłuje uciszyć niosące się po siedzibie szepty, którymi potępiano rażące lekceważenie protokołu senatu. Reszta posiedzenia była dla Longusa torturą; dwukrotnie chciał wyjść, ale zabrakło mu odwagi. Zdał sobie sprawę, że nie dorównuje swojemu mentorowi siłą charakteru.

Longus nigdy nie był zbyt ambitny i jak dotąd całe życie przeżył zgodnie ze wzorcami narzuconymi mu przez przodków i tradycje rodu. W wieku szesnastu lat – rok po śmierci ojca – dołączył do legionów w randze trybuna i przeczekał okres obowiązkowej służby w spokojnej placówce w Kampanii. Jako dwudziestolatek poszedł śladem ojca do senatu i od tamtej pory prowadził rutynowe życie codzienne rzymskiego senatora, słuchał przemów i brał udział w głosowaniach, przyjmował delegacje handlowe i zajmował się najróżniejszymi szczegółami związanymi z działalnością kwitnącego miasta. Ten monotony los odmieniło pojawienie się w senacie Gajusza Duiliusza, charyzmatycznego i ambitnego *homo novus*, który przyciągnął go, jak płomień przyciąga ćmę, i rozpałił w nim determinację, o którą Longus nigdy wcześniej by sobie nie podejrzewał. Nigdy nie pragnął władzy, którą chciał zdobyć jego mentor, tylko jego aprobaty, teraz więc był gotów stanąć po jego prawicy jako młodszy konsul. Pragnął tej pozycji tylko dlatego, że jego mentor chciał, aby ją zajął.

Longus zapukał w bramę rezydencji Duiliusza tylko raz, zanim go wpuszczono, a służący poprowadził go przez starannie zamieciony dziedziniec w stronę wejścia do samego domu. Weszli do atrium, gdzie szum wody wpływającej do położonego pośrodku zbiornika wraz z migoczącym światłem świec tworzył spokojną atmosferę. Atrium było skąpo umeblowane, ale przyglądając się uważniej, dostrzegało się świetną jakość marmurowych

kolumn i posadzki, dyskretne świadectwo zamożności właściciela, które kontrastowało z bogato zdobionymi atryami typowymi dla rezydencji senatorów, gdzie posągi rywalizowały o miejsce z cennymi antykami i pięknymi malowidłami. Longus usiłował skopiować tę prostotę we własnym domu, ale bez powodzenia; jak już wielokrotnie wcześniej, i tym razem zastanawiał się, czy niskie urodzenie Duiliusza stanowi przyczynę jego niewymuszonej skromności.

Gospodarz przechadzał się po miniaturowym ogrodzie na tyłach domu, swoim ulubionym ustroniu, gdzie zbierał myśli i zaganiał umysł do znajdowania rozwiązań wszelkich napotykanym problemów. Ogród był zatopiony w cieniu, a przez kratownicę obrośniętą pnączami sączyło się światło zmierzchu. W tle niewolnik poruszał się dyskretnie, zapalając świece rozstawione starannie tu i tam przez ogrodnika, aby podkreślić piękno tego azylu.

– Dobry wieczór, Longusie – powiedział wciąż odwrócony plecami do wejścia Duiliusz, słysząc zbliżające się kroki.

– Konsulu, przyszedłem najszybciej, jak mogłem – odparł pełnym niepokoju głosem Longus.

– Wiedziałem, że to zrobisz. – Duiliusz odwrócił się. Na twarzy miał lekki uśmiech, który Longus uznał za wyraz wdzięczności i odwzajemnił dziesięciokrotnie.

Duiliusz znów zaczął się swobodnie przechadzać po ogrodzie, a Longus wlepił w niego pełen napięcia wzrok,

przestępując z nogi na nogę, pilnie chcąc się dowiedzieć, dlaczego konsul uciekł z siedziby senatu. Ciekawość nie dała mu spokoju i już po chwili wyrzucił z siebie pytanie, które dręczyło go przez ostatnią godzinę. Konsul odwrócił się raz jeszcze, jednak tym razem na jego twarzy nie było ani śladu uśmiechu, tylko ledwie dostrzegalny ślad frustracji.

– Scypion chce zdobyć stanowisko cenzora – powiedział bez wstępów.

Longus pokiwał wolno głową, a jego umysł pracował usilnie, gdy próbował pojąć konkretną przyczynę troski Duiliusza. Nie dostrzegał jednak powodu do zmartwienia: co więcej, sądził, że mianowanie Scypiona byłoby darem od niebios, ponieważ oddaliłoby go od ośrodków władzy w senacie.

Duiliusz przyglądał się Longusowi obojętnie, analizując jego łatwy do odczytania wyraz twarzy; od razu spostrzegł, że młody senator nie pojmuje ogromnej trudności, którą byłoby mianowanie Scypiona na to stanowisko. Na widok tej ignorancji uśmiechnął się sardonicznie w duchu. Jak często widział ją już u żółtodziobów, którzy dziedziczyli swoje miejsce w senacie? Cechowała ich beztroska obojętność w kwestii pieniędzy, nie mieli pojęcia, jak tworzy się i pomnaża majątek. Olśniewający geniusz ich przodków, którzy zgromadzili fortuny rodów, szedł w zapomnienie, a następne pokolenia tylko czerpały z tego rogu obfitości.

– Jakie są obowiązki cenzorów? – spytał Duiliusz.

Nagle zabrakło mu cierpliwości dla Longusa i jego nieumiejętności sięgnięcia wzrokiem poza własny świat przywilejów.

Udzielenie odpowiedzi zajęło zaskoczonemu Longusowi kilka chwil. Przemyślał ją, zanim wypowiedział głośno.

– Są głównie odpowiedzialni za cenzus.

– A jaką informację musi ujawnić każdy obywatel podczas tworzenia cenzusu?

Longus znów zamilkł, wyczuwając zniecierpliwienie Duiliusza; wciąż szukał klucza do zagadki.

– Musi zarejestrować cały swój majątek, posiadłości zarówno w mieście, jak i poza nim.

– W jakim celu? Co cenzorowie narzucają na podstawie tych wiadomości?

– Ustalają podatek od nieruchomości dla każdego obywatela – odpowiedział powoli Longus i doznał olśnienia. – Ale przecież Scypion z pewnością nie mógłby namierzyć cię bezpośrednio, nie krzyżując planów wszystkim, którzy posiadają podobny majątek?

Duiliusz zaśmiał się szyderczo. Wzrok miał świdrujący.

– Oczywiście, że mógłby – odparł gniewnie. – Mógłby ustanowić osobny podatek na ziemię uprawne o konkretnej powierzchni albo takie, które przylegają do miasta... tak jak moje... albo te, które nabyto w ciągu ostatnich dziesięciu lat. Mógłby w rok doprowadzić mnie do bankructwa, a jego decyzja byłaby niepodważalna,

poza kontrolą senatu.

– Ale co z drugim cenzorem? – spytał Longus. – Na pewno sprzeciwiłby się agresywnym posunięciom Scypiona, dopilnowałby, żeby nałożone podatki były sprawiedliwe.

– Drugi cenzor będzie bezzębnym starym senatorem, który najlepsze lata ma już dawno za sobą – rzucił zjadliwie Duiliusz. – Kimkolwiek będzie, nie potrafi stawić czoła Scypionowi.

– Może jego próba zdobycia tego stanowiska się nie powiedzie – podsunął po chwili Longus. – Ludzie już mówią o twoim sprzymierzeńcu Paulinusie tak, jakby miał zagwarantowaną pozycję.

„Mój sprzymierzeniec Paulinus” – pomyślał Duiliusz, pogardliwie wykrzywając usta. Przed Myle patrycjusz Paulinus był jednym z niezdeklarowanych senatorów: zmieniał sojusze przy każdym głosowaniu, a jego lojalność kupował ten, który najwięcej zaoferował. Jednak od czasu tej bitwy pod przyłaskiem otwarcie popierał Duiliusza, co ten przyjął z radością i potwierdził, namawiając byłego konsula, aby ubiegał się o funkcję cenzora. Jego oddanie nigdy jednak nie było pewne i Duiliusz miał zamiar trzymać go na krótkiej smyczy.

Ostateczna decyzja co do stanowiska należała do *censores*, dwóch urzędników, ale nawet w tej kwestii nie mógł być pewien, jaki wpływ – finansowy czy inny – wywrze na nich Scypion, i nawet gdyby Duiliuszowi udało się doprowadzić do mianowania Paulinusa,

chciwość patrycjusza lub sama jego lojalność względem koterii starych rodów mogłaby ostatecznie zrobić z niego pionka Scypiona.

Duiliusz pokręcił głową, zadziwiony prostotą i geniuszem tego planu.

– W każdym razie – mruknął pod nosem – Scypion będzie kontrolował urząd cenzora.

– Musimy go powstrzymać – powiedział Longus bez namysłu.

– Jest na to tylko jeden sposób – odparł Duiliusz właściwie do siebie. – Muszę sam zdobyć to stanowisko. Nie mogę ufać żadnemu innemu byłemu konsulowi w tej randze. Stawka jest zbyt wysoka.

– A funkcja starszego konsula? – spytał przerażony Longus.

– To pozbawiony władzy tytuł, jeśli nie jest poparty funduszami! – prychnął Duiliusz, dając upust frustracji i po raz setny przeklinając w duchu Scypiona.

– Mógłbym cię wesprzeć finansowo – ośmielił się powiedzieć Longus.

– Nie, przyjacielu – powiedział z uśmiechem Duiliusz – nie masz dość środków.

Longus pokiwał w milczeniu głową.

– Ale ja mógłbym wesprzeć ciebie – dodał niemal szeptem Duiliusz.

Scypion zerknął ukradkowo przez ramię, kiedy jego świta skręciła za kolejny zakręt w labiryncie uliczek tworzących prastarą rzymską dzielnicę Eskwilin. Słońce

zaszło dwie godziny wcześniej i słabe światło wschodzącego sierpa księżyca ledwie przenikało gęsty cień wzgórza. Czterej ciężkozbrojni strażnicy Scypiona ruszali się ostrożnie i bezgłośnie. Każdy z nich był weteranem, zaprawionym w bojach i doświadczonym, ich odwaga nie podlegała kwestii, a mimo to poruszali się trwożliwie jak rekruci, z wyciągniętymi mieczami, ustawieni w obronny krąg dookoła senatora. Scypion wyczuł ich zdenerwowanie i sięgnął pod szatę po własny sztylet; najpierw dotknął lekko głowicy, a potem objął palcami rękojeść, wysadzaną klejnotami i ciepłą w dotyku. Wyciągnął klingę nieco z pochwy, sprawdzając, czy płynnie się z niej wysuwa, a znajomy ruch go uspokoił.

Na odgłos przemykających stóp Scypion zamarł nagle – jego straż zatrzymała się bez rozkazu – i wszyscy zwrócili wzrok w prawo, usiłując przeniknąć ciemność, ale ulice znów pograżyły się w ciszy. Ostrożnie ruszył w otoczeniu straży; wszyscy chcieli dotrzeć już do domu, który znajdował się tuż za następnym rogiem. Scypion czuł, że serce wali mu w piersi, nabrał więc głęboko tchu, przeklinając w duchu konieczność spotykania się o tak późnej godzinie. Wiedział, że chodzenie po ulicach Rzymu w nocy jest niebywale niebezpieczne, nawet w jednej z najzamożniejszych dzielnic miasta. Godziny ciemności należały do wędrujących band przymierających głodem biedaków, którzy wylęgali na ulice, szukając resztek jedzenia i naiwnych nowo przybyłych lub pijaków

zaskoczonych zapadnięciem nocy. Zabijali bez wahania i nie bojąc się zemsty, ponieważ mrok krył ich występki, a Scypion wiedział, że będzie bezpieczny dopiero za murami i solidnymi drzwiami, które chroniły wszystkie domy w tej dzielnicy.

Kiedy cała grupa skręciła w ostatnią przecznicę, Scypion od razu zauważył pochodnię oświetlającą bramę domu, który był ich celem. To jedyne źródło światła na całej ulicy nie tylko pełniło rolę drogowskazu dla niego i jego ludzi, ale też znaku dla gangów, że ktoś będzie używał tej bramy, a strażnicy Scypiona zdwoili czujność na ostatnim odcinku drogi. Żołnierz idący na czele dotarł do drzwi i zastukał w nie lekko głowicą swojego miecza, na co otworzyła się w nich na wysokości oczu mała zasuwka, ukazując zatopioną w mroku podejrzliwą twarz. Oczy zerknęły w lewo i prawo, po czym zatrzymały się na Scypionie, który stał pośrodku grupy, skąpany w pomarańczowym blasku pochodni. Zasuwkę zamknięto i w zwiadowczo cichej ulicy nienaturalnie głośno rozległ się przeszywający zgrzyt metalu towarzyszący odsuwaniu kilku rygli.

Scypion przeszedł przez bramę na pograżony w półmroku dziedziniec. Nie oglądał się za siebie, kiedy drzwi za nim zamknęły się szczelnie, natomiast zaczął szukać wzrokiem człowieka, dla którego odbył tę niebezpieczną podróż. Na dziedzińcu nie było jednak nikogo poza odźwiernym oraz sługą stojącym przy drzwiach do samego domu i Scypion zamyślił się z

goryczą nad tym, jak obniżył się jego polityczny status. Marek Acyliusz Regulus i Scypion dorównywali sobie rangą: ten pierwszy też był kiedyś konsulem i należał do patrycjuszy, ale Scypion wciąż piastował swój urząd i gospodarz powinien był wyjść mu naprzeciw na progu domu. Nie było go jednak nigdzie widać i Scypion musiał przełknąć tę obelgę.

Regulus siedział w pokoju gościnnym, rozłożony na stercie poduszek, z na wpół pustym kielichem wina w dłoni. Był krępy mężczyzną o ciemnej karnacji, którą podkreślało wypełniające pokój światło świec i pochodni. Wlepił spojrzenie w drzwi prowadzące do atrium, ale wzrok miał szklany, ponieważ nieustannie rozmyślał nad jednym pytaniem: dlaczego Scypion chce się z nim zobaczyć? Posłaniec przyniósł krótką i bezpośrednią wiadomość od konsula wcześniej tego samego dnia, a zawarte w niej żądanie spotkania ledwie pozorowało prośbę. Regulus natychmiast odesłał twierdzącą odpowiedź, wiedząc, że nie może odmówić konsulowi, nawet jeśli Scypion pozornie już się nie liczył w Rzymie.

– Przybył konsul – zapowiedział od drzwi służący.

Regulus odstawił kielich na niski stolik i ruszył w stronę wejścia. Chwilę później do pomieszczenia wkroczył Scypion.

– Dobry wieczór, konsulu – przywitał go pan domu wysokim głosem, który zdawał się dobywać z tyłu jego gardła, a na jego twarzy pojawił się wymuszony uśmiech.

– Dobry wieczór, Regulusie – odparł Scypion. Jego

twarz ułożona była w nieskazitelną maskę o przyjacielskim wyrazie; wyćwiczył tę umiejętność, aby ukryć prawdziwe emocje.

Gospodarz wskazał znajdujące się pośrodku komnaty podniesione podium z miejscami do siedzenia, otwartym kwadratem niskich sof dookoła wykwintnie zastawionego stołu.

– Proszę – wykonał zapraszający gest ręką, pozwalając gościowi usiąść pierwszemu.

Scypion kiwnął głową i usiadł u szczytu stołu, gdzie przed chwilą spoczywał Regulus, celowo zajmując najważniejsze miejsce, zazwyczaj zarezerwowane dla gospodarza i odstępowane jedynie najbardziej czcigodnym gościom. Było to subtelne posunięcie, ale dzięki niemu ponownie zdobył przewagę w bezustannej grze o władzę, która po tylu latach w senacie stała się niemal jego drugą naturą. Po twarzy Regulusa przemknął wyraz dezaprobaty, ale senator natychmiast zastąpił go uśmiechem, usiadł po prawej ręce gościa i klasnął lekko w dłonie, co było sygnałem dla służących, żeby zaczęli podawać wieczerzę.

Przez kolejne pół godziny dwaj mężczyźni rozmawiali na błahe tematy, pobieżnie dotykając spraw codziennie omawianych w senacie. Był to zaledwie wstęp: uprzejmość i konwenanse nakazywały poczekać z poważniejszymi kwestiami do zakończenia posiłku. Regulus nie był jednak w stanie pohamować ciekawości i wyrzucił z siebie pierwsze pytanie, zanim jeszcze

uprzątnięto niemal nietknięte jedzenie.

– Co zatem sprowadza cię w moje skromne progi po zmroku, konsulu? Po co ta cała tajemnica? – spytał.

Scypion musiał przywołać całą siłę woli, aby zachować spokój w obliczu wulgarności Regulusa, ale gdy nachylił się do senatora, jego głos zdradził, jak jest rozgniewany.

– Odpraw najpierw niewolników – powiedział niemal szeptem.

Ta prośba nieco zaskoczyła Regulusa, ale usłuchał i w mgnieniu oka zostali sami.

– Przyszedłem – zaczął powoli Scypion – złożyć ci propozycję, Regulusie. Chcę zaoferować ci stanowisko starszego konsula.

Regulus zaniemówił; niedowierzenie odebrało mu głos. Scypion był obłąkany, z pewnością stracił zmysły, jeśli sądził, że jest mu w stanie coś takiego zaoferować. Wciąż był starszym konsulem, ale tylko nominalnie, i to raptem jeszcze tylko kilka dni. Jego wrogowie w senacie otwarcie z niego kpili, używając przydomka, który nadali mu po Liparze: *Asina*, osioł. Na myśl o tym słowie Regulus uśmiechnął się wbrew własnej woli i zanim zdążył się powstrzymać, śmiał się gromko z tego, jak absurdalny jest to moment. Jego twarz wykrzywiła się kpiąco, a z ust wypadł mu okruch jedzenia.

Scypion poczuł, jak całe jego ciało napina się z wściekłości. Jego dłoń zacisnęła się w pięść i poczuł niemal nieprzepartą chęć wbicia jej w twarz człowieka

siedzącego naprzeciwko. Jeszcze raz powściągnął emocje i pozwolił Regulusowi śmiać się do woli, aż w pomieszczeniu znów zapadła cisza.

– Wybacz, Scypionie – powiedział z udawaną powagą Regulus. – Od kiedy poprosiłeś o spotkanie, zachodziłem w głowę, jaka może być jego przyczyna. Uwierz mi, takiej się nie spodziewałem.

– A jednak – odparł Scypion tak, jakby Regulus wcale nie wybuchnął śmiechem. – Jestem w stanie zaoferować ci to stanowisko.

Regulus już miał odpowiedzieć, ale się powstrzymał. Spojrzał Scypionowi w twarz, szukając śladów obłudy, ale żadnych nie znalazł, zmusił się więc do pominięcia niedorzeczności propozycji i przemyślenia jej na nowo. Scypion wciąż był wpływowym człowiekiem, patrycjuszem o wielkim majątku, a przed Liparą budził postrach w senacie. Prawdopodobnie dalej kontrolował wielu ostatnich senatorów, a historia pokazała, że można wrócić do dawnej pozycji po katastrofalnej porażce w bitwie, ale Regulus był nieufny. Z pewnością było jeszcze zbyt wcześnie na kolejny wzlot Scypiona, na to, żeby odzyskał poparcie liczących się senatorów, a jednak Regulus czuł, że mówi o swojej propozycji z całkowitym przekonaniem. Nie odrywał wzroku od starszego konsula i po raz pierwszy kąci jego oczu zmarszczyły się w smutnym grymasie.

– Jak? – spytał Regulus, a atmosfera w pokoju straciła wszelkie ślady wesołości. – Wybory są za dwa

dni, a Duiliusz nie ma aktualnie żadnego rywala.

Scypion kiwnął głową, jakby ten fakt go denerwował.

– I słusznie – dodał Regulus. – Jego zwycięstwo pod Myle zyskało mu poparcie wszystkich senatorów.

– Nie wszystkich – sprzeciwił się Scypion.

– Faktycznie – powiedział Regulus po chwili milczenia. – Są tacy, może nawet wielu, którzy woleliby, aby „nowy człowiek” nie został starszym konsulem, ale żaden z nich nie rzuci mu otwarcie wyzwania w sytuacji, kiedy porażka jest pewna, a sprzeciw zyskałby im potężnego wroga.

– A gdyby przestał kandydować? – spytał Scypion.

Regulus już znów miał zadrwić, ale powstrzymał tę odruchową reakcję i wymienił ze Scypionem pełne napięcia spojrzenie.

– Mów dalej... – zachęcił gościa zaintrygowany.

– Gdyby Duiliusz nie wziął udziału w wyborach, mógłbyś poddać własne nazwisko pod głosowanie. Zajmowałeś już to stanowisko. Jesteś dobrze znany i szanowany. Jeśli imienia Duiliusza zabraknie na liście kandydatów, senat opowie się za wysokim rangą patrycjuszem.

– Ale co z Longusem? – dopytywał się Regulus. – Jest patrycjuszem i głównym kandydatem na stanowisko młodszego konsula. Gdyby Duiliusz się wycofał, jest prawie pewne, że Longus spróbowałby zdobyć wyższą pozycję.

– Longus to marionetka Duiliusza – odparł

pogardliwie Scypion. – Głos oddany na niego to głos na Duiliusza i wie to każdy poważny senator. Jesteś znacznie lepszym kandydatem.

Regulus przyjął ten powierzchowny komplement uprzejmym skinieniem głową, ale wciąż usiłował zachować czujność. Mimo to czuł, że budzi się w nim ambicja na myśl o ponownym zajęciu najwyższego urzędu, który sprawował, kiedy jego gwiazda osiągnęła zenit wiele lat wcześniej. Potem stał się drugorzędną postacią w kurii i zadowalał się spoczywaniem na laurach, a przynajmniej tak mu się wydawało, zanim poznał propozycję Scypiona. Usiadł prosto, już obliczając możliwy wynik potencjalnego głosowania.

– Sądziś, że senat wybierze mnie, a nie Longusa? – zapytał.

Scypion kiwnął głową.

– Na przestrzeni lat zdobyłem spore uznanie wśród wielu młodszych senatorów, a większość z nich to wciąż moi dłużnicy, mimo mojego obecnego położenia – powiedział powoli Scypion, wiedząc, że musi wyjawic swoje najskrytsze plany, jeśli Regulus ma się zaangażować w jego sprawę. – Już się upomniałem o wszystkie te zobowiązania i co do jednego wszyscy oni zgodzili się potajemnie oddać swoje głosy wedle moich dyspozycji.

Regulus milczał, analizując propozycję Scypiona pod każdym kątem.

– A starsi senatorowie zagłosują na jednego ze

swoich – powiedział niemal do siebie.

Scypion znów kiwnął głową.

Regulus jeszcze raz przemyślał sprawę. Pozostawała jeszcze jedna przeszkoda, jedna niemożliwa do pokonania bariera, z którą – był pewien – nie poradziłby sobie nawet tak przebiegły człowiek jak Scypion.

– Jak możesz zagwarantować, że Duiliusz nie przedstawi swojej kandydatury do głosowania? Wycofanie się byłoby z jego strony szaleństwem.

– Wycofa się – powiedział z całkowitą pewnością Scypion.

– Ale... – zaczął Regulus, niepewny mimo przekonania Scypiona.

– Ogłosi to jutro w senacie, a wtedy spojrzę w twoją stronę – powiedział Scypion, patrząc na niego przesywającym, groźnym wzrokiem i emanując siłą woli.

– Będziesz miał dowód, że mój plan jest dobrze skonstruowany, i od tej chwili będę oczekiwał z twojej strony pełnej współpracy.

Regulus ponownie zamilkł, błędząc wzrokiem po oświetlonej komnacie, jakby gonił jakąś nieuchwytną wątpliwość. W końcu jego spojrzenie znów spoczęło na Scypionie.

– Zrobiłbyś to wszystko dla zemsty? – zapytał.

– To wystarczający powód – odparł Scypion, a Regulus skinął głową niemal niedostrzegalnie.

– A zatem zgadzam się – powiedział po prostu.

Scypion wstał prawie natychmiast, a nagły ruch

pomógł ukryć cień triumfalnego uśmiechu, który wypełził na jego twarz. Regulus też się podniósł i odprowadził gościa, tym razem zachowując się wobec konsula z całym szacunkiem, jakiego zawsze wymagała jego ranga. We dwóch wyszli na dziedziniec i straż Scypiona ustawiła się dookoła swojego pana; strażnicy byli wyraźnie spięci na myśl o powrotnej podróży przez ciemne, zdradliwe ulice. Tylko Scypion robił wrażenie spokojnego, gdy zegnał Regulusa krótkim, porozumiewawczym skinieniem głowy; usiłował nie wybuchnąć śmiechem, kiedy gospodarz odwzajemnił gest. Gdy tylko znalazł się na ulicy i poza zasięgiem głosu senatora, dał upust hamowanemu dotąd uczuciu triumfu. Łatwo było manipulować Regulusem. Senator chętnie i szybko uwierzył, że motywy Scypiona ograniczają się wyłącznie do zemsty na Duiliuszu. Częściowo tak było, ale jego ambicje sięgały znacznie wyżej. Jak zawsze koncentrowały się na tylko jednym celu, który los okrutnie wyrwał z zasięgu jego ręki pod Liparą, ale który Scypion był zdecydowany odzyskać bez względu na cenę: na absolutnej władzy nad Rzymem.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Dzień wstał, kiedy *Aquila* znajdowała się o dziesięć mil na południe od Neapolu; bryza od lądu niosła się lekko nad pokładem rufowym, wypełniając powietrze zapachem dymu i odpadków, mocną, piżmową wonią brudnych ulic w ciasnych wnętrznościach tętniącego życiem portu. Attyk zamknął oczy i otworzył lekko usta, kiedy słaby zapach owionął pokład dziobowy; przeniósł się myślą do biednej dzielnicy Lokr z czasów swojego trudnego dzieciństwa. Powoli otworzył oczy, aby napawać się widokiem otwartego morza. Bezgłośnie wyszeptał modlitwę dziękczynną do Fortuny za to, że poprowadziła go tak daleko od tamtego życia.

Na tle coraz silniejszego światła ze wschodu Attyk dostrzegł ciemną plamkę i skoncentrował wzrok na niebie ponad odległą o jakąś milę niską linią brzegową; z napięciem patrzył na kształt powoli zmieniający się w sylwetkę orła bielika. Attyk wstrzymał oddech, kiedy ptak zbliżał się do statku. W odległości dwustu kroków ptak złożył nagle skrzydła wzdłuż tułowia, a ta błyskawiczna zmiana stanowiła początek wdzięcznego pikowania, które przekształciło łagodny wcześniej zarys orła w kształt śmiercionośnego pocisku.

Bielik uderzył w tafłę wody z niebywałą prędkością, spokojne morze natychmiast go pochłonęło, zmarszczki na powierzchni od razu się wygładziły i orzeł jakby

przepadł, aż chwilę później ponownie przełamał fale, tym razem z rybą uwięzioną w dziobie. Woda spływająca po jego piórach odbijała światło wschodzącego słońca. Ponownie wzniósł się ku niebu, ale nikt nie dostrzegł jego sukcesu: Attyk zdążył zwrócić wzrok w stronę mgnienia koloru tuż za miejscem, gdzie ptak się zanurzył. *Aquila* niemal już minęła to miejsce – prędkość siedmiu węzłów pchała ją niepowstrzymanie na północ – i mgnienie, które dostrzegł, zgubiło się między falami.

– Prawo na burzę! – ryknął. – Kurs na południowy wschód.

Wyważony kadłub *Aquili* natychmiast skrzył pod jego stopami, a Attyk ruszył w stronę rufy, nie odrywając wzroku od punktu odniesienia na brzegu. Gdy dotarł do stojącego przy rumplu Gajusza, rozkazał mu wyprostować kurs galery.

– Prędkość sterowna, obserwatorzy na dziób! – rozkazał i załoga rzuciła się wypełnić komendę.

Lucjusz powtórzył rozkaz, a *Aquila* osiadła nisko w wodzie; prędkość dwóch węzłów niosła ją łagodnie pod bryzę od lądu. Septymus podszedł do kapitana zdziwiony.

– Coś jest w wodzie – wyjaśnił Attyk – dwieście kroków przed dziobem.

– Zrozumiano. – Septymus kiwnął głową i poszedł na przedni pokład powtórzyć to stojącym tam obserwatorom.

Pod pokładem, w głównej kabinie, Warro poczuł nagłą zmianę kursu galery i to, że zwolniła. Usiadł na koi

i opuścił stopy na podłogę; ten nagły ruch wywołał odgłos przebiegających po deskach odnóży, kiedy karaluchy rzuciły się do ucieczki. Gdy otworzył okiennicę, światło porannego słońca zalało ciasną kabinę.

Trybun wstał powoli i otarł zmęczenie z oczu, wbijając kostki głęboko w oczodoły, aż pod powiekami eksplodowały mu maleńkie gwiazdki; dopiero po chwili powrócił mrok tajemniczego świata pod pokładem. W nocy prawie nie spał, ponieważ bezustanny ruch otoczenia był nadal całkowicie mu obcy, a ciasna kabina i nagłe, niewyjaśnione odgłosy przeszywające ciemność nie pozwalały mu się rozluźnić. Miał za sobą jedną z najdłuższych nocy w życiu, podczas której jego myśli wypełniały koszarne wizje tego, jak wszyscy znani mu ludzie odwracają się od niego z potępieniem. Ich twarze nawiedzały go nawet teraz, po obudzeniu, a trybun przeklinał swój los i okręt, na którym znów się znalazł.

Warro ubrał się pospiesznie i wyszedłszy na główny pokład, przypatrywał się zmrużonymi w świetle świtu oczami załodze pogrążonej w gorączkowej bieganinie. Większość ludzi wyglądała za relingi na burtach i dziobie, obserwując wody dookoła galery i wykrzykując do siebie nawzajem polecenia. Trybun podszedł szybko do relingu na burcie i odepchnął jednego z załogantów, ale nie zobaczywszy nic na pustych falach, poszukał wzrokiem kapitana. Dostrzegł go natychmiast: stał przy sterniku i nawet z tej odległości widać było jego swobodną, pewną siebie pozę. Warro poczuł, że nienawiść wzbiera w nim na

nowo. Już miał podejść do Attyka, kiedy ponad kakofonią głosów na pokładzie dał się słyszeć okrzyk.

– Dwa rumby na sterburcie. Ktoś jest w wodzie!

Oczy wszystkich ludzi na *Aquili* zwróciły się we wskazanym kierunku. Pięćdziesiąt kroków od dziobu na łagodnych falach widniało małe skupisko nieokreślonych kształtów, które ukazywały się i chowały na przemian, ale wśród tego kłębowiska Warro widział ramiona i głowę przynajmniej jednej osoby.

– Cała stop! – krzyknął Attyk i przebiegł całą długość galery, na dziób. Mijając Warrona, nawet go nie zauważył, tak był skupiony na postaci Septymusa, który stał przy relingu i wskazywał ręką to, co Attyk dostrzegł chwilę wcześniej z daleka.

– Jeden rozbitek – powiedział Septymus, kiedy kapitan się z nim zrównał. – Przywiązany do jakichś desek.

Attyk kiwnął głową i odwrócił się do stojących obok załogantów.

– Wy dwaj, za burtę – powiedział i ludzie natychmiast usłuchali, skacząc z wysokości dwóch i pół metra do morza. Ponownie wynurzyli się o kilka kroków od nieruchomych ludzi. Załoganci byli dobrymi pływakami, jak i cała reszta obsady *Aquili*: Attyk stanowczo nalegał, żeby każdy marynarz dołączający do jego załogi posiadał tę umiejętność. Wielu tradycyjnie myślących marynarzy przybywających na *Aquilę* uważało, że to nieuzasadnione – sądzili, że w razie zatonięcia statku

lepszą jest szybka śmierć niż długa walka o życie, zanim morze nieuchronnie pochłonie swoje ofiary.

– Żyje, ale jest nieprzytomny! – krzyknął jeden z załogantów. Nie czekając na rozkaz, ruszyli z powrotem w stronę *Aquili*; obaj płynęli, używając tylko jednej ręki, drugą ciągnąc za sobą prowizoryczną tratwę. Kiedy grupa dotarła do burty, do wody wskoczyło dwóch kolejnych marynarzy, z których pomocą szybko odcięto rozbitka od kawałków drewna i wciągnięto na linie na wysokość relingu, a potem na pokład. Załoga stanęła dookoła niego w kręgu, ale rozstała się ponownie, aby przepuścić Attyka i Septymusa. Centurion ukląkł i przyłożył ucho do klatki piersiowej nieprzytomnego mężczyzny, nasłuchując uważnie, choć wiedział o medycynie tylko tyle, ile nauczył się w ciągu lat służby w armii.

Kiedy Septymus przesuwając dłońmi po ciele rozbitka, szukając znaków życia, Attyk przyjrzał się mężczyźnie. Miał ciemną karnację, niemal z pewnością był Rzymianinem, a jego ostre rysy jeszcze bardziej wyostrzyła woda morską, która, jak się wydawało, wypłukała całą krew z młodej twarzy: kolor jego skóry odznaczał się wyraźnie od głębokiej czerwieni tuniki, która przyciągnęła wzrok Attyka.

– Jest odwodniony i wycieńczony – powiedział Septymus, nie podnosząc głowy. Ponownie przyłożył głowę do piersi rozbitka, po czym wstał. – Będzie potrzebował odpoczynku i słodkiej wody.

– Przeżyje? – spytał Attyk.

– Jest młody i silny – orzekł centurion.

Mężczyzna poruszył się lekko, a jego dłoń uniosła się i znów opadła na brzuch.

Attyk natychmiast rozkazał załodze go podnieść.

– Zabierzcie go do głównej kabiny – zarządził bez namysłu, lecz nagle napotkał pełne irytacji spojrzenie Warrona stojącego na skraju kręgu. – Za twoim pozwoleniem, trybunie – dodał.

Warro kiwnął krótko głową i załoganci wynieśli rozbitka do głównej kabiny. Septymus podążył za nimi, czując, że młody mężczyzna jest teraz pod jego opieką.

Regulus przeszedł ostrożnie przez tłum senatorów zgromadzony w siedzibie senatu, spoglądając wielu w oczy, kiedy kiwali mu głowami na powitanie. Zebrani w grupki mężczyźni rozmawiali z ożywieniem, zanim znajome uderzenia młotka sygnalizujące początek pierwszej sesji tego dnia wezwą ich do zajęcia miejsc. Dyskutowali gorączkowo, jakby łatwiej było znieść nudne debaty zaplanowane na ten dzień dzięki kilku chwilom interesującej rozmowy o odbywających się nazajutrz wyborach na stanowisko konsula.

Regulus omijał te grupki, żeby nikt nie wciągnął go do konwersacji. Przyglądał się senatorom ukradkiem, podsłuchiwał ich słowa, przechodząc obok; usiłował zgadnąć, których z nich podobno potajemnie kontroluje Scypion. Dotarłszy do skraju tłumy, Regulus zobaczył, że konsul siedzi sam pośrodku półkolistego rzędu siedzeń

otaczającego podium ustawione pośrodku sali. Scypion miał obojętną minę, ale wzrokiem nieustannie omiatał pomieszczenie. Regulus już miał do niego podejść, ale się rozmyślił i zamiast tego udał się na własne miejsce.

Komnatę o sklepionym suficie wypełniły głośnie uderzenia młotka, a trzystu senatorów zajęło miejsca, siadając pojedynczo, w luźnych grupkach i mocno związanych falcjach. Płynny, nieustannie zmieniający się krajobraz polityczny rzucał byłych stronników tuż obok obecnych przeciwników. Regulus spoczął po prawej ręce mówcy, którą to stronę coraz częściej kojarzono z patrycjuszami wywodzącymi się z prastarych rzymskich rodów, choć określenie przynależności politycznej każdego senatora było prawie niemożliwe, a podziały utrzymywały się tylko na czas danego głosowania podczas konkretnej sesji.

– Senatorowie Rzymu! – wykrzyknął przewodniczący, kiedy w pomieszczeniu już się uspokoiło i pomruk setki rozmów rozproszył się w nieruchomym powietrzu poranka. – Zanim przystąpimy do dzisiejszych obrad, konsul Gajusz Duiliusz poprosił o głos. – Przewodniczący skinął głową konsulowi siedzącemu po lewej.

Duiliusz wstał i podziękował przewodniczącemu. Jego niespodziewana prośba wywołała cichy aplauz, który nasilał się, w miarę jak zbliżał się do podium. Na ten widok Regulusowi zabiło mocniej serce i zaklaskał, nie wiedząc nawet, że to robi, wracając błyskawicznie

myślami do odbytej poprzedniego wieczoru rozmowy ze Scypionem oraz zapowiedzi, która właśnie się ziszczała na jego oczach. Zerknął szybko na Scypiona, ale konsul nie odrywał wzroku od swojego przeciwnika.

Duiliusz szedł zdecydowanym krokiem i wielu senatorów wyprostowało plecy, zmieniając niedbałe, wygodne pozy, które przyjęli w oczekiwaniu na zaplanowane debaty, a komnatę przepełniła ekscytacja. Zajmując miejsce na podium, Duiliusz szepnął przewodniczącemu krótkie podziękowanie, a stary senator kiwnął z powagą głową, jakby jego zgoda na udzielenie konsulowi głosu była czymkolwiek więcej niż formalnością, na którą nie miał żadnego wpływu.

Duiliusz zacisnął dłonie na krawędziach mównicy i pochylił się do przodu z wyprostowanymi ramionami, aby podkreślić powagę swoich słów.

– Szanowni senatorowie – zaczął. – W ciągu ostatniego roku miałem zaszczyt służyć wam i Rzymowi jako młodszy konsul.

Ciszę przerwała krótka owacja, którą wkrótce stłumiło wyczuwalne w izbie napięcie.

– Był to ważny rok dla republiki. Nasze miasto przypuściło atak na nową granicę i to śmiałe, odważne przedsięwzięcie bez wątpienia wzbudziło dumę w sercach naszych przodków, ludziach, którzy zbudowali to potężne miasto i którzy wciąż spoglądają na tę izbę z Elizjum.

Senatorowie znów uprzejmie przyklasnęli słowom Duiliusza. Wielu z nich chciało, żeby konsul skończył już

pełen samozadowolenia wstęp i przeszedł do meritum.

– Miałem dość szczęścia, że mogłem uczestniczyć w sukcesie Rzymu podczas jego pierwszej bitwy morskiej – ciągnął Duiliusz, gładko przechodząc do porządku dziennego nad katastrofą pod Liparą, i przez moment jego spojrzenie spoczęło na Scypionie, po czym przesunął wzrokiem po pełnych wyczekiwania twarzach wszystkich zebranych – i mam nadzieję, że wywiązałem się ze swoich obowiązków jako wasz konsul.

Na te słowa komnatę wypełniły głośne oklaski i wiwaty, ale Duiliusz podniósł dłonie, prosząc gestem o ciszę, a senatorowie natychmiast usłuchali, czując, że zbliża się sedno jego mowy.

– Spełniwszy obowiązek – Duiliusz raptem zawiesił głos, jakby słowa przychodziły mu z trudem – niniejszym wycofuję swoją kandydaturę na stanowisko konsula i proszę, żeby zamiast tego wzięto mnie pod uwagę podczas wyboru cenzora.

Ostatnie słowa Duiliusza utonęły we wrzawie, ponieważ zarówno sprzymierzeńcy, jak i wrogowie byli całkowicie zaskoczeni tym nagłym obrotem spraw. Cały senat pogrążył się w chaosie, a Duiliusz stał nieruchomo w oku tego cyklonu. Tylko wybrana garstka zachowała spokój; już wcześniej znali treść oświadczenia, nie uczestniczyli więc w zawierusze pytań i zamieszania.

Scypion siedział wśród całego tego pandemonium z przymkniętymi oczami i lekko odchyloną głową i napawał się wywołanym chaosem, który wzbudził u senatorów

panikę i kazał im błagać o wskazówki, o czyjeś przywództwo. Opuścił głowę i skierował wzrok na prawą stronę pomieszczenia, natychmiast natrafiając na spojrzenie Regulusa, który skinął nieznacznie głową. Był gotów zaangażować się w plan.

Do Scypiona powoli dotarło, że Duiliusz uderza młotkiem w mównicę, i dźwięk ten wyrwał go z zamyślenia. W komnacie stopniowo powrócił spokój, choć wielu senatorów było zbyt rozgorączkowanych, żeby z powrotem usiąść.

– Senatorowie – zaczął znów Duiliusz świadom, że ostatni fragment jego oświadczenia jest kluczowy, i jeszcze raz przerwał, aby w senacie było dość cicho i wszyscy go słyszeli – zdaję sobie sprawę, że wycofując się tak krótko przed zaplanowanymi na jutro wyborami, spowodowałem zamęt, głównie dlatego że na stanowisko starszego konsula nie ma innych kandydatur.

Słowa te przywitał gniewny pomruk przygany, ale Duiliusz go zlekceważył, koncentrując się na swoich sprzymierzeńcach i niezdecydowanej większości. Postanowił nie zwracać uwagi na tych, którzy teraz – po raz pierwszy – odważyli się otwarcie mu sprzeciwić.

– Chciałbym zatem – powiedział głośno, ponownie odczekawszy, aż w pomieszczeniu zapanuje spokój – chciałbym zatem, aby kandydatem zamiast mnie został Lucjusz Manliusz Wulso Longus, człowiek, który poprowadzi senat z takim samym poczuciem obowiązku, jakie cechowało moją służbę.

Wypowiadając ostatnie słowa, wskazał Longusa, a senator wstał, aby przyjąć oklaski zebranych, zarówno te z grzeczności, jak i entuzjastyczne. Otaczający Longusa senatorowie, z których każdy był sprzymierzeńcem Duiliusza, wymienili z nim uściski dłoni i pokleпали go po plecach, a on podniósł ręce, aby znów uspokoić zebranych. Odchrząknął, przygotowując się do wygłoszenia uprzejmej mowy przyjmującej nominację, którą przygotował wraz z Duiliuszem poprzedniego wieczoru, ale kiedy w komnacie ucichło, inny głos uciszył jego słowa, zanim zdążył je wypowiedzieć.

– Senatorowie!

Wszyscy obejrżeli się na stojącego dumnie Regulusa.

– Niecałą godzinę temu to zgromadzenie było gotowe wybrać Gajusza Duiliusza na stanowisko starszego konsula w jutrzejszych wyborach. Była to właściwa decyzja, którą izba wyraziłaby uznanie dla osiągnięć człowieka mającego za sobą chwalebną służbę Rzymowi.

Rozległ się pomruk zgody i Regulus urwał na chwilę.

– Sądzę jednak – ciągnął – że po jego rezygnacji te wybory nie powinny polegać na zwykłym przeniesieniu głosów: muszą być otwarte dla wszystkich kandydatów. Longus jest świetnym senatorem i wiernym sługą Rzymu.

– Regulus przerwał i spojrzał prosto na Duiliusza. – Ale nasze miasto, nasza republika, jest w stanie wojny, a w czasie wojny lepiej powierzyć dowództwo sile doświadczenia, a nie impulsywnej młodości.

Słysząc było, że wielu obecnych się z nim zgadza.

– Wszyscy mnie znacie – mówił dalej Regulus. – Starsi przedstawiciele senatu znają moją reputację. Miałem już okazję zajmować ten najwyższy urząd i jestem gotów znowu przewodzić. Niniejszym pokornie proponuję moją kandydaturę na stanowisko starszego konsula pewien, że senat podejmie rozważną decyzję i wybierze najbardziej odpowiedniego kandydata.

Regulus usiadł, a komnata znów pogrążyła się w ogłuszającym hałasie. Longus stał nieruchomo, zalany falami dźwięków i wściekły, że nagłe wtargnięcie Regulusa do potyczki odebrało mu jego moment chwały. Desperacko odwrócił się do swojego opiekuna, szukając wskazówek.

Duiliusz wciąż stał na podium i ścisnął blat mównicy tak mocno, że zbielały mu kostki palców. Zaniemówił, a w jego umyśle kotłował się gniew i zamęt. Wlepił wzrok w Regulusa, czekając na moment, który musiał nastąpić. Niemożliwe, by Regulus działał sam, by spontanicznie wpadł na pomysł kandydowania przeciwko Longusowi, że nikt go nie uprzedził o tym toku wydarzeń. Duiliusz wiedział, że sama natura ludzka sprawi, iż w tym triumfalnym momencie Regulus odszuka swojego poplecznika, choćby tylko po to, żeby wymienić milczące chępliwie spojrzenie czy potajemne, pełne uznania kiwnięcie głową. Regulus odwrócił się w lewo i Duiliusz natychmiast przesunął wzrokiem po trzech czwartych senatu usadowionych po tamtej stronie. Odruchowo odrzucił swoich sprzymierzeńców i skupił się na znanych

sobie przeciwnikach, ale żaden z nich nie przyciągnął jego uwagi; odwracali twarze na wszystkie strony, a po izbie szalały dyskusje. Duiliusz ostatni raz rozejrzał się po komnacie i serce zabiło mu mocniej, kiedy nagle zdał sobie sprawę, kto za tym wszystkim stoi, nie dlatego że człowiek ten patrzył na Regulusa, ale ponieważ wlepił wzrok w mównicę. Duiliusz zobaczył, że na twarzy jego rywala pojawia się złowrogi uśmiech.

Attyk zszedł zwawo po trapie prowadzącym do głównej kabiny na rufie *Aquili*. Pod pokładem rytm wybijany przez dobosza był wzmocniony i przekształcony w głucho, monotonne walenie, które zdawało się emanować z każdej powierzchni, jak bicie serca galery słyszane od środka. Kadłub poruszył się lekko pod stopami Attyka, więc kapitan oparł się ręką o gródź; zmiany kursu były coraz częstsze, ponieważ Gajusz manewrował po tłocznych szlakach morskich w okolicach Neapolu. Attyk poczuł, jak gładkie są belki pod jego dłonią; dotykał słoików drewna, bruzd żywego niegdyś drzewa, które ścięto, ukształtowano i ożywiono na nowo jako część rzymskiej galery.

Przez drzwi głównej kabiny słychać było głosy i Attyk pospiesznie wszedł do kajuty, która znów robiła wrażenie przytulnej, ponieważ wiedział, że Warro wciąż jest na górze, na pokładzie rufowym. Człowiek, którego uratowała załoga *Aquili*, siedział na koi od strony bakburty. Głowę miał pochyloną, ale plecy proste:

wystarczyła godzina, którą jak dotąd spędził na galerze, żeby odzyskał siły. Kiedy Attyk zamknął drzwi kabiny, rozbitek podniósł oczy i przerwał rozmowę z Septymusem. Wstał na niepewnych nogach, podpierając się ręką o skraj koi.

– Jestem Kwintus Postumiusz Kamillus – powiedział.

– Jestem bosmanem galery handlowej *Fides* z Ostii.

– Kapitan Perennis – odpowiedział Attyk, kładąc dłoń na ramieniu rozbitka, by ponownie usiadł. – Opowiedz mi, co się stało.

– Zaatakowali nas, kiedy płynęliśmy do Tarentu – zaczął Kamillus.

– Zaatakowali? – spytał Attyk.

– Piraci, Attyku – wtrącił Septymus, kiwając Kamillusowi głową. – Już opowiedział mi część tej historii.

Attyk oparł się o stół ustawiony pośrodku kabiny, a jego umysł zalały pytania.

– Gdzie nastąpiło natarcie? – zwrócił się do Kamillusa.

– Byliśmy o dzień żeglugi od Neapolu, na południe od miasta, niedaleko Centoli.

– A statek piracki?

– To była birema pod egipską banderą. Podróżowała na północ i przepływając przed naszym dziobem, nagle zmieniła kurs i połamała nasze wiosła od sterburty. – Kamillus umilkł na chwilę. – Jeszcze nigdy nie widziałem, żeby galera ruszała się tak szybko – mruknął,

kręcąc głową. – Wdarli się tłumnie na nasz pokład, było ich co najmniej stu. Nie mieliśmy szans. – Rozbitek urwał, kiedy jego umysł na nowo podsunął mu okropności tych rozpaczliwych chwil.

Attyk też milczał, dając mu czas na zmierzenie się ze swoimi demonami, po czym spytał:

– Jak udało ci się uciec?

Kamillus podniósł wzrok, jakby nagle obudzono go z koszmaru sennego.

– Kiedy przełamano nasz szyk obronny, wyskoczyłem za burtę – przyznał, pochylając głowę zawstydzony, że uciekł przed potyczką. – Zanim wynurzyłem się na powierzchnię, prąd zniósł mnie kilka metrów od galer. Chwyciłem jakieś roztrzaskane wiosła i nie wychylałem się za bardzo ponad fale.

– A jaki los spotkał innych załogantów? Czy widziałeś, żeby ktokolwiek inny uciekł? – dopytywał się Attyk.

– Nikt inny nie przeżył – powiedział niemal szeptem Kamillus i podniósł oczy, znów dręczony wspomnieniami. – Zgładzili ich wszystkich, co do jednego, nawet po tym, jak się poddali. Widziałem ich na pokładzie rufowym, co najmniej dwudziestu ludzi z załogi. Rzucili miecze i błagali piratów o litość, ale oni... – Słowa Kamillusa ucichły, a Septymus oraz Attyk mogli sobie tylko wyobrazić rzeź, którą rozpętali piraci.

Attyk poderwał się nagle z dłońmi zwiniętymi w pięści z bezsilnego gniewu.

– Znowu wylegli – warknął. – Wiedzą, że przez wojnę na Sycylii nie jesteśmy w stanie upilnować tutejszej linii brzegowej.

Zaczął chodzić tam i z powrotem po kabinie, kipiąc ledwo skrywaną wściekłością. Przed obecnym konfliktem z Kartagińczykami zajmował się tropieniem piratów nękających wybrzeże Morza Jońskiego na południu Italii. Jako kapitan *Aquili* schwytał wielu z nich i za każdym razem rozkazywał załodze wybić całą obsadę statku pirackiego, bez sądu, bez miłosierdzia, bez łaski. Była to zemsta za niezliczone ofiary, które padły ofiarą tych sępów. Piraci byli plagą, zarazą, a Attyk poświęcił swoje życie usuwaniu tej skazy z wybrzeży Italii. Teraz ponownie wyłonili się z cieni.

– A co z *Fides*? – zwrócił się znów do Kamillusa. – Gdzie z nią odpłynęli? Jaki obrali kurs?

– Nie zabrali jej – odparł rozbitek, znów blednąc. – Podpalili ją.

– A niewolnicy? – spytał zdumiony Attyk.

– Zatonęli wraz ze statkiem, co do jednego – odpowiedział Kamillus, przypominając sobie udręczone, desperackie okrzyki skazanych na zgubę niewolników, już na zawsze wyryte w jego pamięci.

– Nie rozumiem – mruknął Attyk jakby do siebie. – Dlaczego mieliby zatopić swój przyz? Samą galerę warto było uprowadzić, ale niewolnicy byliby warci fortunę na każdym targu.

– Może chcieli zachować łatwość przemieszczania się

– zasugerował Septymus – i wzięli tylko to, co mogli zabrać na swój pokład.

– Dlaczego zatem nie wzięli niewolników? – zdziwił się Attyk. – To nie ma sensu. Piraci często zatapiają statki handlowe, kiedy już ukradną z ich ładowni wszystko, co się da. Ale w wypadku galery ładunek jest zazwyczaj niewielki, a prawdziwym łupem są niewolnicy obsługujący wiosła.

– Musieli mieć jakiś powód – powiedział Septymus.

– Jakikolwiek by on był, to coś wyjątkowego – odparł Attyk w zamyśleniu. – Nigdy jeszcze nie słyszałem, żeby piraci zatopili swój przyz. Nigdy.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Serce Hamilkara wezbrało radością, kiedy dostrzegł otoczoną murami cytadelę Byrsa, górującą nad miastem, którego wciąż jeszcze nie było widać z pokładu dziobowego *Alissar*. Światło późnego popołudnia odbijało się od wychłostanych wiatrem fortyfikacji, zmieniając cały fort w coś na kształt latarni morskiej, która zdawała się przyciągać Hamilkara wraz z każdym pociągnięciem wiosłami. Barkas nie widział miasta od ponad roku, ale pamięć odruchowo pokierowała jego wzrokiem. Wyrecytował po cichu nazwy pojawiających się na horyzoncie świątyń, przywołując w wyobraźni szczegóły ich wyglądu, aż zlały się w jedną całość: Kartaginę.

Po chwili cały widok przesłonił opasujący miasto potężny mur, umocnienie, które powstrzymało wszystkich wrogów w historii miasta, gigantyczny pancerz chroniący położone wewnątrz imperium. Zbliżając się do miasta, *Alissar* przechyliła się ostro na sterburkę, a jej dziób obrał nowy kurs, który miał skierować ją do sztucznych portów od południa. Hamilkar niecierpliwił się, gdy w pierwszym porcie – ośrodku handlowym tego morskiego mocarstwa – rytm uderzeń bębna zwolnił, a *Alissar* z wdziękiem minęła portyki strzegące ujścia portu wojskowego. Na jego zatłoczonych wodach sternik zarządził prędkość tak małą, że galera niemal się zatrzymała na niewielkich falach.

Port wojskowy miał kształt koła, którego piastę stanowiła wyspa.

Nad całym otoczeniem górowały hangary, zbudowane zarówno na obwodzie portu, jak i na wyspie pośrodku, wyposażone w niebywałą liczbę pochylni okrętowych, suchych doków oraz warsztatów i mogące pomieścić ponad dwieście galer. *Alissar* zacumowała szybko, a Hamilkar zszedł zdecydowanym krokiem po trapie. Na jego końcu zatrzymał się na moment, po czym ponownie postawił stopę na świętej ziemi swojego rodzinnego miasta; kiedy poczuł potęgę, którą emanowała metropolia, determinacja ogarnęła go ze zdwojoną siłą. Ruszył w drogę, nie oglądając się za siebie, a stopy zawiodły go nieomylnie przez prastare, tłoczne ulice do siedziby rady gerontów, położonej w cieniu cytadeli.

Hamilkar powiódł wzrokiem po grupach mężczyzn zebranych przy wejściu do sali posiedzeń, szukając swojego ojca. Nie było go jednak nigdzie widać i Barkas wszedł dalej, do wewnętrznej komnaty. Jego wzrok szybko się przyzwyczaił do panującego w środku półmroku. Prawie natychmiast zauważył Hannona, który brylował wśród grupki innych radnych. Miał potężną sylwetkę, a jego nawyk wymachiwania rękami podczas rozmowy sprawiał, że była jeszcze bardziej onieśmielająca. Hamilkar podszedł do niego bez wahania, a jego wojskowy strój i metaliczne pobrząkiwanie ekwipunku przyciągnęły uwagę wielu obecnych; wszyscy rozpoznawali młodego mężczyznę. Hamilkar widział, że

Hannon dostrzegł go kątem oka, ale nie przerwał rozmowy, a na jego twarzy nie pojawiło się ani zaskoczenie, ani wyczekiwanie.

– Radny Hannon! – zawołał Hamilkar, a krąg ludzi otaczający radnego natychmiast się rozstał.

– Hamilkar Barkas – odparł Hannon. Jego głęboki, donośny głos miał przyjazny ton. Stojący dookoła niego ludzie odsunęli się jeszcze dalej, żeby Hamilkar mógł stanąć przed radnym. – Jak postępuje kampania na Sycylii?

– Idzie dobrze, panie – odparł spokojnie Hamilkar, ale jego oczy nabrały wrogiego wyrazu, który mógł dostrzec wyłącznie Hannon i który nie umknął jego uwagi. – Jednak rozmieszczenie moich sił ucierpiało, ponieważ wtrącił się jakiś cywil z zewnątrz – warknął Hamilkar z pogardą i odniósł wrażenie, że po twarzy Hannona przebiega cień.

Radny nabrał głęboko tchu i wypuścił powoli powietrze, a zapach jego oddechu owionął Barkasa.

– Wtrącił się – powtórzył Hannon głosem, który wyraźnie zdradzał napięcie. – Bardzo niefortunny dobór słów.

– Ale właściwy – odparł Hamilkar, usiłując powstrzymać gniew i zapominając o stojących dookoła mężczyznach.

Hannon wyglądał, jakby był gotów się odciąć, ale się zawahał i zerknął na grupę radnych. Nie było to odpowiednie forum na ujawnienie swoich planów.

– Jesteś nieodrodnym synem swojego ojca – powiedział nagle ze śmiechem, który całkowicie zaskoczył Hamilkara, a przyjacielski ton jego głosu był niemal przekonujący. – Chodź, Hamilkarze, omówimy sprawę, o której wspomniałeś, bardziej szczegółowo – dodał, ruszając przed siebie i chwytając Barkasa za łokieć. Młodszy mężczyzna opierał się chwilę, ale w końcu poszedł z nim do cichego przedsionka. Hannon obejrzał się przez ramię, aby sprawdzić, czy są sami.

– Powinieneś uważać na słowa, młody Barkasie – syknął, a oblicze, które zbliżył agresywnie do jego twarzy, było zaczerwienione z gniewu.

– Jakim prawem zmieniasz moje rozkazy dotyczące Sycylii? – odciął się Hamilkar. – Z twojego powodu całkowite zwycięstwo pod Terme okazało się niemożliwe.

– Terme – powtórzył z pogardą Hannon. – Cóż mnie, cóż Kartaginę obchodzi Terme, a jeśli już o tym mówimy, to i reszta Sycylii?

– Ależ... – zaczął Hamilkar, zbity z tropu lekceważącym nastawieniem Hannona do wojny.

– Jakim prawem wzywasz naszą flotę z Iberii, aby toczyła twoją wojnę na Sycylii? – spytał oskarżycielsko Hannon, bezceremonialnie przerywając Hamilkarowi i zgrabnie zmieniając przedmiot konfrontacji.

– Potrzebuję tych statków, aby umocnić naszą kontrolę nad północną Sycylią – odparł Hamilkar, teraz w defensywie.

– Te galery są potrzebne do chronienia morskich

szlaków. Nie są do twojej osobistej dyspozycji!

Hamilkar się zawahał, szukając sposobu na to, żeby obrócić sytuację na swoją korzyść. Wtem przypomniał sobie nagły, niewyjaśniony wybuch śmiechu Hannon a i to, jak odciągnął go od innych radnych.

– Czy rada wie o twojej ingerencji? – zaryzykował.

Hannon zamilkł tylko na chwilę, ale szybko odzyskał rezon.

– To, co rada wie i czego nie wie, nie powinno cię interesować, Barkasie – odpowiedział znów gniewnym tonem.

– Ale interesuje mojego ojca – odparował Hamilkar.

– Uważaj, Barkasie – zagroził Hannon. – To sprawy daleko wykraczające poza twój zasięg. Zalecałbym ostrożność. Wystarczy, że wyszepeczę do odpowiedniego ucha kilka starannie dobranych słów, a być może pośród Stu Czterech znów rozgorzeje debata na temat twojej błyskawicznej egzekucji Hannibala Giskona.

Hamilkar znów musiał się zawahać. Stu Czterech było radą sędziów, która nadzorowała wszelkie sprawy wojskowe Kartaginy, w tym mianowanie i dymisje dowódców. Właściwie tylko oni mogli skazać ponoszącego porażki dowódcę na śmierć, a Hamilkar uzurpował sobie tę władzę po klęsce pod Myle. Mimo to uniknął nagany, co z pewnością zawdzięczał interwencji ojca.

– A teraz proszę, wybacz mi – powiedział Hannon, wykonując ruch, jakby chciał wyminąć Hamilkara –

muszę zająć się ważniejszymi sprawami niż twój dziecinny napad złości.

Hamilkar wyciągnął błyskawicznie rękę i chwycił ramię Hannona w żelazny uścisk; jego palce zagłębiły się w miękkie ciało. Hannon obrócił się z grymasem furii na twarzy.

– Śmiesz uderzyć członka najwyższej rady Kartaginy? – warknął. – Puść mnie, zanim każę obedrzeć żywcem ze skóry ciebie i twoją rodzinę.

Hamilkar natychmiast cofnął dłoń, wiedząc, że posunął się za daleko. Hannon rzucił mu ostatnie spojrzenie pełne czystej pogardy, po czym odszedł, zostawiając Barkasa samego w przedsionku, wyczerpanego tą konfrontacją. Euforię, jaką czuł po powrocie do Kartaginy, stłamszono w samym sercu miasta.

W siedzibie senatu zapadła całkowita cisza, kiedy przewodniczący zmierzał w stronę podium. Poruszał się w żółwym tempie; jego podeszły wiek, w uznaniu którego mianowano go na stanowisko *princeps senatus* – honorowe i niemal pozbawione władzy politycznej – zmuszał go do powolnego szurania nogami. Bardziej niecierpliwi senatorowie wydali z siebie słyszalny, pełen wyczekiwania jęk.

Wybory starszego konsula były teraz na etapie trzeciego głosowania: dwie pierwsze rundy, które nie dały jasnego rezultatu, tylko dodały niepewności procesowi całkowicie rozchwianemu przez ogłoszenie Duiliusza z

poprzedniego dnia. Pierwsze głosowanie polegało na tym, że po wywołaniu każdego z dwóch imion kandydatów, Regulusa i Longusa, obecni podnosili ręce zgodnie ze swoim przekonaniem. Natychmiast jednak stało się jasne, że różnica głosów jest zbyt niewielka, a porozrzucanych po całym zebraniu podniesionych rąk dla każdego z kandydatów nie sposób policzyć. *Princeps senatus* zarządził więc drugie głosowanie, przez rozdział senatu: obecni mieli przejść na stronę siedziby przypisaną danemu kandydatowi. Longus zajmował lewą stronę komnaty, Regulus prawą. Obie strony twierdziły, że odniosły zwycięstwo, kiedy ostatni senatorowie zajmowali miejsca, ale znów trudno było określić, kto miał wyraźną większość głosów, wezwano więc do trzeciego głosowania. Tym razem przewodniczący senatu miał dokładnie policzyć głos każdego senatora z osobna.

– Senatorowie – zakrzyknął przewodniczący. – Policzyłem głosy na obydwu kandydatów i mogę was teraz powiadomić, że jeden z nich zdobył większość.

Niektórym młodszym senatorom wyrwał się mało entuzjastyczny wiwat, ale znów szybko zapadła cisza. Duiliusz spojrział na Regulusa, po czym przesunął wzrokiem po otaczających go senatorach, wciąż podzielonych na dwie grupy. Był wśród nich Scypion, dwa rzędy poniżej Regulusa i po jego prawej; ta odległość świadczyła o oddzieleniu, które – jak Duiliusz wiedział – było całkowicie fałszywe.

Duiliusz wyraźnie przypomniał sobie niepokój,

którego doświadczył poprzedniego dnia, zauważając, że Scypion wlepił w niego wzrok, i natychmiast nabrał podejrzeń, że to on stoi za nominacją Regulusa. Uderzyło go to, ale powstrzymał niepokój, wiedząc, że nie może podejrzewać rywala wyłącznie na podstawie przeczuć. Później jednak otrzymał dowód, kiedy to Appiusz, nadzorca jego szpiegów, doniósł, że zarówno Amalryk, jak i Tiago – dwaj szpiegowie, których umieścił w domu Scypiona – zniknęli. Potem nie było już żadnych wątpliwości poza jedną: czy Amalryk i Tiago zdradzili go dobrowolnie, czy też Scypion jakoś ich zdemaskował i podstępem skłonił do dostarczenia nieprawdziwych informacji? W każdym razie byli już trupami.

Teraz, przyglądając się w napięciu Scypionowi, Duiliusz przeklinał własną naiwność. Była to idealna zasadzka: przynęty nie sposób było zignorować, a zagrożenie dla jego fortuny stanowiło nieomyślne uderzenie w jego najsłabszy punkt. Zobaczył, że Scypion odwraca się ku jego stronie senatu i przesuwając wzrokiem po komnacie, aż natrafił spojrzeniem na niego samego. Miał obojętną, nieodgadnioną minę, a Duiliusz odwzajemnił mu się takim samym spojrzeniem, kiedy obydwaj czekali na następne słowa przewodniczącego.

– Mam zaszczyt ogłosić – ciągnął *princeps senatus* – że nowym starszym konsulem Rzymu jest Marek Acyliusz Regulus.

Na to obwieszczenie w senacie rozpętało się pandemonium, a okrzyki dobiegające z prawej strony

zagłuszyły wypowiedane przez przewodniczącego gratulacje. Scypion tylko się uśmiechnął, a Duiliusz odwrócił się do niego plecami. Przechytrzył go właśnie ten wróg, którego – jak mu się wydawało – pokonał, i kiedy zdał sobie z tego sprawę, poczuł przypływ determinacji. Już nigdy nie pozwoli sobie tak spocząć na laurach.

Attyk opuścił pokład rufowy i przeszedł na dziób, po drodze badając nastroje; z ożywionymi minami ludzie nieustannie zerkali poza relingi na burtach. Attyk próbował rozpoznać własne emocje, kiedy wszedł na pokład dziobowy i zbliżył się do relingu, żeby mieć lepszy widok na wody przed nimi. *Aquila* zbliżała się do Ostii, miasta portowego Rzymu, i choć miała do pokonania jeszcze dwie mile, na szlakach morskich już tłoczyły się wszelkiego rodzaju jednostki, walczące o tę ograniczoną ilość miejsca, która była do dyspozycji tak blisko portu. Gajusz utrzymywał stały kurs, dostosowując go jedynie po to, żeby wyminąć niezgrabne, płynące pod żaglami okręty transportowe, ponieważ napęd wiosłami dawał mu większą sterowność. Przepływał przez ich kilwatery lub przed ich dziobami ledwie w odległości równej długości wiosła.

Attyk zauważył, że wiele galer handlowych nie dostosowuje swojego kursu tak, aby opłynąć szerokim łukiem *Aquilę* i ponadmetrowy taran, który ciął fale przed nią. Uśmiechnął się pod nosem, kiedy przypomniało mu

się, jak zaledwie kilka miesięcy wcześniej rzymska galera wojskowa stanowiła taką rzadkość, że nawet na najbardziej tłocznych wodach od razu otwierał się dla niej szlak. Teraz *Aquila* płynęła do portu niczym widmo, niemal niezauważona i całkowicie niewyróżniająca się; wyjątkowy niegdyś widok stał się równie powszechny jak białe bałwany wieńczące fale.

W ciągu kwadransa widać już było peryferyjne budynki Ostii: nisko położone domy handlarzy, którzy rozprawiali bogactwa dostarczane codziennie na miejsce ze wszystkich zakątków basenu Morza Śródziemnego. Te domostwa ustępowały miejsca wyższym składom i magazynom w samym mieście, które tworzyły niemal nieprzerwaną linię budowli otaczających doki. Mijając handlowy port *Ostii*, *Aquila* utrzymywała kurs równoległy do wybrzeża, przecinając szlaki wpływających i wypływających jednostek; po wodzie niosły się przekleństwa w kilkunastu językach, wykrzykiwane przez załogi zmuszone do zwolnienia lub zmiany kursu, aby usunąć się z drogi pracy zdecydowanie przed siebie galerze bojowej.

Aquila zmierzała do *castrum* w północnej części portu, koszar, które niegdyś stanowiły siedzibę maleńkiej floty przybrzeżnej strzegącej szlaków używanych przez statki handlowe. Teraz była domem dla *classis Romana*, choć większość floty stacjonowała o kilka mil na północ. Kiedy *Aquila* zbliżała się do wojskowej części portu, umysł Attyka zalały wspomnienia.

Podczas triumfu po wielkim zwycięstwie w bitwie morskiej, który odbywał się w Rzymie, Attykowi przyznano honorowe miejsce po prawej ręce Gajusza Duiliusza. Tamta chwila uderzyła mu do głowy jak wino, a niezatarte wrażenia z tego dnia dodatkowo zmaciły i skomplikowały nastawienie Attyka do miasta, które obecnie kierowało jego losem.

Attyk przypomniał sobie bielika, którego widział o świcie poprzedniego dnia. Wtedy ten widok nasunął mu pewną myśl, którą zlekceważył, kiedy dostrzegł w wodzie rozbitka z *Fides*; teraz jednak przypomniał sobie, że w myślach opłakiwał los tego ptaka. Stworzenie to było uwięzione pomiędzy dwoma światami: ląd był jego domem, ale morze dostarczało mu pożywienia, sił witalnych, wręcz powodu do istnienia. Odcięty od lądu albo od morza bielik zginąłby.

Attyk nigdy nie uważał, żeby jego własne życie było równie współzależne. Urodził się w skrajnym ubóstwie, w świecie, gdzie morze stanowiło jedyne źródło utrzymania, podczas gdy ląd nie dostarczał niczego. Jedyne jego szczęśliwe wspomnienia z dzieciństwa wiązały się z morzem i łowieniem ryb z ojcem i dziadkiem, więc jako czternastolatek chętnie dołączył do załogi galery bojowej. Perspektywa bezkresnych wód i życia spędzonego na gonieniu piratów, których dziadek nauczył go nienawidzić, wystarczyły, aby zerwał wszelkie więzy z Lokrami, miastem, gdzie nigdy nie zaznał ani wygody, ani pocieszenia. Attyk mógłby policzyć dni spędzone na

łędzie podczas każdego następnego roku na palcach jednej ręki i naprawdę zaczął uważać morze za swój dom; z lądem łączyły go jedynie odwieczne relacje dziedzictwa i lojalności. Rzym podważył to przekonanie.

Przez setki lat Rzym był potęgą lądową, republiką otoczoną z trzech stron wodami. Zmienił to jednak zamiar przejścia kontroli nad Sycylią i zwiększenia zasięgu rzymskich wpływów na morza, które niegdyś go ograniczały, a ta ambicja szybko objęła małą flotę statków, dotychczas działającą niezależnie. Jedną z tych jednostek była *Aquila*, a Attyk zanurzył się w kulturę, która wcześniej istniała wyłącznie na marginesie jego życia. Z tego powodu szybko wykształcił w sobie nowe poczucie lojalności, najpierw za pośrednictwem Septymusa i jego pobratymstwa z uwięzionymi na Sycylii legionistami, a potem przez nowych ludzi Rzymu w rodzaju Duiliusza, którzy ignorowali pochodzenie obywatela i oceniali go wyłącznie na podstawie jego czynów. Poza tymi więzami lojalności była Hadria, siostra Septymusa, i to jej obecność w Rzymie – w większym stopniu niż czyjakolwiek inna – sprawiła, że Attyk po raz pierwszy w życiu zdał sobie sprawę, iż ląd oferuje wiele rzeczy, których morze nie jest w stanie dostarczyć.

Aquila stanęła w dryfie, kierowana łagodnymi dotknięciami Gajusza, a wiosła od strony sterburty wciągnięto na pokład, co pozwoliło galerze ustawić się równoległe do nabrzeża. Z pokładu rzucono cumy, ludzie na łędzie uwiązali *Aquile*, po czym trap opadł na brzeg.

Attyk raz jeszcze złapał się na tym, że porównuje to, co widzi, ze wspomnieniami. Pierwotne *castrum* składało się z typowego budynku koszarowego z dziedzińcem, zbudowanego o pięćdziesiąt kroków od skraju nabrzeża; kiedyś robił wrażenie niemal opuszczonego i pustego, teraz jednak tętnił życiem, a przez łukowate wejścia do wewnątrz płynął nieprzerwany strumień personelu wojskowego. Attyk zauważył, że do *Aquili* podchodzi jakiś dowódca na czele *contubernium* dziesięciu legionistów.

– Co to za galera? – spytał, kiedy już stanął na wprost pokładu rufowego.

– *Aquila* – odparł Attyk.

Dowódca szybko dwukrotnie przejrzał swoją listę, podnosząc i opuszczając głowę.

– Nie mam was tutaj! – krzyknął zdenerwowany. – Podaj powód tego niezapowiedzianego przybycia!

Attyk prawie się uśmiechnął. Cholerna rzymska biurokracja, pomyślał.

– Jesteśmy z floty ofensywnej spod Terme – powiedział. – Właśnie...

– Kapitanie!

Attyk obejrzał się. Za nim stał otoczony strażą Warro.

– Wracaj na stanowisko, Perennis – warknął trybun. – Ja się tym zajmę.

Attyk się odsunął, a Warro podszedł do relingu. Widać było, że dowódca stojący na brzegu jest zaskoczony niespodziewanym pojawieniem się trybuna,

ale natychmiast stanął na baczność i zasalutował. Warro wskazał głową trap i dowódca zasalutował raz jeszcze, po czym wraz z oddziałem zbliżył się do wyznaczonego miejsca, a trybun i jego świta zrobili to samo na pokładzie *Aquili*.

Attyk przyglądał się z pokładu rufowego, jak Warro schodzi po trapie. Trybun wydał zwięzłe rozkazy i po chwili dwaj legioniści oddalili się w stronę *castrum*. Kiedy Warro mówił dalej, Attyk dostrzegł, że dowódca rzuca w jego stronę szybkie spojrzenie. Trybun wydał kolejne rozkazy, na które legionista dwukrotnie kiwnął głową, wciąż patrząc w kierunku pokładu rufowego, a Attyk instynktownie poczuł niepokój. Rzym był terytorium Warrona: jego władza była tutaj największa, a rozkaz, aby aresztować Attyka za niesubordynację i uderzenie dowódcy zostałyby wypełnione bez wahania.

Odprawiając Warrona wzrokiem, kiedy trybun odchodził w stronę *castrum*, Attyk przygotował się na nieuniknione. Dowódca został na brzegu, ale zamiast wejść na pokład galery i dokonać aresztowania, ponownie przeszedł się nabrzeżem i stanął naprzeciwko pokładu rufowego.

– Kapitanie, masz natychmiast rozkazać całej swojej załodze zejść na ląd! – krzyknął, a w jego głosie słychać było ślad pogardy.

Ten rozkaz zdumiał Attyka. Co miała do całej sprawy załoga?

– A co z moimi ludźmi, żołnierzami floty? – spytał

Septymus, stając u boku Attyka.

– Twój cały oddział też ma zejść na ląd, centurionie.

– Co się stanie z moim statkiem? – zapytał Attyk.

Dowódca uśmiechnął się szyderczo.

– Twój statek popłynie wraz z załogą zapasową do bazy floty.

Attyk już miał zaprotestować, ale Septymus powstrzymał go, kładąc mu rękę na ramieniu.

– Nie warto, Attyku – powiedział. – Nie doczekasz się tu wyrozumiałości.

– Ale ja w ogóle nie rozumiem. Co Warro knuje? – spytał całkowicie oszołomiony Attyk.

– Chyba wiem – odparł Septymus i odwrócił się przez ramię, żeby wydać Lucjuszowi i Druzusowi konieczne rozkazy.

Optio zareagował natychmiast, ale Lucjusz zerknął na Attyka, żeby ten potwierdził komendę. Kapitan kiwnął głową bez słowa. Nie było wyjścia: musieli usłuchać.

Hamilkar mijał kolejne ulice i znajome widoki i czuł, że rytm uderzeń jego serca oraz nastrój wracają do normy. Oto były ulice jego dzieciństwa i wczesnej młodości, zanim osiągnął pełnoletność, i każdy róg rozpalał w nim dawno zapomniane dzieje. Rok wcześniej, kiedy szedł tymi ulicami po raz ostatni, aby pośpiesznie odwiedzić dom ojca podczas podróży z Iberii na Sycylię, ulice te spowijała ciemność. Teraz wykorzystał okazję, aby napawać się wszystkimi widokami, chłonąć każdy dźwięk i zapach, aż poczuł, że jego serce znów jest sercem

chłopca.

Z dumą zwrócił uwagę na dobrobyt widoczny na każdym kroku, ruchliwe stragany i sklepy, targujących się kupców i kupujących, pieniądze zmieniające właścicieli przy akompaniamencie uścisków rąk i uprzejmych frazesów; odruchowo ignorował żebraków i małych uliczników kręcących mu się pod nogami. Potęgę Kartaginy zbudowano na handlu, a Hamilkara zawsze fascynowały niezliczone drobne transakcje, które odbywały się codziennie na niemal każdej ulicy w mieście i wywoływały wydarzenia oraz decyzje kształtujące samą materię imperium.

Kiedy wspinał się na wzgórze Byrsa i jednocześnie je obchodził, na ulicach było coraz mniej ludzi i straganów, a głośny gwar ulic niemal całkowicie ucichł, więc Hamilkar znów słyszał uderzenia ćwieków na podszwach swoich sandałów o bruk. Na tych ulicach mieszkały rody wojskowych, prastarej elity. Wszystkie te rodziny wywodziły się od kupców, ale teraz ich majątkiem zajmowali się wyłącznie agenci, którzy prowadzili interesy w ich imieniu. Ta praktyka oddalała ludzi w rodzaju Hamilkara od codziennej rutyny handlu, niewiele więc wiedział o tym, jak pomnażano bogactwo jego rodu. Doskonale znał natomiast uroki władzy, jaką te środki dawały, a szacunek dla pieniędzy przekazywany z ojca na syna był ważną wartością w rodzie Barkidów.

Hamilkar dotarł do skromnych, lecz solidnych

drewnianych drzwi w połowie jednej z wąskich uliczek. Znieruchomiał na chwilę, dotykając lekko drzwi i słoików na belkach, po czym zwinął dłoń w pięść, zastukał i zrobił krok w tył. Drzwi otworzył po chwili jeden ze starszych służących, i twarz mu się rozjaśniła, kiedy rozpoznał syna swojego pana. Hamilkar odwzajemnił uśmiech, a mijając odźwiernego po drodze na zewnętrzny dziedziniec, przelotnie dotknął jego ramienia.

Schowany za murami dom był ogromny i pełen przepychu. Wielokrotnie go powiększono, a różnorodne dobudowy i budynki pomocnicze świadczyły o tym, jak długo posiadłość służyła wielu pokoleniom rodu Barkidów. Hamilkar usłyszał pierwsze podekscytowane głosy tuż po wejściu do środka i jak zawsze nie mógł się nadziwić, jak szybko niewolnicy potrafią roznieść wiadomość po całym domu. Przecinając główne atrium, zobaczył, że jego rodzice wchodzą na nie z drugiej strony. Matka podbiegła, żeby go przywitać, a ojciec, Hazdrubal, podszedł miarowym krokiem, wyciągając dłoń. Wyraz twarzy miał ciepły, ale widać też było, że jest trochę zaskoczony niespodziewaną wizytą syna i ciekaw jej przyczyny.

Rodzice poprowadzili Hamilkara do nieoficjalnego pokoju dziennego, zastawionego sofami i niskimi stolikami, z przejściami w każdej ścianie prowadzącymi na wewnętrzne dziedzińce i do ogrodów. Przez godzinę swobodnie rozmawiali na błahe tematy; rok codziennych wydarzeń udało się łatwo streścić. Wkrótce jednak matka

Hamilkara wyczuła subtelną zmianę w rozmowie – jej mąż zaczął wspominać o sytuacji na Sycylii – i wstała, aby poczynić przygotowania do wieczornego posiłku. Ucałowała syna serdecznie i wyszła.

– Jakie wieści na temat kampanii? – spytał Hazdrubal, pochylając się ze skupieniem na twarzy.

Hamilkar zrelacjonował wszystkie wydarzenia z ostatnich trzech miesięcy. Jego ojciec wiedział o Myle, ale tylko z meldunków, wykorzystał więc tę okazję, aby szczegółowo przepytac syna na temat przyczyn ich klęski. Następnie słuchał w milczeniu, gdy Hamilkar przedstawiał mu w zarysie swoje przygotowania do zasadzki pod Terme, od czasu do czasu kiwając z aprobatą głową, ponieważ relacja ta jeszcze wzmogła szacunek, jaki żywił dla wojennego rzemiosła syna. Hamilkar opowiedział też, jak jego gruntownie przemyślany plan udaremniła ingerencja Hannona oraz o swojej wcześniejszej konfrontacji z radnym. Hazdrubal dalej słuchał w milczeniu, ale na jego twarzy pojawił się najpierw gniew, a potem troska.

– Hannon – powiedział niemal do siebie – musimy się z nim ostrożnie obchodzić.

– Dlaczego, ojcze? – spytał Hamilkar. – Z pewnością wielu ludzi uznałoby, że jego wtrącanie się graniczy ze zdradą.

Hazdrubal uśmiechnął się niewesoło.

– Wielu sądzi, że kampania Kartaginy na Sycylii graniczy ze zdradą.

Hamilkar spojrział zdumiony, więc jego ojciec mówił dalej:

– Hannon jest przywódcą faksji w radzie, która sprzeciwia się wojnie z Rzymem.

– Sprzeciwia się? Dlaczego?

– Uważają, że przeznaczeniem imperium jest Afryka i że podbój Sycylii to chybione przedsięwzięcie, marnowanie naszych zasobów.

– Przecież Sycylia strzeże naszej północnej flanki i znajduje się na przecięciu północnych szlaków na Morzu Śródziemnym – zaprotestował Hamilkar. – Jeśli nie powstrzymamy Rzymian przed przejściem nad nią kontroli, nie wiadomo, gdzie zaatakują następnym razem.

Hazdrubal kiwnął głową. Dobrze wiedział, jakie zagrożenia wiążą się z pozwoleniem Rzymianom na opanowanie Sycylii. Hamilkar wyczuł, że w tej zgodzie jest jakieś znużenie, jakby sam na próżno wypowiedział te słowa tysiące razy w siedzibie rady. Obaj zamilkli.

– Czy możemy powstrzymać Hannona przed próbami przerwania wojny na Sycylii? – spytał Hamilkar po chwili.

– Musimy – odpowiedział jego ojciec – i to szybko. W przyszłym roku Hannon będzie się starał o rangę sufeta. Jeśli uda mu się zostać przewodniczącym rady, wycofa wszelkie środki na sycylijską kampanię i ją stłamsi.

Hamilkar kiwnął głową, czując, że jego ojciec już opracował rozwiązanie tej sytuacji.

– Co mogę zrobić? – spytał.

– Przed porażką pod Myle fakcja Hannona była w mniejszości. Teraz stopniowo zyskuje coraz większe poparcie. Ja i inni przeciwnicy Hannona potrzebujemy znaczącego zwycięstwa na Sycylii, które sprawi, że ludzie i rada znów udzielą pełnego poparcia wojnie.

Hamilkar znów przytaknął, a na jego twarzy wykwitł znaczący uśmiech.

– A zatem nie musisz się martwić – powiedział, zbierając myśli, aby szczegółowo przedstawić ojcu swój plan, którego realizację już rozpoczął i który bez wątpienia zapewni Kartaginie upragnione zwycięstwo.

Właściwie – uświadomił sobie z uśmiechem, kiedy zaczął mówić – jeśli plan w całości się powiedzie, Sycylia będzie najmniejszą z ich zdobyczy.

– No to dlaczego tu jesteśmy? – spytał Attyk. Głowę miał podpartą na rękach i wyglądał przez umiejscowione na wysokości klatki piersiowej okno na dziedziniec *castrum*. Słońce opadało na zachód i ponad połowa dziedzińca była w cieniu, ale obóz wciąż gorączkowo tętnił życiem. Attyk odwrócił się do Septymusa, który siedział na jednej z dwóch prycz ustawionych w maleńkim pokoju. Centurion zdążył zdjąć skórzany napierśnik i właśnie przesuwiał czubkiem palca po wytłoczonej na nim podobiznie orła. Przerwał na chwilę i podniósł oczy, nasłuchując głosów przytłumionych grubymi ścianami oddzielającymi klatki. Całą załogę

marynarzy i żołnierzy zamknięto w podobnych pomieszczeniach – niektóre były nieco większe, ale wszystkie miały solidne drewniane drzwi, które były zamknięte od zewnątrz.

– A jak sądzisz? – odpowiedział pytaniem centurion.

– Nie wiem – odparł rozgoryczony kapitan. – Rozumiem, że Warro chciał, żeby mnie aresztowano, ale dlaczego jest tu też reszta załogi? Nie mieli z tym nic wspólnego, tylko wypełniali moje rozkazy. A ciebie nawet nie było na pokładzie *Aquili*, kiedy go uderzyłem.

Septymus zachichotał.

– Tu nie chodzi o ciebie, Attyku. Z tego, co mi powiedziałaś, oraz z reakcji Warrona, kiedy wrócił z powrotem na pokład w Brolium, wnioskuje, że senatorowie, którzy widzieli, jak go uderzyłeś pod Terme, zaprzeczą całemu wydarzeniu. Nie sądzę więc, żeby groziły ci jakieś oficjalne zarzuty. W każdym razie nie jesteś teraz największym problemem Warrona.

Attyk kiwnął głową, prawie – ale nie do końca – współczując trybunowi. Każdy dowódca drżał na myśl o dostarczeniu wieści o porażce.

– Co się zdarzyło, od kiedy tu przybyliśmy? – spytał Septymus.

Attyk zastanowił się przez chwilę, wspominając wydarzenia kilku ostatnich godzin.

– Sprowadzili nas z *Aquili* – powiedział – potem niemal tu zagonili i pozamykali, i od tamtej pory nikogo nie widzieliśmy.

– No właśnie – odparł Septymus. – Nikogo nie widzieliśmy. Odizolowali nas.

– Odizolowali? Dlaczego?

– Gdzie jest teraz Warro?

– Warro? – Attyk był skonsternowany. – Nie wiem.

– Powiem ci: przygotowuje się do wystąpienia przed senatem, które zaplanowano na jutrzejszy ranek. Szykuje przemowę, od której zależy jego przyszłość w Rzymie.

– No i? Co to ma wspólnego z nami?

– Nikt z mojej rodziny nigdy nie wszedł w skład senatu – powiedział Septymus – ale każdy Rzymianin wie, jak działa senat, jak działa system. Konieczne jest, żeby najpierw usłyszano wersję wydarzeń Warrona. Tylko w ten sposób trybun może kontrolować reakcję senatu. Będzie musiał trzymać się blisko prawdy, ale najważniejsze jest, z jakiej perspektywy opowie o tych wydarzeniach. Jego wersja musi ukazać go w jak najlepszym świetle.

– Więc nie może pozwolić, żebyśmy wałęsali się wszędzie i opowiadali ludziom historię o porażce z własnej perspektywy, zanim on zdąży dostarczyć wieści na swój sposób – zakończył Attyk.

– Otóż to. – Septymus kiwnął głową.

Attyk milczał przez chwilę zamyślony.

– Myślisz więc, że skoro Warro wplątał się w te wszystkie polityczne kłopoty, odpuści mi? – spytał.

– Tego nie powiedziałem – odparł Septymus. – Powiedziałem, że nie będzie oficjalnej skargi, ale Warro z

pewnością nie wybaczy ci ani nie zapomni tego, co się stało. Ty byś wybaczył?

Attyk pokręcił głową. Nigdy w życiu. Ponownie odwrócił się w stronę okna, znów oparł podbródek na skrzyżowanych rękach i zapatrzył się w pogrążony w półmroku dziedziniec. Jutro o świcie Warro będzie toczył najważniejszą jak dotąd polityczną walkę swojego życia i Attyk wiedział, że jeszcze przez ten jeden dzień trybun nie będzie o nim pamiętał. Potem była to już tylko kwestia czasu.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Belus dobył miecza, ale trzymał go luźno u boku, tak samo jak przypiętą do lewego przedramienia tarczę. Oddychał głęboko, a jego klatka piersiowa unosiła się i opadała pod metalowym napierśnikiem. Jego zbroja była bardzo porysowana i syknął cicho z bólu, czując, jak puchnie siniak na jego piersi. Spowodował go solidny cios i gdyby nie miał na sobie zbroi – tak jak wielu innych na pirackiej galerze – na pewno już by nie żył. Tym razem przeciwnik leżał martwy u jego stóp z grymasem agresji wyrytym na zawsze na twarzy.

Belus przestąpił to ciało, a potem wiele następnych, w drodze na rufę, gdzie Narmer – kapitan piratów – właśnie rozkazywał swoim ludziom, żeby zgromadzili niedobitki załogi rzymskiej galery handlowej. Jej załoganci walczyli jak demony, jak ludzie opętani, którzy wiedzą, że śmierć chodzi między nimi i nikt nie ujdzie z życiem. To nadało potyczce intensywności, której Belus jeszcze nigdy wcześniej nie doświadczył, nawet pod Myle, gdzie jego statek przetrwał starcie z rzymskimi legionistami wyłącznie dzięki temu, że jego ludzie postanowili nie poddawać się za wszelką cenę. Belus uczestniczył już w pięciu takich pirackich atakach i wciąż jeszcze nie zdążył się przyzwyczaić do ich zajadłości.

Dotarłszy do grupy ludzi na głównym pokładzie, schował miecz do pochwy. Piraci otoczyli rozbrojonych

Rzymian niczym wataha ujadających wilków i wyciągali miecze w stronę skazanych na zgubę Rzymian. Patrząc na tę scenę, Belus poczuł wstyd, tak barbarzyńskie zachowanie stanowiło bowiem plamę na jego honorze. Podczas piętnastoletniej kariery kapitana kartagińskiej triremy zawsze trzymał się kodu, którego nauczył go ojciec. Z wrogiem należało walczyć, aż zostanie pokonany, ale nad tymi, którzy się poddali, trzeba się było zlitować. Na jego galerze ci pojmani Rzymianie już byliby w kajdanach, przykuci na resztę życia do wiosła. Tutaj czekała ich tylko śmierć; była to zbrodnia względem honoru, którą rozkazano popełnić Belusowi, a przed którą piraci się nie wahali.

Nagle jeden z Rzymian rzucił się pędem w stronę relingu na burcie, wypychając bark, aby podjąć próbę przebicia się przez krąg piratów. Człowiek, w którego celował, zszedł mu z drogi i machnął mieczem pod ramieniem Rzymianina, bez trudu wbijając klingę w jego nieosłonięty bok. Rzymianin przewrócił się z okrzykiem bólu, a pirat błyskawicznie wymierzył cięcie w dół, przecinając szyję Rzymianina i zabijając go na miejscu. Pozostali piraci wydali z siebie ryk ponownie rozbudzonej żądzы krwi i odruchowo zaczęli zbliżać się do przerażonych Rzymian.

– Dosyć! – krzyknął Belus, na co część piratów się zawahała, ale inni wciąż przesuwali się do przodu, niepomni na rozkazy Kartagińczyka.

Jeden z piratów pchnął czubek swojego noża w

przód, trafiając jednego z Rzymian w udo; mężczyzna krzyknął i nogi się pod nim ugięły. Jego towarzysze z załogi chwycili go pod pachy i odciągnęli do tyłu. Krąg zmniejszał się coraz bardziej, a Rzymianie nie mieli dokąd się wycofać.

– Kapitanie! – wrzasnął Belus, patrząc prosto na Narmera. – Powiedz swoim ludziom, że dość już tego!

Narmer odwrócił w stronę Kartagińczyka twarz wykrzywioną pogardliwym grymasem, po czym ponownie spojrzął na swoich ludzi, którzy miarowo zaciskali wnyki swojego kręgu. Żądza krwi kipiąca w jego żyłach wyła o mord i Narmer miał już dosyć gry, do której zmuszał go ten Kartagińczyk. Kolejny Rzymianin otrzymał cios, a piraci roześmiali się, kiedy przerażonym niedobitkom w końcu całkiem zabrakło miejsca i ścisnęli się w żalospną grupkę, wyciągając błagalnie ramiona. Narmer czuł, że otaczający go ludzie są gotowi do ataku, i przez chwilę bardzo pragnął wydać rozkaz, który rozpętałby ich natarcie i zakończył potyczkę tak, jak robili to zawsze – to znaczy zanim zawarł umowę z Kartagińczykami.

– Stać! – ryknął gniewnie. Ludzie zawahali się na mgnienie oka i Narmer wyczuł ich niepewność. Opuścił klingę na wyciągnięte miecze dwóch ludzi po prawej, a niespodziewane uderzenie wyrwało im oręż z dłoni. – Powiedziałem już, dosyć!

Jego ludzie się cofnęli rozwścieczeni, choć Narmer natychmiast zauważył, że na twarzach niektórych piratów

pojawił się wyraz złowrogiego wyczekiwania. Uśmiechnął się pod nosem. Wiedzieli, co stanie się teraz, i było to dla nich znacznie bardziej satysfakcjonujące niż zwykle wycięcie załogi w pień. Znów odwrócił się do Kartagińczyka.

– Dobrze byś zrobił, Belusie – warknął, wysuwając miecz przed siebie, aż końcówka klingi znalazła się tuż przy szyi Kartagińczyka – gdybyś pamiętał, że to mój statek i to ja tutaj wydaję rozkazy.

– A ty powinieneś pamiętać – odciął się Belus – że jesteś na płatnych usługach imperium kartagińskiego i masz wypełniać moje polecenia, albo możesz się pożegnać ze złotem, które obiecano ci wypłacić po naszym powrocie do Tyndaris.

Narmer opuścił miecz i splunął na martwe ciało Rzymianina leżące u jego stóp. Belus zignorował tę potwarz.

– A teraz dokończcie robotę tutaj – rozkazał. – Dowiedzcie się od tych jeńców wszystkiego, co możecie, a potem podpalcie statek.

Narmer prychnął szyderczo, ale wydał komendy, po czym zerknął na Belusa jeszcze jeden, ostatni raz i wyładował swój gniew na niedobitkach rzymskiej załogi.

Warro poczuł, że po plecach pod tuniką spływa mu strużka potu. W siedzibie senatu szalały kłótnie i wzajemne oskarżenia. Trybun ledwie chwilę wcześniej zszedł z podium, wciąż ściskając w lewej ręce swoją

starannie przygotowaną mowę. Nie był w stanie jej dokończyć, gdyż w połowie zawiadomił obecnych o porażce pod Terme, na co w senacie wybuchła ogłuszająca wrzawa. Zerkał na wszystkie strony, szukając swojego ojca wśród trzystu innych odzianych w białe togi senatorów. Siedział blisko środka, przy Gnejuszu Korneliuszu Scypionie, zatopiony w rozmowie z nim.

Nagle, tak jakby wiedział, że ktoś mu się przygląda, Scypion odwrócił się w stronę Warrona, a młody dowódca przez chwilę wytrzymał jego spojrzenie, ale było tak przenikliwe, że spuścił oczy. Kiedy znów podniósł wzrok, Scypion był ponownie pogrążony w konwersacji.

Warronowi przypomniała się ostra nagana, której udzielił mu poprzedniego wieczoru ojciec, i spróbował wyrzucić z myśli to wspomnienie, ten wstyd, odrazę na twarzy ojca. Nie wspomniał o policzku, który wymierzył mu grecki kapitan, i obiecał sobie, że utrzyma ten incydent w tajemnicy, wiedząc, że ojciec potępiłby go jeszcze bardziej na wieść, że jego syn nie rzucił napastnikowi natychmiast wyzwania. Potem siedział w milczeniu, podczas gdy jego ojciec dyktował mowę, którą młodzieniec trzymał teraz w dłoni, dobierał starannie słowa przerwane wrzawą w senacie. Warro spróbował ponownie przejąć kontrolę nad sytuacją, przekrzyczeć senatorów i dokończyć relację – opowiedzieć o sprawnie zastawionej pułapce, o tym, że nie był w stanie dostrzec niebezpieczeństwa, o swoich bezinteresownych decyzjach i odwadze, która ocaliła *hastati* z Dziewiątego – ale jego

wysiłki spełzły na niczym.

Odbijający się głośnym echem odgłos uderzeń młotka zaprowadził w senacie jakąś namiastkę spokoju i wszystkie oczy zwróciły się w stronę podium. Przewodniczący senatu stał wyprostowany za mównicą, cierpliwie waląc młotkiem, aż uznał, że będzie go słychać.

– W świetle wiadomości dostarczonych przez Tytusa Aureliusza Warrona senat zbierze się ponownie po godzinnej przerwie! – ogłosił.

Warro zrobił krok w tył, żeby senatorowie mogli wyminąć go po drodze z komnaty, celowo unikając oskarżających i pogardliwych zerknięć, które go zawstydzaly. Znów poszukał spojrzeniem ojca i ponownie dostrzegł go w towarzystwie Scypiona; obaj zmierzali w stronę wyjścia. Warro przeciął rzekę ludzi, choć mężczyźni idący przed nim nie zadali sobie trudu, żeby się odsunąć i ułatwić mu drogę. Kilka kroków dalej zobaczył, że jego ojciec wchodzi do małego przedsionka przylegającego do głównego wejścia.

– Nie mogę nic na to poradzić, Kalwusie – powiedział Scypion ze sztucznym wyrazem współczucia na twarzy; w duchu radował się upokorzeniem tak potężnego urzędnika. – Los twojego syna spoczywa w rękach starszego konsula. To on jest głównodowodzącym.

– Nie jestem ślepy, Gnejuszu – odparł Kalwus. – Wszyscy podejrzewają, że to ty byłeś *spiritus movens* wyboru Regulusa.

Scypion uśmiechnął się w duchu, zadowolony, że starannie dobrane pogłoski na temat jego potajemnego przymierza z Regulusem, które sam rozpuścił, zaczęły już docierać do właściwych uszu.

– Nie mogę komentować niedorzecznych pogłosek, Kalwusie – odparł Scypion, pozwalając, aby na jego twarzy wykwitł półuśmiech – ale to prawda, że Regulus i ja od dawna się przyjaźnimy. Być może uda mi się porozmawiać z nim w imieniu twojego syna.

Kalwus westchnął. Scypion był jednym z najbardziej przebiegłych ludzi w senacie, i Kalwus, jak wielu innych, sekretnie cieszył się z tego, jak upokorzono go pod Liparą i ograniczono jego władzę. Teraz jednak wyglądało na to, że podobny wielogłowej hydrze były konsul ponownie wkradł się w wąskie grono ludzi o największej władzy, a Kalwus wiedział, że cena za uratowanie jego syna przyćmi nawet fortunę, jaką zapłacił, aby w ogóle zapewnić mu mianowanie.

Przerwało im stukanie do drzwi. Obaj mężczyźni się odwrócili i zobaczyli, że wchodzi młody dowódca.

– Ach, Tytusie Aureliuszu Warronie – powiedział Scypion, a jego fałszywie przyjacielski ton omamił syna, lecz nie ojca. – Właśnie o tobie rozmawialiśmy.

Warro zarumienił się na tę aluzję i zamknął za sobą drzwi, których ciężkie dębowe belki stłumiły dźwięk rozmów toczących się poza pomieszczeniem.

– Senatorze Scypionie – powiedział lekkim tonem Warro, robiąc krok do przodu i uśmiechając się. – Mój

ojciec wielokrotnie o tobie wspominał. Cieszę się, że mogę w końcu poznać cię osobiście.

Scypion uściskał wyciągniętą dłoń Warrona, a jego serdeczny uśmiech był starannie przybraną maską.

– I nawzajem, młody Warronie – odparł – choć jestem pewien, że wolałbyś, aby nastąpiło to w innych okolicznościach.

Warro znów zalał się rumieńcem, ale z wysiłkiem utrzymał uśmiech.

– Wiem, że mogę liczyć na twoje zrozumienie w tej sprawie, ponieważ spotkał cię podobny los z rąk Kartagińczyków – rzekł poważnym tonem.

Uśmiech zniknął z twarzy Scypiona w mgnieniu oka, a zastąpiło go miazdząco pogardliwe spojrzenie.

– Nie mów do mnie jak do równego sobie, chłopcze – warknął. – To, że pojmano mnie pod Liparą, było skutkiem zdradliwego fortelu wroga. Swoją porażkę zawdzięczasz wyłącznie własnej nieudolności.

Nagły gniew Scypiona oszołomił Warrona do tego stopnia, że na chwilę zaniemówił. Jego ojciec najeżył się, przeklinając syna i jego niewprawne podejście do sprawy. Scypion już trzymał w ręku wszelkie atuty i mógł zażądać każdej ceny, która jednak znacznie wzrośnie, jeśli stanie się agresywny.

– Mój syn zachował się niezręcznie, senatorze – powiedział Kalwus, podchodząc do przodu. – Miał na myśli to, że jako Rzymianie wszyscy czujemy ból związany z klęską.

Scypion prychnął, nie spuszczać oka z Warrona. Był tak rozgniewany, że miał ochotę rzucić tego głupca wilkom na pożarcie. Powoli jednak rozsądek kazał mu się opanować.

– Oczywiście – odparł. Na jego twarzy znów pojawił się uśmiech, choć nie znalazł on odzwierciedlenia w zimnym wyrazie jego oczu.

Warro znów zrobił krok do przodu, też rozwścieczony lekceważącą wypowiedzią ojca. Czuł przemożną potrzebę przemówienia we własnej obronie.

– Jestem legionistą, senatorze – powiedział – a nie marynarzem. Masz rację, mówiąc, że ta porażka jest skutkiem nieudolności, ale nie mojej, lecz mojego kapitana, człowieka, który powinien był dostrzec zagrożenie i mi doradzić: Attyka Miloniusza Perennisa.

To oświadczenie z kolei zaszokowało ojca, który ponownie zapłonął wstydem. Obwinianie podwładnych było niewłaściwe ze strony dowódcy i Kalwus odwrócił się do Scypiona po raz kolejny, spodziewając się, że senator zgani jego syna za tak bezczelną próbę przerzucenia winy na kogoś innego. Był jednak zaskoczony, kiedy dostrzegł, że mina Scypiona wyraża coś na kształt zrozumienia.

– Perennis – powtórzył wolno Scypion i pozwolił temu nazwisku wybrzmieć. – Był kapitanem twojego okrętu flagowego?

– Wskutek nalegań konsula Duiliusza – wtrącił Warro, choć tak naprawdę sam wybrał Attyka.

Scypion jeszcze raz kiwnął głową. Duiliusz wciąż skrycie chronił Perennisa, który jako bohater spod Myle był w Rzymie właściwie nietykalny. Z dala od miasta znajdował się poza bezpośrednim zasięgiem Scypiona, ale też poza ochroną Duiliusza, i były konsul od miesiący próbował znaleźć sposób na pozbycie się człowieka, który splamił jego honor, a zarazem sam pozostawał poza wszelkim podejrzeniem. Warro mógł być właśnie tym pionkiem, którego potrzebował. Postanowił wysondować, jak agresywny jest ten młody człowiek.

– Ależ Perennis doprowadził okręt flagowy do zwycięstwa pod Myle – powiedział, a pochwały pod adresem kapitana były jak żółć w jego gardle. – Z pewnością jest co najmniej kompetentnym kapitanem.

– Może i tak, senatorze – odparł Warro, postanawiając wypowiedzieć słowa, które mogłyby przemówić na jego korzyść. – Ale trzeba pamiętać, że to Grek i że los rzymskiej floty nie leży mu na sercu.

– Podajesz w wątpliwość jego lojalność? – spytał Scypion. Nienawiść płonąca w młodszym mężczyźnie sprawiła, że czuł narastającą ekscytację.

– Podaję w wątpliwość to, względem czego jest lojalny – odparł Warro. Wypowiadane przez niego półprawdy zaczęły żyć własnym życiem.

– Bardzo dobrze – powiedział usatysfakcjonowany Scypion. – A teraz zostaw nas, młody Warronie. Muszę porozmawiać z twoim ojcem w cztery oczy.

Warro stanął na baczność i zasalutował pewien, że

znalazł w osobie senatora sprzymierzeńca. Opuścił pokój bez słowa.

Scypion odprowadził go wzrokiem, a jego umysł natychmiast zaczął błyskawicznie pracować, odrzucając stare plany i formułując nowe. Wcześniej zadowoliliby się tym, aby ochronić Warrona i tym samym zrobić z ojca trybuna swojego dłużnika, ale teraz dzięki młodemu mężczyźnie w zasięgu ręki Scypiona znalazł się jeszcze większy łup. Musiał całym wysiłkiem woli się opanować, aby nie ujawnić odczuwanego triumfu. Ponownie odwrócił się do starszego Warrona, wracając myślami do kolejnych próśb rozmówcy i układając twarz w wyraz pobłażania, choć w jego duszy wzbierała złowroga radość. Już w pewnym stopniu zemścił się na Duiliuszu. Teraz jednak – z mimowolną pomocą Warrona – był gotów zaatakować innego człowieka, przez którego stracił tak wiele.

Attyk usiadł na pryczy, słysząc, że w mosiężnym zamku chrobocze klucz. Zerknął przez ramię w okno swojej celi. Na zewnątrz było ciemno, a lekka bryza pchała po niebie nisko zawieszane chmury, które zasłaniały i odsłaniały blade światło wschodzącego półksiężyca. Odwracając głowę z powrotem do drzwi, napotkał spojrzenie Septymusa. Centurion też właśnie podnosił się z pryczy, a jego zdumiona mina stanowiła odpowiedź na niewypowiedziane pytanie Attyka. Siedzieli w celi już od prawie trzydziestu sześciu godzin i choć

niewolnicy regularnie przynosili im jedzenie, byli odcięci od wszelkich kontaktów ze światem zewnętrznym.

Drzwi się otworzyły i wszedł żołnierz w czarnej pelerynie. W mrocznym przedsionku towarzyszyły mu trzy kolejne niewyraźne postaci. Mężczyzna, któremu hełm dodawał sporo wzrostu, górował nad dwoma siedzącymi; obrzucił ich obu spojrzeniem, po czym zatrzymał wzrok na Attyku.

– Kapitan Perennis z *Aquili* – spytał.

Attyk wstał i kiwnął głową.

– Masz pójść ze mną – powiedział strażnik głosem, którego ton niczego nie zdradzał.

– Dokąd? – zapytał Attyk.

– Do mojego pana – odparł żołnierz.

– A kto to?

Strażnik ponownie zerknął na Septymusa, a potem w okno. Spojrzenie miał nieufne.

– Nie tutaj – odparł, robiąc krok w bok, aby Attyk przeszedł do przedsionka. Attyk wahał się tylko przez chwilę. Opieranie się nic mu nie da, a przynajmniej jeszcze nie. Odwrócił się do Septymusa i kiwnął głową – centurion odwzajemnił ten gest – po czym podążył wraz ze swoją obstawą długim, oświetlonym pochodniami korytarzem i na dziedziniec. Stajenny przyprowadził pięć osiodłanych koni. Dwaj strażnicy zajęli miejsca przed Attykiem, a dwaj za nim i grupka wyjechała kłusem z *castrum*. Była prawie północ, lecz handlowy port w Ostii dalej tętnił życiem, częściowo pędzonym w ukryciu.

Głodne bezdomne dzieci grzebały w porzuconych i zapomnianych resztkach jedzenia, a niewolnicy sprząтали po całym dniu handlu, opróżniając nabrzeże w przygotowaniu na zalew towarów, których spodziewano się, kiedy tylko światło świtu umożliwi statkom bezpieczne dokowanie.

Wszyscy bez rozkazu usuwali się jeźdźcom z drogi wzdłuż nabrzeża i choć stukot kopyt rozlegał się nienaturalnie głośno w ciszy panującej w Ostii, niewolnicy i głodujący, których nieszczęsne życie przerywali, nie zwracali na nich uwagi. Attyk milczał – to, że jechał pośrodku grupy, uniemożliwiało mu zadawanie kolejnych pytań – ale poczuł, że strażnicy otaczają go ciaśniejszym kręgiem, by ograniczyć mu ruchy. Uśmiechnął się w duchu ciekaw, gdzie według nich miałby uciec. Nie rozpoznawał żadnego z nich, ale jedno było jasne: komukolwiek służyli, nie mieli zamiaru ryzykować umożliwienia mu ucieczki.

Grupa opuściła Ostię i skierowała się na wschód, aż dotarła do via Aurelia, ważnej drogi wiodącej z Rzymu na północ. Zwrócili się w stronę miasta i przyspieszyli, a żelazne podkowy ich wierzchowców załomotały o bruk niemal całkowicie pustego szlaku. Po pewnym czasie zbliżyli się do otaczających miasto murów serwiańskich i Attyk dostrzegł biwaki podróżnych, którzy przybyli zbyt późno, aby wpuszczono ich do środka – bramy zamykano o zmroku. Tłoczyli się dookoła żalosnych ognisk, znajdując pocieszenie dzięki ich słabemu światłu, które

chroniło przed spowijającą ich ciemnością oraz przestępcami czyhającymi na życie i dobytek każdego, kto straciłby w nocy czujność.

Kiedy dotarli do Porta Flumentana, jednej z szesnastu bram w murach, wzrok Attyka powędrował w górę, po wyniosłej ścianie. Wieńczyły ją płonące pochodnie, które rzucały półkoliste plamy migoczącego światła na blanki i podkreślały absolutną czerń muru ciągnącego się poniżej. Wstawiona w granitowy łuk brama wznosiła się na wysokość ośmiu metrów i zbudowana była z solidnych dębowych belek wzmocnionych wprawionymi co pół metra ciężkimi żelaznymi obejmami. Za dnia skrzydła bramy byłyby otwarte na oścież dla wszystkich, ale teraz – w środku nocy, w słabym świetle rzucanym przez ognisko – zdani na własne siły podróżni nie mogli ich przebyć.

Dotarłszy do bramy, jeźdźcy zatrzymali się i dowódca straży zszedł z siodła. Wyciągnął miecz i uderzył głowicą o drewno, wywołując głęboki, donośny łomot, który odbił się echem od cichych murów i zaalarmował każdego podróżnego przebywającego na tyle blisko, żeby go usłyszeć. W bramie otworzyła się mała zasuwka umieszczona na wysokości oczu, dowódca chwilę porozmawiał z niewidocznym wartownikiem i ponownie dosiadł konia. Przez chwilę nic się nie działo, a potem pogrążone w bezruchu powietrze nagle rozdarł zgrzyt metalu o metal. Bramę otwarto na dwa kroki i wyłoniła się zza niej grupa sześciu legionistów z podniesionymi

tarczami, którzy ustawili się w półkolu. Dwaj konni strażnicy za Attykiem dobyli mieczy, nie czekając na rozkaz, i znów ścieśnili się za nim, uniemożliwiając mu zawrócenie wierzchowca. Attyk znów zareagował zdumieniem na te zbyteczne środki ostrożności, ale postanowił je zlekceważyć, ponieważ jego uwagę przyciągnęły odgłosy dobiegające z ciemności, zza jego pleców.

Dźwięk towarzyszący otwarciu bramy obudził śpiących najbliżej podróżnych. Rzucili się przed siebie – niektórzy wlekli za sobą dobytek, inni zaś próbowali szybko zaprząć swoje juczne konie oraz kucyki. Dowódca straży przejechał kłusem przez bramę, nie oglądając się za siebie, Attyk podążył jego śladem, a legioniści zostali w tyle, odwrócili się plecami do bramy i wycelowali włócznie w stronę nadbiegającego tłumu. Attyk słyszał desperację w głosach ludzi wołających, aby ich wpuszczono, i obejrzał się przez ramię na ich skazaną na porażkę próbę dostania się do miasta. Byli o kilka kroków od legionistów, kiedy o ziemię tuż przed nimi uderzyła salwa strzał wypuszczona z murów. Nadciągający ludzie zatrzymali się, ich bieg na złamanie karku przeobraził się w niepewne kroki: na widok wbitych w ziemię strzał wszyscy się zawahali.

Kiedy Attyk wjechał za bramę, nie widział już, co dzieje się na drodze. Legioniści weszli tyłem przez wąską szczelinę między odrzwiami, po czym bramę zamknięto z donośnym łomotem, zagłuszając ostatnie rozpaczliwe

głosy pozostawionych na zewnątrz podróżnych.

Podążyli dalej ciemnymi ulicami, w czym niezbyt pomagało im nędzne światło księżyca, a Attyk zamyślił się nad tym, co właśnie zobaczył. Niemożliwe, żeby otwierano bramy Rzymu za każdym razem, kiedy przybywał pod nie oddział żołnierzy, i Attyk nabrał przekonania, że dowódca owych strażników to człowiek na tyle potężny, że jest w stanie unieważnić zasadę zamykania bram po zmroku.

Jeźdźcy gnali szybko, a Attyka jak zawsze uderzyło wrażenie, że zewsząd napiera na niego ciżba, tłum ludzi za ścianami; czuł, że z każdej bocznej uliczki tuzin oczu wlepia spojrzenie w jego plecy, że w ciemnościach kryją się obserwatorzy. W ciągu kwadransa dotarli do niezwracających uwagi drzwi w zamożnej dzielnicy miasta. Wcześniej wjechali na zbocze jednego z siedmiu wzgórz Rzymu, ale Attyk nie miał pojęcia którego, ponieważ nie był zaznajomiony z planem ogromnej stolicy. Przy bramie w murze widniała marmurowa tabliczka z nazwiskiem. Cień zasłaniał ją niemal w całości, a słabe światło ukazywało tylko dwie ostatnie litery: „us”. Attyk usiłował dojrzeć resztę napisu, ale nie był w stanie, i jego serce zaczęło bić szybciej, choć obiecał sobie, że zachowa spokój, dopóki nie zobaczy, kto go wezwał.

Brama otworzyła się bez rozkazu i ludzie wprowadzili wierzchowce na zewnętrzny dziedziniec. Pomimo ciemności Attyk odniósł wrażenie, że posiadłość

jest ogromna. Zszedł z siodła i podał lejce stajennemu, po czym pośrodku grupy strażników ruszyli w stronę wejścia do domu. Attyk wyczuł, że znacznie zmniejszyli czujność. Kiedy dotarli do atrium, dowódca straży odwrócił się niespodziewanie do Attyka i odezwał się do niego po raz pierwszy od czasu opuszczenia Ostii.

– Poczekaj tutaj – rozkazał, a potem ruchem głowy nakazał swoim ludziom pójść za nim oświetlonym pochodniami korytarzem.

Attyk – zdumiony, że zostawiono go samego po tak silnie strzeżonej drodze na miejsce – rozejrzał się dookoła, dostrzegając oznaki zamożności zdobiące oświetlone światłem świec atrium, a kiedy przesuwiał wzrokiem po kolejnych wejściach na dziedziniec, w jednym z nich dostrzegł zarys samotnej postaci. Mężczyzna ruszył w stronę Attyka, a on rozpoznał jego sylwetkę i sposób chodzenia, zanim jeszcze zobaczył twarz. Kapitan przypomniał sobie, kiedy widział tego człowieka po raz ostatni: stali obok siebie na schodach prowadzących do kurii oraz na pokładzie rufowym *Aquili*. Attyk zasalutował oficjalnie, ale gospodarz zlekceważył ów gest, wyciągając przyjaźnie rękę. Attyk uścisnął ją bez wahania i uśmiechnął się szeroko.

– Dobrze cię widzieć, Attyku – powiedział mężczyzna.

– I wzajemnie, konsulu Duiliuszu – odparł kapitan.

Duiliusz kiwnął głową i poklepał ramię Greka.

– Chodźmy. – Zaprowadził gościa do jasno

oświetlonego pokoju. – Cieszę się, że jesteś bezpieczny – ciągnął Duiliusz, podając Attykowi kielich wina. – Słyszałem o twoim... nieporozumieniu z Warronem pod Terme i obawiałem się, że poza granicami *castrum* może próbować się zemścić.

Attyk dopiero po chwili doszedł do siebie; przypomniał sobie ostrożność strażników podczas podróży do posiadłości Duiliusza, ich wyciągnięte miecze przed Porta Flumentana, kiedy Attyk zauważył nadciągającą w ciemnościach ludzką falę. Nie mieli zapobiec jego ucieczce, lecz strzec go przed atakami. Attyk znów spojrzął na Duiliusza, zdumiony tym, jak daleko sięga wiedza senatora.

– Warro to młody głupiec – zaczął Attyk. – Był gotów porzucić ponad tysiąc ludzi tylko po to, żeby ocalić własną skórę.

– Jest młody i może i jest głupcem – odparł poważnym tonem Duiliusz – ale jego działaniami kieruje jego ojciec. A jemu daleko do głupca. Dlatego też doradzam ostrożność.

Attyk znów kiwnął głową, zapamiętując sobie ostrzeżenie swojego byłego dowódcy.

Duiliusz wskazał niską sofę ustawioną na środku pokoju i Attyk usiadł.

– Moje źródło dostarczyło mi pełnego opisu bitwy – powiedział senator, zajmując miejsce naprzeciwko – ale chciałbym usłyszeć twoją wersję.

Attyk szczegółowo zrelacjonował natarcie świadom,

że Duiliusz chętnie pogłębia swoją wiedzę w dziedzinie bitew morskich.

– Wygląda na to, że przeciwnik spodziewał się, iż nasze siły będą znacznie mniejsze, w przeciwnym razie wystawiłby liczniejsze zastępy – zwrócił uwagę Duiliusz.

Attyk pokiwał głową.

– Ich błąd pozwolił uciec osiemnastu naszym galerom oraz większości *hastati*. Gdyby nieprzyjaciel miał przewagę liczebną, nie udałoby się nam wyrwać.

– Jakkolwiek pomyślna była wasza ucieczka – powiedział Duiliusz – Terme to jednak poważna porażka. Będzie miała swoje reperkusje.

– Warro? – zaryzykował Attyk.

– Jest w niełasce, ale jego ojciec z pewnością użyje swoich wpływów wśród patrycjuszy i dopilnuje, żeby ominęło go najostrzejsze potępienie. Podejrzewam, że Warro zachowa stanowisko dowódcy, choć mało znaczącego.

– Nie odsuniesz go od władzy? – spytał zaskoczony Attyk.

– To nie leży w mojej gestii – odparł Duiliusz.

– Ale jako starszy konsul...

Duiliusz pokręcił głową. Szybko opowiedział Attykowi o swojej decyzji zdobycia rangi cenzora, pomijając podejrzenia dotyczące manipulacji Scypiona.

– Kto zatem jest starszym konsulem?

– Człowiek o nazwisku Regulus – odparł Duiliusz, a Attyk wzruszył lekko ramionami. Słyszał o nim po raz

pierwszy. – Mój bliski sprzymierzeniec, Longus, uzyskał funkcję młodszego konsula.

Potem Attyk opowiedział Duiliuszowi o tym, jak uratował rozbitka, który przeżył atak piratów, wspominając, jak zdumiała go ich taktyka. Zdawał sobie jednak coraz wyraźniej sprawę z tego, że Duiliusz miałby teraz mniejszy wpływ na każdą ze spraw, o których dyskutowali.

Jako Grek, obcy w rzymskim świecie, Attyk znalazł w Duiliuszu sprzymierzeńca, Rzymianina z dziada pradziada, lecz też obcego we własnym społeczeństwie, „nowego człowieka” w świecie zaludnionym przez szacowne rody, i dwóch mężczyzn połączyła więź oparta wyłącznie na wzajemnym szacunku względem swoich umiejętności. Jawne poparcie, jakim Duiliusz obdarzył Attyka, i to, że mianował go kapitanem okrętu flagowego pod Myle, zapewniło mu akceptację wielu Rzymian; do pewnego stopnia włączono go w życie republiki, która zazwyczaj uważała swoich obywateli o pochodzeniu innym niż rzymskie za niegodnych uwagi. Ponieważ jednak Duiliusz zajął nowe stanowisko i niedługo miał zostawić za sobą sferę wojskową, Attyk wiedział, że znów w pełni odczuje na własnej skórze uprzedzenia Rzymu.

– Już prawie świta – powiedział w końcu Duiliusz, wstając z sofy. – Jeśli chcesz, każę swoim ludziom towarzyszyć ci do dowolnego miejsca w mieście.

– Czy nie muszę wracać do Ostii? – spytał Attyk.

– Nie, Warro wydał rozkaz, aby uwolnić całą załogę

Aquili o brzasku.

Attyk kiwnął głową, znów ciekaw, skąd Duiliusz czerpie informacje. Senator ponownie wyciągnął rękę, a mocny uścisk dłoni, jaki wymienił z Attykiem, przypieczętował ich przyjaźń. Senator w milczeniu opuścił pomieszczenie, a chwilę później wszedł dowódca jego straży. Oczy miał przekrwione ze zmęczenia i stał przed Attykiem ze znużoną miną.

– Dokąd? – spytał szorstko.

Attyk odpowiedział bez zastanowienia; nie był w stanie oprzeć się pokusie.

– Na Wiminał – rzucił i ruszył do przodu, zostawiając strażnika za sobą, a jego zdecydowany krok odpowiadał rozpierającemu go wyczekiwaniu.

Attyk przystanął na chwilę na południowo-wschodnim krańcu Forum, głównego placu Rzymu, aby przesunąć wzrokiem po sklepionych dachach świątyń oraz strzelistych posągach i wspomnieć chwilę, kiedy ujrzał ten wspaniały widok po raz pierwszy. Zerknął szybko przez ramię, ale jego eskorta już zdążyła zniknąć w tłumie ludzi krążących między placem a okolicznymi wąskimi uliczkami. Attyk zamknął oczy i odetchnął głęboko kilka razy, pozwalając nieco świeższemu powietrzu otwartego forum oczyścić nozdrza z silnych woni dusznych, zatłoczonych uliczek: smrodu niemytych ciał, gotowanego jedzenia i ludzkich odchodów, potu i wydzielin potężnego tłumu wciśniętego w otoczone

murami miasto. Otworzył oczy i ustalił swoje położenie względem punktów orientacyjnych na Forum, obracając się, żeby spojrzeć na drogę prowadzącą do dzielnicy Wiminał.

Zszedł pośpiesznie z drogi mijającemu go gońcowi, ale ten i tak wpadł na innego mężczyznę, któremu wyrwało się pełne irytacji przekleństwo. Z każdą chwilą na Attyka napierał coraz większy tłum, nie mógł więc już dłużej stać w miejscu. Wyprostował ramiona i zaczął przecierać do przodu, z uśmiechem myśląc o tym, jak Gajusz bez trudności potrafi manewrować *Aquilą* nawet w najbardziej tłocznych portach. Był ciekaw, jak sternik z Kalabrii poradziłby sobie na ruchliwych ulicach Rzymu.

Wspinając się na łagodne zbocze, Attyk zauważył po prawej swój punkt orientacyjny – gospodę – i natychmiast zwrócił oczy na drugą stronę ulicy, na surowe mury domostwa należącego do ciotki Hadrii. Przeszedł na lewą stronę ulicy i przesunął dłoń po ścianie z wypalanych cegieł, ciesząc się jej fakturą, aż ustąpiła wzmocnionym żelaznymi ćwiekami drzwicom umieszczonym pośrodku muru. Zatrzymał się. Upłynęły niemal trzy miesiące od chwili, kiedy stał tam po raz ostatni, i rozkoszował się wyczekiwaniem. Zastukał i odsunął się o krok. Drzwi otworzyły się i Attyk mógł wejść do środka; kiedy tylko służąca rozpoznała greckiego kapitana, natychmiast pobiegła po panią, Attyk tymczasem odnalazł drogę do atrium i zatrzymał się tam.

Poranny blask słońca zaczął wypełniać niezadaszone

pomieszczenie, rozświetlając obstawioną kolumnami ścieżkę, która otaczała położony pośrodku basen. Attyk przyglądał się sadzawce w milczeniu, zapominając o wrzawie panującej na ulicach poza murami domu, i powoli zdał sobie sprawę, że wewnątrz zalega niemal całkowita cisza. Potem dotarł do niego pewien dźwięk, na początku niemal niesłyszalny z powodu kojącego szmeru wody. Była to muzyka, łagodne tony wygrywane na lirze, tak subtelne i hipnotyzujące, że Attyk uległ na długą chwilę ich urokowi, a jego ekscytację zastąpiło głębokie zadowolenie.

Niespodziewanie muzyka się urwała, znacznie mniej subtelnie, niż się zaczęła, i chwilę później rozległ się tupot lekkich, szybkich kroków niemal frunącej istoty, a Attyk odwrócił się w ich stronę z uśmiechem na twarzy. Hadria wyłoniła się pędem zza przeciwległego rogu atrium i zatrzymała trzy kroki przed nim, nieruchomiejąc nagle. Jej pierś falowała pod pozbawioną ozdób tuniką; wysiłek i emocje odebrały dziewczynie dech. Attyk napawał się widokiem jej twarzy, wypłowiałych od słońca jasnobrązowych włosów i niebieskoszarych oczu, jej żywym temperamentem, który zdawał się nasycać spokojne powietrze i emanować na całe atrium. Zrobił niewielki krok w jej stronę, a ona zwinnie przebiegła dzielącą ich odległość, tak szybko, że Attyk zdążył tylko wyciągnąć ramiona. Wskoczyła w jego objęcia i przywarli do siebie. Obojgu zabrakło słów z przejęcia i Attyk pochylił się, aby ją pocałować, dziwiąc się kontrastowi

między jej miękkimi ustami a jędrnością młodego ciała. Odsunęli się od siebie i zmierzyli spojrzeniami, a zalegająca między nimi cisza stanowiła tylko przedłużenie czasu, który spędzili rozdzieleni: ich niewypowiedziane emocje były oczywiste. Wzięli się za ręce i Hadria zaprowadziła Attyka do sypialni, a kiedy zamknęła za nimi cicho drzwi, natychmiast porzucili powściągliwość, aby odkryć siebie nawzajem na nowo.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Hamilkar stał na dziobie *Alissar*, gdy okręt flagowy wpływał do pograżonych w chaosie Syrakuz, położonych na południowo-wschodnim krańcu Sycylii. Żeby zachować równowagę, Barkas zacisnął dłonie na relingu; tunika pod jego skórzanym napierśnikiem była przemoczona wodą wyrzucaną w górę przez taran galery, który rozcinał pędzące od lądu fale. Obejrzał się przez ramię na olinowanie grotmasztu, na każdego obserwatora po kolei, oceniając mowę ich ciał; wyczuł, że są spięci, ale nie zauważył nic więcej. Ponownie spojrzął na wody przed dziobem, a wiatr przyniósł ze sobą okrzyki ostrzeżenia, kiedy galery handlowe na obrzeżach portu dostrzegły jego okręt.

Hamilkar nie zwracał uwagi na żaglowce skręcające niezgrabnie przed *Alissar* zgodnie z tym, jak ich kapitanowie oceniali kurs galery o ciemnym kadłubie, której tępo zakończony taran celował prosto w środek portu. Spojrzął w dół, między ich żagle, szukając wzrokiem strzelistych linii galer mknących po falach na wiosłach; zauważył kilka, po czym one też ustąpiły kartagińskiej kwinkweremie. Były to biremy, niemal z pewnością statki handlowe, lecz Hamilkar przyjrzał się każdej uważnie, aby się upewnić.

– Trirema! Dwa rumby na sterburcie!

Hamilkar spojrzął we wskazanym kierunku,

przeklinając pękate statki, które zasłaniały mu widok. Potem dostrzegł triremę i natychmiast poczuł, że serce bije mu szybciej. Czy był to okręt wojenny? Nie miał pojęcia, ponieważ musiał patrzeć pod zbyt wielkim kątem, a sztandary na grotmaszcie tej galery nie różniły się od feerii innych flag zdobiących każdą jednostkę w porcie. Ponownie spojrzął w stronę obserwatorów, ufając ich młodszym oczom. Jeden z nich uśmiechnął się nagle szeroko, a zaraz potem to samo zrobił następny.

– To nasz! – krzyknął obserwator. – Statek handlowy!

Hamilkar znów się obrócił, czekając niecierpliwie, aż *Alissar* podpłynie bliżej, a on będzie lepiej widział. Uśmiechnął się, kiedy już świadectwo jego własnych oczu potwierdziło słowa obserwatora. Trirema handlowa. Roześmiał się głośno z ulgi. Tylko Kartagińczyk mógłby zamienić tak wielką galerę na statek handlowy. Zapewne niegdyś służyła w armii, a potem, kiedy uznano, że jej wiekowe belki nie są już dość mocne jak na warunki bojowe, zdemontowano jej ekwipunek wojenny i sprzedano na aukcji.

Hamilkar zastanawiał się, czy owa niezapowiedziana wizyta w Syrakuzach jest rozsądna. Prowincja ta otwarcie popierała Rzym na skutek przymierza podpisanego po klęsce poniesionej w starciu z Rzymianami trzy lata wcześniej, na początku wojny. Rzymianie zachowali się pobłażliwie; z powodu eskalacji konfliktu z Kartaginą skupili uwagę na zachodniej połowie Sycylii i nakazali władającemu nimi Hieronowi tylko tyle, żeby nie

zezwał swoją armię na wyjście poza granice Syrakuz oraz w razie potrzeby zapewniał rzymskim jednostkom kotwicowisko. To z tego powodu Hamilkar wiedział, że jego przybycie wiąże się ze sporym ryzykiem. Gdyby trirema faktycznie okazała się rzymskim okrętem wojennym, *Alissar* z łatwością by ją pokonała, ale Hamilkar nie mógł pozwolić sobie na pogorszenie relacji Hierona z Rzymem, co z pewnością nastąpiłoby, gdyby zniszczył jeden z rzymskich statków w syrakuzzańskim porcie. Zachowanie dyskrecji było teraz decydujące.

Alissar płynęła przez zatłoczony port szybko, w czym pomagało to, że wszystkie inne jednostki usuwały się jej z drogi, a Hamilkar uśmiechnął się ponownie, słysząc, jak jego załoga wykrzykuje pozdrowienia pod adresem Kartagińczyków na pokładach wielu statków handlowych. Sycylia stanowiła pole bitwy, ale port w Syrakuzach był wciąż otwarty, a dla handlu istniało niewiele granic, z pewnością nie w ośrodku znajdującym się na jednym z najważniejszych szlaków morskich prowadzących ze wschodu na zachód. *Alissar* przybiła bezzwłocznie do brzegu i Hamilkar zszedł po trapie wraz z czteroosobową strażą. Wydał komendę, aby jego galera zajęła miejsce w zewnętrznym porcie, a ona natychmiast odpłynęła. Jej wyważony kadłub zawrócił na odcinku równym jednej długości statku, a dwieście siedemdziesiąt wiosł jednocześnie wbiło się w wodę i wzburzyło jej powierzchnię.

Hamilkar przeszedł pospiesznie nabrzeżem, a jego

straż podążała czujnie za nim, obejmując dłońmi rękojeści mieczy. Barkas dostrzegł przed sobą wyładowujący towary rzymski statek handlowy i przesunąwszy wzrokiem po jego pokładzie, odnalazł na rufie kapitana. Rzymianin z pewnością widział, jak *Alissar* przybija do brzegu, i Hamilkar zdawał sobie sprawę, że teraz obserwuje ukradkiem każdy jego krok. Odwzajemnił się złowrogim spojrzeniem i uśmiechnął w duchu, kiedy Rzymianin się odwrócił. Barkas wiedział, że kapitan doniesie o tym, że go widział, ale nie przejmował się tym. Upłynie wiele dni, zanim meldunek dotrze do Rzymu, a poza tym samotna kartagińska galera w Syrakuzach nie stanowiła raczej wielkiego powodu do zmartwienia.

Hamilkar i jego ludzie opuścili tłoczne nabrzeże i zaczęli się przeciskać po labiryncie uliczek, a strzeliste mury pałacu Hierona nieomylnie wskazywały im drogę. Ulice otworzyły się na wielki plac tuż przed strzeżonym wejściem do pałacu i Hamilkar skorzystał z okazji, żeby przyjrzeć się zwróconej na wschód fasadzie budowli, ponieważ poprzednim razem odwiedził to miejsce w nocy, ponad dwa miesiące wcześniej. Jej architektura nie była złożona: były to umocnienia zbudowane na planie kwadratu z wieżami strażniczymi na każdym rogu. Budynek zaplanowano bardzo mądrze – jak przystało na dowódcę, Barkas przesunął wzrokiem po wysokich na dziewięć metrów murach w poszukiwaniu słabego punktu, i nie znalazł żadnego.

Kartagińczycy przecięli plac na ukos, a ponieważ

wyraźnie było widać, że są żołnierzami, każdy ich krok obserwowano uważnie z umocnień. Hamilkar podszedł do strażników przy bramie i szorstko zażądał spotkania z dowódcą pełniącym tego dnia służbę. Gdy ten pojawił się bezzwłocznie, Hamilkar przedstawił się i poprosił o natychmiastową audiencję u władcy. Całą grupę odprowadzono do stróżówki, a dowódca zniknął, aby po chwili wrócić i zezwolić Hamilkarowi na samotne przejście do komnaty audiencyjnej.

Wchodząc coraz wyżej i głębiej w labirynt pałacu, Hamilkar zerkał na wszystkie strony. Strażnicy idący przed nim maszerowali szybko, wyczuwając, jak ważny jest ów kartagiński dowódca, któremu od razu zezwolono na audiencję. Wszystkie przecięcia korytarzy i podesty schodów były strzeżone, lecz Hamilkar i jego eskorta mijali kolejnych wartowników bez zatrzymywania się, aż w końcu dotarli do ozdobnych zewnętrznych drzwi prowadzących do sali audiencyjnej. Te otworzyły się bez rozkazu i eskorta się rozproszyła.

Komnata miała sklepiony sufit wzmocniony skomplikowanym systemem dźwigarów i podtrzymywany przez kolumny ustawione na całej długości prostokątnego pomieszczenia. Hamilkar ruszył samotnie po dywanie na drugi koniec komnaty, gdzie znajdowało się podwyższenie. Hieron siedział tam na niskim stołku, na poduszce po jego lewej usadowił się doradca, a dwa kroki za władcą stał nieruchomo oddział straży. Wszędzie dookoła rozrzucono wiele poduszek i Hamilkar odniósł

wrażenie, że jeszcze przed chwilą wszystkie one były zajęte, a Hieron postanowił opróżnić komnatę na wieść o tym, kto zaraz przybędzie. Biorąc pod uwagę temat, który mieli omówić, było to rozsądne posunięcie.

Hamilkar zatrzymał się w dyskretnej odległości od podestu i pochylił głowę z szacunkiem, nie spuszczać oczu z Hierona i szukając na twarzy władcy jakiegokolwiek wskazówki co do jego myśli, lecz miał nieprzeniknioną minę. Barkas wyprostował plecy i poczekał, aż władca się do niego zwróci.

– Dobrze cię widzieć, młody Barkasie – powiedział Hieron.

– Dziękuję, panie! – odparł Hamilkar, uśmiechając się w duchu. Władca nie był starszy od niego samego, może nawet o rok czy dwa młodszy, ale Kartagińczyk uznał, że jeśli miarą wieku mężczyzny mają być jego osiągnięcia, Hieron faktycznie był o cały żywot starszy od niego.

– Chciałeś ze mną rozmawiać? – ciągnął władca.

– Tak, panie, chciałem osobiście poinformować cię o moich planach.

Doradca Hierona natychmiast wstał i wyszeptał mu coś do ucha.

Hieron kiwnął głową i gestem nakazał przybyszowi mówić dalej.

– Jak być może wiesz, panie – zaczął Hamilkar – dzięki zwycięstwu pod Terme moje siły ponownie odwróciły sytuację na korzyść Kartaginy.

– Nie było to tak całkowite zwycięstwo, jak mógłbyś sobie życzyć – powiedział Hieron, uważnie przyglądając się reakcji kartagińskiego dowódcy. – Podobno wiele rzymskich galer uciekło.

– A jednak – odparł Hamilkar, nie tracąc zimnej krwi – zwycięstwo zostało zapewnione i teraz jestem na pozycji, z której mogę wraz z armią podążać na wschód.

– Jak daleko na wschód? – spytał Hieron.

– Do granic Syrakuz, panie, aby rozszczepić tereny Rzymian na dwie części.

Hieron pokiwał głową, pochwalając śmiałość tego planu. Oczyma duszy zobaczył mapę Sycylii, gdzie na zachodzie panowali Kartagińczycy, na wschodzie leżały Syrakuzy, a te dwa obszary oddzielały ziemie Rzymian biegnące wzdłuż osi wyspy.

– Wiele ryzykujesz, ujawniając mi swoje plany, Barkasie – powiedział po chwili milczenia władca, uśmiechając się.

– Nie więcej niż ty już zaryzykowałeś, panie, pozwalając moim statkom zrobić użytek z Tyndaris mimo przymierza z Rzymem.

Hieron uśmiechnął się jeszcze szerzej. Podobała mu się pewność siebie tego Kartagińczyka: dorównywała jego własnej. Zezwolił Ham i Ikarowi na skorzystanie z Tyndaris, ponieważ rezultat wojny wciąż jeszcze był niepewny, a on chciał, żeby ostateczny zwycięzca – kimkolwiek by był – pamiętał Syrakuzy jako sprzymierzeńca.

– Dlaczego jednak mi je wyjawiasz? – zapytał.

– Ponieważ kiedy moja armia dotrze do twojej granicy, Syrakuzy będą miały okazję zrzucić jarzmo Rzymu i zawrzeć jawne przymierze z Kartaginą.

– Przeskoczyć z paszczy jednego ujadającego wilka między zęby drugiego? – spytał Hieron.

– Kartagina od dawna jest sojusznikiem Syrakuz, panie. Jesteśmy do siebie bardzo podobni. Pragniemy jedynie w spokoju parać się handlem, nie chcemy poddaństwa i dominacji, których żąda Rzym.

Hieron kiwnął głową, szukając w słowach Kartagińczyka ukrytej prawdy. Jego doradca ponownie się podniósł, aby powiedzieć mu coś szeptem na ucho.

Hamilkar czekał w milczeniu, na nowo zzymając się z powodu konieczności tak wczesnego wyjawienia Hieronowi swojej strategii. Była ona spowodowana planami Hannona co do stłumienia wojny na Sycylii oraz potrzebą zwycięstwa, które przydałoby się jego ojcu jak najszybciej.

– A co z Tyndaris? – spytał Hieron. – Docierają do mnie plotki, że Kartagina korzysta z usług piratów na Morzu Tyrreńskim, przy zachodnim wybrzeżu Italii.

Hamilkar zaklął w duchu. Syrakuzańczyk był zdecydowanie zbyt dobrze poinformowany.

– Nie piratów, panie, lecz najemników, którzy dobrze znają wody terytorialne Rzymu.

Hieron przytaknął, a na jego twarzy pojawił się przebiegły uśmiech.

– Piratów i najemników dzieli cienka linia, Barkasie – zauważył.

– Tak jest, panie.

Hieron ponownie przybrał stanowczy wyraz twarzy, a jego głos stał się ostry:

– Ufam, że przedsięwziąłeś wszelkie środki ostrożności, żeby Rzymianie nie dowiedzieli się o twoich poczynaniach i moim w nich udziale.

– Bądź spokojny, panie, najemnicy działają pod surową kontrolą jednego z moich najświetniejszych dowódców i zgodnie z jego rozkazami eliminują wszystkich świadków.

Hieron znów kiwnął głową. Zapewnienia Kartagińczyka były nieszczerze, a on wiedział, że jest jedynie kwestią czasu, zanim tajemnica Tyndaris wyjdzie na jaw. Mimo to wciąż uważał swoją decyzję za rozsądną – jeśli Kartagińczycy faktycznie odwrócili losy wojny.

– No dobrze, Barkasie – powiedział – będę się uważnie przyglądał twojej kampanii i kiedy nadejdzie odpowiednia chwila... jeśli nadejdzie... moja armia przyłączy się do twojej.

Hamilkar skłonił się i ruszył powoli do tyłu, nie podnosząc głowy. Kiedy cofnął się na dwadzieścia kroków, wyprostował się i odwrócił, pilnując swojej postawy, a drzwi prowadzące z komnaty ponownie otwarto. Przeszedł przez nie, a kiedy usłyszał, że je zamknięto, zatrzymał się i obejrzał przez ramię na misterne wzory na ich skrzydłach: greckie motywy

przypominały o korzeniach Hierona i jego ludu. „Kiedy nadejdzie odpowiednia chwila... jeśli nadejdzie” – powiedział władca, a Hamilkara rozgniewało jego zachowawcze podejście. Jego niechęć do zobowiązania się zrzucała cały ciężar odpowiedzialności na zastępy Kartaginy. Jeśli się im powiedzie, Syrakuzy staną się jawnym sprzymierzeńcem, a jeśli nie – Hieron będzie mógł się wyprzeć tego, że kiedykolwiek istniał między nimi jakiś pakt.

Eskorta Hamilkara wróciła, aby ponownie zaprowadzić go do bramy pałacu, ruszył więc jej śladem. Wyprostował plecy i sięgnął do rękojeści miecza. Kilkakrotnie zgiął i rozprostował palce, po czym chwycił mocno rzeźbioną rękojeść z kości słoniowej. Przed sobą miał rzymskiego nieprzyjaciela, zakrwawionego, lecz bynajmniej nie pokonanego. Za sobą miał ostrożnych ludzi z Kartaginy i Syrakuz, którzy żądali zwycięstwa, zanim w pełni zaangażują się w wojnę. Hamilkar i jego ludzie stali pośrodku, waleczni i pewni swego, za jedynych sprzymierzeńców mając miecz oraz tarczę. Na tę myśl Hamilkar mocniej ścisnął oręż, postanawiając dorównać siłą woli kutemu żelazu swojej klingi.

Hadria przesunęła powoli dłonią w dół torsu Attyka, podczas gdy on mówił, muskała palcami kontury jego ciała, dotykała lekko pomarszczonej skóry pokrywającej jego blizny; była nimi zafascynowana i chciała znać opowieść o powstaniu każdej z nich. Attyk leżał na plecach z głową ułożoną na przedramieniu i patrząc w

sufit, relacjonował wydarzenia ostatnich trzech miesięcy, odpowiadając na jej pytania. W intymnej sypialni Hadrii mówił nienaturalnie cicho. Hadria leżała na boku z nogą przerzuconą w poprzek ciała Attyka, tak że czuł lekki nacisk łagodnej krzywizny jej uda, a głowę oparła o ramię. Słońce zbliżało się do zenitu i żar późnego lata spowił pomieszczenie w rozleniwiający całun gorąca, aż ciała kochanków połyskiwały lekko potem.

Attyk opowiedział o Terme, ale nie wspomniał o swojej konfrontacji z Warronem, nie chcąc niepokoić Hadrii. W końcu opisał podróż do Rzymu i to, jak uratowali rozbitka z *Fides*, a na myśl o wciąż niezrozumiałej taktyce piratów znów zmarszczył czoło.

– A co z Septymusem? – spytała Hadria, kiedy skończył. – Wspominał o mnie w rozmowie z tobą?

– Wrócił na pokład *Aquili* dopiero w Terme – odparł Attyk. – Nie rozmawialiśmy o tobie, od kiedy pokłóciliśmy się kilka miesięcy temu pod murami Rzymu.

Hadria zrobiła lekki grymas.

– Musimy powiedzieć mu, że się kochamy – rzekła.

Attyk odwrócił głowę, żeby spojrzeć jej w twarz, i położył dłoń na jej policzku.

– Wielu tutejszych niewolników to domownicy mojego ojca – ciągnęła. – Przemieszczają się swobodnie między dwoma gospodarstwami i z pewnością będą o tym rozmawiać. To tylko kwestia czasu, zanim ktoś z mojej rodziny podsłucha jakieś nieuważne słowo.

Attyk pokiwał głową: wiedział, że prędzej czy

później – a raczej prędzej – czeka go nieunikniona konfrontacja z Septymusem, ponieważ od czasu ich ponownego spotkania w Terme znów przebywali blisko siebie.

– Pomówię z nim – powiedział.

– Nie – zaprotestowała Hadria – to musi wyjść ode mnie. On musi wiedzieć, co ja czuję.

Attyk ponownie przytaknął, badając własne uczucia. Hadria uważała, że dezaprobata Septymusa względem zalotów Attyka wiąże się z tym, że jej pierwszy mąż – i zarazem najlepszy przyjaciel Septymusa – zginął w bitwie. Septymus chciał ochronić siostrę, a może i siebie samego, przed ponownym bólem takiej straty. Attyk rozumiał podejście Hadrii, ale złapał się na tym, że wciąż powraca do swojej pierwszej interpretacji: Septymus nie pochwalał ich związku, ponieważ Attyk był Grekiem i przez to nie mógł być brany pod uwagę jako ewentualny małżonek Hadrii. Attyk wiedział, że to oskarżenie jest nie na miejscu, a jednak tylekroć już spotkał się z uprzedzeniami ze strony Rzymian, że trudno było mu zignorować to przeczucie.

Ktoś łagodnie zastukał do drzwi, wdzierając się w zacisze ich świata, i Hadria wyskoczyła z łóżka. Nagość tylko podkreśliła jej urodę, a Attyk znów się uśmiechnął.

– Moja ciotka! – wykrztusiła Hadria, obawiając się najgorszego i wciągając tunikę. – Miała być cały dzień poza domem.

Niepokój Hadrii udzielił się Attykowi, szybko więc

się ubrał. Gdyby nakryto ich teraz, o krok od ujawnienia ich związku, obojgu groziłaby całkowita kompromitacja. Attyk przeklął Fortunę za jej kapryśność. Hadria uchyliła drzwi i wyjrzała na zewnątrz, po czym jej ramiona wyraźnie się rozluźniły, kiedy zobaczyła jednego ze służących. Attyk słuchał przytłumionej wiadomości, choć nie docierały do niego szczegóły. Hadria zamknęła drzwi i odwróciła się do niego, a na jej twarzy malowała się mieszanina radości i żalu.

– Posłaniec z domu mojego ojca – powiedziała. – Septymus wrócił i mam tam natychmiast pójść.

Antoninus Letoniusz Kapito stał wyprostowany, nieświadomie dotykając palcami okropnej blizny znaczącej lewą stronę jego twarzy. Septymus siedział naprzeciwko niego z kubkiem wina w ręce, a poduszki u jego boku wciąż były pomięte: jego matka, Salonina, siedziała obok jeszcze chwilę temu. Wciąż czuł na ramieniu dotyk jej ręki, którym upewniła się, że syn wrócił cały i zdrowy.

Antoninus zaczął się przechadzać po pokoju powolnymi, ale płynnymi ruchami. Jego oczy nadal miały władcze wejrzenie centuriona Dziewiątego legionu. Niskim, zachrypniętym głosem zaczął zadawać synowi przenikliwe pytania na temat szczegółów bitwy pod Terme; jego wyobraźnia wojskowego pozwalała mu wyraźnie odtworzyć w myślach całą potyczkę.

– Megellus to głupiec – podsumował, kiedy

Septymus już skończył. – Powinien był wytrzymać na otwartym terenie, a nie unieruchamiać swoje oddziały w wąskich uliczkach.

– Kartagińska jazda liczyła niemal tysiąc ludzi – zaprotestował Septymus – a Dziewiąty miał zmniejszoną liczebność.

– Zmiękłeś, od kiedy stałeś się żołnierzem floty, chłopcze – prychnął pogardliwie Antoninus. – Zapomniałeś, na co stać legion. Na Marsa, mój manipuł by wytrzymał.

– A zatem twój manipuł zostałby wycięty w pień – odparował Septymus, zmęczony pogardą, jaką ojciec okazywał żołnierzom floty.

– I udało ci się uciec drogą morską? – Na twarzy Antoninusa widać było cień lekceważenia.

– Moim obowiązkiem jest dowodzić ludźmi na pokładzie *Aquili*.

– Twoje obowiązki powinny być względem Dziewiątego, jak i moje w przeszłości – powiedział Antoninus, stojąc sztywno przed swoim synem. Jego blizna bieląla wyraźnie na tle zaczerwienionej twarzy. – Gdzie twoje poczucie honoru? – warknął.

Septymus poderwał się, ściskając kubek z całej siły i z coraz większym gniewem odwzajemniając żelazne spojrzenie ojca.

– Jestem centurionem i mój honor nie podlega kwestii – powiedział, robiąc pół kroku do przodu. Jego dłoń drżała, a mięśnie ramienia były napięte, gotowe do ciosu.

Antoninus dostrzegł postawę Septymusa i podziękował Jowiszowi, że chłopak nie jest uzbrojony. Z pewnością nie brakowało mu temperamentu i wydawało się, że ledwie kontroluje swoją wojowniczość. Po raz pierwszy w życiu Antoninus był ciekaw, jakim centurionem jest jego syn; kiedy sam odpowiedział sobie na to pytanie, na jego twarzy pojawił się lekki uśmiech.

Nagle do pomieszczenia weszła Salonina i zatrzymała się w pół kroku, wyczuwając napiętą atmosferę i widząc agresywne pozy obu mężczyzn. Rzuciła spojrzenie mężowi, który stał twarzą do niej, i już wiedziała, że sprowokował Septymusa, że wyraził rozczarowanie, o którym często jej wspominał. Powstrzymała słowa nagany i przeniosła wzrok na syna.

– Septymusie – powiedziała z wymuszonym uśmiechem – przybyła Hadria.

Dźwięk głosu matki wyrwał syna z gniewnego zapamiętania. Odwrócił się plecami do ojca i spojrzał w stronę wejścia. Wkroczyła zarumieniona z pośpiechu Hadria; przez chwilę stała bez ruchu, uśmiechając się, a potem objęła brata. Salonina wskazała sofę i wszyscy usiedli, a Hadria natychmiast wyczuła konflikt między ojcem i Septymusem.

Pod dyplomatyczną kuratelą Saloniny rozmowa przeszła na lżejsze tematy i wkrótce wszyscy się odprężyli, a najważniejszą kwestią stały się wieści o nieobecnych braciach Septymusa, Tyberiuszu i Klaudiuszu. Obaj zajmowali się handlem i wspólnie

nadzorowali większą część majątku rodziny, który znacznie zwiększył się wraz z eskalacją wojny na Sycylii: zapotrzebowanie na surowce do budowy okrętów stworzyło okazję do wzbogacenia się, jakiej nie widziano od pokolenia.

– Kiedy znów wypływasz? – spytała Hadria ciekawa, na jak długo Attyk zostanie w Rzymie.

– Nie wiem – odparł Septymus i opowiedział o swoim przybyciu do Ostii, o tym, jak przechwycono *Aquilę* i trzymano załogę siłą w koszarach w oczekiwaniu, aż Warro złoży raport senatowi.

Załogantów wypuszczono dopiero tego ranka, a Septymus natychmiast rozkazał załodze i swoim ludziom udać się do bazy floty.

– Nie pojechałeś z nimi? – spytał odruchowo Antoninus. Miejsce dowódcy było przy jego ludziach.

– Nie, ojczy – odpowiedział Septymus i szybko opisał im, jak to poprzedniej nocy nieznani ludzie wyprowadzili Attyka z ich celi i zabrali go nie wiadomo dokąd. – Możliwe, że to Warro kazał go odprowadzić pod strażą – zakończył Septymus. Widać było, że się martwi.

– Nie, on... – powiedziała bez zastanowienia Hadria, impulsywnie chcąc uspokoić brata. – To znaczy, jestem pewna, że on... – ciągnęła, zastanawiając się gorączkowo. – Dlaczego Warro miałby chcieć trzymać go pod strażą?

Septymus wyjaśnił jej wszystko na temat konfrontacji Attyka z Warronem pod Terme, ale minę miał zdumioną, rozmyślając o pierwszej reakcji Hadrii. Ona sama czuła

tylko narastający niepokój spowodowany niebezpieczeństwem, które groziło Attykowi i które przed nią zataił. Septymus skończył mówić i ponownie zerwał się z miejsca, kiedy nagle zdał sobie sprawę z tego, co chciała powiedzieć Hadria.

– Muszę iść – powiedział, gdy pozostali wstali wraz z nim.

– Dokąd? – spytał jego ojciec.

– Muszę znaleźć Attyka, choć zdaje się, że wiem już, gdzie jest. – Septymus dotknął lekko ręki matki, wymijając ją, po czym opuścił pokój zdecydowanym krokiem, nie oglądając się na Hadrię ani na ojca. Siostra pobiegła za nim i dogoniła go, gdy stał w atrium, przypasując miecz.

– Septymusie – powiedziała, kładąc mu rękę na ramieniu – muszę z tobą porozmawiać.

– Byłaś z nim poprzedniej nocy – powiedział Septymus, obracając się w jej stronę z rozwścieczoną miną.

– Tak – odparła szybko Hadria. – To Duiliusz wezwał Attyka z Ostii. Attyk dowiedział się od niego, że reszta załogi zostanie wypuszczona tego ranka, więc przyszedł się ze mną zobaczyć.

– Zobaczyć się z tobą – powtórzył pogardliwie Septymus. – I tak to można nazwać.

– Jesteśmy w sobie zakochani – odcięła się Hadria, nagle rozzłoszczona tym, jak Septymus deprecjonuje ich związek.

Jej oświadczenie zszokowało Septymusa. Nie zdawał sobie sprawy, że ich relacja jest tak głęboka.

– Zdradził mnie – odparował. – Powiedziałem mu, żeby się do ciebie nie zalecał.

– Nie miałeś prawa tego robić, Septymusie. Ani Attyk, ani ja nie mamy wobec ciebie żadnych zobowiązań.

– Jeszcze zobaczymy – uciał Septymus i wyszedł na dziedziniec, po czym jednym ruchem dosiadł pożyczonego wierzchowca. Wyjechał galopem za bramę, a przechodnie na ulicy musieli uciekać spod kopyt jego konia. Ich gniewne wrzaski zagłuszyły okrzyki, którymi Hadria prosiła go, żeby wrócił.

Warro zebrał całą odwagę i skierował się w stronę drzwi w siedzibie starszego konsula, która przylegała do kurii. Z ponurą satysfakcją zauważył, że jego dłoń się nie trzęsie, i kilka razy rozprostował i zacisnął palce; ta prosta czynność uspokoiła go jeszcze bardziej. Nie rozmawiał z ojcem od czasu, kiedy poprzedniego dnia spotkał go w towarzystwie Scypiona – wkrótce potem senat wznowił obrady, a ojciec nie wrócił na noc do domu. O świcie Warro otrzymał wezwanie, aby stawić się w prywatnej kwaterze Regulusa, co uniemożliwiło mu jakąkolwiek rozmowę z ojcem i zapytanie go o rezultat jego wstawiennictwa.

Warro wszedł do komnaty konsula zdecydowanym krokiem, ale natychmiast się zawahał i zwolnił, a jego

wzrok powędrował ku górze, w stronę kopulastego sufitu i gry światła – promienie zachodzącego słońca płynęły przez *oculus* umieszczony w najwyższym punkcie sklepienia i tworzyły elipsę przemieszczającą się wraz z upływem czasu po pomieszczeniu. Komnatę zbudowano na planie koła, co wyróżniało ją na tle innych pomieszczeń przylegających do kurii – wszystkie były kwadratowe lub prostokątne – i przejęty Warro odniósł wrażenie, że oto faktycznie znalazł się w miejscu stanowiącym ośrodek władzy nad Rzymem.

Trybun otrząsnął się i spojrział na środek komnaty. Za potężnym stołem o marmurowym blacie siedział Regulus, pochylony do przodu i oparty rozpostartymi dłońmi o gładką powierzchnię, a za jego lewym ramieniem stał Scypion, którego orle rysy podkreślało padające od góry światło. Warro zatrzymał się o metr od stołu i stanął na baczność, salutując z przepisową dokładnością i patrząc w punkt nieco ponad głową Regulusa.

– Tytus Aureliusz Warro stawia się na rozkaz, konsulu – powiedział, a jego głos zakłócił niemal świątynną ciszę panującą w komnacie.

– Warro – odparł Regulus pełnym dezaprobaty głosem i wstał. Kiedy konsul ruszył w prawo, Warro zerknął na Scypiona z nadzieją, że zobaczy na jego twarzy jakiś ślad poufałości i przymierza, powstały w rezultacie spotkania z jego ojcem, ale Scypion nie spuszczał wzroku z Regulusa.

Trybun spojrział ponownie przed siebie, a starszy

konsul mówił dalej.

– Przez całe wczorajsze popołudnie, Warronie, słuchałem wielu głosów w senacie, a każdy z nich wyrażał silniejsze potępienie niż poprzedni.

Warro wciąż patrzył przed siebie, usiłując zignorować te słowa i skupić się tylko na decyzji co do jego losu. Regulus wciąż krążył po izbie, aż stanął dokładnie za trybunem.

– Jednak podczas całej tej debaty – ciągnął – wiedziałem, że tylko jeden głos może zaważyć na twojej przyszłości... mój.

Regulus przerwał na chwilę i znów zapadła przytłaczająca cisza, aż Warro słyszał wyłącznie własny oddech.

Konsul usiadł i podniósł oczy o opadających powiekach na nieruchomego trybuna.

– Spójrz na mnie – rozkazał, a Warro opuścił wzrok, aby popatrzeć mu w oczy.

– Zawiodłeś Rzym – powiedział Regulus pełnym potępienia głosem – i musisz być za to ukarany. Niniejszym odbieram ci rangę i wszelkie przywileje. Masz stawić się w Czwartym legionie stacjonującym w Felsynie. Tam odsłużysz resztę czasu jako zwykły legionista.

Kiedy mimo narastającej rozpaczony Warro pojął w pełni znaczenie tego wyroku, oczy mu się zaszklily. Położona na północnej granicy republiki Felsyna, gdzie galijskie plemiona nieprzerwanie atakowały rubieże

Rzymu, była polem bezustannej walki. Stacjonujący tam legion – Czwarty – uznawano za najtwardszy w całej republice, ale też średnia długość życia jego żołnierzy była bardzo niska. Jako zhańbionego trybuna, anomalię wśród dumnych legionistów, czeka go ledwie kilka tygodni życia, czy spotka wroga w bitwie, czy nie.

– Odejść! – powiedział Regulus.

Z ogromnym wysiłkiem woli Warro wyprostował się i ponownie zasalutował. Okręcił się na pięcie i wyszedł z pomieszczenia.

– Jest inna opcja, Regulusie – powiedział Scypion, kiedy oddalające się kroki trybuna już ucichły. Obszedł powoli stół, aż stanął twarzą w twarz z konsulem. Regulus podniósł pytająco brwi.

– Mógłbyś oszczędzić Warronowi pełnego wymiaru kary – powiedział Scypion.

– Oszczędzić go? – rzucił kpiąco Regulus. – Niemożliwe. Musi odpowiedzieć za swoje czyny.

– Ale do jakiego stopnia? – Scypion zaczął rozwijać swój starannie przygotowany argument. – Słyszałem relacje z bitwy, które każą sądzić, że winy za porażkę nie ponosi wyłącznie on.

– Oczywiście, że tak – powiedział lekceważąco Regulus. – Dowodził flotą.

– Są jednak doniesienia o zaniedbaniu obowiązków, które utrudniło mu dowodzenie.

– Kogo dotyczą? – spytał Regulus, szukając w wyrazie twarzy Scypiona oznak nieuczciwości, i choć nie

znalazł żadnych, zachował czujność.

– Kapitana Perennisa z *Aquili* – odparł Scypion.

– Perennisa, kapitana Duiliusza spod Myle? – spytał z niedowierzaniem Regulus. – Kto wysunął te oskarżenia?

– Nie mogę ujawnić moich źródeł – powiedział Scypion i znów zaczął przechadzać się po pokoju. – Dość rzec, że ich wiarygodność jest bezsporna, i wydaje się teraz jasne, iż Warro nie ponosi całej odpowiedzialności za porażkę. Co więcej, należy wyrazić uznanie względem jego dzielnej akcji, dzięki której uratował *hastati* Dziewiątego.

Scypion nie patrzył na konsula, nie chcąc dawać Regulusowi szansy na zorientowanie się, że blefuje. Jego „źródłem” był sam Warro – więc z pewnością nie było ono wiarygodne – ale słowa trybuna służyły jego celowi, a poza tym już i tak obiecał Kalwusowi, że wstawi się za jego synem, choć nie miał zamiaru kiedykolwiek zawiadamiać Regulusa o tej umowie.

– Ale co z kwestią winy, Scypionie? – zapytał Regulus. – Utrata tylu galer nie może mu ujść na sucho.

– A utraty lojalnego trybuna z szanowanego rodu nie można usprawiedliwić samą chęcią usatysfakcjonowania sędów z senatu – powiedział Scypion.

– Co zatem sugerujesz?

– Odbierz mu stopień trybuna, ale zostaw mu niewielki zakres dowodzenia, oddział galer na Sycylii – zaproponował Scypion – i wypędź go z Rzymu, aż nie wygramy wojny. Da mu to okazję na zrehabilitowanie się.

Regulus znów pochylił się do przodu, rozmyślając nad sugestią senatora. Scypion przyglądał mu się w milczeniu, czekając, aż starszy konsul zgodzi się z jego zgrabnie przeprowadzonym rozumowaniem. Przyjęta była skomplikowana, a podstęp ze źródłami mało szlachetny, ale Scypion był zadowolony ze swojego podejścia. Potrzebował obecności Warrona na Sycylii, jeśli jego plan miał się powieść, ale bezpośrednie prośenie Regulusa o pobłażliwość było poniżej jego godności. Scypion wolał zasadzić, a potem pielęgnować ziarno pomysłu w umyśle innego człowieka, nagiąć jego wolę bez jego świadomości, pozwolić mu uwierzyć, że sam wpadł na dany pomysł, aby ostatecznie wypełnić polecenie Scypiona, nie zdając sobie nawet z tego sprawy.

– Nie zgadzam się – oświadczył Regulus, znów siadając prosto na krześle. – Mój pierwszy wyrok był rozsądny. Warro zostanie wysłany do Felsyny.

Przez moment Scypion nie wierzył własnym uszom i dopiero kiedy poczuł, że wbija paznokcie w miękkie ciało swoich dłoni, zdał sobie sprawę, że konsul zaoponował.

– Regulusie – powiedział, czując w gardle żółć powstrzymywanego gniewu. – Nalegam, abyś rozważył to ponownie.

– Nie, Scypionie – odparł Regulus. Nie patrzył już na senatora. – Jestem zdecydowany. Podtrzymuję wyrok.

– Masz go wycofać – zażądał Scypion. Porzucił już swój zwyczajowy takt; wściekłość sprawiła, że odezwał się kategoriycznym tonem.

– Jak śmiesz! – krzyknął Regulus. Wstał, waląc pięścią w marmurowy blat stołu. – Jestem starszym konsulem i...

– Jesteś starszym konsulem wyłącznie dzięki mnie – syknął Scypion. – Nigdy o tym nie zapominaj.

Regulus otworzył usta, żeby się znów odezwać, ale Scypion go uprzedził.

– Będziesz wypełniał moje rozkazy, Regulusie – powiedział – albo przestanę udzielać ci poparcia.

– Nie potrzebuję... – zaczął konsul.

– Dokładnie to przemyśl, Regulusie – przerwał mu ponownie Scypion. – Może i masz tytuł starszego konsula, ale obaj wiemy, kto ma prawdziwą władzę. Jeśli mi się przeciwstawisz, staniesz się dowódcą jedynie z nazwy, będziesz bezsilny.

Regulus poczuł, że gniew wzbiera w nim i pali go w piersi, ale go powstrzymał, przełykając to upokorzenie. Wiedział, że pogróżki Scypiona nie są czcze, i zwrócił swą furię przeciwko samemu sobie, przeklinając własną pychę. Wiedział, że Scypion wykorzystuje go do własnych celów, ale lekceważył to, sądząc, że ich układ jest partnerski. Ambicja zaślepiła go na tyle, że uznał, iż Scypion nie pragnie niczego poza zwykłą zemstą, i ten niewybaczalny błąd w ocenie sytuacji tylko podsycił jego gniew. Ponadto wygrał wybory nie tak przytłaczającą większością, jak się spodziewał – wielu patrycjuszy zastosowało się do wezwania Duiliusza i zagłosowało na Longusa – więc poparcie Scypiona okazało się niezbędne.

Teraz Regulus wiedział już, że Scypion ma go w garści, a kiedy zdał sobie z tego sprawę, poczuł, że ponownie budzą się w nim zapomniane instynkty, wyrafinowany polityczny talent, który już wcześniej wyniósł go na pozycję starszego konsula, ale który osłabł podczas lat spędzonych na obrzeżach senatu. Konsul zmienił nieco pozycję na krześle i zmusił się do rozluźnienia ramion, żeby zrobić wrażenie posłusznego. Nadejdzie jeszcze chwila, kiedy będzie mógł stawić czoło Scypionowi, więc jak na razie nie podnosił głowy, pewien, że senator dostrzegłby na jego twarzy cień buntu.

Scypion stanął przed stołem, oddychając głęboko, aby znów nad sobą zapanować. Wiedział, że konfrontacja z Regulusem była nieunikniona, ale przeklinał fakt, że nastąpiła w nieodpowiednim momencie i że stracił panowanie nad sobą, co uniemożliwi mu dalsze subtelne manewrowanie wolą Regulusa. Teraz trudniej będzie mu kontrolować konsula: znajomość motywów Scypiona sprawi, że będzie wrogo nastawiony.

Scypion rozważył krótko przyczyny swojej nieustępliwości w kwestii Warrona i z zadowoleniem uznał, że jest ona uzasadniona. Warro musiał wrócić na Sycylię, ale tylko Regulus mógł go ułaskawić. Jeśli ceną za to musiało być zdradzenie się przed Regulusem, trudno; czym bowiem jest władza, jeśli nie można jej użyć do zniszczenia swoich wrogów?

ROZDZIAŁ ÓSMY

Warro siedział samotnie w gabinecie ojca. Głowę wspierał na obu rękach, a nastrój miał ponury i agresywny. Gdzieś z labiryntu pokojów w głębi domu słychać było śmiech i głosy dzieci jego siostry; były w dobrych humorach, nieświadome posępnej atmosfery reszty domostwa. Wściekły ojciec Warrona już odmaszerował. Nie potrafił znieść ostatecznej ruiny swoich ambicji względem syna, a jego gniewna tyrada wciąż dźwięczała młodemu mężczyźnie w uszach.

Trybun wstał i zaczął krążyć po pokoju, przeklinając Fortunę za to, że znów go porzuciła, przeklinając Scypiona za jego nieudolność, przeklinając ojca. Jednak poza tym wszystkim widział oczyma duszy tylko twarz Perennisa, tego greckiego sukinsyna, który spowodował jego upadek. Początkowo Warro chciał jego śmierci za to, że go uderzył. Potem, kiedy porażka stała się rzeczywistością, a całą odpowiedzialność i winę zrzucano na Warrona, dostrzegł inne przewinienie kapitana, o którym po raz pierwszy powiedział głośno przy Scypionie. Sądził, że to Perennisa należy naprawdę winić za Terme, że jego lojalność budzi podejrzenia i że zaniedbał swoich obowiązków jako dowódca floty. Trybuna zaczęła dręczyć jedna myśl: Perennis był winien, ale to on sam zapłacił za klęskę reputacją i karierą.

Warro stanął w miejscu na odgłos głośnego stukania i

odwrócił się w stronę drzwi. Pojawił się niewolnik, który natychmiast struchlał pod jego spojrzeniem.

– Przybył posłaniec, panie – ogłosił. – Senator Scypion chce cię natychmiast widzieć w swojej rezydencji.

Warro stał przez chwilę w milczeniu, zastanawiając się nad możliwą przyczyną wezwania. Obudziła się w nim mała isierka nadziei i bezzwłocznie wyminął służącego. Do posiadłości Scypiona, położonej na przeciwległym zboczu Kapitolu, było niedaleko. Uderzył niecierpliwie w odrzwia, które otworzył ciężko uzbrojony wartownik w czarnej pelerynie. Dostrzegając toę trybuna, żołnierz stanął na baczność, ale kiedy Warro go mijał, rozpoznał go i rozluźnił pozycję, a kącik jego ust uniósł się w bezczelnym uśmiešku.

Nieświadom niczego Warro przeszedł do dalszej części domu, mówiąc mijanemu służącemu, aby przekazał senatorowi, że jego gość jest już na miejscu. Niecierpliwie odczekał chwilę w atrium, a potem zaprowadzono go jeszcze dalej, na mały wewnętrzny dziedziniec na tyłach rezydencji. Pośrodku siedział Scypion i zgłębiał trzymane w rękach dokumenty. Na dziedzińcu było ciepło i cicho; ta niewielka, oszczędna przestrzeń kontrastowała z przepychem pomieszczeń, przez które właśnie przeszedł.

– Warronie – powiedział Scypion i wstał, a wyraz jego twarzy był nieprzenikniony. – Dziękuję, że stawieś się tak szybko.

Warro wyprostował się i zasalutował, jak wcześniej,

ale Scypion zbył ten gest machnięciem ręki. Nie interesowała go rozmowa w wojskowym stylu. Wskazał Warronowi krzesło ustawione naprzeciwko własnego i obaj usiedli. Scypion uśmiechnął się w duchu, patrząc na trybuna. Młodzieniec nie był w stanie niczego przed nim ukryć: wyraz jego twarzy i poza aż emanowały niepokojem i zaciekawieniem. Pod tym względem zupełnie nie przypominał ojca, człowieka podobnego do Scypiona i wyszkolonego w sztuce polityki, głęboko ukrywającego emocje.

– Omówiłem twoją sprawę z konsulem – powiedział po chwili Scypion – a on przystał na moją propozycję.

– Dziękuję, senatorze – wyrzucił z siebie Warro na fali wszechogarniającej ulgi.

– Nie powiedziałem ci jeszcze, co to za propozycja – ostrzegł Scypion, choć wiedział, że kiedy już rzuci przynętę, trybun nie będzie mógł się jej oprzeć. – Pod Terme ponieśliśmy poważną porażkę. Miasto i senat słusznie domagają się zadośćuczynienia.

Warro kiwnął głową, znów pełen powagi, choć nie przychodził mu do głowy wyrok gorszy niż ten, który wydał na niego Regulus.

– Zostaniesz zdegradowany z rangi trybuna do dowódcy oddziału – zaczął Scypion, uważnie przyglądając się Warronowi. – Niniejszym otrzymujesz rozkaz powrotu na Sycylię, gdzie pozostaniesz do końca wojny.

– Skazano mnie na banicję z Rzymu? – spytał

zrozpaczony Warro.

– Tak, do końca wojny – potwierdził Scypion, powoli zastawiając pułapkę. – Poniosłeś bardzo publiczną klęskę. Twoja obecność w Rzymie tylko przypominałaby senatowi o tym niepowodzeniu.

Warro wstał, znów rozgniewany. To niepowodzenie nie było jego winą.

Scypion wyczuł, że nadszedł idealny moment.

– Jest jeden sposób na złagodzenie tego wyroku – powiedział. Ucieszyła go natychmiastowa reakcja Warrona, który odwrócił się w jego stronę, znów pełen nadziei. – Musisz zgodzić się na degradację. W tej sprawie nic nie da się zrobić, a na Sycylii wciąż szaleje wojna. Musisz na powrót wziąć udział w walce – powiedział Scypion. Jego słowa były poważne, a ton ojcowski, jakby był opiekunem chcącym uratować karierę źle potraktowanego przez los żołnierza. Rozkoszował się tworzeniem tego złudzenia. – Ale być może banicję będzie można cofnąć.

Warro ponownie usiadł, całym sobą koncentrując się na Scypionie.

– Mogę opowiedzieć się za tobą w senacie – ciągnął – nie publicznie, ponieważ porażka wciąż jest bolesną raną, ale podczas osobistych rozmów z ludźmi, którzy są gotowi słuchać i mogliby wpłynąć na starszego konsula, przekonać go, aby uchylił nakaz wygnania.

– Senatorze Scypionie – zachłysnął się znów Warro, a jego twarz wyrażała najczystszy podziw – nie wiem, jak ci

dziękować. Twoje wstawiennictwo jest...

Scypion podniósł rękę, aby powstrzymać potok słów Warrona. Nie chciał słyszeć więcej wyrazów wdzięczności, tym bardziej że nie zamierzał rozmawiać z żadnym senatorem na temat trybuna. Przygotował sobie w myślach następną kwestię, delektując się nią, aż był gotów uderzyć.

– Jest coś, co musisz zrobić dla mnie w zamian – wyszeptał.

– Co tylko zechcesz – powiedział Warro z absolutną powagą.

– Wspomniałeś, że jeszcze ktoś jest odpowiedzialny za porażkę pod Terme.

– Kapitan Perennis – odparł natychmiast Warro.

Scypion kiwnął głową, jakby trzeba mu było przypominać to nazwisko.

– Jako senatora Rzymu – gniew w głosie Scypiona był teraz szczery – irytuje mnie, że ten człowiek, ten Grek, uniknął kary, na którą tak bezsprzecznie zasługuje.

Warro przytaknął. Jego twarz też wykrzywiał grymas wściekłości.

– Ale Perennisa nie można zaatakować w Rzymie ani blisko niego – ciągnął Scypion. – Ma wpływowych przyjaciół, którzy doprowadziliby do zbadania przyczyn jego śmierci i uznałyby ją za zbrodnię przeciwko republice. Musi zginąć z dala od Rzymu, gdzie można będzie ukryć prawdę.

Warro znów kiwnął głową, a Scypion utkwiał w nim

niewzruszone spojrzenie.

– Musisz pomścić republikę, kiedy Perennis będzie poza jej zasięgiem – powiedział Scypion, ciesząc się każdym słowem, każdą chwilą, która urzeczywistniała jego zemstę. – Dokonaj tego, Warro, a zadbam, żebyś wrócił do Rzymu z nieskalanym honorem.

Warro instynktownie znów stanął na baczność, salutując z całym zapalem, na jaki potrafił się zdobyć.

– Tak jest, senatorze – powiedział.

Po tym, jak rozkaz został wydany i przyjęty, nie było już nic więcej do powiedzenia, więc Warro opuścił zdecydowanym krokiem dziedziniec, a poczucie honoru i duma znów krążyły w jego żyłach. Nie obejrzał się za siebie ani razu i nie zobaczył złowrogiego uśmiechu triumfu malującego się na twarzy swojego zbawcy.

Attyk stał na pokładzie rufowym *Aquili*, wyprostowany jak struna, i patrzył na tętniącą życiem bazę floty. Wyobraził sobie prostą wioskę rybacką, którą niegdyś była – nietkniętą i nieskalaną przez życie metropolii odległej o piętnaście mil. Teraz stanowiła dom dla stoczni *classic Romana*, a miasto namiotów, które niegdyś sąsiadowało z wioską, teraz zastąpiły drewniane baraki i warsztaty oraz zbudowane z kamieni forty i kwatery dowódców. Budynki te ciągnęły się za ukształtowanymi przez wiatr wydmami i mieściły ponad pięć tysięcy przedstawicieli elity wojskowej Rzymu.

Wzdłuż brzegu, ponad linią przyływu, ciągnęły się

liczne szkielety rusztowań przeznaczonych dla nowych, nieustannie budowanych galer. Wszystkie nowe jednostki były kwinkweremami – na każde trzy wiosła przypadało pięciu wioślarzy, przy czym najniższe obsługiwał jeden człowiek, a dwa wyższe po dwóch ludzi. Były oparte na tyryjskim projekcie kartagińskiego okrętu flagowego przechwyconego pod Myle i wkrótce miały przewyższyć liczebnie triremy we flocie rzymskiej, ponieważ dzięki lepszymu projektowi i większej sile były godniejszymi przeciwnikami dla okrętów z Kartaginy.

Na odgłos zbliżających się po pokładzie kroków Attyk odwrócił się i skinął głową nadchodzącemu Lucjuszowi. Zastępca kapitana wyglądał na zadowolonego z siebie: jego zazwyczaj ponury wyraz twarzy zastąpił uśmiech, który ukazywał zęby częściej zaciśnięte z gniewu, kiedy któryś z załogantów ruszał się zbyt wolno jak na jego gust. Attyk odwzajemnił ten uśmiech, czując sympatię do starszego mężczyzny. Lucjusz był szanowanym przez wszystkich sercem załogi okrętu, marynarzem od ponad trzydziestu lat, i nie odpowiadał przed nikim poza swoim kapitanem. Doskonale znał *Aquilę*, każdy odcinek jej olinowania, każde złączenie jej belek, i uważał, że przewyższa ona wszystkie inne jednostki we flocie. Kiedy Lucjusz i załoga przybyli tutaj przed Attykiem, zastępca odnalazł *Aquilę* poniewierającą się na kotwicy sto metrów od brzegu. Natychmiast zaczął nękać dowódcę portu o najlepsze kotwicowisko przy końcu pomostu, powołując

się na znaczenie *Aquili* jako byłego okrętu flagowego. To znacznie przyspieszyło i ułatwiło jej remont, a Lucjusz był niezwykle zadowolony z rezultatu.

– Powinniśmy być gotowi do wypłynięcia przed świtem, kapitanie – powiedział, podchodząc do relingu i stając koło Attyka.

– Dobra robota – odparł Attyk i klepnął Lucjusza w ramię. Obejrzał się na główny pokład i uwijającą się tam załogę. Lucjusz wykorzystał pobyt *Aquili* w stoczni i zamówił nowy grotmaszt oraz takielunek. Attyk skontrolował je wcześniej i był całkowicie usatysfakcjonowany. Nieskazitelny dębowy maszt osadzono idealnie i widać było, że posłuży *Aquili* przez lata. Attyk odwrócił się ponownie, aby przesunąć wzrokiem wzdłuż nabrzeża.

– Cholerne kwinkweremy – warknął Lucjusz, kiedy dostrzegł, na co patrzy jego kapitan. – Tłuste maciory, co do jednej.

– To solidne statki, Lucjuszu – powiedział Attyk z uśmiechem na ustach, drażniąc się z przyjacielem.

– Mają zbyt duże zanurzenie \ *Aquila* jest od nich znacznie zwrotniejsza – odparł poirytowany Lucjusz.

– Ale są szybkie i potrafią staranować każdą triremę – sprzeciwił się Attyk, występując jako adwokat diabła: chciał wyciągnąć od Lucjusza, dlaczego jest tak uprzedzony.

– Rozmiar i potęga to nie wszystko – powiedział Lucjusz. – Grecy dowiedli tego pod Salaminą. Liczy się

zwrotność i kiedy już raz wpłyniesz za kwinkweremę, jest równie bezbronna jak każda inna galera.

Attyk kiwnął głową, uznając ten argument; przypomniał sobie, że *Aquila* była w stanie pokonać kwinkweremę pod Myle. Dyskusja ta była jednak wyłącznie teoretyczna, ponieważ niezależnie od tego, czy decyzja ta była dobra, czy nie, Rzymianie już ją podjęli. *Classis Romana* miała ostatecznie stać się flotą zdominowaną przez kwinkweremy, dni triem więc jako galer na liniach frontu były policzone.

Lucjusz klepnął Attyka w ramię i wskazał bliższy plaży koniec pomostu, gdzie właśnie zsiadała z koni grupa jeźdźców. Attyk natychmiast rozpoznał Warrona i poczuł skurcz żołądka. Trybun szedł w jego stronę pomostem, a za nim podążała jego czteroosobowa straż z Witulusem na czele.

– Straż honorowa na trap, Lucjuszu – rozkazał Attyk, nie odwracając się.

– Tak jest, kapitanie – odpowiedział Lucjusz, a jego słowa brzmiały jak warknięcie; jego antypatia wobec Warrona była głęboko zakorzeniona.

Attyk obserwował nadchodzących ludzi do ostatniej chwili, a potem sam zbliżył się do trapu. Warro wszedł na pokład pierwszy. Rozejrzał się, a dopiero potem ruszył w stronę kapitana. Ich oczy się spotkały i Attyk spróbował ocenić, jak wrogo nastawiony jest trybun, ale spojrzenie, które wymienili, było zbyt krótkie.

– Kiedy możesz być gotowy do wypłynięcia,

Perennis? – spytał Warro opryskliwie.

Attyk powściągnął gniew wywołany zniewagą, jaką było ze strony Warrona pominięcie jego tytułu w obecności załogi, i poczuł też, że stojący obok niego Lucjusz cały się napina, choć z innego powodu. Zgodnie z morską tradycją gość musiał prosić o pozwolenie wejścia na pokład. Zlekceważenie tego zwyczaju było obelgą dla wszystkich na okręcie.

– Statek może być gotowy przed świtem, trybunie – odparł Attyk spokojnym tonem – ale na pokładzie nie ma oddziału żołnierzy floty ani ich dowódcy.

– Natychmiast wyślij do nich gońców – rozkazał Warro. – Powiadom żołnierzy, że wypływamy o świcie.

Attyk spojrział na Lucjusza i kiwnął głową, na co zastępca bezzwłocznie przywołał gestem jednego z załogantów i wydał mu komendę. Warro wyminął Attyka, a w ślad za nim podążył Witulus i trzech pozostali legionieści. Attyk już miał ruszyć za nimi, ale Witulus wyczuł jego ruch i obrócił się na pięcie.

– Z drogi, żołnierzu – rozkazał Attyk, który już dawno stracił cierpliwość.

– Trybun zajmie główną kabinę, kapitanie – odparł Witulus. – Wezwie cię, kiedy będziesz potrzebny.

– Nie pytałem cię o to, gdzie będzie nocował trybun – odciął się groźnym tonem Attyk, sięgając prawą ręką do rękojeści miecza. – Rozkazałem ci się odsunąć.

Witulus wyprostował ramiona i spojrział na kapitana hardo. Attyk przestąpił z nogi na nogę w oczekiwaniu, ale

Witulus nagle odwrócił się, przeszedł kilka kroków dzielących go od luku i zniknął pod pokładem, nie oglądając się za siebie. Attyk stał w miejscu jak wryty; furia sprawiała, że miał ochotę pobiec za Witulusem, ale rozsądek kazał mu tego nie robić. Witulus służył pod dowództwem Warrona i był przez niego chroniony, a Attyk wiedział, że ze strony trybuna nie doczeka się zadośćuczynienia. Z wściekłą miną obszedł luk i udał się na pokład rufowy, wciąż ściskając rękojeść miecza.

Leniwy wietrzyk od morza niósł chłodną mgłę morską, która wkrótce spowiła wybrzeże w bazie floty, gasząc ostatnie szkarłatne promienie słońca. Attyk stał pośrodku głównego pokładu i nadzorował pracę załogi wnoszącej zapasy na okręt. W zwykłych okolicznościach zostawiłby to zadanie Lucjuszowi, ale tego wieczora chciał czymś rozproszyć myśli, a ponadto dzięki temu nie musiał być na pokładzie rufowym, gdzie od godziny stał Warro wraz z Witulusem.

Kiedy pojawili się na pokładzie, Attyk towarzyszył Gajuszowi przy sterze. Spróbował wciągnąć trybuna w rozmowę, ustalić szczegóły jego rozkazów i dowiedzieć się, dokąd ma następnego ranka płynąć *Aquila*. Warro jednak zupełnie go zlekceważył i Attyk poczuł, że musi opuścić pokład rufowy, nie dlatego, że dał się zastraszyć, ale ponieważ załoga na pewno zauważyłaby napięcie między nim a trybunem. Świadomość, że najwyżsi rangą dowódcy na pokładzie skaczą sobie do gardeł, z

pewnością źle wpłynęłaby na morale załogantów.

Attyk wyciągnął rękę w stronę masztu i przesunął palcem po świeżo oszlifowanym drewnie dębowym, czując, jak jest mocne; ta moc stanowiła teraz część jego statku. Ta myśl rozgniewała go i obejrzał się na tylny pokład. Statek nie był już jego własny. *Aquila* zawsze rozporządzał Rzym, ale przed eskalacją konfliktu i wplątaniem się w wojnę była rzymska tylko nominalnie, a Attyk zaczął uważać ją za swoją własność. Teraz ta niezależność przepadła, zastąpiona anonimowością: *Aquila* była tylko jednym ze statków wśród wielu, a jego dowództwo zależało od kaprysów uprzywilejowanych Rzymian.

– Lucjuszu! – zawołał Attyk, a zastępca natychmiast stawiał się na wezwanie. – Idę na ląd – ciągnął kapitan, po raz pierwszy w życiu czując przemożną chęć zejścia z pokładu *Aquili*. – Dokończ załadunek.

– Tak jest, kapitanie – odparł Lucjusz. Miał świadomość, że kapitan jest sfrustrowany, ale zatrzymał swoją opinię dla siebie, wiedząc, że Attyk poprosiłby o pomoc, gdyby jej potrzebował. Patrzył, jak młody dowódca odwraca się i schodzi po trapie, wymijając ludzi idących w przeciwną stronę, i po chwili znika w mgiełce przesłaniającej drugi koniec pomostu. Lucjusz uświadomił sobie, że zaciska zęby z wściekłości, i instynktownie odwrócił się w stronę pokładu rufowego i człowieka, który to spowodował – o chwilę za późno, żeby zobaczyć, że Warro też odprowadził Attyka wzrokiem.

Alissar sunęła cicho przez mroczne wody portu w Tyndaris; jej smukły kadłub ciął oleiste fale, a ich grzebienie rozdzielały się równo, odpływały, gładząc kadłub o długości niemal pięćdziesięciu metrów, a potem łączyły się znów w wirującym kilwaterze galery. Wioślarze pod pokładem pracowali bez pomocy bębna i uruchomiono tylko co trzeci rząd wiosł, pozostałe wciągnawszy na pokład, aby uniknąć zamieszania. Przy prędkości sterownej, wynoszącej jedyne dwa węzły, pociągnięcia wiosł były niemal leniwe, a ich rytmiczne, płynne ruchy zadawały kłam straszliwemu wysiłkowi koniecznemu do pchania studziesięciotonowej galery po wodzie.

Hamilkar oraz kapitan Himilko stali na rufie, przy relingu od strony sterburty, i spoglądali na linię brzegową oświetloną tysiącami pochodni. Prowadzona w gorączkowym tempie budowa trwała nawet o tej późnej godzinie.

– Imponujące – skomentował Himilko, przywołując w myślach plany, które widział w kabinie Hamilkara, i nakładając je na rozświetlone płótno ciągnącego się przed nimi brzegu.

Hamilkar kiwnął głową zadowolony, że budowa wygląda na tak zaawansowaną. W ciemnościach nie dało się tego dostrzec, ale koniec z pewnością był już bliski.

Do Hamilkara podszedł obserwator i wskazał pewien punkt w wewnętrznym porcie.

– Tam, komandorze. Nie widzimy jej jeszcze, ale sygnał potwierdzono dwukrotnie.

– Świetnie – odparł spokojnie Hamilkar. – Sternik, dwa rumby na bakburtę. Tak trzymać.

Wpłynięcie do portu w Tyndaris było ryzykowne, ale chciał zobaczyć, jak daleko posunęła się budowa, choć konieczność przybycia w nocy uniemożliwiła mu dostrzeżenie wielu szczegółów. Miał zamiar stawić się na umówione spotkanie, ponieważ wiedział, że człowiek, z którym miał się zobaczyć, będzie dysponował pełnym raportem na temat działań prowadzonych i tutaj, i dalej na północy. Potem, na długo zanim światło brzasku ujawni światu jej obecność, *Alissar* wyslizgnie się z Tyndaris niczym ulotny cień, który rozplynie się tak samo jak kilwater galery.

Attyk poszedł w górę plaży, odkopując na bok różne śmieci, przeciął linię przyływu i dotarł do niskich wydm, granicy między plażą a tymczasowym miastem zbudowanym dalej. Widział nie dalej niż na kilka kroków w każdym kierunku, ale zewsząd dobiegały odgłosy tętniącego życiem obozu, głośnie rozkazy przytłumione w nasyconym wilgocią powietrzu i uderzenia młotów cieśli, które wkrótce miały ustać, gdy mgła przedwcześnie zgasi resztki światła dnia. Zwrócił się w prawo, w stronę wioski – wiedział, że leży prawie sto kroków przed nim – i kiedy hałasy dobiegające zza jego pleców zaczęły słabnąć, powoli uzmysłowił sobie, jak mgła odizolowała go od

tysięcy innych ludzi. Uśmiechnął się na tę myśl, ciesząc się uczuciem oddzielenia od Rzymian, choć było ono złudne.

Po chwili dotarł do „rzeczki”, od której wioska wzięła nazwę. Był to zwykły strumień i Attyk przekroczył go przy naturalnym brodzie utworzonym w miejscu, gdzie osady niesione w dół biegu napotykały na nadciągające fale pływów. Na plaży po tej stronie rzeczki nie było śladów daleko zakrojonej działalności, która przeobraziła biegnące na północ wybrzeże po drugiej stronie, i Attyk musiał wymijać wyciągnięte na ląd rybackie łódki mieszkańców wioski, z których wiele odwrócono kilem do góry. Rozpoznając kolejne rodzaje łódek, Attyk wypowiadał bezgłośnie ich nazwy. Zatrzymał się nagle, kiedy dostrzegł tradycyjną grecką łódkę rybacką, prawie identyczną jak ta, której właścicielem był kiedyś jego ojciec. Podeszedł do niej i położył dłoń na bukszprycie, zalała go fala wspomnień. Ponieważ mgła ograniczała zasięg jego zmysłów, Attyk prawie mógł uwierzyć, że jest na plaży przy swoim mieście rodzinnym, i na chwilę znów stał się małym chłopcem stojącym pomiędzy łodziami swoich ludzi. Zastygł tak na chwilę, ciesząc się tym wspomnieniem, a potem ruszył do wioski.

W ciągu kilku miesięcy, które upłynęły od czasu utworzenia stoczni, miejscowość zwiększyła się trzykrotnie, a jej niegdyś jedyną przyczynę istnienia – rybołówstwo – zastąpiła działalność handlowa nastawiona na lukratywne okazje związane z tym, że tylu Rzymian

mieszkało tam w oddaleniu od miasta. Główna droga wiodąca równolegle do rzeki, niegdyś pusta, była teraz obstawiona straganami i Attyka ze wszystkich stron obiegli handlarze sprzedający najróżniejsze towary, od gotowego jedzenia i taniego wina po medykamenty i lecznicze balsamy. Boczne uliczki prowadzące w przeciwnym kierunku od rzeki też zajęli handlarze, a ponieważ ta lokalizacja była mniej korzystna, musieli bardziej agresywnie nakłaniać klientów do zejścia z głównego szlaku. Attyk jednak ignorował ich wszystkich i przesuwiał wzrokiem po budynkach za straganami. Jego uwagę przykuły dwa z nich, stojące w połowie długości ulicy. Nad drzwiami pierwszego wisiał szyld przedstawiający prymitywną podobiznę Wenus, rzymskiej bogini miłości, skromnie zasłaniającej swoją nagość skrzyżowanymi ramionami. Attyk uśmiechnął się na widok tego rysunku. W burdelu rzadko można było znaleźć miłość. Drugi budynek, który wyglądał, jakby wcześniej był w nim sklep, miał nad drzwiami inny znak, tym razem wyobrażający rzymskiego boga wina, Bachusa, i Attyk poszedł prosto w jego stronę.

Otworzył drzwi i zmrużył oczy, aby przeniknąć wzrokiem panujące w środku ciemności. Przywitała go wrzawa, śmiech i głośnie rozmowy rozluźnionych winem klientów. Attyk skrzywił się nieco, kiedy uderzyły go nieznośne zapachy wypełniające posępne pomieszczenie: woń słodkiego wina i stęchłego potu. W rogu jakiś mężczyzna leżał w kałuży własnych wymiocin. Bar był

naprzeciwko wejścia, a wewnętrzne ściany budynku usunięto, aby zrobić miejsce na pięć wielkich stołów ustawionych równolegle do siebie oraz na wypełnione tylko w połowie ławy po obu stronach każdego. Attyk wybrał ścieżkę między dwoma z nich i ruszył w stronę baru.

Idąc, patrzył w twarze wielu mijanym ludziom, a niektórzy z nich odwzajemniali hardo jego spojrzenie. Mężczyźni ci byli cieślami okrętowymi i stolarzami ze stoczni, rzemieślnikami pierwotnie sprowadzonymi tutaj z rozkazu senatu, ale z własnej woli postanowili tu zostać. Ponieważ legioniści nie mieli wstępu do wioski, człowiek tak ciężko uzbrojony jak Attyk natychmiast zwracał uwagę, i kiedy dotarł do baru, wciąż czuł na plecach wzrok wielu ludzi.

Musiał przekrzyczeć nieustający gwar, żeby złożyć zamówienie, po czym od razu dostał amforę wina i brudny, wyszczerbiony drewniany kubek. Odwrócił się i poszukał wolnego miejsca. Szybko je znalazł i usiadł ciężko, a pochwa jego miecza uderzyła o ławę z głuchym łoskotem. Napełnił kubek i jednym haustem wychylił tanie, kwaśne wino, po czym beknął głośno, kiedy płyn spłynął mu do żołądka. Ponownie nalał sobie wina i wypił je duszkiem – tym razem mniej paliło go w gardle – a po dwóch kolejnych porcjach nieco się rozluźnił i usiadł wygodniej, ponieważ wino w końcu załagodziło nieco jego nastrój.

Ponownie rozejrzał się po pomieszczeniu. Dostrzegł

zakątek, który nie pasował do reszty przestrzeni, i natychmiast zdał sobie sprawę, że przed chwilą się pomylił. Budynek ten nigdy nie był sklepem; zawsze był gospodą, choć wcześniej znacznie mniejszą, i niedawno powiększono ją, żeby pomieścić liczniejszych klientów. Ściany w tym sąsiadującym z drzwiami zakątku były ciemniejsze, zakopcone przez lata prawie nieustannie płonącymi świecami. Pod ścianą wciąż stała niewielka, wąska ławka, a na niej siedzieli trzej starsi mężczyźni, którzy rozmawiali przyciszonymi głosami i nie podnosili wzroku. Attyk uśmiechnął się na ich widok. Byli to miejscowi, ludzie, którzy pili w tej gospodzie przez całe życie i nadal lojalnie trzymali się swojego kąta, z dala od pozostałych.

Attyk jeszcze raz podszedł do baru i zamówił trzy kolejne amfory, które zebrał w ramiona i ruszył w stronę kąta miejscowych. Ktoś z wioski był właścicielem leżącej na plaży greckiej łodzi rybackiej, co oznaczało, że prawdopodobnie łowił niegdyś na wybrzeżach Morza Jońskiego. Dla Attyka był to najbliższy kontakt z krajanami, jakiego mógł tego wieczoru oczekiwać, był więc zdecydowany odszukać tego człowieka, choćby tylko po to, żeby powymieniać się z nim opowieściami o zdradliwej linii brzegowej w okolicach Cieśniny Mesyńskiej.

Trzej mężczyźni spojrzeli na Attyka nieufnie, kiedy się zbliżył, najpierw zerkając na jego miecz, ale potem nieco wyżej, na amfory w jego ramionach; nieświadomie

zmienili pozycje, żeby zrobić Attykowi miejsce na ławie, i bez słowa wzięli od niego wino. Czekali, aż nieznajomy rozpocznie rozmowę, zastanawiając się, jakiej ceny zażąda za przyniesione wino.

Septymus dotarł do grzbietu wydm na czele swojego sześćdziesięciosobowego oddziału. Brzęk pełnego uzbrojenia rozbrzmiewał głośno w nocnym powietrzu. Centurion wyszedł z formacji na bok, pozwalając swoim ludziom go wyminąć. Zostawił Druzusowi zadanie poprowadzenia ich w dół, na plażę, a sam poddał szeregi inspekcji. Nawet w półmroku dostrzegł wiele znajomych twarzy, ale było też sporo nowych ludzi, zastępujących innych i przeniesionych z różnych oddziałów, żołnierzy wypróbowanych w innych walkach i pod komendą najrozmaitszych dowódców. Wszyscy byli legionistami, wysyłanymi do floty wtedy, kiedy byli potrzebni. Podczas ich pobytu na *Aquili* Septymus miał podjąć próbę nauczania ich nowych technik walki, bardziej przystających do ograniczonej przestrzeni galery, ale wiedział, że jego wysiłki spotkają się z niechęcią i w ostatecznym rozrachunku będą bezowocne, gdy ludzie zostaną odkomenderowani z powrotem do legionów. Septymus uśmiechnął się w ciemnościach. Ludzie ci byli uparci, równie dumni ze swojego legionu jak niegdyś on sam. Jednak dopóki pozostawali pod jego komendą, Septymus był zdecydowany wpoić im wszystkim szacunek do *Aquili*, a w szczególności do ludzi, którzy

poświęcili flocie całą swoją karierę.

Kiedy ostatni ludzie minęli Septymusa, centurion ruszył za nimi, a potem przyspieszył, i zanim dotarli do pomostu przy końcu plaży, znów znajdował się na czele. Poprowadził ludzi pomostem, zerkając na inne zacumowane galery, aż znalazł się przy *Aquili*, której pokład był jasno oświetlony latarniami i płonącymi przenośnymi piecykami, a jej załoga – w odróżnieniu od obsad otaczających ją uśpionych jednostek – pracowała energicznie.

Przez chwilę Septymus był w stanie myśleć wyłącznie o swoim planie. Przy pierwszej okazji doprowadzi do konfrontacji z Attykiem. Po raz setny zanalizował swoje uczucia i stwierdził, że wciąż tli się w nim gniew na myśl o zdradzie przyjaciela. Przypomnił sobie wszystkie kontrargumenty wobec tego gniewu – jego lojalność względem Attyka, wszystkie okazje, kiedy byli zdani wyłącznie na siebie nawzajem, deklarację jego siostry, że łączy ją z Attykiem miłość. Wiedział, że to nie wystarczy: Attyk będzie musiał odpowiedzieć za to nadużycie zaufania.

Na widok Lucjusza stojącego u szczytu trapu Septymus otrząsnął się z tych myśli.

– Proszę o pozwolenie na wejście na pokład! – krzyknął.

– Udzielam go! – zawołał Lucjusz, zerkając na szeregi ciągnące się za centurionem.

Septymus wszedł po trapie na czele swoich ludzi i

ponownie się usunął, aby pozwolić im przejść. Druzus ustawił ich w szeregach na pokładzie głównym.

– Gdzie jest kapitan? – spytał Lucjusza centurion.

– Zszedł na brzeg prawie trzy godziny temu.

– Dokąd poszedł?

– Nie powiedział – odparł Lucjusz. Zobaczył w oczach centuriona zdziwienie, ale nie powiedział nic więcej. Nie na miejscu byłoby, gdyby mówił w imieniu kapitana, szczególnie jeśli powodem dla jego nieobecności była sprawa osobista.

– Czy wspominał, kiedy wróci? – zapytał Septymus, zdezorientowany poczynaniami Attyka. *Aquila* miała wypłynąć o świcie i zupełnie niepodobne do kapitana było to, że nie znajdował się na pokładzie tak krótko przed wyruszeniem, niezależnie od tego, jak kompetentną miał załogę.

– Nie, centurionie – odpowiedział Lucjusz. Wyczuł troskę Septymusa i ustąpił nieco, podając zawołowane wyjaśnienie dla nieobecności kapitana. – Trybun jest na pokładzie – powiedział, wskazując głową pokład rufowy.

Septymus podążył wzrokiem za jego spojrzeniem i zobaczył Warrona, który stał przy relingu na rufie w towarzystwie swoich ludzi.

– Płynie z nami? – spytał centurion zaskoczony, że Warro znów jest dowódcą mimo niedawnej porażki. To, że był na pokładzie, stanowiło jednak możliwy powód nieobecności Attyka.

– Tak – odparł Lucjusz – on i czterech jego ludzi.

– Czterech? – spytał Septymus.

Warrona otaczało tylko trzech ludzi.

– Jeszcze jeden musi być pod pokładem – uznał Lucjusz. – Trybun zarekwirował dla siebie główną kabinę.

Septymus kiwnął głową i spojrzał znów na własnych ludzi. Obecność na pokładzie jakiegokolwiek wysokiego rangą dowódcy zawsze komplikowała hierarchię władzy, ale w wypadku Warrona – zhańbionego trybuna wrogo nastawionego względem kapitana – problem ten będzie dziesięciokrotnie poważniejszy.

Lucjusz przyglądał się uważnie Septymusowi. Zawsze darzył legionistów pogardą, ale już dawno nauczył się szanować tego rzymskiego centuriona, zwłaszcza dlatego, że przyjaźnił się z jego kapitanem. Na tę myśl Lucjusz spojrzał w nieprzeniknioną mgłę, która wciąż otaczała galerę. Ciemność tylko wzmagала jej ponury wygląd.

Trzej mężczyźni roześmiali się serdecznie, kiedy Attyk dokończył opowieść, a jeden z nich zaczął klepać go po plecach, ponieważ dostał ataku kaszlu, krztusząc się winem. Attyk śmiał się wraz z nimi, całkowicie zapomniawszy o swoim wcześniejszym ponurym humorze, zagłuszonym przez wino i dobre towarzystwo. Początkowa nieufność, z jaką mężczyźni przywitali Attyka, zniknęła w chwili, gdy spytał o właściciela *kaiki*, ponieważ tylko rybak mógł znać tę nazwę. Natychmiast zdali sobie sprawę, że rozmawiają ze swoim. Teraz, kilka

godzin później, pierwsze przyniesione amfory leżały rozrzucone po podłodze, wraz z tymi, które je zastąpiły; miejscowi opróżnili je szybciej i z większą radością, wiedząc, że Attyk za nie zapłacił.

Attyk powoli doszedł do siebie i podniósł kubek do ust. Naczynie było puste, więc sięgnął po stojącą najbliżej amforę, ale odrzucił ją, kiedy się zorientował, że i ona jest pusta. Wstał i natychmiast się zatoczył, a przed upadkiem uchroniła go wyciągnięta ręka jednego z miejscowych.

– Myślę, że już dość wypiełeś, marynarzu – powiedział mężczyzna, podnosząc jowialną twarz w mrocznym pomieszczeniu. – Lepiej, żebyś wracał na swój statek.

Attyk kiwnął głową, poklepując mężczyznę po ramieniu. Wyprostował się i odwrócił w stronę drzwi, po czym zrobił kilka chwiejnych kroków i zanurzył się w ciemności ulicy.

Nocne powietrze, schłodzone mgłą, otrzeźwiło go trochę. Skręcił w lewo, w kierunku morza, ruszył bardziej zdecydowanym krokiem i wyminął ostatnich właścicieli straganów, którzy jeszcze zachwalali swoje towary. Przeciągnął się i potarł oczy, usiłując bardziej oprzytomnieć, ale nie odniosło to wielkiego skutku. Uśmiechnął się lekko na myśl, że dawno nie zdarzyło mu się wypić tyle wina.

Pośrodku ulicy – już blisko plaży – stanął samotny handlarz z uniesionymi powitalnie dłońmi. Attyk chciał go obejść, ale mężczyzna ponownie stanął mu na drodze.

– Wyglądasz na głodnego, marynarzu – zagaił, błyskając uśmiechem spod rozczochranych włosów. – Może coś do jedzenia, żeby zaspokoić głód zaostrowany w gospodzie?

Attyk rzucił mu półuśmiech i podniósł rękę, żeby go odprawić. Handlarz zignorował jednak ten gest i zbliżył się do niego.

– Pieczona ryba – zachęcił, wyciągając rękę i chwytając kapitana za łokieć.

Handlarz wskazał swój stragan otwartą dłonią – stał na jednej z bocznych uliczek, nie dalej niż trzy kroki od głównej trasy. Attyk zawahał się, ale handlarz był uparty i objął go ramieniem, więc Grek ustąpił, a na zapach pieczonej ryby nagle poczuł głód.

Jedynie ten stragan był na tej ulicy otwarty, w ciemności za nim widać było tylko zarysy innych, a domy jeszcze dalej były pogrążone w ciszy i wyglądały na opuszczone. Attyk spojrzawszy zmrużonymi oczami w mrok i uśmiechnął się na myśl o uporze handlarza, który pracował tak późno, gdy wszyscy inni poszli do domów. Odwrócił się do mężczyzny, żeby mu to powiedzieć, ale wtedy zauważył, że jego uśmiech zniknął, a zastąpiła go mina pełna przerażenia. Handlarz oglądał się przez ramię, a jego ciało było niezgrabnie wykręcone, ponieważ wciąż trzymał Attyka za łokieć.

Nagle w umyśle Attyka rozległ się okrzyk ostrzeżenia. Obrócił się w stronę handlarza, pochylając głowę do przodu. Natychmiast poczuł ból, kiedy czubek

miecza prześlizgnął się teraz po jego zuchwie wymierzony w jego nieosłonięty niczym kark.

Powietrze rozdarł przeszywający krzyk, gdy klinga cięła dalej, i Attyk kątem oka dostrzegł, że oblicze handlarza znika za fontanną krwi: miecz trafił go prosto w twarz. Grek odskoczył w tył i uderzył barkiem o stragan, a gorące węgle z piecyka posypały się na jego wyciągniętą lewą rękę. Zignorował ból i sięgnąwszy prawą ręką po sztylet przy pasie – ostrze o długości pół stopy – ugiął nogi i napiął mięśnie, gorączkowo rozglądając się w ciemnościach za napastnikiem. Zobaczył go ledwie dwa kroki od siebie: jego rosłe ciało zasłaniało słabe światło padające z głównej ulicy. Handlarz wciąż wrzeszczał gdzieś niedaleko, ale Attyk wlepił wzrok w klingę napastnika, przeklinając ciemność, ponieważ uniemożliwiała mu spojrzenie przeciwnikowi w oczy: wiedział, że w bójce na noże oczy zawsze zapowiadały atak na moment przed faktem.

Mężczyzna rzucił się do przodu i Attyk musiał się usunąć w prawo, tym razem uderzając ramieniem w ścianę domu – wykręcił ciało, żeby uniknąć ciosu. Natychmiast ruszył z kontratakiem, bojąc się, że zostanie zapędzony do rogu, i ciął sztyletem po wystawionym na cios boku przeciwnika. Ze zdumieniem skonstatował, że jego ostrze odbija się od zbroi. Legionista! Mężczyzna zaatakował raz jeszcze od dołu, chcąc zadać śmiertelny cios. Attyk uderzył żołnierza barkiem w ramię i podniósł kolano, które trafiło napastnika w lewą nogę. Rozległo się

stęknęciu bólu i Attyk miał chwilę oddechu. Ruszył po okręgu w prawo i potknął się o rozhisteryzowanego handlarza, który wił się na ziemi.

Legionista znów podbiegł i Attyk wyszedł jego natarciu naprzeciw, gorączkowo szukając lewą ręką prawej dłoni napastnika, aż udało mu się chwycić jego nadgarstek. Podniósł sztylet i dźgnął w dół, celując na oślep w szyję przeciwnika, ale ten również powstrzymał jego rękę żelaznym uściskiem, co natychmiast przeobraziło potyczkę w wojnę na siłę mięśni i woli.

Dwaj mężczyźni tkwili w groteskowym uścisku i Attyk czuł, że od wysiłku atakowania prawą ręką i bronienia się lewą zaczynają go boleć mięśnie ramion. Twarz mu płonęła: adrenalina krążąca w jego żyłach nie wystarczyła, żeby mógł zignorować głęboką ranę na zuchwie, której ból niemal go obezwładniał. Lewa ręka traciła siły, a pęcherze od gorących węgielków zaczęły pękać i pokrywać skórę krwią.

Attyk zebrał siły, by dopełnić ataku, pchany gniewem, że wpadł w zasadzkę, i z trudem wywalczył to, że legionista zrobił krok do tyłu. Attyk nachylił się, żeby zwiększyć siłę ataku, stękając ciężko; czuł zapach własnej krwi, ostrą woń potu napastnika i jego śmierdzący oddech. Ostrze legionisty było tuż przy klatce piersiowej Greka, unieruchomione jego ręką. Wycelowany pionowo oręż Attyka znajdował się niżej, gotów do ciosu pod zbroję żołnierza, w jego nieosłonięte krocze. Nagle legionista zatoczył się do tyłu, potknąwszy się o leżącego handlarza,

i pociągnął Attyka za sobą. Nie zdążyli się nawzajem puścić, więc Grek opadł ciężko na żołnierza, jego prawa ręka wystrzeliła do góry i natychmiast poczuł opór, kiedy klinga dosięgła napastnika. W tym samym momencie oręż legionisty uwiązał między nimi i wbił się bez trudu w klatkę piersiową Attyka, przecinając ciało i ścięgna, aż zatrzymał się na żebrach i odbił od nich. Klinga obróciła się na płasko pod ciężarem ciała kapitana.

Wszystko to dotarło do Attyka w mgnieniu oka: strumień krwi na dłoni ściskającej nóż, smród opróżnionych jelit martwego żołnierza, ciepło krwi płynącej z otwartej rany, które rozprzestrzeniało się po jego klatce piersiowej. Attyk stoczył się z żołnierza z wrażeniem, jakby to wszystko go nie dotyczyło, i usłyszał własny krzyk, gdy sztylet żołnierza wysunął się z poziomego rozcięcia na jego piersi. Opadł na plecy, od czego zabrakło mu tchu, i poczuł, że traci siły, że nie ma energii, żeby nabrać powietrza. Skoncentrował wzrok na nocnym niebie ponad uliczką: rzadniejąca mgła ukazywała tu i tam gwiazdy. Spróbował je rozpoznać, ale miał pustkę w głowie. Przed jego oczami pojawiła się jakaś twarz, potem jeszcze jedna, a ich usta wypowiadały słowa, których nie słyszał, rozpaczliwe słowa niedowierzania. Ból nagle złagodniał, stał się bardziej odległy, a Attyk opuścił powieki i zanurzył się w ciemność.

Między dwiema galeriami przerzucono bez rozkazu

cumy, które załoga następnie szybko napięła i wciągnęła na pokłady ręka za ręką, aż dzioby zetknęły się z cichym, głuchym odgłosem. Po chwili ruszały się jak jedna istota, wznosząc się i opadając wraz z falami. Hamilkar stał na przednim pokładzie *Alissar* i mimo ciemności spoglądał na drugą galerę, jak zawsze czujny na wypadek zdrady; nie miał zamiaru wchodzić na pokład drugiego statku, dopóki się nie dowie, czy człowiek, którego nań odkomenderował, żyje i ma się dobrze. Dobiegł go plusk i spojrzał w lewo, w stronę świateł odległego o sto metrów Tyndaris. Po chwili dostrzegł przyczynę dźwięku: powierzchnię wody przełamywały żywiące się owadami ryby, przyciągnięte odbitym blaskiem półksiężyca.

Hamilkar znów popatrzył na przeciwległy pokład, w samą porę, aby ujrzeć, jak zza grupy ludzi wyłania się Belus. Nie pasował do piratów – wyróżniały go zbroja i postawa. Hamilkar natychmiast podszedł do przodu i wskoczył zwinnie na reling. Odczekał chwilę, aż pokłady się zrównały, i zeskoczył na pokład statku piratów, lądując bez wysiłku na obu stopach. Jego doborowa sześćoosobowa straż podążyła za nim bez wahania. Belus stanął na baczność i zasalutował. Hamilkar uśmiechnął się w odpowiedzi, zadowolony, że jego stary przyjaciel jest bezpieczny. Uścisnął go na powitanie.

– Witaj, Belusie.

– Dobrze cię widzieć – odparł Belus z uśmiechem. Czuł wielką sympatię do dowódcy.

Hamilkar uświadomił sobie, że są obserwowani, i

spojrzał na załogę piratów, którzy – kierowani ciekawością – zbili się w gromadkę na pokładzie.

– Który to kapitan? – spytał.

– Narmer – odparł Belus, odwracając się w stronę piratów.

Kapitan usłyszał, że wypowiedziano jego imię, i zrobił kilka kroków do przodu. Hamilkar obrzucił go uważnym spojrzeniem. Był to kolos o mięśniach, które robiły wrażenie groteskowo przerośniętych, a ruszał się powolnym, sprężystym krokiem, jakby grasował po własnym pokładzie. Po chwili, gdy jego rysy stały się bardziej widoczne, Hamilkar przyjrzał się jego twarzy, która była młoda i nijaka. Od razu natomiast uwagę Kartagińczyka przykuły jego oczy, najbardziej bezlitosne oczy, jakie kiedykolwiek widział. W społeczeństwie, gdzie zjadłość i brak litości torowały drogę do władzy, Narmer osiągnął najwyższą rangę kapitana i Hamilkar wiedział, że to, co widzi w jego oczach, jest zaledwie cieniem barbarzyństwa czającego się w jego duszy.

– Jestem Hamilkar.

– Narmer – odparł kapitan, patrząc na niego pogardliwie. – Masz moje złoto?

– Najpierw wysłucham raportu mojego człowieka – oznajmił Hamilkar.

Narmer się najeżył, ale coś w tonie Kartagińczyka kazało mu zamilczeć. Przywykł do dominowania nad ludźmi dzięki swojej osobowości i sile woli, ale od razu wyczuł, że ten się nie ugnie.

Hamilkar wyminął Narmera. Belus podążył za nim. Załoga piratów rozstąpiła się przed nimi i sami dotarli na główny pokład. Hamilkar poczuł pod stopami coś miękkiego i zerknął w dół. Pokład był obrzydliwie brudny i usłany śmieciami: resztkami jedzenia, kawałkami lin, a niedaleko toczył się drewniany kubek. Kiedy Hamilkar mijał luk, uderzył go wznoszący się z pokładu niewolników straszliwy smród ludzkich odchodów i zgnilizny. Zerknął w smolistą ciemność, ale nic nie zobaczył, i tylko nasłuchiwał przez chwilę sporadycznych stęknień i kaszlnięć, które dały się słyszeć u góry.

Podniósł wzrok, aby spojrzeć na Belusa, a obrzydzenie zakleiło mu gardło. Piraci byli zwierzętami, a jego poczucie honoru kazało mu po raz setny zakwestionować decyzję zrobienia użytku z tych ścierwożerców. Kartagina od wielu pokoleń polowała na piratów z bezlitosną determinacją, żywiła do nich odrazę i mściła się straszliwie za każdy stracony skutek ich ataków statek handlowy. Teraz Hamilkar zaprzął ich do płatnej służby miastu i ponownie przeciwstawił swoje motywy dyshonorowi, który przynosiło mu to przymierze. Niechętnie utwierdził się w swoim postanowieniu. Rzym był większym wrogiem niż oni.

– Być może byłbyś bezpieczniejszy na pokładzie *Alissar*? – ośmielił się zasugerować Belus. – Ci ludzie nie mają honoru i jeśli zdadzą sobie sprawę z twojej rangi, mogą spróbować cię tu zatrzymać.

– Lepiej, żebyśmy pokazali temu ścierwu, że się nie

boimy – odparł Hamilkar. – W każdym razie załoga *Alissar* jest w pełni uzbrojona i czujna.

Belus kiwnął głową i zerknął przez ramię, żeby się upewnić, czy załoga piracka jest dość daleko. Zaczął relacjonować to, czego jak dotąd udało mu się dowiedzieć od rzymskich załóg, które piraci pojмали i torturowali w ciągu ostatnich tygodni. Meldunek ten był makabryczny, ale Belus mówił beznamiętnie: jego uczestnictwo w porażce pod Myle w znacznym stopniu odebrało mu współczucie dla rzymskich handlarzy. Hamilkar słuchał czujnie, szybko selekcyjując informacje i szeregując je pod względem ważności; szukał kluczowych wiadomości, tak ważnych dla jego strategii.

– Jesteś pewien tych doniesień na temat umocnień? – spytał, kiedy Belus skończył.

– Chciałbym potwierdzić je z innych źródeł, ale wygląda na to, że pierwsze meldunki były poprawne.

Hamilkar pokręcił głową; chciał mu wierzyć, ale zdumiała go pozorna nieudolność Rzymian. Czy mogli być tak ślepi? Może chodziło po prostu o ich brak doświadczenia na morzu? Gdyby Belusowi udało się potwierdzić te wiadomości, pierwotna strategia Hamilkara okazałaby się niezawodna. Ponownie zmierzył dowódcę wzrokiem. Zamierzał zwolnić go ze służby na okręcie pirackim jeszcze tej nocy, jak to początkowo ustalili, ale Belus spodziewał się, że konieczne będzie przedłużenie misji, i zgodził się bez wahania, nie czekając na rozkaz.

– A co z harmonogramem tutejszej budowy? –

zapytał Hamilkar, wskazując głową na światła płonące na brzegu, za miastem.

– Wszystko idzie dobrze – odparł Belus – a Hieron dotrzymał słowa. Miejsce budowy jest całkowicie samowystarczalne, a żołnierze nie pozwalają nikomu wchodzić i wychodzić. Jego prawdziwe przeznaczenie wciąż jest tajemnicą.

Hamilkar kiwnął głową. To jedyny aspekt planu, który można było łatwo zdemaskować. Obserwator o wprawnym oku wojskowego z pewnością nabralby podejrzeń, gdyby cokolwiek zobaczył, ale miejsce budowy leżało daleko od brzegu. Ogromnie ważne było utrzymanie wścibskich z daleka, nawet jeśli oznaczało to uwięzienie budowniczych do czasu ukończenia robót.

Hamilkar podziękował Belusowi, klepiąc go po ramieniu. Przydział na pirackiej galerze był misją nie do pozazdroszczenia, ale przyjaciel dobrze się spisał i był gotów zostać tam tak długo, aż uda mu się potwierdzić wszystkie meldunki ponad wszelką wątpliwość. Hamilkar zaprowadził Belusa na pokład dziobowy, a załoga piratów znów się rozstała, żeby zrobić im miejsce. Narmer stał przy relingu na rufie i przyglądał się kartagińskiej galerze połączonej cumami z jego statkiem.

– Piękny okręt – zwrócił się do Hamilkara z wyrazem pożądliwości wypisanym na twarzy.

Barkas odniósł wrażenie, że gdyby jego własna załoga nie była tak liczna i silnie uzbrojona, Narmer bez wahania nakazałby swoim ludziom przesadzić relingi.

Hamilkar nie odpowiedział, ale spojrzał na Himilkona stojącego na pokładzie *Alissar*. Podniósł rękę i rozczapierzył wszystkie pięć palców. Kapitan kiwnął głową i dał sygnał dwóm załogantom, którzy podnieśli jedną z dwóch skrzyń i przenieśli ją do przodu. Widać było, że jest ciężka, i to zdradzało, co zawiera. Z trudem przetaszczyli ją na pokład pirata i postawili u stóp Narmera.

– Pięćset – powiedział Hamilkar, kiedy Narmer schylił się, aby otworzyć skrzynię.

Słyszając te słowa, kapitan piratów bez wahania wyprostował się jak struna i sięgnął po miecz. Strażnicy Hamilkara w mgnieniu oka zareagowali tym samym, a potem ich śladem poszli piraci – wszędzie dookoła rozległ się zgrzyt żelaza. Tylko Hamilkar nie drgnął; odwzajemniał nienawistne spojrzenie Narmera.

– Co to za oszustwo? – syknął kapitan piratów. – Umówiona cena wynosiła tysiąc drachm.

– Muszę przedłużyć kontrakt do pełni – wyjaśnił spokojnie Hamilkar.

– Belus ustalił, że dostanę pełną sumę, kiedy skontaktuje się ze swoim dowódcą. Jesteś nim ty. Do pełni jeszcze trzy tygodnie. – Narmer szedł do przodu i zbliżał klingę do piersi Hamilkara.

– Kiedy spotkamy się następnym razem, zapłacę ci jeszcze tysiąc drachm poza tym, co jest w tej skrzyni – powiedział Hamilkar, nie przerywając kontaktu wzrokowego z Narmerem. Zobaczył, jak oczy pirata

zaszklify się na wzmiankę o wyższej zapłacie, i uśmiechnął się w duchu. Wiedział, że zachłanność Narmera rozstrzygnie sprawę. W każdym razie musiał też zapewnić sobie chęć współpracy pirata, jeśli Belusowi miało się powieść, a dodatkowa zapłata gwarantowała jego uległość.

Narmer zrobił nagle krok w tył i schował miecz. Uśmiechnął się do Hamilkara, a potem roześmiał się głośno.

– To dobra oferta – powiedział donośnie na użytek swojej załogi, z taką nonszalancją, jakby to on ustalił warunki.

Pozostali piraci też się cofnęli i wkrótce nie było już widać na pokładzie ani jednej nagiej klingi.

Hamilkar jeszcze raz obejrzał się na Belusa i skinął mu głową, po czym odwrócił się do odejścia. Narmer stanął mu na drodze i nachylił się do niego.

– Strzeż się, Kartagińczyku – syknął cicho, żeby nikt go nie podsłuchał. – Ta umowa może i jest teraz wiążąca, ale nigdy nie zapomnę ci tej nocy.

Hamilkar wytrzymał spojrzenie pirata, czując, jak zalewa go fala nienawiści – nie do Narmera, ale wszystkich ludzi jego pokroju. Odwrócił wzrok i wyminął kipiącego gniewem kapitana, przysięgając sobie w duchu, że kiedy Rzym zostanie już ujarzmiony, obarczy swoją flotę zadaniem wymazania skazy piractwa z mórz Kartaginy.

Septymus wciąż krążył po pokładzie, kiedy dzwon okrętowy wybił pełną godzinę, a dźwięk ten powtórzył się na pozostałych galerach przycumowanych wzdłuż wybrzeża. Centurion zerknął na niebo na wschodzie, ale było czarne. Do świtu zostały jeszcze trzy godziny.

Mgła się rozproszyła, a noc była teraz chłodna i bezchmurna, co zapowiadało ładną pogodę nazajutrz. Septymus odwrócił się i ruszył na pokład rufowy, cicho przestępując ciała śpiących na pokładzie załogantów.

Na pokładzie rufowym nie było nikogo poza Gajuszem, który leżał pod rumplem, skrzyżowawszy potężne ramiona na piersi, i oddychał głęboko. Na widok tego obrazu spokoju Septymus wygiął plecy, raptem czując zmęczenie, ale wiedział, że nie będzie w stanie zasnąć: jego umysł był zbyt czujny, aby mógł odpocząć. Po Attyku wciąż nie było śladu i postanowienie, żeby się z nim skonfrontować, wciąż było główną myślą Septymusa, choć plan ten stracił nieco na pilności w obliczu odkrycia, że Warro będzie płynął na *Aquili*. Jakim sposobem trybun uniknął potępienia i kary? Septymusowi nie przychodziło do głowy nic, co trybun mógł powiedzieć na swoją obronę, a jego powrót na *Aquile* musiał być związany z Attykiem, więc jego przyjaciel znów znalazł się w niebezpieczeństwie. Septymus zaczął się wahać. Czy mógł się zmierzyć z Attykiem w chwili, kiedy mogło to doprowadzić do zerwania ich przyjaźni? Kiedy Attyk bardziej niż kiedykolwiek potrzebował kogoś, kto miałby na niego oko?

Na dźwięk podniesionych głosów Septymus podbiegł do relingu na rufie i spojrzał w ciemność kryjącą drugi koniec pomostu, usiłując odcyfrować treść nakładających się okrzyków. Wkrótce z galer zacumowanych bliżej brzegu zaczęły się rozlegać odpowiedzi, początkowo pełne gniewu. Żołądek Septymusa skurczył się z przerażenia, kiedy centurion wyczuł w pokrzykiwaniach ton paniki, tak dobrze znany mu z pola bitwy. Stało się coś bardzo złego. Najbardziej donośny z głosów nagle stał się wyraźny.

– Ahoj, *Aquila!* Odezwijcie się! Gdzie jesteście?

– Tutaj! – krzyknął bez wahania Septymus, a jego władczy głos natychmiast obudził Gajusza i połowę załogi.

Z ciemności wyłoniła się grupka postaci i Septymus szybko dostrzegł, że to trzech ludzi, którzy niosą czwartego. Przeciął błyskawicznie cały pokład i po chwili pędził już po trapie na pomost. Podbiegł do trzech ludzi i sam wpadł w panikę, kiedy rozpoznał zakrwawionego mężczyznę, którego nieśli.

– Co się stało? – krzyknął i chwycił stojącego najbliżej człowieka za tunikę, niemal podnosząc go z ziemi.

– Znaleźliśmy go na ulicy w wiosce – wyjąkał mężczyzna, przerażony reakcją górującego nad nim żołnierza.

Septymus odepchnął go i sięgnął do Attyka.

– Żyje – powiedział jeden z nich.

Septymus spojrział na niego z morderczym grymasem.

– Co mu się stało? – zapytał. W jego głosie wyraźnie było słycać ton oskarżenia. Chwycił Attyka, który opadł bezwładnie na jego klatkę piersiową.

– Bójka na noże – odpowiedział mężczyzna. – W gospodzie słycać było krzyki, a kiedy wybiegliśmy, znaleźliśmy go nieprzytomnego na ulicy.

Na pomost zdążyła już wybiec spora część załogi *Aquili*, w tym Lucjusz, który przepchnął się do przodu. Mina mu zrzedła, kiedy zauważył kapitana i czarną w ciemnościach krew, która zaplamiła jego ubranie i ciekła mu po nogach.

– Czy on... ? – wymamrotał.

– Jeszcze żyje – powiedział Septymus i wyminął zastępcę kapitana, pospiesznie niosąc Attyka po trapie.

– Druzusie! – zawołał, a *optio* stawił się natychmiast.

– Zawołaj straż i zatrzymaj tych trzech mężczyzn – rozkazał.

Druzus wydał komendy swoim ludziom, a żołnierze pobiegli trapem i przepchnęli się między załogantami wracającymi na galerę za kapitanem.

– Dajcie tu więcej światła – zawołał Lucjusz, kiedy Septymus ułożył Attyka na pokładzie.

– Na miłosiernego Jowisza – wyszeptał centurion, kiedy światło latarni ukazało mu w pełni obrażenia przyjaciela. Rozerwał jego tunikę, odsłaniając ranę na jego klatce piersiowej. Zaczął badać palcami jego skórę i oglądać częściowo zasklepione rozcięcie, z którego

wy płynęła i wsiąkała w pokład strużka świeżej krwi.

– Nie jest głęboka – powiedział Septymus. Czuł taką ulgę, że odezwał się szeptem. Położył dłoń na czole Attyka i delikatnie odchylił jego twarz, aż blask latarni oświetlił poranioną zuchwę. Skrzywił się na ten widok. Rana była poważna i bardzo długa, a kiedy dotknął skóry w jej okolicy, zaczęła znów obficie krwawić.

– Przeżyje?

Septymus odwrócił się i zobaczył za sobą zatroskaną twarz Lucjusza.

– Nie wiem. – Słowa te zabrzmiały obco w jego własnych uszach. To był jego przyjaciel. – Rana na piersi nie jest głęboka. Nie wygląda na to, żeby miał jakieś obrażenia wewnętrzne, ale stracił dużo krwi, może za dużo.

Lucjusz kiwnął głową, choć tak naprawdę nie dosłyszał jego słów.

– Trzeba zanieść go pod pokład, zszyć rany i go obandażować – ciągnął Septymus. – Tylko tak zatamujemy krwawienie.

Lucjusz znów kiwnął głową, ale się nie ruszył.

– Lucjuszu! – warknął Septymus.

Zastępca kapitana zamrugał, jakby budził się z koszmaru sennego.

– Wy dwaj – zwrócił się do dwóch stojących najbliżej załogantów. – Zejdźcie pod pokład i znajdźcie jakieś deski. Trzeba nam noszy, żeby znieść kapitana na dół. Baro! – Wskazał na jednego z marynarzy. – Przynieś

swoje narzędzia i przyjdź pod pokład – rozkazał.

Baro skinął głową i zniknął.

– Nasz żaglomistrz – wyjaśnił centurionowi Lucjusz.

– Ma pewną rękę i najlepsze oko do tej roboty.

Septymus kiwnął głową i wstał, a troska o nieprzytomnego przyjaciela leżącego na pokładzie ustąpiła nagle furii. Przepchnął się przez krąg marynarzy otaczających Attyka i odnalazł Druzusa, strzegącego wraz z oddziałem legionistów trzech ludzi, którzy przynieśli kapitana na *Aquilę*. Septymus podszedł do najstarszego z nich, mężczyzny o ogorzalej, wiekowej twarzy i siwej brodzie.

– Opowiedz mi raz jeszcze, co się stało – polecił, kładąc dłoń na rękojeści miecza. Mięśnie jego prawego ramienia były napięte, jakby szykował się do zadania ciosu.

Mężczyzna ponownie zrelacjonował wydarzenia.

– Skąd wiedzieliście, że jest z *Aquili*? – zapytał Septymus.

– Powiedział nam w gospodzie wczoraj wieczorem – rzekł mężczyzna. – Przyniósł nam wina i rozmawiał z nami.

Septymus kiwnął głową, a jego podejrzenia zniknęły. Gdyby ci trzej ludzie naprawdę napadli Attyka, raczej nie odnieśli go potem na jego statek.

– Zatem kto go zaatakował?

– Jeden z waszych – odparł mężczyzna. – Legionista.

To oskarżenie zszokowało Septymusa.

– Legionista? Jesteś pewien?

– Leży martwy na ulicy, razem z jednym z ulicznych handlarzy.

– Handlarz uliczny? – Septymus się nachmurzył. Cała ta sprawa nie miała sensu. Dlaczego legionista miałby zaatakować Attyka? A może było na odwrót? Może to Attyk zaczął bójkę. – Druzusie, weź oddział i wróćcie z tymi ludźmi do wioski. Chcę, żebyście przynieśli tu ciało tego legionisty – rozkazał.

– Stać!

Septymus obrócił się. Stał za nim Warro.

– Przejmę sytuację, centurionie – powiedział trybun. Słysząc było, że ledwie powstrzymuje gniew. – Wituluse!

Dowódca straży zbliżył się do niego.

– Weź dwóch ludzi i idź za tymi wieśniakami. Zrób, co konieczne.

Witulus zasalutował i skinął głową swoim ludziom. Zeszli po trapie za mężczyznami z wioski i wkrótce zniknęli w ciemnościach.

– Jak czuje się kapitan? – zapytał Warro. – Przeżyje?

– Nie wiem... – odpowiedział Septymus, przejęty troską o przyjaciela. Potem jednak otrząsnął się z wątpliwości. – Przeżyje z pomocą Fortuny, trybunie.

– Tak... – odparł przeciągle Warro. Spojrzał na główny pokład, gdzie załoganci ostrożnie przenosili kapitana na nosze. – Centurionie – zwrócił się ponownie do Septymusa. – Powiadom zastępcę kapitana, że ma

przejąć dowództwo nad załogą na czas naszego wypłynięcia o świcie. Jeśli będzie to konieczne, po dotarciu do celu znajdziemy nowego kapitana.

– Masz zamiar wypłynąć zgodnie z planem? – zapytał z niedowierzaniem Septymus, zapominając, z kim rozmawia. – Ale Attyk... kapitan Perennis... musi zostać zbadany przez wyszkolonego medyka. Trzeba przenieść go do szpitala polowego.

– Więc lepiej, żeby przed świtem nie było go już na tej galerze, centurionie – odparł Warro, znów wściekły. – Płyniemy zgodnie z planem.

Septymus się zawahał. Zostawienie Attyka samego, bez straży, było nie do pomyślenia, ale zabranie go na pokład też mogło oznaczać dla niego koniec: niespokojny ruch galery unoszonej na falach absolutnie nie mógł się przysłużyć rannemu.

Centurion dostrzegł nagle, że trybun patrzy na niego przenikliwie, czekając, aż przyjmie rozkaz. Zasalutował i oddalił się z silnym postanowieniem utrzymania miarowego kroku, choć w nim też wzbierał gniew. W świetle zimnej wojskowej logiki Warro miał rację, decydując, że i tak wypłyną – czy z Attykiem, czy bez niego – ponieważ żaden człowiek nie był niezastąpiony. Septymus wiedział jednak, że decyzja Warrona nie jest oparta na logice. Trybun chciał wykorzystać tę niespodziewaną okazję do pozbycia się Attyka, w ten czy inny sposób. Wcześniej Septymus uważał Warrona za zagrożenie dla swojego przyjaciela i w duszy poprzysiął,

że będzie go chronił w obecności trybuna. Teraz jednak uznał Warrona za swojego przeciwnika, a bezduszne lekceważenie, jakie okazał Attykowi, tylko podsyciło wrogość centuriona.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Marek wyprostował plecy, kiedy przeprowadzał swój manipuł przez główną bramę fortu garnizonowego w Brolium; niedobitki wycieńczonego Dziewiątego legionu w końcu mogły schronić się w rzymskim mieście portowym na północnym wybrzeżu Sycylii. W poprzednim tygodniu, podczas powolnego odwrotu Dziewiątego spod Terme, Marek często myślał o tej chwili – ukazywała mu się ona w snach na jawie, gdy rozbrzmiewały ostrzegawcze sygnały trąbek, a kartagińska horda ponownie przypuszczała atak. Za każdym razem jemu i jego ludziom udało się przebić przez jej ofensywę. Wróg atakował raz po raz, coraz bardziej zajadle, bardziej bezlitośnie, każąc legionistom płacić za każdy krok, dzięki któremu zbliżali się do Brolium i ocalenia.

Marek wyprowadził z kotła Terme siedemdziesięciu trzech ludzi. Siedemdziesięciu trzech *principes* i *triarii* ze swojego manipułu. Teraz maszerowała za nim niecała połowa tej liczby, wielu z nich rannych, a wielu było wojownikami już tylko z nazwy, ponieważ nieustająca walka złamała ich ducha i ciało. Trzeciego dnia po wyjściu z Terme rozniosła się wieść, że na zachód maszerują posiłki – Drugi legion pod wodzą trybuna Tacyta. Dziewiąty przyspieszył w oczekiwaniu na to połączenie oddziałów, ale obiecane posiłki się nie

pojawiły: Kartagińczykom udało się zatrzymać Drugi w wąskiej przełęczy na wybrzeżu i uniemożliwić mu uratowanie Dziewiątego.

Zawzięta determinacja wkrótce ustąpiła zwykłej brutalności, kiedy wieści o nieudanej akcji pomocniczej dotarły do niedobitków Dziewiątego, a szlachetny rozkaz „Utrzymać szyk” – sygnalizujący, że ludzie mają stać ramię w ramię – szybko zastąpiła niewypowiedziana komenda „Marsz albo śmierć”. Podczas gdy wcześniej żołnierze stali nad rannymi i chronili ich, teraz zostawiali w tyle każdego, kto nie potrafił ustać, ponieważ nieustępliwe ataki zmuszały ich do ciągłego marszu przed siebie. Gdyby się zatrzymali i zaczęli walczyć, zginęliby, i Marek musiał zrobić użytek z całego swojego doświadczenia, żeby utrzymać zwartość oddziału, a odwrót w każdej chwili mógł się przeobrazić w pogrom. Niejednokrotnie był o mgnienie oka od natychmiastowego zgładzenia jednego z własnych ludzi za niesubordynację; inni centurionowie musieli uciekać się do tego kroku, ale czwarty manipuł jakoś wytrzymał, choćby tylko przez lojalność względem swojego dowódcy.

Marek obrzucił wzrokiem ludzi z innych manipułów, kiedy zaczęli się zbierać pośrodku placu do musztry. Legat Megellus nalegał, aby nawet teraz przestrzegać regulaminu; jego żelazne poczucie dyscypliny nie pozwalało na jakiegokolwiek ustępstwa. Wszystkie manipuły były równie przetrzebione jak czwarty, ponieważ rotacja oddziałów pełniących straż wystawiła

każdy z nich w równym stopniu na zasadzki Kartagińczyków. Początkowo te natarcia były sporadyczne i nieskoordynowane, ale gdy legionieci dostali się w wąskie wąwozy, gdzie nie mogli uniknąć ataków, szybko stały się śmiertelnie skuteczne. Kiedy Dziewiąty zbliżył się do Brolium, Kartagińczycy zaczęli się uciekać do frontalnych natarć i tworzyli ściany z tarcz na trasie marszu legionistów. Marek przypomniał sobie z dumą i ponurym uśmiechem, że czwarty manipuł przebił się przez każdą blokadę, którą Kartagińczycy ośmielili się przed nim ustawić.

Marek przyglądał się, jak Megellus przyjmuje salut Tacyta, trybuna Drugiego legionu. Jego ludzie tworzyli dwa boki kwadratu ustawionego dookoła placu defiladowego. Ludzie z Dziewiątego mierzyli ich nienawistnymi spojrzeniami; poczucie, że zostali zdradzeni, wyostrzyło się podczas wszystkich tych dni oczekiwania na posiłki, które w ogóle nie nadeszły. Dopiero poprzedniego dnia Dziewiąty dotarł w końcu do wąskiej przełęczy, gdzie zatrzymano Drugi, a Kartagińczycy wycofali się, aby nie utknąć między dwoma zastępami Rzymian. Dzięki połączeniu sił ostatni dzień marszu do Brolium upłynął bez znaczniejszych incydentów poza kilkoma atakami na tylną straż. Jednak teraz, kiedy Drugi stał naprzeciwko Dziewiątego, to uczucie zdrady znów się ujawniło: prawie kompletne szeregi jednego legionu stanowiły wyraźny kontrast względem zdziesiątkowanego drugiego.

– Pieprzony Drugi – usłyszał za sobą Marek. – Niezbyt utrudnili Punijczykom robotę.

Rozległ się ogólny pomruk zgody.

– Cisza w szeregach, oczy przed siebie – syknął Marek, oglądając się przez ramię. Jego ludzie mieli żądzę mordy wypisaną na twarzach, a wielu zignorowało centuriona i dalej wlepiało wzrok w Drugi. – Powiedziałem „oczy przed siebie” – warknął Marek, coraz bardziej rozgniewany. Ludzie wyczuli jego nastrój i usłuchali. Marek poczuł, że bołą go palce, i dopiero wtedy zauważył, że wciąż ściska rękojeść miecza. Spojrzał na sponiewierany oręż, którego oba ostrza były zmatowiałe i wyszczerbione, a jelec pęknięty w dwóch miejscach od zapomnianych ciosów. Niemal obojętnie obrócił miecz w rękę, przyglądając mu się uważnie, i z krzywym uśmiechem zdał sobie sprawę, że nawet teraz, w bezpiecznym forcie, nie przyszło mu do głowy, żeby schować go na powrót do pochwy. Nie pamiętał, kiedy ostatnio wypuścił go z ręki.

Prefekt obozu wykrzyknął rozkaz odprawiający żołnierzy i natychmiast powtórzyli go wszyscy centurionowie – poza jednym. Manipuły Drugiego i Dziewiątego zaczęły się rozchodzić, ale czwarty został na miejscu, czekając, aż jego centurion potwierdzi rozkaz. Marek obrócił się twarzą do swoich żołnierzy. Odwzajemnili jego spojrzenie i nie trzeba było słów, żeby zrozumieli, co chce powiedzieć. Wyprostowali plecy, jak przystało na dumnych ludzi – dumnych nie z tego, że

przeżyli, ponieważ to było w rękach Marsa, ale z tego, że spełnili oczekiwania swojego dowódcy. Marek skinął ludziom głową i schował miecz.

– Rozejść się – rozkazał.

Ludzie zasalutowali mu jednocześnie i się rozproszyli. Marek patrzył, jak powoli idą do swoich kwater, dumny, że mają proste plecy. Czwartą może i był zrujnowanym oddziałem, który nie był w stanie pełnić swojej roli na placu boju z powodu zszarganych sił, ale jego żołnierze wciąż byli silni i zdeterminowani. Będą musieli tacy być – pomyślał Marek. W rezultacie zwycięstwa pod Terme Kartagińczycy mogli już nacierać na każdym froncie.

Zgodnie z prognozą z poprzedniej nocy, słońce sięgnęło zenitu na bezchmurnym, błękitnym niebie. Wiatr jednak skierował się na północny zachód, swój zwykły kierunek, i pędził bez przeszkód Morzem Tyrreńskim, wzdłuż zachodniego wybrzeża Italii, nieustannie wypełniając grotzagiel *Aquili* i pchając ją do przodu, jakby nalegał, żeby wzbiła się w powietrze i stała ptakiem, po którym otrzymała nazwę. W powietrzu, schłodzonym wypełniającą je wilgocią, czuło się obietnicę następnej pory roku, przedsmak oczyszczających jesiennych deszczy, które miały nadejść w ciągu ledwie kilku tygodni.

Iluminatory pod pokładem rufowym, w maleńkiej kabinie od sterburty, były szczelnie zamknięte, zazdrośnie

strzegąc cuchnącego powietrza wewnątrz przed rześkim wiatrem smagającym kadłub. Septymus pocił się w półmroku latarni oświetlającej to piekielne miejsce i patrzył na swojego przyjaciela, marszcząc czoło ze zmartwienia. Attyka ledwie dało się rozpoznać: zaogniona blizna na jego zuchwie odznaczała się wyraźnie na tle bladej, wręcz ziemistej skóry, włosy zmatowiały od potu, a jego ciałem wstrząsała gorączka wywołana zakażeniem. Leżał na wąskiej pryczy, nagi do pasa; ranę na jego klatce piersiowej mocno zabandażowano, ale materiał już przesiąkł świeżą krwią.

Septymus po raz setny skontrolował ledwie wyczuwalny rytm podnoszenia się i opadania piersi przyjaciela, kładąc na niej dłoń i walcząc z chęcią wzdrygnięcia się, kiedy dotknął rozpalonej skóry promieniującej tak niewiarygodnym gorącem. Infekcja nie ustępowała, a utrata tak wielkiej ilości krwi tym bardziej osłabiła Attyka.

– Dwadzieścia cztery godziny – usłyszał Septymus szept Lucjusza.

Odwrócił się do starszego mężczyzny i zobaczył na jego twarzy tę samą troskę. – Wtedy będzie wiadomo.

Septymus kiwnął głową. Ponownie spojrzął na rozcięcie na twarzy Attyka. Szwy założono niebywale starannie – co świadczyło o umiejętnościach żaglomistrza – i rana była czysta. Jednak w cięcie na klatce piersiowej jakimś sposobem wdało się zakażenie i choć rana nie była głęboka, i tak mogła go zabić. Septymus widział już, jak

słabsi ludzie przeżywają większe obrażenia, a silni umierają od lżejszych. Attyk może i był urodzonym wojownikiem, ale Septymus wiedział, że wynik tej walki zależy wyłącznie od Fortuny.

– Wciąż żyje?

– Tak jest, panie – odpowiedział Witulus. Widać było, że i on jest rozczarowany. – Właśnie rozmawiałem z jednym z załogantów. Wydaje się jednak, że w ranę wdało się zakażenie. Jeszcze nie wyszedł na prostą.

– Ten głupiec Kwintus – syknął Warro. – Gdyby tylko wypełnił rozkazy... – Trybun wstał nagle i odepchnął się od stołu ustawionego pośrodku głównej kabiny *Aquili*. Przeszedł na stronę po bakburcie i wyjrzał przez iluminator, z gniewu zwijając palce w pięści. – Nie miałeś trudności z pozbyciem się ciała?

– Nie, panie – odparł Witulus. – Kazałem tym trzem wieśniakom, żeby pomogli nam i wypłynęli ze zwłokami jego i tamtego handlarza na morze w jednej ze swoich łodzi.

– I co? – dopytywał się Warro. Był na pokładzie, kiedy Witulus wrócił na *Aquilę* tuż przed świtem, i nie był w stanie się niczego dowiedzieć.

– Obciążyliśmy oba ciała i wrzuciliśmy je do wody jakieś pół mili od brzegu.

Warro kiwnął głową.

– A co z wieśniakami? – zapytał.

– Zajęliśmy się nimi po powrocie na plażę – odparł

Witulus. – Jeśli dobrze pójdzie, ich ciała zostaną odnalezione najwcześniej jutro.

Warro znów kiwnął głową. Cała ta sprawa przeobraziła się w całkowite fiasko i wciąż jeszcze nie była w pełni zakończona. Trybun zdawał sobie sprawę, że plan stworzono pośpiesznie. Pamiętał o ostrzeżeniu Scypiona – nie atakować Greka w pobliżu Rzymu – ale widok Perennisa opuszczającego samotnie statek okazał się zbyt wielką pokusą. Warro zlekceważył słowa senatora i potajemnie wysłał jednego ze swoich strażników, Kwintusa, w pogoń, wydając mu jedną prostą komendę: zasadzić się na Greka i go zabić. Kwintusowi jednak z jakiegoś powodu się nie powiodło i Warro znów przeklął go w myślach.

Poprzedniego wieczoru, czekając na powrót legionisty, Warro wyobrażał sobie, jak staje przed Scypionem, z dumą zawiadamia go o śmierci Perennisa i tym samym jeszcze przed opuszczeniem miasta unieważnia wydany na siebie wyrok banicji. Teraz płynął na południe, zgodnie z planem, zostawiając Rzym za sobą.

Bezgłośnie wypowiedział modlitwę do Kwiryra, opiekuńczego bóstwa swojej rodziny, aby zainterweniował w jego imieniu u Fortuny, żeby przestała osłaniać swą dłońią Perennisa, ale jednocześnie poczuł przyływ złowrogiej radości. Zdał sobie nagle sprawę, że jeśli kapitan dojdzie do siebie, nie szkodzi: jeśli tak się stanie, Warro będzie mógł spróbować ponownie, i jeszcze

wiele razy, aż Perennis zginie. Jeśli tym razem Fortuna będzie sprzyjać Grekowi, następnym razem jej koło obróci się na korzyść Warrona.

Belus splunął za burtę pirackiego statku, usiłując pozbyć się z gardła ohydneho smaku rzezi, i spojrzął na ciało unoszące się twarzą w dół w morzu. Opadało i unosiło się łagodnie wraz z falami, a potem zanurzyło się powoli pod powierzchnię. Belus patrzył na ten swoisty pogrzeb bez wyrzutów sumienia: współczucie dla nieprzyjaciela już dawno wyparowało z jego serca.

Okropne krzyki z galery tonącej ledwie kilka kroków dalej osiągnęły przerażającą kulminację i Belus spojrzął na nią raz jeszcze. Tonęła szybko, od rufy: strumienie wody wpływały przez ziejącą dziurę, którą pozostawił po sobie taran okrętu piratów. Pod jej pokładem było prawie dwustu ludzi przykutych żelaznymi łańcuchami do wiosł; Belus patrzył, jak w otworach na wiosła pojawiają się błagalnie wyciągnięte ręce, a za nimi ledwie widoczne twarze niewolników, którym przerażenie odebrało wszelką godność. Belus się odwrócił, ponieważ nie chciał być świadkiem tak straszliwej śmierci i wiedział, że Tanit – fenicka bogini losu – może któregoś dnia sprawić, że i jego spotka coś takiego.

Krzyki zaczęły cichnąć i nagle zamilkły całkowicie, kiedy rzymska galera w końcu wślizgnęła się pod wzburzoną powierzchnię wody, świadectwo potwornej walki skazanych na zagładę ludzi uwieczonych w kadłubie

statku. Belus nie zwrócił uwagi na jego zniknięcie: już dość często miał okazję widzieć, jak okręty wroga przepadają w głębinach. Schował miecz, idąc przez pokład w stronę luku prowadzącego do głównej kabiny pod pokładem. Tylko sześciu rzymskich załogantów udało się pojmać żywcem – nieujarzmiona dzikość piratów kazała im pozabijać resztę, zanim Belus zdołał położyć kres rzezi. Najważniejsze jednak było to, że po raz pierwszy jednym z tych jeńców był kapitan, i Belus natychmiast rozkazał, aby zaprowadzono go pod pokład. Pozostała piątka wciąż stała na pokładzie i to przy tej skulonej ze strachu grupce zatrzymał się Kartagińczyk. Podeszedł do niego jeden z piratów o twarzy pokrytej cudzą krwią i rozbieganych, czujnych oczach.

– Możemy zaczynać? – zapytał, a z jego ust wyleciała drobinka śliny. Ledwie potrafił powstrzymać ekscytację.

– Tak – odparł z odrazą Belus. – Ale tym razem dopilnujcie, żeby odpowiedzieli na wasze pytania, zanim posuniecie się za daleko.

Pirat mruknął w odpowiedzi i odwrócił się do swoich towarzyszy, demonicznie szczerząc zęby. Skinął głową i wszyscy ruszyli przed siebie jak jeden mąż, aby podnieść związanych Rzymian na nogi, a ich śmiech zagłuszył prośby o litość więźniów.

Belus odwrócił się od tej sceny i zszedł pod pokład. Pchnął drzwi kabiny i wszedł do środka.

– Stać! – krzyknął, jak zawsze instynktownie sięgając po oręż.

Narmer zawahał się na moment, a potem powoli odsunął czubek swojego noża, który wcześniej znajdował się o włos od lewego oka rzymskiego kapitana. Powoli przesunął końcówkę klingi po policzku Rzymianina, rysując na ciele równiutką kreskę krwi. Rzymianin syknął i cofnął się, ale więzy trzymały go mocno w miejscu, a Narmer zmienił kąt nacisku, nie odrywając klingi, aż dotarła do linii jego żuchwy. Dopiero wtedy odsunął oręż.

– To mój więzień, Narmerze – powiedział Belus z gniewną miną.

– Ale to mój statek, Kartagińczyku – syknął Narmer.

– Ten statek jest w służbie Kartaginy, dopóki nie wrócimy do Tyndaris – odciął się Belus i poczekał, aż Narmer się odsunie i schowa sztylet.

Kartagińczyk spojrzał na rzymskiego kapitana. Miał ogorzałą twarz, więc nie dało się oszacować jego wieku, ale w oczach widać było przytomność umysłu właściwą starszym ludziom. Popatrzył na Belusa z pogardliwą miną, a Kartagińczyk uśmiechnął się w duchu. Odważny człowiek.

– Jak się nazywasz? – zapytał.

– Dlaczego kartagiński dowódca zawiaduje galerą piratów? – odpowiedział pytaniem Rzymianin, przyglądając się uzbrojeniu i postawie Belusa.

Belus się uśmiechnął, ale jego oczy zachowały zimny wyraz.

– To ty będziesz odpowiadał na moje pytania, Rzymianinie – powiedział, podchodząc bliżej.

– Możesz iść do Hadesu, Kartagińczyku – warknął kapitan – albo gdziekolwiek, gdzie wy, Punijczycy...

Z pokładu nad ich głowami dało się słyszeć nagle głucho uderzenie, a zaraz potem straszliwy krzyk. Rzymianin wzdrygnął się i utkwiał wzrok w belkach nad sobą. Krzyki ucichły i zastąpiły je wiwaty.

– Wygląda na to, że moi ludzie zaznajamiają się z twoją załogą – powiedział Narmer i ponownie stanął przed nim. Chwycił związanego mężczyznę za włosy i odciągnąwszy mu głowę, zbliżył doń twarz. – Chcesz wiedzieć, co robią? – spytał ze złośliwym uśmiechem.

Rzymianin pokręcił głową, a na jego czole pojawiły się nagle kropelki potu.

– To tylko taka zabawa – ciągnął Narmer, po czym puścił Rzymianina i zaczął się przechadzać po kabinie.

Na pokładzie rozbrzmiał kolejny łoskot, ale tym razem towarzyszył mu mrozący krew w żyłach wrzask. Rzymski kapitan znów nie mógł się powstrzymać przed spojrzeniem na sufit kabiny.

– Wciągają twoich ludzi za ręce na nok rei na grotmaszcie... to dobre sześć metrów nad pokładem... a potem ich puszczają – powiedział Narmer, rozkoszując się każdym słowem.

Rzymianin pokręcił głową, usiłując zignorować głos pirata i starając się panować nad sobą, gdy jeden z jego ludzi na pokładzie zaczął błagać o litość. Jego słowa urwały się, kiedy ponownie uderzył o pokład, i przeszły we wrzask bólu.

– Pierwsze łamią się kostki – ciągnął Narmer – czasem nawet kości stóp. Potem bywa różnie: piszczele, kolana, kości ud.

Jeniec zamknął oczy, ale jego umysł wypełnił się obrazami połamanych kości przebijających skórę i błagalnych spojrzeń, zanim linę puszczo po raz kolejny.

– Dosyc.

Na słowo Kartagińczyka Rzymianin otworzył oczy.

– Zostaw nas – polecił Belus, a Narmer wzruszył ramionami i wyszedł z pełnym satysfakcji uśmiechem na twarzy. Belus zamknął za nim drzwi i odwrócił się w stronę rzymskiego kapitana. Miał ochotę już wcześniej powstrzymać pirata: drażnił go tembr jego głosu, a wyraźna radość, jaką czerpał z dźwięków dobiegających z góry, była dlań obrzydliwa. Zdawał sobie jednak sprawę, jaki efekt wywołują słowa Narmera – podkopywały odwagę i gotowość do opierania się Rzymianina – więc pozwolił mu kontynuować.

– Zwierzęta – powiedział nagle więzień i wypluł na podłogę krew, która spłynęła mu po twarzy do ust.

– Nie jestem jednym z nich, Rzymianinie – powiedział Belus. – Robię to, co robię, dla mojego miasta.

Rzymianin nie odpowiedział, a jego twarz wykrzywił grymas czystej nienawiści.

Belus zignorował tę minę, wiedząc, że wkrótce zamieni się w wyraz przerażenia i bólu. Powoli wyciągnął sztylet i podniósł go, aby dokładnie przyjrzeć się klindze. Był to piękny celtycki nóż, który Belus zdobył podczas

bitwy w Iberii i od tamtej pory używał już wielokrotnie. Zrobił krok do przodu ze sztyletem wyciągniętym przed siebie, a Rzymianin nie mógł oderwać oczu od odbijającego światło ostrza. Belus przygotował się na to, co musiał zrobić; sądził, że jeśli przyzna, iż akt ten plami jego honor, pod jakimś względem odróżni się od ludzi, których Rzymianin nazwał zwierzętami.

Septymus osłonił oczy przed ostrym światłem słońca, kiedy wczesnym popołudniem wyszedł na główny pokład; niczym nieskrępowane promienie odbijały się od niezliczonych grzbietów fal i białej płóciennej płachty grotzagła. Wystawił twarz na podmuchy chłodnego wiatru od rufy, rozkoszując się jego świeżością, pozwalając mu oczyścić płuca. Upłynęło ponad osiem godzin od chwili, kiedy był na pokładzie po raz ostatni, a bezmiar otaczającej go przestrzeni podkreślał jeszcze duszną ciasnotę kabiny, w której leżał nieprzytomny Attyk.

Na odgłos komend towarzyszących musztrze Septymus odwrócił się i uśmiechnął, patrząc, jak Druzus przeprowadza jego oddział przez kolejne ćwiczenia. *Optio* był bardzo wymagający i Septymus cieszył się, że może na nim polegać. Za trenującymi na głównym pokładzie żołnierzami ujrzał Witulusa, który stał samotnie na dziobie. Przyglądał się uważnie legionistom, bez wątpienia analizując różnice między ich musztrą a standardowymi ćwiczeniami narzucanymi legionom. Septymus patrzył na niego przez chwilę i przypomniało

mu się, że ostatnio rozmawiał z dowódcą straży poprzedniej nocy, zanim Warro wysłał go z powrotem do wioski z trzema miejscowymi.

Podszedł do Witulusa i odwrócił się, aby ponownie mieć swoich ludzi przed sobą.

– Co stało się wczoraj w nocy? – zapytał.

– Złożyłem pełny raport trybunowi – odpowiedział lodowatym tonem Witulus.

Septymus odwrócił się do niego, zaskoczony tą lekceważącą odpowiedzią.

– Słuchaj, Witulusie – powiedział, nagle rozgniewany. – Wczoraj w nocy zaatakowano mojego przyjaciela i chciałbym wiedzieć, co się wydarzyło.

Witulus spojrział na centuriona, gotów znów go zbyć, ale zawahał się, widząc wyraz jego oczu. Zastanawiał się, czy może nie byłoby lepiej nie wzbudzać wrogości centuriona, biorąc pod uwagę, że prędzej czy później i tak pozna on treść jego raportu.

– Nie znaleźliśmy niczego poza martwym handlarzem – odparł.

– To wszystko? – spytał z niedowierzaniem Septymus.

Witulus kiwnął głową, trzymając się jak najbliżej prawdy.

– Był martwy, miał ranę od noża na twarzy, zapewne zadaną mu przez twojego przyjaciela.

– A co z legionistą?

– Nie było żadnego legionisty – powiedział Witulus.

– Wieśniacy kłamali.

– Kłamali? Jak zatem wyjaśnisz rany kapitana? Nie zadał mu ich uliczny handlarz. Attyk jest zbyt dobrym wojownikiem.

– Przed bójką twój kapitan pił w gospodzie. Może był pijany. Może dlatego w ogóle sprowokował bójkę.

– Skąd wiesz, że to on zaczął?

– Powiedzieli nam inni miejscowi – odparł Witulus. – Zeznali, że Grek wszczął kłótnię o cenę jedzenia sprzedawanego przez handlarza. Zrobił się naprawdę nieprzyjemny i wyciągnął sztylet. Moim zdaniem typowo greckie zachowanie.

Septymus ugryzł się w język. Wiedział, że coś jest nie w porządku. Niemożliwe, żeby Attyk zrobił coś takiego. Albo ktoś zwiódł Witulusa, albo dowódca kłamał.

– Masz imiona tych trzech wieśniaków, którzy przynieśli kapitana na *Aquile* – zapytał Septymus, zastawiając sidła. – Chciałbym sam ich przesłuchać, kiedy wrócimy do portu.

– Nie znam ich imion – odparł Witulus – a kiedy próbowaliśmy ich przesłuchać, uciekli jedną z uliczek. Goniliśmy ich, ale wioska jest jak królicza nora. Zgubiliśmy ich.

Septymus kiwnął głową, jakby rozumiał i się zgadzał, ale to tylko wzmogło jego podejrzenia. Spodziewał się, że Witulus powie mu, iż nie będzie w stanie przesłuchać wieśniaków. I ta jego historyjka... Wszyscy trzej miejscowi uciekli doświadczonemu dowódcy straży i

dwóm legionistom? Mało prawdopodobne. Septymus spojrział na Witulusa, ale ten nie odwzajemnił spojrzenia. Centurion zauważył na rufie Lucjusza rozmawiającego z Gajuszem i podszedł do nich.

– Jak czuje się kapitan? – zapytał sternik.

– Bez zmian – odpowiedział Septymus. – Możemy jedynie czekać.

Gajusz kiwnął głową. Lucjusz powiedział mu dokładnie to samo godzinę wcześniej, kiedy wyszedł na pokład.

Septymus obejrzał się przez ramię i zobaczył, że Witulus wciąż stoi na pokładzie dziobowym, opierając się swobodnie o reling.

– Witulus mówi, że we wczorajszą bójkę nie był zamieszany żaden legionista – zaczął centurion.

Lucjusz kiwnął głową.

– Wiem – odparł – rozmawiałem wcześniej z jednym ze strażników Warrona. Powiedział to samo.

– Nie wierzysz w ich relację? – zapytał Septymus, oceniając ton głosu Lucjusza.

– A ty, centurionie? – odpowiedział pytaniem zagadnięty.

– Nie – odparł po krótkim wahaniu Septymus.

– A zatem trzeba wziąć pod uwagę jeszcze jedno. – Lucjusz zrobił krok do przodu i ściszył głos. – Jednego z ludzi Warrona nie ma na pokładzie.

– Jesteś pewien? – spytał zaskoczony Septymus.

Lucjusz skinął głową.

– Wchodząc na pokład wczoraj wieczorem, Warro miał ze sobą czterech ludzi. Teraz jest ich tylko trzech.

– Wspomniałeś o tym strażnikowi, z którym rozmawiałeś dziś rano? – zapytał Septymus.

Lucjusz kiwnął głową raz jeszcze.

– Powiedział, że się mylę, że tylko on i dwaj inni strzegą trybuna podczas tej podróży.

– Możliwe, że się pomyliłeś? – spytał Septymus, przypominając sobie wieczór, kiedy widział trybuna na pokładzie z trzema ludźmi. Lucjusz poprawił go wtedy, mówiąc, że czwarty strażnik na pewno jest pod pokładem.

– Nie myli się, centurionie – odezwał się Gajusz. – Ja też ich widziałem, tak samo jak połowa załogi.

Septymus przyjął te słowa kiwnięciem głową i ponownie spojrzął na drugi koniec okrętu. Witulus wciąż tam stał. Centurionowi przemknęło przez głowę, że powinien zakwestionować wersję wczorajszych wydarzeń przedstawioną mu przez dowódcę straży, ale się rozmyślił, oznaczałoby to bowiem ujawnienie swoich podejrzeń. Jeśli będzie milczał, zyska możliwość obserwowania Warrona bez zwracania na siebie uwagi. Odtąd miał wrogów zarówno widocznych, jak i ukrytych, Kartagińczyków, jak i Rzymian, i Septymus po raz pierwszy zyskał wgląd w świat swojego przyjaciela.

Belus cofnął się, dysząc i trzymając zakrwawiony nóż luźno u boku. Rzymski kapitan znów stracił przytomność, a na jego twarzy wciąż było widać wyraz cierpienia i

udręki. Belus odniósł wrażenie, że w kabinie jest dziwnie ciemno, i dopiero teraz zauważył, że słońce opada ku horyzontowi na zachodzie, barwiąc niebo na kolor płomiennej czerwieni, przedwcześnie kończąc dzień. Belus chciał zamknąć iluminator, ale zawahał się, ponieważ nagle dotarło do niego, jak nieznośny smród wypełnia pomieszczenie: stęchła woń potu i strachu, zmieszana ze słodkim zapachem świeżo utoczonej krwi oraz kwaśnym odorem moczu – kapitan nie wytrzymał przerażenia i niepewności.

Belus nagle poczuł, że dławi się duchotą pomieszczenia, i wystawił głowę przez luk. Powietrze na zewnątrz było zbyt chłodne i kiedy trafiło do jego płuc, zaniósł się gwałtownym kaszlem. Pędzący wiatr wypełnił mu uszy. Z góry nie dobiegały żadne odgłosy, ani okrzyki bólu, ani głośny śmiech, i Belus był ciekaw, kiedy to wszystko ustało. Wsunął głowę z powrotem i zapalił lampkę zwieszającą się z sufitu. Światło pływało po kabinie zgodnie z ruchami statku, to oświetlając jedynie nogi rzymskiego kapitana, to ukazując go w całości.

Ten widok zaparł Belusowi dech w piersiach; kilka chwil przerwy wyrwało go z transu, w jaki zapadł, torturując Rzymianina. W kapitanie trudno byłoby rozpoznać człowieka, który wcześniej tego dnia stał na pokładzie rufowym rzymskiej galery, krzyczał buntowniczo w stronę zmniejszającego się odstępu między statkami i wydawał swoim ludziom rozkazy, aby dzielnie stawili czoło dokonującym abordażu piratom.

Istota przed Belusem była teraz wrakiem człowieka, któremu godziny nieustającego bólu odebrały wszelką godność. Kartagińczyk podniósł sztylet i uważnie przyjrzał się klindze, tak jak kilka godzin wcześniej. W świetle latarni była pozbawiona blasku, zmatowiała od krwi, świeżej i zaschniętej, tak samo jak trzymająca ją dłoń. Belus poczuł nagle wstyd i wbił czubek sztyletu w blat stołu. Jeszcze nigdy nie torturował nikogo osobiście, choć wielokrotnie był tego świadkiem, i doskonale zdawał sobie sprawę z tego, z jaką łatwością wszedł w rolę.

Przypomniawszy sobie pytania, które powtórzył wielokrotnie w ciągu ostatnich godzin, przesiewając uzyskane informacje; powstrzymywał myśli, które kojarzyły mu się z chwilami, kiedy kapitan w końcu łamał się któryś raz z kolei. Zebrał już całkowicie przekonujące dowody i świadomie usprawiedliwił przed samym sobą decyzję o osobistym poddaniu Rzymianina torturom. Był pierwszym kapitanem, którego udało im się pojmać, a jego wiedza była warta więcej niż jakiegokolwiek załoganta. Gdyby zostawić go piratom, mogliby go zabić zbyt wcześnie albo przypadkowo. Dzięki skrupulatnemu podejściu Belusowi udało się potwierdzić wszystkie wcześniejsze doniesienia i uzupełnić brakujące szczegóły.

Rzymianin był człowiekiem honoru, a wnioskując z tego, że rozumiał implikacje pytań zadawanych mu przez Belusa, z pewnością miał za sobą karierę w armii i Kartagińczyk natychmiast postanowił, że kapitan zasługuje na znacznie lepszy los niż ten, który spotkał

resztę jego załogi. Belus otworzył drzwi kabiny i kazał jakiemuś załogantowi znaleźć dwóch następnych i wrócić z nimi. Pojawili się chwilę później i uśmiechnęli na widok Rzymianina.

– Nie żyje? – zapytał jeden z nich.

– Nie, jest nieprzytomny – odpowiedział Belus.

– Chcesz go wykończyć, zanim wyrzucimy go za burtę?

– Nie, macie go zanieść do mojej kabiny – odparł Belus ostrym głosem – i kazać komuś obmyć go i opatrzyć jego rany.

Piraci zawahali się, zastanawiając się, czy Kartagińczyk nie żartuje. Nie byli pewni, co mają teraz zrobić.

– No już! – krzyknął nagle rozgniewany Belus. – I dopilnujcie, żeby go dobrze traktowano. Za pół godziny sprawdzę, jak się ma.

Piraci gderali nieco, ale podnieśli Rzymianina na nogi i wywlekli, wiedząc, że dopóki Kartagińczyk przebywa na pokładzie, jest nietykalny i może ich ukarać, nie obawiając się zemsty.

Belus odprowadził ich wzrokiem i cicho, zamknął za nimi drzwi. Jeszcze raz rozważył swoją decyzję. Nie wiedział, czy kapitan przeżyje – nie brał tego pod uwagę podczas tortur – ale teraz miał nadzieję, że tak. Jeśli będzie w stanie okazać łaskę temu jednemu człowiekowi, może odzyska część honoru, odebranego mu przez piratów, z którymi musiał zawrzeć obrzydliwe dla niego

przymierze. Tego dnia zmieniło go ono w jednego z nich.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Aquila wpłynęła do portu w Brolium pod pełnymi żaglami, a jej doskonale wyważony kadłub skręcił za cypel na odcinku równym połowie długości okrętu. Gajusz stał przy sterze, zapierając się nogami, utrzymując równowagę równie łatwo jak jego podopieczna, a mięśnie jego ramion napinały się i rozluźniały z każdą lekką zmianą ułożenia rumpla. Attyk przyglądał się sternikowi w milczeniu, jak zawsze podziwiając jego swobodę, podkreślając jego niebywałe umiejętności. Kapitan siedział pod płóciennym zadaszeniem, chroniącym go przed słońcem południa.

Gorączka Attyka ustąpiła poprzedniego dnia, dwa dni po wypłynięciu z Rzymu. Pamiętał, jak obudził się w zaciemnionej kabinie, otępiały, oddychając ciężko i nie mogąc się ruszyć. W mroku jego umysł ogarnęła fala paniki, a kiedy przez myśli przemknęła mu nagła wizja Hadesu, próbował krzyczeć. Zdał sobie sprawę, że wymachuje ramionami, a potem niespodziewanie silna dłoń chwyciła jego ręce i ścisnęła je mocno, uspokajając go. Zapadł się z powrotem w ciemności, a kiedy ponownie otworzył oczy, w kabinie było jaśniej: luk nad nim otwarto, żeby wpuścić rześką morską bryzę. Wtedy Attyk po raz pierwszy poczuł ból i dotknął palcami ran na klatce piersiowej i twarzy, przypominając sobie gorączkową bójkę w bocznej uliczce. Podziękował w

myślach Fortunie, ponieważ rany robiły wrażenie lekkich, co rozwiało głęboką obawę znaną wszystkim żołnierzom: strach przed tym, że odniosą w bitwie poważną ranę, stracą którąś z kończyn lub – co gorsza – wzrok. Attyk widział już aż nazbyt wielu weteranów zebrzących na ulicach republiki, żalosnych nieszczęśników, którzy niegdyś nosili rzymską zbroję, ale teraz polegali na jałmużnie od nieznajomych.

Attyk próbował wstać z koi, ale był za słaby, więc musiał przełknąć wstyd i dać się wynieść na pokład dwóm majtkom. Szybko pozbył się poczucia hańby, kiedy nabrał pierwszy haust oczyszczającego, nasyconego solą powietrza, i teraz zadowalał się spokojnym siedzeniem w miejscu. Jego myśli rozproszyło nadejście Septymusa. Attyk nie widział przyjaciela od wielu dni i uśmiechnął się.

– Z tą blizną na pewno będziesz przystojniejszy – powiedział Septymus z uśmiechem, kucając przy kapitanie.

– Powinieneś zobaczyć tego drugiego – odparł Attyk, sięgając ręką do twarzy, a kiedy znów przypomniał sobie bójkę, po jego twarzy przebiegł cień. – To był legionista, Septymusie – dodał z całkowicie poważną już miną.

– Wiem – odparł centurion, instynktownie oglądając się przez ramię, aby się upewnić, czy nikt ich nie podsłucha. Szybko zrelacjonował Attykowi, co się wydarzyło po tym, jak przyniesiono go z powrotem na *Aquilę*, kończąc na kłamstwie Witulusa następnego dnia i

na zaginięciu strażnika.

Attyk się zaczerwienił i zaczął szukać sylwetki Warrona. Trybuna nie było na pokładzie.

– Witulus powiedział, że wieśniacy uciekli? – upewnił się Attyk.

– Tak, ale trudno mi w to uwierzyć – odparł Septymus, kiwając głową.

Attyk ponownie odwrócił wzrok, posyłając do Posejdoną bezgłośnie prośbę, żeby rybakom faktycznie udało się uciec.

– A zatem ten sukinsyn faktycznie kazał mnie zabić – powiedział Attyk, znów odruchowo dotykając twarzy. Wypowiedzenie oskarżenia na głos pozwoliło mu rozwiązać resztki wątpliwości co do tego, że to Warro stał za atakiem.

– I jest pewne, że spróbuje jeszcze raz – potwierdził Septymus.

– Opuścić żagiel! Rozkazy dla dobosza: prędkość standardowa! – Obaj mężczyźni odwrócili się, słysząc okrzyk Lucjusza, po czym Septymus znów spojrzał na Attyka.

– Brolium – powiedział. – Może teraz dowiemy się, co tu robimy.

Attyk kiwnął głową, ale mina mu stężała, kiedy dostrzegł, że spod pokładu wychodzi Warro wraz ze swoją strażą. Widząc gniewną minę przyjaciela, Septymus przesunął się, aby zasłonić go przed trybunem.

– Uważaj, Attyku – ostrzegł. – Pamiętaj, Warro nie

wie, że go podejrzewamy, i jeśli chcemy mieć nad nim przewagę, musi tak pozostać.

Wydawało się, że kapitan go nie słyszy; jeszcze raz wyciągnął szyję, żeby spojrzeć poza Septymusa.

– Attyku! – powtórzył centurion i kapitan ustąpił.

Septymus wstał i przeszedł z pokładu rufowego na główny. Warro stał przy relingu, kiedy gotowa do zacumowania *Aquila* zwolniła do prędkości sterownej.

– Jakie rozkazy, trybunie? – zapytał Septymus, salutując.

– Zostańcie na stanowiskach i czekajcie na mój powrót – odparł Warro. – Jak czuje się kapitan? – spytał, usiłując nadać głosowi neutralny ton.

– Dojdzie do siebie – odparł równie obojętnie Septymus – więc wygląda na to, że nie będzie trzeba szukać zastępcy.

Warro spojrział nań badawczo, ale centurion patrzył ponad jego głową kamiennym wzrokiem. Kiedy trap opadł z łoskotem na nabrzeże, trybun zszedł na ląd w towarzystwie Witulusa i pozostałych strażników. Dopiero kiedy zniknęli, Septymus uśmiechnął się i wrócił na pokład rufowy.

Hamilkar krążył powoli po przedsionku, od czasu do czasu zerkając przez otwarte drzwi prowadzące do komnaty spotkań rady najwyższej Kartaginy. Wielu z jej przedstawicieli już się zebrało i stali w małych grupkach, rozmawiając szeptem.

– Zwracaj się bezpośrednio do sufeta – powiedział mu ojciec, Hazdrubal. – Najważniejsza jest jego aprobata. Nie patrz na mnie ani żadnego innego radnego.

Hamilkar kiwnął głową.

– Hannon będzie próbował ci przerywać – ciągnął Hazdrubal. – Nie pozwól mu wciągnąć się w dysputę.

– Będę gotów – powiedział Hamilkar z napięciem w głosie.

Obok nich przeszli dwaj kolejni radni, ale nie zwrócili uwagi na pozdrowienie Hamilkara.

– Ci ludzie staną po stronie Hannonna – oświadczył Hazdrubal – bez względu na zalety twojego planu.

Hamilkar przeklął Hannonna w duszy za to, że staje mu okoniem. Poprzedniego wieczoru przedstawił swój plan Stu Czterem, radzie nadzorującej wszelkie wojskowe sprawy imperium. Byli to doświadczeni i praktyczni ludzie pokroju Hamilkara, mający za sobą kariery wojskowe, którzy badali wartość planu Barkasa, zadając przemyślane pytania. Po wielogodzinnej debacie i głosowaniu zatwierdzili strategię Hamilkara. Teraz pozostawała jeszcze jedna, ostatnia przeszkoda: jego propozycja zakładała radykalne powiększenie rozmiaru floty oraz zmianę jej składu, z trirem na kwinkweremy. Na takie wydatki potrzebował zgody najwyższej rady.

– Ilu członków rady kontroluje Hannon? – spytał Hamilkar.

– Czterej radni otwarcie go popierają – odparł przyciszonym głosem ojciec. – Wśród pozostałych

siedmiu trzej, w tym ja, opowiadają się za kontynuowaniem kampanii na Sycylii, a czterej, w tym sufet, jeszcze nie są zdecydowani.

– Moja strategia zyska ich uznanie – powiedział z przekonaniem Hamilkar. – Rada Stu Czterech już udzieliła mi poparcia.

– Twój plan ma jeden aspekt, z powodu którego część radnych może się odnieść do ciebie wrogo.

Hamilkar spojrzał pytająco na ojca.

– Hannon rozpowiedział wśród radnych, że robisz użytek z piratów, aby zebrać wiadomości dotyczące Rzymian – uściślił Hazdrubal, patrząc synowi w oczy.

– Ale skąd... ? – zapytał Hamilkar.

– Hannon ma w tym mieście wielu szpiegów – mruknął półgłosem Hazdrubal – a we flocie jeszcze więcej.

Hamilkar walnął pięścią w otwartą dłoń.

– Możliwe, że było to z twojej strony nierozsądne – odważył się zasugerować Hazdrubal, dając wyraz poczuciu dyshonoru, które obudziło się w wielu radnych na wieść, że Kartagina zadaje się z takimi bestiami.

– Nie było innego sposobu – rzucił gniewnie Hamilkar.

– Mów ciszej – syknął Hazdrubal, zerkając na otwarte drzwi komnaty.

– Gdybym wysłał na północ jeden z moich okrętów z misją zebrania informacji – zaczął gorączkowo tłumaczyć – zostałby dostrzeżony albo co gorsza przechwycony, co

ujawniłoby całą strategię. Potrzebowałem ludzi, którzy świetnie znają okoliczne wybrzeża i potrafią zorganizować skuteczną zasadzkę na rzymskie okręty, ludzi, których lojalność można kupić.

Chciał wyjaśniać dalej, powiedzieć ojcu, że i jego honor był splamiony współdziałaniem z piratami, że znosił tę hańbę dla Kartaginy – ale urwał, kiedy zauważył, że w drzwiach przedsionka stoi sufet. Wiekowy mąż stanu obrzucił obu mężczyzn baczny spojrzeniem i wszedł do komnaty zebrać rady. Hamilkar odprowadził go wzrokiem, zastanawiając się, ile słyszał z tej wymiany zdań. Wymienili z ojcem porozumiewawcze spojrzenia, po czym Hazdrubal podążył za sufetem.

Septymus opuścił *Aquilę* wkrótce po Warronie, szacując, że ma do powrotu trybuna co najmniej kilka godzin, aż nadto czasu. Najpierw musiał odnaleźć Aulusa, kapitana portu, wskoczył więc na stertę worków z ziarnem, żeby mieć lepszy widok na zatłoczone nabrzeże. Roztaczająca się przed nim scena robiła wrażenie chaotycznej: statki handlowe nieustannie przybijały i oddalały się od długiej na ćwierć mili kei. Do każdej nowo przybyłej jednostki przypadały świetnie zorganizowane grupy niewolników, którzy wbiegali po trapie, jeszcze zanim dobrze znalazł się na brzegu. Moment później szli już w przeciwnym kierunku, taszcząc ciężkie skrzynie, które składali na kei.

Septymus rozejrzał się powoli po tłumie, osłaniając

oczy przed popołudniowymi promieniami słońca, i wyczuł ucho na znajomy głos Aulusa. Po chwili dostrzegł, że kapitan portu z poczerwieniałą twarzą stoi na środku nabrzeża, gestykulując rozpaczliwie. Septymus uśmiechnął się pod nosem, zeskoczył z worków i ruszył przed siebie zdecydowanym krokiem. Obdarzony potężną posturą centurion w zbroi bojowej, obejmujący dłonią rękojeść miecza, nie musiał się przeciskać przez tłum – szeregi niewolników rozstępowały się, żeby go przepuścić – i dotarł do Aulusa, zanim ten dokończył swoją tyradę.

– Ani chwili spokoju dla drobnych tyranów – powiedział Septymus, zatrzymując się za jego plecami.

Kapitan portu odwrócił się z morderczą miną, zapominając o poprzedniej ofierze swojego ataku gniewu, jednak na widok Septymusa się uśmiechnął.

– Kapito! – krzyknął. – Właśnie mi się wydawało, że czuję smród legionisty.

Septymus roześmiał się i klepnął Aulusa po ramieniu. Kapitan portu, który niegdyś sam pracował jako handlarz i marynarz, nie przepadał za żołnierzami, czy to z legionów, czy z floty.

– *Aquila* wróciła do Brolium?

– Tak – odparł Septymus – ale nie wiem na jak długo. Płyniemy z Warronem. Myślę, że właśnie stawiał się u dowódcy portu z rozkazami z Rzymu.

– Warro, ten od Terme? – zapytał z niedowierzaniem Aulus. – Nie sądziłem, że go jeszcze zobaczymy.

– Wiesz, jak to jest w legionach, Aulusie – odparł

sarkastycznie Septymus. – Łatwo puszczamy wszystko w niepamięć.

Aulus się uśmiechnął, ale wyglądał na zaniepokojonego. Lubił wiedzieć o wszystkim, co działo się w jego porcie, a powrót zhańbionego trybuna stanowił ważną wiadomość. Właśnie miał dokładniej przepytąć Septymusa na tę okoliczność, ale zauważył, że z twarzy centuriona zniknęły wszelkie ślady wesołości i podniósł pytająco brwi.

– Chodzi o Attyka – wyjaśnił Septymus. – Jest ranny.

– Jak poważnie?

Septymus opowiedział mu wszystko szczegółowo.

– Nie ma już gorączki?

– Nie. Ale skoro jesteśmy w porcie, chciałbym, żeby zbadał go wyszkolony medyk.

Aulus kiwnął głową. Skoro gorączka ustąpiła, Attyk miał spore szanse na wyzdrowienie, ale rozumiał ostrożność centuriona.

– Znam kogoś takiego – powiedział. – Każę go natychmiast wysłać na *Aquile*.

Septymus podziękował Aulusowi i ruszył dalej. Kwadrans później dotarł do obozu wojskowego za miastem. Na nabrzeżu kusiło go, żeby zapytać Aulusa o Dziewiąty – wiedział, że kapitan portu zawsze jest świetnie poinformowany – ale postanowił poczekać i przekonać się na własne oczy. Aulus i tak nie znałby losu poszczególnych oddziałów.

Septymus wyprostował się, kiedy dwaj legioniści z

excubiae, dziennej straży, zastąpili mu drogę.

– Kapito – oznajmił, zatrzymując się. – Centurion na *Aquili*.

Żołnierze zasalutowali i cofnęli się, ale Septymus zauważył, że nie zareagowali tak żwawo, jak zrobiliby to w obecności centuriona z legionów.

Przebiegł plac ćwiczeń. Dookoła było dziwnie pusto, choć centurion dostrzegał kątem oka pojedynczych legionistów. Nagle poczuł napięcie i przyspieszył kroku: nietypowy brak zwyczajowego ruchu w obozie zbił go z pantałyku.

Kwatera legata znajdowała się po przeciwnej stronie placu, w nijakim jednopoziomowym budynku wzniesionym z miejscowych cegieł. Po obu jego stronach stały siedziby dowódców Dziewiątego i Drugiego, równie szare budowle, które według początkowych planów miały być tymczasowe. Septymus zatrzymał się i przyjrzał budynkom, a wtedy jego niepokój zastąpiło zrozumienie. Przed kwaterą dowódców Dziewiątego sztandary bojowe każdego manipułu były ustawione w schludną linię, zatknięte na włóczniach o żelaznych grotach. Sztandarów Drugiego i samego legata nie było jednak widać i choć wartownicy pełnili straż przed wejściem do obu budynków, tylko jeden z nich był użytkowany.

Septymus podszedł do siedziby Dziewiątego i jako dowódcę natychmiast go wpuszczono. Wszedł do środka i zatrzymał się na chwilę, aby pozwolić oczom przyzwyczać się do zalegającego wewnątrz mroku.

Znalazł się w największym pomieszczeniu w budynku; dookoła potężnego stołu siedziało wielu centurionów; część jadła, inni prowadzili ciche rozmowy. Przyciągnął spojrzenie jednego z dowódców, a ten wstał z pytającym wyrazem twarzy.

– Szukam centuriona Silanusa z czwartego manipułu
– powiedział Septymus.

– Marka? – zapytał mężczyzna. – A kto pyta?

– Kapito.

Centurion kiwnął głową. Minę miał zamyśloną; rozpoznał to nazwisko.

– Syn Antoninusa? – spytał.

Septymus potwierdził, uśmiechając się nieznacznie. Legion podczas kampanii liczył dziesięć tysięcy ludzi – legionistów i żołnierzy oddziałów pomocniczych – więc choć Septymus służył kiedyś wraz z czwartym manipulem, a potem znów przez ostatnie trzy miesiące, absolutnie się nie spodziewał, że rozpozna go ktokolwiek spoza jego własnego manipułu. Wszyscy jednak kojarzyli jego ojca i centurion przyjrzał się Septymusowi z lekkim, nostalgicznym uśmiechem, po czym poszedł poszukać Marka.

Septymus usiadł przy stole i przesunął wzrokiem po pomieszczeniu. Panowała w nim przytłaczająca atmosfera, ludzie byli zgaszeni, a po zwyczajowej energii charakteryzującej kwaterę dowódców nie było śladu. Septymus mógł się tylko domyślać, co spotkało tych ludzi podczas ich taktycznego odwrotu spod Terme.

Nagle usłyszał znajomy szorstki głos i gdy się odwrócił, dostrzegł wysoką, smukłą sylwetkę przyjaciela. Szpakowaty centurion był o dziesięć lat starszy od Septymusa, ale dzięki dwudziestu pięciu latom ostrej legionowej dyscypliny i nieustannego wysiłku fizycznego nie wyglądał na swój wiek. Teraz jednak Septymus odniósł wrażenie, że w ciągu dwóch tygodni, od kiedy widzieli się ostatnio w Terme, jego przyjacielowi przybyły wszystkie te lata – i dziesięć kolejnych.

Mężczyźni uścisnęli sobie dłonie. Septymus spojrzał w oczy swojego byłego dowódcy, szukając tak charakterystycznej żelaznej determinacji. Wciąż się w nich tliła, więc powściągnął wątpliwości. Jako żołnierz jego przyjaciel może nie był już w sile wieku, ale jego wola walki była tak silna, jak zawsze.

Marek poprosił Septymusa gestem, aby ponownie usiadł, i zajął miejsce przy nim.

– Moi *hastati* byli tutaj, kiedy wróciłem – powiedział z prostotą.

Septymus kiwnął głową, przyjmując zawoalowane podziękowanie.

– Kiedy to było? – zapytał.

– Trzy dni temu.

Odwrót potrwał dłużej, niż się spodziewał.

– Jakie straty?

– Zbyt duże – odpowiedział Marek, a po jego twarzy przebiegł cień. Opisał szczegółowo odwrót.

Septymus słuchał bez słowa.

– Dziewiąty został zdemobilizowany do czasu, kiedy z Rzymu przybędą posiłki – zakończył Marek.

Septymus kiwnął poważnie głową. Dla dumnych ludzi, takich jak żołnierze Dziewiątego, usunięcie z aktywnej służby było surowym wyrokiem.

– A Drugi? – zapytał. – Nie ma ich w obozie?

– Przekłęci Punijczycy – warknął Marek, ledwo hamując wściekłość. – Podczas gdy jeden ich zastęp upuszczał nam krwi na drodze wzdłuż wybrzeża, inny, większy, uderzył w głębi lądu.

– Jak daleko? – zapytał Septymus.

– Kiedy dotarliśmy do Brolium, zaczęły się pojawiać pierwsze raporty twierdzące, że Kartagińczycy są już w Ennie i okupują miasto.

– Więc Megellus pomaszerował wraz z Drugim na południe?

Marek kiwnął głową.

– Tylko że zbyt późno. Enna leży o cztery dni marszu stąd i w dniu, kiedy Drugi wymaszerował, dotarła do nas najświeższa wiadomość, że miasto wkrótce padnie.

Septymus pokręcił głową. Enna była ufortyfikowanym miastem położonym w centrum Sycylii, w samym środku ziem zajętych przez Rzymian.

– Nie rozumiem – powiedział. – Nawet gdyby Kartagińczykom udało się zająć Ennę, znajdują się zbyt daleko na rzymskim terytorium, żeby ją utrzymać. Szósty i Siódmy legion stacjonują w Agrigentum, na południu, a skoro Megellus nadchodzi z północy, nieprzyjaciela

można pokonać.

Marek wzruszył ramionami, nie do końca przekonany.

– Jeśli ruszą dalej na wschód, mogą przeciąć nasze ziemie na pół.

– Ale w jakim celu? – upierał się Septymus. – Kiedy dotrą do granicy Syrakuz, będą musieli się zmierzyć z wrogimi siłami z trzech stron: z Rzymianami od północy i południa oraz Syrakuzami od wschodu.

Marek znów wzruszył ramionami. Septymus widział, że w przyjacielu wciąż tli się gniew. Rozumiał go. Po rzezi Dziewiątego pierwszą reakcją legionu byłaby chęć jak najszybszego powrotu do walki. Dzięki natarciu Kartagińczyków nadarzyła się ku temu okazja, ale Dziewiąty został odsunięty od walki, więc Marek i jego ludzie mogli się tylko przyglądać, jak zamiast nich bitwę toczą inni.

– Kiedy spodziewacie się żołnierzy rezerwowych? – spytał Septymus.

– W ciągu tygodnia – powiedział Marek, już myśląc o dniu, kiedy jego manipuł znów będzie miał pełną liczebność.

– Megellus zdąży już wtedy się zetrzeć z Kartagińczykami – powiedział Septymus, mając na myśli to, że Dziewiąty nie będzie potrzebny przy tej okazji.

Marek odczytał aluzję i pokręcił głową.

– Dziewiąty weźmie udział w bitwie przed końcem miesiąca – powiedział z całkowitym przekonaniem w

głosie.

– Nie sędzę – rzekł Septymus. – Punijczycy przecenili swoje możliwości. Atakując Ennę, popełnili błąd i Megellus zakończy oblężenie.

– Nie, Septymusie. – Marek zmarszczył w zamyśleniu czoło. – Punijczycy nie popełniają takich błędów. Po Myle zachowywali się spokojnie. Potem nagle zastawili na nas pułapkę, kiedy zaatakowaliśmy Terme, a jednocześnie inny zastęp zaczął nękać naszą flankę. Niemożliwe, żeby były to spontaniczne ataki.

Septymus po namyśle zgodził się z tym spostrzeżeniem. Rozważając oba te ataki, można byłoby dojść do wniosku, że w grę wchodzi szerzej zakrojony plan, a natarcie na Ennę było czymś więcej niż tylko oportunistycznym atakiem zorganizowanym w następstwie udanej zasadzki pod Terme. Jakąkolwiek strategię obrał nieprzyjaciel, Septymus był już skłonny uwierzyć, że Marek ma rację. Dziewiąty znów wkrótce zmierzy się z Kartagińczykami w bitwie.

Hamilkar ugryzł się w język i powściągnął temperament, kiedy jeden z siedzących przed nim ludzi wybuchł cichym, pogardliwym śmiechem. Nie spuszczał wzroku z sufeta, pamiętając słowa ojca, zerknął tylko szybko na swojego krytyka, Hannona. Pozostali członkowie dwunastoosobowej rady milczeli z dostojnymi minami, Hamilkar więc mówił dalej.

– Kiedy nasze siły dotrą do granic Syrakuz –

powiedział – armia Hierona połączy się z naszą i ubezpieczy flankę, podczas gdy nasze zastępy będą maszerowały do Tyndaris.

– Ufasz Hieronowi? – zapytał po chwili sufet.

– Nie bardziej niż jakimkolwiek innemu sojusznikowi – odpowiedział Hamilkar. – Nie zna całego mojego planu i zapewne sądzi, że używamy Tyndaris tylko dla celów naszej sycylijskiej kampanii. Gra na dwie strony, więc jak na razie jest w jego interesie, żeby utrzymać nasze działania w tajemnicy przed Rzymem.

Sufet kiwnął głową, pozornie zadowolony z odpowiedzi Hamilkara, ale zachował kamienną minę.

– Rzymianie mają dwa legiony w Agrigentum – wtrącił jeden z radnych – i co najmniej jeszcze jeden w Brolium. Armia Hierona nie może się z nimi równać.

– To nie ma znaczenia – odparł Hamilkar. – Kiedy nasze zastępy wypłyną z Tyndaris i wypełni się druga część mojej strategii, spodziewam się, że Rzymianie będą chcieli, żebyśmy postawili warunki. Pierwszym z nich będzie żądanie, aby opuścili Sycylię.

Sufet znów kiwnął głową.

– A co w kwestii tego, że robisz użytek z piratów? – spytał nagle Hannon.

Hamilkar już miał odpowiedzieć, ale odezwał się jeden z radnych, sprzymierzeniec jego ojca.

– Szczegóły planów dowódcy nie powinny kłopotać rady – powiedział. – Rada Stu Czterech już wyraziła aprobatę względem strategii Hamilkara. Musimy jedynie

zadecydować, czy plan ten spełnia potrzeby Kartaginy.

– Ale tu chodzi o honor miasta – odparował Hannon, nie spuszczać wzroku z Hamilkara.

Barkas znów miał na końcu języka odpowiedź, ale powstrzymał się, wiedząc, że nie wygra kłótni, a cokolwiek powie, będzie tylko pożywką dla ataku Hannona. Sufet podniósł rękę, żeby zapobiec dalszym dyskusjom. Spojrzał prosto na Hamilkara, a ten znów zaczął się zastanawiać, ile sufet podsłuchał, stojąc w przedsionku.

– Już dość usłyszałem – powiedział cichym, twardym głosem. – Teraz musimy podjąć decyzję.

Hamilkar kiwnął głową i zszedł z podium. Przedstawiciele rady zaczęli omawiać sprawę między sobą, więc Barkas miał chwilę na to, żeby spokojnie im się przyjrzeć. Po lewej jego ojciec rozmawiał cicho z ludźmi, których Hamilkar rozpoznał, ponieważ znał ich synów, a rozglądając się po reszcie pomieszczenia zidentyfikował kilku kolejnych mężczyzn, głowy potężnych kartagińskich rodów.

Pośrodku półokręgu siedział sufet, a po jego prawej ręce – Hannon, który mówił coś do niego z uśmiechem na twarzy. Hamilkar poczuł nagły przypływ pokory w obecności tych potężnych osobistości. Każdy z nich drogo zapłacił za miejsce w radzie, otwarcie wręczając łapówki członkom niższej rady w zamian za ich głosy. Hamilkar słyszał, że w Rzymie praktykuje się to samo – senatorowie też płacili za głosy – ale tam uważano, że

przynosi to hańbę, że to zło konieczne, o którym otwarcie się nie mówi. W Kartaginie bogactwo było oznaką odniesionego sukcesu, a roztaczanie aury zamożności jedynie podkreślało to powodzenie. Miejsca w radzie najwyższej były zatem dostępne tylko dla najbogatszych Kartagińczyków, ludzi, którzy dowiedli swojej wartości i można było im powierzyć rządy.

Sufet podniósł dłoń i w siedzibie rady zapanowała cisza. Hamilkar utkwiał wzrok w przywódcy, zbierając myśli i przygotowując się na pytania. Sufet wstał i zaczął krążyć po komnacie. Był jednym z najstarszych radnych, ale plecy miał proste i poruszał się swobodnie, spoglądając na Hamilkara pełnymi inteligencji oczami.

– Twój plan jest ambitny – powiedział.

Hamilkar milczał. Stwierdzenie sufeta nie było pytaniem, a ojciec ostrzegł go, żeby odpowiadał tylko na pytania.

– Sądysz, że się powiedzie? – ciągnął sufet.

– Jeśli otrzymam środki, o które proszę, panie – odparł pewnym głosem Hamilkar – tak, wiem, że mój plan się powiedzie.

– Ale jeśli nie... – rozległ się nagle głos i wszyscy obejrżeli się na Hannona. – Mówisz o tym planie tak, jakby był niezawodny.

Sufet po raz kolejny podniósł dłoń, aby powstrzymać ripostę Hamilkara.

– Rada Stu Czterech już zatwierdziła twój plan – zwrócił się do niego – i musimy ufać jej ocenie. Chciałem

się tylko przekonać, jak bardzo jesteś przekonany o powodzeniu swej strategii.

Hamilkar kiwnął głową, choć z głosu sufeta nie dało się wywnioskować, czy uznał jego przekonanie za wystarczające, czy też nie.

– Rada odbędzie głosowanie – ciągnął sufet. – Kto jest za?

Hamilkar patrzył, jak sześciu ludzi – w tym jego ojciec – kiwnięciem głowy wyraża aprobatę.

– Kto jest przeciw?

Przytaknęło pięciu ludzi, a jeden zerknął na Hannona; ten wlepił wzrok w Hamilkara, kiedy oddawał swój głos przeciwko jego planowi.

– A zatem sprawę rozstrzygnie mój głos – oznajmił sufet. Powoli wrócił na swoje miejsce pośrodku komnaty.

Hamilkar skupiał na nim całą uwagę. Gdyby zagłosował przeciwko niemu, wynik byłby remisowy i tylko on sam mógłby przełamać tę patową sytuację, ponieważ jego głos zasadniczo liczyłby się podwójnie. Starszy mężczyzna usiadł i ponownie zmierzył Hamilkara przenikliwym spojrzeniem, oceniając go po raz ostatni.

– Niech Anat cię prowadzi, młody Barkasie – powiedział. – Aprobuję twój plan.

Hamilkar zasalutował, nie okazując poczucia triumfu. Odwrócił się na pięcie i wyszedł z komnaty. Ojciec odprowadził go wzrokiem, a jego dumę z syna ograniczała świadomość realiów tego, co się właśnie stało. Rada wyraziła zgodę, ale znikomą przewagą i mimo

swojej aprobaty nie wzięła na siebie żadnej odpowiedzialności. Cały jej ciężar spoczywał na barkach jego syna.

Warro dotarł do wielkiej willi górującej nad Brolium. Pospiesznie zerknął przez ramię na rozpościerającą się poniżej panoramę nabrzeża. Z tej wysokości tłumy ludzi, przez które tak niecierpliwie się przepychał, wyglądały jak bezkształtne masy, między którymi nieprzerwanym strumieniem płynęły towary, po czym znikwały w wąskich uliczkach prowadzących do *castrum*.

Trybun wszedł na dziedziniec przed głównym wejściem do willi, już w pełni skoncentrowany na czekającym go spotkaniu. Dał sygnał swojej świcie, żeby poczekali na placu, i ruszył dalej sam; minął dwóch legionistów stojących na straży przy głównej bramie, nawet na nich nie spojrzawszy, i zatrzymał się u progu rezydencji.

Instynktownie zerknął na zapieczętowany zwój, który trzymał w prawej ręce. Scypion wręczył mu go w Rzymie wraz z rozkazem, żeby oddał go głównodowodzącemu w Brolium. Trybun domyślał się, że dokument zawiera szczegóły dotyczące jego degradacji oraz ogólne polecenie nadania mu dowództwa nad jednym z oddziałów floty. Zjeżył się na myśl o jego zawartości – nie z powodu samej treści, albowiem zgadzał się na wyzwanie i konkretne zadanie zlecone mu przez Scypiona – ale ponieważ dowiedział się, że legat przebywa poza

miastem i nie ma innego wyboru, jak tylko wręczyć zwój dowódcy portu, człowiekowi o randze niższej od trybuna. Warro nie był przygotowany na taką hańbę.

Na dźwięk zbliżających się kroków odwrócił się i zszedł z drogi, aby przepuścić *contubernium* dziesięciu legionistów, których prowadził *optio* dowódca zaszalutował z szacunkiem, dostrzegając togę trybuna, lecz nie rozpoznając samego człowieka. Warro bez namysłu kiwnął głową i poczuł, że ponownie budzi się w nim duma. Ścisnął mocniej zwój i wszedł do willi, po czym przywołał stojącego niedaleko żołnierza i rozkazał mu powiadomić dowódcę portu, że chce się z nim zobaczyć.

Po chwili go wprowadzono i stanął pośrodku pomieszczenia, na tyle daleko od stołu dowódcy, że mężczyzna musiał wstać i podejść do trybuna, żeby odebrać dokument. Warro patrzył na niego z nieodgadnionym wyrazem twarzy. Dowódca portu był krzepkim, może czterdziestopięcioletnim mężczyzną, ale poruszał się żwawo, i Warro odniósł wrażenie, iż musiał być kiedyś zaprawionym w bojach żołnierzem.

– Nie spodziewałem się, że tak szybko znów cię zobaczę, trybunie – powiedział dowódca lekkim, lecz pytającym tonem.

Chwilę wcześniej, kiedy dowiedział się, że Warro czeka na zewnątrz, • pospieszył do drzwi, żeby zerknąć ukradkiem na trybuna. Jak zdołał wrócić na Sycylię, w dodatku nieokryty hańbą? Kiedy dowódca wracał za swój stół, miał mętlik w głowie, ale siadając, zauważył pieczęć

na zwoju. *SPQR*: pieczęć rzymskiego senatu. Złamał ją i zaczął czytać dokument. Z każdą linijką powody powrotu trybuna stawały się coraz bardziej oczywiste i nie mógł powstrzymać uśmiechu, kiedy dotarł do końca rozkazu Scypiona i potwierdzenia nowej rangi Warrona.

Trybun uważnie przyglądał się minie starszego mężczyzny, usiłując wywnioskować z niej, jak Scypion sformułował rozkaz: z poszanowaniem czy szyderstwem. Kiedy zobaczył, że dowódca się uśmiecha, poczuł, jak wzbiera w nim gniew. Jakiegokolwiek tonu użył Scypion, dowódcę portu ucieszył rezultat. Mężczyzna wstał powoli, wciąż się uśmiechając. Warro usiłował zachować obojętną minę.

– No dobrze, dowódco – zaczął naczelnik portu, kładąc duży nacisk na nowy tytuł Warrona. – Wygląda na to, że muszę ci znaleźć jakiś oddział.

Warro zignorował ten przytyk i stanął na baczność, żeby przyjąć rozkazy. Wlepił wzrok w punkt dokładnie nad głową dowódcy i skoncentrował się na tym, jak chwilę wcześniej, na dziedzińcu, zasalutował mu *optio*. Wiedział, że to jego toga wzbudziła szacunek legionisty, ale sądził też, że niepoślednią rolę odegrał też jego wrodzony majestat. Od dzisiaj jego strój może i się zmieni, ale Warro przysiągł sobie, że w duchu pozostanie trybunem; była to najniższa ranga, której wymagała jego pozycja społeczna. Z czasem wypełni swoje rozkazy od Scypiona i pozbędzie się rzymskiego kapitana, który zhańbił zarówno jego samego, jak i Rzym. Wtedy wróci

do miasta, odzyska swój tytuł i znów będzie mógł spojrzeć ojcu w oczy. Do tej chwili będzie znosił lekceważenie ludzi w rodzaju dowódcy portu, ludzi mniejszego formatu, którzy kiedyś pożałują, że go nie docenili.

Alissar sunęła spokojnie po wodach portu handlowego Kartaginy; sternik manewrował kwinkweremą po ruchomym torze przeszkód złożonym z wielkich i małych statków kupieckich. Wiał wiatr od morza, żagiel więc zrefowano, ale odpływ ułatwiał galerze drogę, a dobosz pod pokładem narzucał miarowe tempo czterech węzłów.

Hamilkar krążył po pokładzie, a jego podniecenie i niecierpliwość wyraźnie kontrastowały ze spokojnym wznoszeniem się i opadaniem pokładu pod jego stopami oraz subtelnymi zmianami kursu, które coraz bardziej zbliżały okręt do otwartych wód poza portem. Od czasu do czasu po jego twarzy przemykał uśmiech, kiedy Barkas zerkał w tył, na ujście wojskowego portu położonego za handlową częścią nabrzeża. Wiedział, że miejsce to tętni teraz życiem; jego plan, zatwierdzony przez najwyższą radę, zaczynały już urzeczywistniać uzdolnione ręce niezliczonych kartagińskich cieślów okrętowych. Byli najlepszymi rzemieślnikami na świecie i ich wiara we własne możliwości rozwiała wszelkie wątpliwości Hamilkara dotyczące napiętego harmonogramu budowy.

Galera w końcu wydostała się poza port, a rytm bębna

przyspieszył do siedmiu węzłów, gdy wypływała na otwarte morze. Hamilkar spojrział na horyzont, wyobrażając sobie trasy galer, które wysłał w drogę poprzedniego dnia. Było ich cztery, a kapitanowie wszystkich wieźli rozkazy podyktowane przez Hamilkara, ale też opatrzone pieczęcią najwyższej rady. Rozkazy miały trafić na najdalsze rubieże imperium, do Mauretanii, Iberii, na Sardynię i Baleary. W ciągu kilku tygodni prowincjonalne floty, którym wydano rozkaz powrotu do metropolii, pojawią się w Kartaginie i powiększą siły Hamilkara, aż osiągnie on przewagę liczebną konieczną do wykonania swojego planu.

Alissar zmieniła nieco kurs, zmierzając prosto w stronę południowo-wschodniego krańca Sycylii. Trzymając się brzegu, miała dopłynąć do Cieśniny Mesyńskiej i przebyć ją w nocy, aby dostać się do swojego ostatecznego celu: Tyndaris. Był to jeden z kluczowych elementów planu, któremu jednak najbardziej groziło ujawnienie, Hamilkar więc postanowił nadzorować ostatnie stadia budowy. Ponadto wysłał rozkazy do Panormos, aby w Tyndaris dołączył do niego tuzin galer; miał zamiar zamknąć port dla wszystkich jednostek handlowych.

Zerknął przez ramię na znikającą w oddali Kartaginę. Miał zobaczyć ją ponownie zaledwie za kilka tygodni, a myśl ojej porcie wypełnionym wszystkimi galerami imperium wzbudziła w nim dumę z tego, co miał wkrótce osiągnąć.

Attyk oparł się o reling na rufie, trzymając się blisko płonącego przenośnego piecyka, którego dym odstraszał wieczorne owady. Klatkę piersiową miał ściśniętą bandażami, które założył mu medyk, a jego rana robiła wrażenie dziwnie zimnej: posmarowana śmierdzącą maścią odrętwiała, ale przestała boleć. Attyk czuł zmęczenie i zawroty głowy, ale opóźnił powrót do kajuty w oczekiwaniu na zmianę warty o zmroku: był ciekaw, co wyjawi mu po powrocie Septymus.

Bryza zmieniła kierunek, rozwiewając dym, dzięki czemu mógł wyczuć wyraźne zapachy portu, przesyconego solą powietrza, piżmową woń miasta, gdzie zapalono setki ognisk w przygotowaniu na nadejście nocy, i kwaśny odór zęz statków otaczających *Aquilę*. W miarę jak zbliżał się wieczór, tłumy zaczęły znikać z nabrzeża – po kolejnym nijakim dniu w ich nieszczęsnym życiu niewolników zapędzono już z powrotem do kwater na południu Brolium.

Attyk dostrzegł Septymusa z odległości stu kroków – jego czerwona peleryna rzucała się w oczy na tle odzianych głównie w biel handlarzy i kupców. Wezwał jednego z załogantów i kazał mu przynieść wino na pokład rufowy. Z postawy nadchodzącego centuriona usiłował wywnioskować, czy przynosi dobre, czy złe wieści. Dopiero gdy Septymus dotarł na tylny pokład, zauważył jego strapioną minę.

– Marek? – zapytał, źle interpretując wyraz twarzy

centuriona.

– Wrócił cały – odpowiedział Septymus, biorąc od niego kielich wina – ale Dziewiąty poniósł ogromne straty. Tymczasowo odsunięto go od walki.

Attyk kiwnął poważnie głową, ale milczał, czując, że Septymus jeszcze nie skończył. Zwilżywszy gardło, centurion zaczął relacjonować mu to, co wyjawiał Marek, i ich długą dyskusję.

– Więc Marek uważa, że za atakiem Kartagińczyków kryje się coś więcej? – upewnił się Attyk.

– Tak, a ja się z nim zgadzam – odparł Septymus – ale nie wiemy, co chcą osiągnąć. Może próbują rozdzielić nasze tereny, a może to tylko pozorowany atak przed natarciem mającym na celu odzyskanie Agrigentum.

Attyk przytaknął, ale ten wniosek do niczego ich nie prowadził. Tylko Punijczycy wiedzieli, jaki będzie ich następny krok.

Odwrócili się, słysząc stukot ciężkich kroków po trapie, i zobaczyli, jak Warro wprowadza swoich ludzi na okręt. Gdy dostrzegł Attyka i Septymusa, odprawił ich machnięciem ręki i sam ruszył na pokład rufowy, nie spuszczając wzroku z kapitana i centuriona.

– Jakie rozkazy, trybunie? – zapytał Septymus, salutując i skupiając na sobie całą uwagę Warrona.

– Wypływamy o świcie – odparł Warro, nie poprawiając centuriona, choć tytuł był już nieaktualny. Wiedział, że wiadomość o jego degradacji wkrótce rozniesie się wśród załogi, ale do tej chwili miał zamiar

pozostać trybunem, choćby tylko z nazwy.

– Jaki kurs, trybunie? – spytał Attyk, robiąc krok do przodu. Był zdecydowany wydobyć od niego konieczne informacje, które jako kapitan miał prawo znać.

Warro wlepiął w niego przez długą chwilę twarde spojrzenie, aż w końcu rzekł:

– Każ przynieść mapę północnego wybrzeża Sycylii.

Gdy wypełniono rozkaz, Septymus rozłożył mapę na pokładzie, a oni otoczyli ją, uważając, aby nie zasłonić zanikającego światła słońca wiszącego o włos nad horyzontem.

– Popłyniemy na wschód, w te rejony. – Warro pobieżnie zakreślił palcem na mapie trójkąt. – Powinniśmy tam napotkać oddział dziesięciu galer patrolowych. Przejmę nad nimi dowodzenie. – Nie mówiąc nic więcej, zszedł pospiesznie do głównej kabiny.

– Trybuna wyznaczono do pełnienia patrolu? – spytał podejrzliwie Septymus, odprowadzając Warrona wzrokiem.

– Jak to możliwe, że on w ogóle wciąż dowodzi? – zastanawiał się Attyk, nagle rozgniewany. Miał już dość gry prowadzonej przez trybuna. Ten człowiek próbował doprowadzić do jego śmierci, a mimo to Attyk nie mógł nic zrobić: Warrona chroniła wysoka ranga i pozycja społeczna. – Ci przekłęci Rzymianie nie mają honoru – syknął.

Nagle twarz Septymusa stężała.

– Co ty możesz wiedzieć o rzymskim honorze? –

spytał ostrym tonem, gdy obudził się w nim uśpiony dotychczas gniew. – Warro to tylko jeden człowiek. Nie uosabia całego Rzymu.

– Jak sądzisz, kto go chroni? – odciął się Attyk zły, że Septymus tak zareagował i bronił Warrona. – Tylko starszy konsul mógłby oszczędzić tego sukinsyna.

Septymus zbliżył się do niego.

– A co z greckim honorem? – zapytał.

Attyk zmarszczył brwi, nie pojmując.

– Mówiłem ci, żebyś trzymał się z daleka od Hadrii. – Septymus wypowiedział na głos oskarżenie, które jątrzyło się w nim już zbyt długo.

Attyk oniemiał; wzmianka o Hadrii zbiła go z tropu.

– Rozmawiała z tobą? – zapytał, a gniew wezbrał w nim na nowo, kiedy zobaczył potępienie na twarzy przyjaciela.

– Tak – odparł centurion – i wiem o twojej zdradzie.

– Zdradzie? – warknął Attyk, nieświadomie sięgając po rękojeść miecza.

Septymus w mgnieniu oka też chwycił swój oręż, tak mocno, że zbieleły mu palce.

Attyk wlepił w centuriona złowrogie spojrzenie, czując nieprzepartą chęć wyciągnięcia miecza. Zobaczył w myśli Hadrię stojącą w swojej sypialni na chwilę przed tym, jak podbiegła spotkać się z bratem, i powściągnąwszy furję, powoli puścił rękojeść.

Septymus dostrzegł ten ruch kątem oka, kiedy sam usiłował się opanować. Wielokrotnie wyobrażał sobie tę

konfrontację, ale nie sądził, że stanie się ona tak ostra. Żywił absolutne przekonanie, że relacja między Attykiem i Hadrią musi się zakończyć, i polegał na tym, że przyjaciel położy jej kres. Spodziewał się, że kiedy zdemaskuje tę zdradę, przywoła Attyka do porządku, a zamiast tego zaskoczyła go zajadłość, z jaką kapitan się bronił. Patrzył przyjacielowi w twarz i widząc, że tak samo pasuje się ze sobą jak on, zbity z tropu powoli rozluźnił uścisk dłoni na rękojeści miecza. Już miał się odezwać, ale się powstrzymał. Padło już dość słów. Odwrócił się i zszedł z pokładu.

Attyk nie spuszczał wzroku z pleców Septymusa, a gniew i zmieszanie uderzały go na przemian urywanymi falami. Spojrzał w dół, na wciąż rozpostartą u jego stóp mapę północnej Sycylii; była w połowie ukryta w cieniu, ponieważ słońce rzucało już ostatnie promienie. Spróbował ponownie się skoncentrować, odciągnąć myśli od słów Septymusa, i z głębin umysłu przywołał rozkazy Warrona. Przesunął palcami po wskazanym przez trybuna trójkącie; zapewne był to jeden z wielu terenów patrolowanych przez oddziały rzymskich galer stacjonujących w Brolium. Jeden z wierzchołków trójkąta leżał w porcie, gdzie obecnie była zacumowana *Aquila*. Następny bok trójkąta prowadził na północny wschód, od Brolium do portu o nazwie Medma na wybrzeżu Italii, drugiego wierzchołka. Stamtąd trasa biegła do ostatniego wierzchołka: kontrolowanego przez Syrakuzy miasta na północno-wschodnim krańcu Sycylii, prastarego portu

Tyndaris.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Kiedy *Neptun* oddalał się od *Aquili*, Attyk pomachał po raz ostatni, czując lekki ból. Rana na klatce piersiowej goiła się szybko, ale zasięg jego prawego ramienia wciąż był ograniczony i miał problem nawet z utrzymaniem miecza dłużej niż przez chwilę. Kapitan *Neptuna* odwzajemnił gest, po czym wydał rozkaz do zwrotu. Galera odwróciła się powoli pod wiatr z północnego wschodu, a fale uderzyły najpierw w jej burtę, wyrzucając w górę fontannę drobnego pyłu wodnego, aż strzelisty dziób znalazł się na kursie i wbił w grzywacze. Na chwilę jakby zawisała w powietrzu – wiatr przeciwstawiał się pracy wiosł – ale dwustu niewolników pod pokładem powoli i nieustępliwie przewyciężało bezwład okrętu, który wkrótce rozpędził się do prędkości pięciu węzłów.

Attyk kiwnął głową Lucjuszowi i zastępca wydał rozkaz do podniesienia żagla – kurs *Aquili* pozwolił wykorzystać wiatr. Rozległ się donośny niczym trzask z bicia odgłos napinającego się płótna i trirema ożyła pod stopami Attyka.

– Jaki kurs, kapitanie? – spytał Gajusz.

– Południe na południowy zachód, Gajuszu – odpowiedział Attyk – tak jak pcha nas wiatr.

Attyka ogarnęło przemożne poczucie wolności, kiedy galera skręciła zwawo. *Aquila* znów była jego: dwa tygodnie wcześniej, kiedy dotarła do swojego obszaru

patrolowego, Warro przeniósł się na *Tygrysa*, okręt dowódcy oddziału. Nastrój całej załogi od razu się poprawił, zwłaszcza że nadzór wysokiego rangą dowódcy nie był mile widziany na żadnej jednostce.

– Południe na południowy zachód, kapitanie – potwierdził wesoło Gajusz, kiedy *Aquila* obrała już nowy kurs.

Attyk klepnął sternika w ramię i uśmiechnął się, dzieląc jego nadzieję na to, że tego dnia w końcu zmierzą się z wrogiem i choć w części pomszczą straty spod Terme.

Poprzednie dwa tygodnie były frustrujące – *Aquila* patrolowała przypadkowo dobrane tereny, codziennie spodziewając się spotkania z galerą nieprzyjaciela. Załoga liczyła na to, że zwycięstwo pod Terme dodało Kartagińczykom na tyle odwagi, iż ośmielili się zapaść na wschód, poza Brolium. Jednak każdy dzień kończył się zawodem: na morzach nie było ani śladu jednostek wroga i tylko dzięki wysokiemu morale załoga *Aquili* zachowywała czujność, ponieważ bezczynność potrafiła nadszarpnąć nerwy wszystkim na pokładzie.

Na dodatek w okolicy mógł działać jeszcze jeden nieprzyjaciel. Inni kapitanowie wspominali o doniesieniach, według których na wodach dookoła północno-wschodniego krańca Sycylii zaginęło co najmniej pół tuzina statków. Wiadomo było, że okręty te podążały kursem na południe z Rzymu i nie dotarły do swoich portów docelowych. Tego rodzaju raporty jeszcze

bardziej frustrowały załogantów *Aquili*, z radością więc przyjęli rozkaz ponownie nadający galerze jej właściwe zadanie: łowczyni piratów.

– I co? – zapytał nadchodzący od strony głównego pokładu Septymus.

– Jeszcze nic – odparł Attyk – ale kupcy, z którymi porozumiewał się *Neptun*, donoszą to samo.

Septymus kiwnął głową i stanął koło kapitana, patrząc na oddalającą się rzymską galerę. Attyk stał swobodnie, a jego ręka spoczywała lekko na rumplu. W ciągu ostatnich dwóch tygodni nie wspomnieli już słowem o swojej konfrontacji i napięcie między nimi w końcu ustąpiło;

nierozwiązany konflikt złagodziła codzienność łączącego ich dowodzenia i przyjaźni.

– Wciąż myślisz, że to piraci? – upewnił się Septymus.

Attyk przytaknął; ufał swojemu instynktowi.

– Nie sędzę, żeby byli to Kartagińczycy. Dlaczego mieliby przechwytywać i zatapiać tak nieliczne statki? – powtórzył swój argument. – Co ważniejsze, ani jednej jednostce nie udało się uciec, aby opisać napastników, co oznacza, że wszystkie całkowicie zaskoczono. Tylko kapitan dobrze znający okolicę wiedziałby, w których punktach wybrzeża zacząć się na przepływający statek.

Septymus kiwnął głową.

– A zatem to na pewno piraci.

– Na pewno... – Attyk zawiesił głos.

– Ale... – zachęcił Septymus, który wyczuł wahanie Attyka.

– Wciąż myślę o tym, co powiedział Kamillus, ten rozbitek z *Fides* – wyjaśnił Attyk. – Powiedział, że piraci zatopili *Fides* po tym, jak ją pojмали, razem z niewolnikami. To cenny przyz – ciągnął. – A teraz wszystkie plotki mówią o znikających bez śladu statkach. To nie jest tak, że ktoś znajduje je, gdy dryfują z pustymi ładowniami, albo morze wyrzuca je na brzeg, a w środku nie ma ani jednego niewolnika... nie, po prostu znikają, jakby też zostały zatopione. To po prostu nie ma sensu.

– Ktokolwiek to jest – podsumował Septymus – prędzej czy później natkniemy się na niego.

Attyk wzruszył ramionami. Nie był pewien, czy pozostałe załogi szukają akurat piratów. Warro z pewnością nie wydał w związku z tym żadnego ogólnego rozkazu, ale nawet jeśli zadaniem rzymskich galer było poszukiwanie kartagińskich okrętów, raczej nie pozwoliłyby statkowi pirackiemu przepłynąć obok, nie zatrzymując go. W każdym razie jak dotąd Fortuna była po stronie piratów.

Attyk po raz ostatni zerknął przez ramię na malejącego w oddali *Neptuna*. Poza jego sylwetką linia horyzontu była pusta, tak samo jak w trzech pozostałych kierunkach, choć galera mogłaby się ukryć w tym monotonnym morskim krajobrazie, gdyby obsługiwała ją wyszkolona załoga. Wybrzeże Italii było ponadto usiane zatoczkami i cyplami – świetnymi kryjówkami dla wrogo

nastawionej galery. Aby *Aquila* mogła ją dopaść, koło Fortuny musiałyby obrócić się na jej korzyść – albo Attyk musiałby obrócić je sam. Ponieważ dysponował załogą i galera, które polowały na piratów od lat, to zadanie miało szansę się powieść.

Regulus westchnął z irytacją, kiedy niewolnik zaanonsował Scypiona. Przez chwilę kusiło go, aby powiedzieć, że nie ma czasu, ale natychmiast się rozmyślił. Prędzej czy później musi się zmierzyć ze Scypionem, a ponieważ w ścianach własnego domu czuł się pewniej, teraz był najbardziej odpowiedni moment.

Regulus opuścił kurię, kiedy tylko zaszło słońce – była to tradycyjna pora zakończenia debat senatu – mając nadzieję, że opóźni tę konfrontację; jednak już gdy wychodził, przyszło mu do głowy, jak daremne są jego wysiłki. Rzymski senat, owszem, kończył obrady wraz ze zmierzchem, ale jego sprawy toczyły się dalej, niezależnie od pory dnia i nocy, i Regulus wiedział, że nie uniknie tej rozmowy.

Teraz podniósł się nieco, kiedy Scypion wszedł do pomieszczenia, i przybrał neutralny wyraz twarzy, pamiętając, że senator słynie z umiejętności ukrywania swoich prawdziwych myśli. Tego wieczoru jednak Regulus był pewien, że wie, co chodzi Scypionowi po głowie, i jeszcze wzmógł czujność świadom, że gniew senatora kipi tuż pod powierzchnią.

– Późna godzina, senatorze – rzekł na powitanie

Regulus spokojnym tonem. – Chciałeś ze mną rozmawiać?

– Za kogo ty się, na Hadesa, uważasz? – wypalił Scypion, odrzucając pozory opanowania.

Regulus zjeżył się na te słowa i zapomniał o złożonej samemu sobie przysiędze, że zachowa spokój, tracąc resztki cierpliwości.

– Jestem starszym konsulem! – krzyknął, stając naprzeciwko Scypiona pośrodku pokoju.

– Jesteś nikiem, Regulusie. Jesteś głupcem, który zapomniał, gdzie jest jego miejsce – prychnął Scypion z pogardliwym śmiechem.

– Moje miejsce, senatorze – warknął gospodarz – jest tam, gdzie zapragnę.

– Nie, Regulusie. – Scypion wyprostował się jak struna, zaciskając pięści. – Tym razem posunąłeś się zbyt daleko. Wycofasz swoje oświadczenie.

Teraz to Regulus roześmiał się sardonicznie. Usiadł, biorąc ze stołu puchar z winem. Przypomniawszy sobie, jak zaledwie kilka godzin wcześniej ogłosił w senacie-, że uda się na Sycylię. Trwająca tam kampania przekształciła się w chaos; Kartagińczycy parli na wschód, za Ennę, a legiony z trudem powstrzymywały ich natarcie w górach, ponieważ na tym nieprzyjaznym terenie nie były w stanie zrobić użytku ze swojego bardziej zaawansowanego rzemiosła wojennego. Jako starszy konsul Regulus poczuł się zmuszony do działania i teraz przypomniawszy sobie, jaka duma go rozpierała, kiedy senat przywitał wiwatami jego

oświadczenie, spontanicznie popierając tę decyzję. Jak również niepohamowaną wściekłość, jaką zobaczył wówczas na twarzy Scypiona. Był jednak pewien, że podjął rozsądną decyzję. A teraz utwierdził się w swoim zamiarze, kiedy dostrzegł wrogość w oczach senatora.

– Nie odwołam mojej decyzji i oświadczenia, Scypionie – zaczął, upiwszy łyk wina. – Rzym mnie potrzebuje, a ja odpowiedziałem na jego wezwanie.

– Rzym cię potrzebuje – syknął Scypion, uśmiechając się kpiąco na te pompatyczne słowa. – To ja postanowię, czego potrzebuje Rzym.

– Nie możesz mnie tu zatrzymać siłą – odparł Regulus trochę mniej pewnie. Decyzją o podróży na Sycylię zadał swemu protektorowi poważny cios. Na czas jego nieobecności przewodnictwo nad senatem przejmie młodszy konsul, Longus, człowiek pozostający całkowicie poza wpływem Scypiona.

Scypion był na siebie wściekły. Nie przewidział, że Regulus stanie się panem samego siebie, i nie mógł uwierzyć, że stało się to tak szybko. Kiedy kilka tygodni wcześniej, podczas ich pierwszej kłótni, ujawnił swoje prawdziwe intencje, zdał sobie sprawę, że jego kontrola nad Regulusem osłabnie, ale wydawało mu się, że prawidłowo ocenił jego charakter, że ugnie się on pod naciskiem, a jego aspiracje nie sięgają poza tytuł starszego konsula i związane z nim przywileje.

Scypion wiedział już, że nie powinien był lekceważyć własnych wątpliwości co do swojego planu, kiedy

zauważył pierwsze ślady wrogości u Regulusa. Ponadto konsul zaczął mimowolnie zdobywać autentyczne poparcie wśród wielu senatorów, a aprobata, z jaką senat przyjął oświadczenie Regulusa, była na to najlepszym dowodem.

Gniew Scypiona przeobraził się w złowrogi uśmiech, kiedy ponownie zwrócił on uwagę na dumną postawę rozmówcy, wyraźnie świadcząca o jego pewności siebie. W niej właśnie leży ziarno jego upadku, pomyślał Scypion, wychodząc w milczeniu. Jak na razie był gotów zadowolić się tym, żeby Regulus sądził, iż odniósł zwycięstwo.

Hamilkar Barkas przeszedł powoli nabrzeżem, wsłuchując się w rozbrzmiewające wokół walenie młotów i wykrzykiwane rozkazy. Powinien czuć zmęczenie – przez ostatnie dwa tygodnie prawie nie spał – ale wyczekiwanie dodawało mu energii, a ostatnie etapy budowy wymagały jego pełnej uwagi. Zatrzymał się przy jednym z wielu pomostów, oczyma duszy widząc już zwarte szeregi cumujących tam wkrótce galer, i ponownie powtórzył w myślach listę wydarzeń i szczegółów koniecznych, żeby ta wizja stała się rzeczywistością. Spojrzał pod nogi. Plażę rozdeptały tysiące przechodzących po niej ludzi, a ślady bosych stóp niewolników mieszały się z odciskami sandałów kupców, których zaciągnięto do obsługi tego miejsca budowy. Zauważył ślady własnych podbitych ćwiekami sandałów i

ponownie zaczął wyobrażać sobie chwilę, kiedy na piasku będą tylko takie odciski.

W ciągu ostatnich dwóch tygodni Hamilkar otrzymywał jeden raport po drugim i był dzięki nim na bieżąco z wydarzeniami na wszystkich frontach. W Kartaginie zbierała się flota; wojskowy port, który mieścił dwieście galer, był już pełny, trzeba więc było przejąć część portu handlowego. Sześćdziesiąt mil na południowy zachód od miejsca, gdzie stał teraz Hamilkar, jego zastępy przedarły się poza Ennę i wdały w potyczkę z Rzymianami, prąc nieustępliwie na wschód. W ciągu tygodnia miały dotrzeć do Syrakuz. Ledwie dwa dni wcześniej pojawił się ostateczny raport od Hierona. Posłaniec przybył rzekomo po to, aby dowiedzieć się wszystkiego na temat środków bezpieczeństwa w Tyndaris, ale Hamilkar szybko zauważył, że Syrakuzanńczyk rejestruje wzrokiem każdy szczegół portu, wykorzystał więc okazję, aby wspomnieć o poczynaniach jego floty i sił lądowych, wiedząc, że w ciągu kilku dni Hieron usłyszy te słowa.

Na wschodzie na niebioskłon zaczął się wspinać księżyc w pełni. Myśli Hamilkara powędrowały ku Belusowi; ta faza księżyca oznaczała koniec jego misji. Być może pojawi się następnego dnia. Hamilkar posłał bezgłośnie modlitwę do Tanit o to, żeby dostarczone przez niego informacje potwierdziły wcześniejsze doniesienia. Uzbrojony w tę pewność byłby gotowy do uderzenia. Nagle poczuł zniecierpliwienie; kulminacja tyłu miesiący

planowania zależała od jednego, ostatniego meldunku.

Belus uśmiechnął się w półmroku, obserwując, jak okrąży księżyc, nienaturalnie duży z tej perspektywy, wschodzi nad dziobem galery piratów. Belus rozkoszował się widokiem, który znaczył koniec jego pobytu na tym okręcie. Odwrócił się w stronę ciemniejszego morza i zamrugał parę razy, aby pozbyć się powidoku tarczy miesiąca, po czym ponownie spróbował uporządkować myśli, segregując wiadomości, które zebrał od czasu ostatniego spotkania z dowódcą.

Sedno raportu dotyczyło bezpieczeństwa i szansy zaskoczenia Rzymian. Co do tego był już pewien, ponieważ miał całkowicie przekonujące dowody, i uśmiechnął się odruchowo, wyobrażając sobie reakcję Hamilkara na te wieści. Uśmiech jednak szybko zniknął, kiedy Belus przypomniał sobie, że głównym źródłem owych ważkich wiadomości jest rzymski kapitan, który wciąż dochodził do siebie pod pokładem. Aż nazbyt często w ostatnich dniach, sprawdzając, jak Rzymianin się czuje, Belus łapał się na tym, że analizuje swoją decyzję, aby go oszczędzić. Przekonanie o jej słuszności niejednokrotnie słabło, nawet w obliczu zmasakrowanego ciała Rzymianina. Rzym był wrogiem, agresorem, który zaognił konflikt na Sycylii do tego stopnia, że jedynym wyjściem była otwarta wojna. Synowie Rzymu nie zasługiwali zatem na łaskę, czy byli kupcami, czy żołnierzami, ponieważ zwycięstwa nie można osiągnąć

półśrodkami. A mimo to Belus przeczuwał, że słusznie oszczędził kapitana. Żywił absolutne przekonanie, że Rzymianie są nie lepsi od wilków, że są całkowicie pozbawieni honoru i niszczą wszystko, czego tkną. Wiedział, że jeśli Kartagina ma zwyciężyć i nie splamić się tym starciem, jej synowie muszą zachować honor. Rzymski kapitan był godnym przeciwnikiem i Belus miał zamiar właśnie tak go traktować. Kiedy nadciągająca kampania już się rozpocznie, wypuści go, aby wrócił do swoich ludzi.

Z zamyślenia wyrwał Belusa smród niemytego ciała i brudnych ubrań. Odwrócił się i zobaczył, że stoi przy nim jeden z załogantów.

– Kapitan chce się z tobą widzieć – powiedział. W jego ustach widać było połamane, gnijące zęby, a jego oddech cuchnął ohydnie.

Belus kiwnął głową i wyminął majtka, przesuwając wzrokiem po pokładzie, aż dostrzegł stojącego na rufie Narmera.

– Pełnia, Kartagińczyku – odezwał się pirat Narmer, robiąc krok do przodu.

– A zatem kurs na Tyndaris – odparł Belus. Chciał tę rozmowę możliwie szybko skończyć.

– Będziemy tam jutro przed południem – odpowiedział Narmer.

– Nie wcześniej? – zdziwił się Kartagińczyk. Według jego oceny Tyndaris leżało nie dalej niż dwadzieścia mil w linii prostej od nich.

Narmer wskazał głową przez ramię na ciemniejący horyzont. Belus spojrział w tamtym kierunku i zauważył mroczną smugę chmur burzowych.

– Na południe nadciąga burza – zwrócił mu uwagę pirat. – Będziemy musieli zostać na płyciźnie i płynąć wzdłuż wybrzeża.

Belus kiwnął głową. Birema miała bardzo małe zanurzenie, nieodpowiednie na wysokie fale, a galera znajdowała się teraz na otwartym morzu, na zachód od półwyspu Brucjum. Będą musieli popłynąć na wschód w stronę stałego lądu, na zawietrzną półwyspu, a potem wzdłuż linii brzegowej na południe. Nie dało się tego uniknąć, ale ich podróż znacznie się przez to wydłuży, i Belus pozwolił, żeby na jego twarzy pojawił się wyraz irytacji.

– Wierz mi, Kartagińczyku – syknął pogardliwie Narmer, widząc jego minę – tak samo jak ty się niecierpliwie, żeby dotrzeć do Tyndaris i wysadzić na ląd ciebie oraz tego Rzymianina, którego oszczędziłeś.

Belus wlepił w pirata kamienne spojrzenie, nie zniżając się do udzielenia mu odpowiedzi.

Nachylony groźnie do przodu Narmer zrobił kilka kroków w jego stronę.

– I zapamiętaj jeszcze jedno – warknął. – Jeśli nie będzie na mnie czekało moje złoto, zginiesz na tej galerze, ale dopiero po tym, jak moja załoga powiesi cię na grotmaszcie.

Belus wciąż patrzył kapitanowi w oczy lodowatym

wzrokiem, bez słowa obserwując każdy rys jego twarzy, po czym odwrócił się i zszedł z pokładu.

– Kolejny zmarnowany dzień? – spytał Septymus z udawaną kpina, kiedy wszedł na pokład.

– Ani śladu – odparł zniechęcony Attyk.

– Może innym galerom bardziej się poszczęściło – powiedział Septymus. Podzielał rozczarowanie przyjaciela, choć wiedział, że nienawiść do piratów sięga u Attyka głębiej; była drugą naturą człowieka, który całe życie spędził na morzu.

– Jutro się dowiemy – odparł Attyk.

Następnego dnia oddział miał się zebrać w wiosce rybackiej Falkone.

Septymus kiwnął głową, wyczuwając, że Attyk jest przekonany, iż żadna inna załoga też nie napotkała galery piratów. Obserwował resztki światła słonecznego igrające na grzbietach fal. Centurion spędził większość dnia na musztrze ze swoim oddziałem, co było doskonałym sposobem na odwrócenie uwagi od pozornie niekończącej się włóczędzy po otwartym morzu, i nawet teraz – po chwili obserwowania horyzontu – zirytował go monotony morski krajobraz.

– Kapitanie!

Septymus rozpoznał głos Gajusza i odprowadził Attyka wzrokiem, kiedy ten podszedł do sternika. Gajusz wskazał kapitanowi głową jakiś punkt wysoko na niebie, nad relingiem od bakburty, ani na chwilę nie puszczając

rumpla. Septymus odwrócił się i dostrzegł stado mew przecinające trasę *Aquili*.

– *O co chodzi?* – zapytał zaintrygowany.

– Mewy – odparł Attyk, pokazując palcem odlatujące stado. – Lecą w głąb lądu.

– I co?

– To znak, że pogoda się zepsuje.

Septymusa rozbawiły przesady marynarzy, ale kiedy spojrział na północ, zobaczył, że nad horyzontem zaczyna się kłębić wyraźna plama ciemnych chmur, która zdawała się powiększać z każdą chwilą.

– Zwrot na wschód – zarządził Attyk.

– Będziemy przed nią uciekać? – zapytał zaskoczony Septymus. – Ta galera z pewnością wytrzyma jesienny sztorm.

– Ale nie wtedy, kiedy to coś zmienia trym kadłuba – powiedział Gajusz, wskazując kruka na dziobie. – Podczas sztormu z tą rampą przytwierdzoną do pokładu wywrócimy się do góry dnem, zanim zdążymy się pogodzić z Posejdonem.

Septymus nie sprawiał wrażenia przekonanego. *Corvus* wyglądał niezgrabnie na pokładzie dziobowym, ale grotmaszt był od niego znacznie wyższy i centurionowi trudno było uwierzyć, że stanowi on jakiegokolwiek zagrożenie dla stabilności galery na wzburzonym morzu.

Attyk zauważył jego minę.

– Ufam ocenie Gajusza w tej sprawie – powiedział. –

Galery są bardzo starannie wyważone i pamiętaj, że kruki zainstalowano na nich przed Myle. To było wczesną wiosną, więc żadna galera nie musiała jeszcze przepłynąć przez sztorm z pomostem obciążającym jej dziób.

Septymus przyjął ten argument, ale zachował sceptycyzm. Nie wiedział nic o pływaniu po morzach i zawsze ustępował w obliczu doświadczenia i wiedzy Attyka oraz jego ludzi, ale tym razem nie potrafił oprzeć się uczuciu, że zachowują się nazbyt ostrożnie.

Narmer stał na pokładzie rufowym, opierając rękę na podniszczonym rumplu, i obserwował morze przed sobą oraz ponurą, ciemną linię wybrzeża po sterburcie. Sternik spał na pokładzie za nim, skulony przy relingu na rufie z głową przykrytą płachtą płótna, nie najlepiej chroniącą przed deszczem, który zaczął padać dobrą godzinę wcześniej. Birema właśnie wpłynęła za zawietrzną stronę półwyspu, który chronił ją przed coraz większymi falami, i choć sternik dobrze znał tutejsze wybrzeże, herszt piratów był pewien, że on sam zna je lepiej. Gdy birema sunęła powoli przez płycizny, Narmer się zamyślił. Cieszył się, że następnego ranka dotrze do Tyndaris i w końcu pozbędzie się kartagińskich kajdan, którymi skuta była jego galera przez ostatnie sześć tygodni. W tym czasie co prawda dopadła ośmiu rzymskich galer, co stanowiło spory łup, a on bez oporów zatopił go w zamian za tysiąc pięćset drachm, które obiecali mu Kartagińczycy. Wody dookoła północno-wschodniego

krańca Sycylii stawały się jednak zbyt niebezpieczne i Narmer już postanowił, że jego następnym terenem polowań będzie północne wybrzeże Afryki. Będzie tam mniej potencjalnych zdobyczy, ale też i zmniejszy się ryzyko, że ktoś go schwyta. Z niepokojem przypominał sobie, że w poprzednich tygodniach jego galera ledwie uniknęła wykrycia. Potrafił trzymać się z daleka od rzymskich galer bojowych dzięki temu, że wykrywał ich obecność, zanim ich załogi dostrzegały jego okręt. Za dnia było to możliwe dzięki wyjątkowo niskim burtom jego biremy, a nocą płynął bez świateł pozycyjnych, czego galery z rzymskiej floty nigdy nie robiły, więc łatwo było je dostrzec. Jednak nawet mimo tych środków ostrożności Narmer wiedział, że jednym z czynników, dzięki którym jeszcze go nie wykryto, było szczęście; nie mógł się więc doczekać chwili, kiedy Tyndaris i Sycylia znikną za rufą jego galery.

– Ziemia, dwa rumby na bakburcie!

Attyk spojrział w kierunku wskazanym przez obserwatora Korina, ścierając krople deszczu z twarzy i oczu, i wytężył wzrok w półmroku stworzonym przez księżyc usiłujący przebić się spoza grubej, choć niejednolitej warstwy chmur. Wiatr z północnego zachodu wzmagął się z każdą chwilą, ale Attyk oceniał, że ład przed nimi jest oddalony nie więcej niż o dwie mile.

– Poznajesz to miejsce? – zapytał Lucjusz.

Attyk przyjrzał mu się ponownie, usiłując dostrzec jakieś szczegóły w nieziemskim, słabym świetle; wiedział,

że jego zastępca go sprawdza. Uśmiechnął się i pokręcił głową.

– To Brucjum – powiedział Lucjusz i wskazał charakterystyczne cechy krajobrazu, które pozwoliły mu rozpoznać półwysep.

Nie czekając na komendę, Gajusz skierował *Aquilę* o dwa rumby na sterburtę, aż jej dziób znalazł się dokładnie na linii najbardziej wysuniętego na południe czubka cypla.

– Zalecam prędkość bojową, aż dotrzemy do zawietrznej strony cypla, kapitanie – powiedział Gajusz. – Sztorm nadciąga szybko.

Attyk zgodził się i wysłał rozkaz pod pokład, aby galera ruszyła z prędkością bojową. Zaraz potem poczuł, jak *Aquila* nabiera rozpędu i przyspiesza o dwa węzły.

Dwadzieścia minut później galera wpłynęła na spokojniejsze, osłonięte cyplem wody. Attyk zarządził prędkość standardową i wysłał obserwatorów na sterburtę, rozkazując im, żeby przyglądali się linii fal przyboju rozbijających się o brzeg odległy o niecałe pół mili. Wybrzeże prowadziło tutaj na południowy zachód i Gajusz dostosował do niego kurs galery, tak aby płynęła równolegle do zalegającej w cieniu linii brzegowej.

– Okręt przed nami!

Attyk podszedł szybko do relingu i rozejrzył się. Tutaj, za przyładkiem, wiatr był słabszy, ale deszcz padał teraz długimi, wąskimi wstęgami, to zasłaniając, to ukazując wody przed nimi. Robiło się też coraz pochmurniej, a światło księżyca słabło. Attyk nic nie

widział i podniósł wzrok w stronę obserwatora na maszcie.

– Potwierdzić! – krzyknął i zobaczył, jak światło księżyca odbija się od twarzy Korina. Był gotów zrzucić meldunek o pojawieniu się statku na karb złudzenia wywołanego światłem i braku doświadczenia młodego załoganta.

– Tam! – rozległ się nagle krzyk. – Dwie mile na linii dziobu. Galera!

Attyk znów lustrował morze, ale na próżno. Odwrócił się do Lucjusza, który też przeczesywał wzrokiem fale, i pytająco uniósł brwi.

– Nie widzę go, kapitanie – odpowiedział, ale nie spuszczał wzroku ze wskazanego kierunku.

– Korin! – rozkazał kapitan. – Na pokład rufowy.

Młodzieniec zwinnie zsunął się z wysokości piętnastu metrów, wylądował pewnie na pokładzie i pobiegł na rufę.

– Co widziałeś? – zapytał Attyk.

– Galerę, kapitanie – odpowiedział Korin. – Małą, chyba biremę. Była tuż przed nami i płynęła równoległym kursem.

– Jesteś pewien? – dopytywał się Attyk, nagle mniej skłonny zlekceważyć tę obserwację. – Nie widzimy jej stąd.

– Płynie bez świateł pozycyjnych – odparł obserwator.

Attyk natychmiast pojął. Z wysokości pokładu statek przed nimi rysował się na tle ciemnego nocnego nieba,

więc nie było go widać. Jednak z punktu widzenia Korina okręt uwidoczniłoby światło księżyca odbijające się od czasu do czasu w wodzie.

– Galera płynąca bez świateł pozycyjnych może oznaczać tylko jedno – myślał głośno Attyk. – Chce pozostać niezauważona.

– Statek piratów? – odważył się odezwać Lucjusz.

– Być może – odparł Attyk, kiwając głową. Odwrócił się do Korina i położył mu dłoń na ramieniu. – Idź na maszt i daj znać, jeśli zobaczysz, że zmienia kurs – rozkazał. Młodzieniec już miał odejść, kiedy Attyk go powstrzymał. – Jeszcze jedno, Korinie – dodał. – Dobra robota.

Korin uśmiechnął się i obrócił na pięcie, po czym pospiesznie wdrapał się po olinowaniu z powrotem na maszt.

– Lucjuszu – Attyk zwrócił się do swojego zastępcy – zgaś światła pozycyjne i przekaż rozkaz załodze: żadnych odsłoniętych płomieni na pokładzie.

Po odejściu Lucjusza kapitan znów rozejrzał się po morzu, ale i tym razem nic nie zobaczył. Mimo to się uśmiechnął, wiedząc już, że statek gdzieś tam jest i że jeśli to faktycznie piracka galera, światło świtu im ją ukáže.

Narmer wystawił twarz na krople deszczu, chcąc zmyć zmęczenie z oczu. W ciągu nocy dzielił ze sternikiem zadanie utrzymania galery na kursie, ale nawet

kiedy zrobił sobie przerwę, nie mógł zasnąć i przyglądał się ukradkiem sternikowi, żeby się upewnić, że zachowuje on czujność. Niebo zaczęło szarzeć na wschodzie – do świtu było jeszcze niecałe pół godziny – i kiedy ciemność ustępowała, Narmer ponownie sprawdził swój kurs względem linii brzegowej. Deszcz nie ustał ani na chwilę, ale wiatr osłabł, więc teraz, choć galera nie znajdowała się już po zawietrznej półwyspu, powierzchnia morza unosiła się i opadała lekko, jakby oddychało.

Coraz silniejsze światło ukazało też skulone sylwetki jego załogantów ułożonych na pokładzie. Narmera kusiło, żeby ich obudzić, ale postanowił dać im spać dalej. Od Tyndaris dzieliło ich mniej niż sześć godzin drogi, więc mógł pozwolić sobie na rozluźnienie brutalnej zazwyczaj dyscypliny, którą musiał narzucić, aby jego galera funkcjonowała sprawnie. Wzrok Narmera powędrował powoli do góry i ten pobłażliwy nastrój zastąpiła nagła fala furii. Obserwator na gnieździe spał, wtulony w maszt, z głową osłoniętą przed deszczem płóciennym kapturem.

– Obserwator na gnieździe! – ryknął Narmer, a jego oczy nabrały morderczego wyrazu, kiedy zobaczył, że mężczyzna budzi się błyskawicznie, przestraszony i zaskoczony. Od razu zrobił skruszoną minę, ale kapitan nie spuścił z niego oka i przysiągł sobie w duchu, że wychłosta mężczyznę do żywego, kiedy o świcie skończy się jego wachta.

– Sternik! – krzyknął ponownie, a wyczerpanie podsyciło jego gniew.

Mężczyzna natychmiast stawił się u jego boku i Narmer oddał mu ster, po czym ruszył wzdłuż pokładu, po drodze budząc załogantów kopniakami. Przekleństwa się urywały, kiedy dostrzegali, w jak podłym nastroju jest kapitan. Po chwili cała załoga już była na nogach.

– Galera! Na linii rufy!

Na ten okrzyk serce Narmera zamarło; podbiegł do relingu na rufie, mając złe przeczucia. Zobaczył nadciągającą galere, zanim jeszcze dotarł do burty: jej kadłub wyglądał jak ciemny grot strzały na jaśniejącym horyzoncie. Płynęła kursem zbieżnym i znajdowała się nie więcej niż trzy mile za nimi.

– Jakieś oznakowanie? – ryknął Narmer do obserwatora na maszcie.

Na moment zapadła cisza, kiedy obserwator czekał, aby się upewnić, ale Narmer wiedział, że odpowiedź może być tylko jedna.

– Rzymianie! – odkrzyknął obserwator. W jego głosie dał się wyczuć strach, który poniosł się falą po całym pokładzie.

– Przygotować się do starcia! – wrzasnął bez wahania Narmer. – Rozkazy dla wioślarzy: prędkość bojowa!

Ponownie spojrzął na ścigającą ich galere. Dostrzegął, że to trirema, co najmniej o cztery węzły szybsza niż jego statek, ale piracka birema miała przewagę nad rywalką pod jednym względem – zwrotności – a Narmer wiedział, jak ją wykorzystać. Wkrótce dojdzie do starcia, ale postanowił, że nastąpi to

na jego warunkach.

– Przyspieszyła do prędkości bojowej!

Attyk przyjął słowa Lucjusza kiwnięciem głowy; sam zauważył zmianę.

– Prędkość bojowa! – rozkazał i dwustu niewolników pod pokładem pozornie bez wysiłku dostosowało się do nowego rytmu dobosza. Prędkość bojowa *Aquili* również była większa niż biremy.

– To statek piracki? – spytał Septymus, podchodząc do Attyka.

Kapitan kiwnął głową.

– Na pewno nie kartagiński – odparł – a żadna inna galera nie miałaby powodu uciekać.

Septymus obejrzał się przez ramię, ocierając krople deszczu z twarzy. Jego oddział z Druzusem na czele stał w szyku na głównym pokładzie.

– A zatem jesteśmy gotowi – stwierdził centurion i opuścił pokład.

Attyk odprowadził go wzrokiem, a potem zwrócił się do sternika.

– Co o tym myślisz? – zapytał.

– Jest szybka – odparł Gajusz, wbijając w cel przenikliwy wzrok.

– Ale nie dość szybka – powiedział Attyk całkowicie poważnym głosem. W myślach wyliczał każdą zaletę *Aquili* i to, jak oraz w jakiej kolejności można je wykorzystać, by dopaść ofiarę.

– Spróbuje przeciąć nasz kurs – ciągnął Gajusz – może po to, żeby połamać nam wiosła albo żeby po prostu uciec.

– A czy my możemy wpłynąć wewnątrz jej kursu? – zapytał Attyk. W kwestii manewrów na niewielkiej przestrzeni nikomu nie ufał bardziej niż Gajuszowi. Było bowiem bardzo wiele rodzajów galer, niektóre niepowtarzalne, i niemożliwe byłoby zastosowanie do wszystkich jednakowej zasady przypuszczania ataku, ze względu na różnice prędkości i zwrotności. Dopiero teraz, widząc statek, utalentowany sternik mógł stworzyć odpowiedni plan natarcia.

– Jest tylko jeden sposób na to, żebyśmy mogli odciąć jej drogę – stwierdził Gajusz – i nawet wtedy będziemy musieli uprzedzić jej skręt. W przeciwnym razie będzie dla nas zbyt zwinna.

Attyk przytaknął. Załoga *Aquili* wielokrotnie przećwiczyła manewr, który proponował sternik, ale nigdy jeszcze nie użyła go w prawdziwej walce. Attyk nie widział innej możliwości w starciu z galerą tak zwrotną jak piracka.

– Będą musieli być blisko – powiedział na głos, zastanawiając się, jakie mają szanse.

– Nieźle ich zaskoczymy. – Gajusz pokiwał głową.

– Jeśli to zadziała – mruknął niemal do siebie Attyk.

– Jeśli nie, oddamy im przewagę i być może zwycięstwo.

Gajusz w milczeniu czekał, aż kapitan podejmie decyzję, zerkając jeszcze raz na galerę piracką – teraz

oddaloną o mniej niż dwie i pół mili od nich. Wybór wcale nie był łatwy i Gajusz nie chciałby być na miejscu kapitana. Łomot deszczu o pokład stał się głośniejszy. Attyk w końcu odwrócił się do sternika.

– Zrobimy to – oznajmił pełnym przekonania głosem.
– Przygotuj ster.

Gajusz kiwnął głową i mocniej ścisnął rumpel, nie spuszczać oka ze statku wroga.

– Byłeś na pokładzie rufowym! – ryknął Belus, obserwując goniącą ich rzymską galerę. – Jak udało im się niezauważenie podpłynąć tak blisko?

– Zgasili światła pozycyjne – syknął Narmer, a nagana Kartagińczyka pogłębiła jego gniew wywołany tym, że ich złapano.

– A co z obserwatorem na maszcie? – spytał Belus, obrzucając kapitana oskarżycielskim, pogardliwym spojrzeniem.

– Spał – odparł Narmer, patrząc na winowajcę, który właśnie na jego rozkaz zszedł ze szczytu masztu.

– Spał? – warknął Belus, czując, że zaraz straci panowanie nad sobą. Właśnie miał nawymyślać Narmerowi, kiedy przerwało mu przybycie obserwatora.

– Stawiam się na rozkaz, kapitanie – powiedział obserwator. Usiłował zrobić wrażenie pewnego siebie, ale w jego głosie pobrzmiwała panika, a Belus czuł od niego smród przerażenia.

Narmer zrobił krok w jego stronę.

– Zasnąłeś – rzucił oskarżycielskim tonem.

– Nie, kapitanie – wyjąkał mężczyzna, całkowicie straciwszy resztki pewności siebie. – Nie zauważyłem galery tylko z powodu deszczu.

– A teraz ją widzisz? – krzyknął Narmer, chwycił obserwatora za ramię i popchnął go w stronę relingu na rufie.

Mężczyzna potknął się, ale utrzymał równowagę i chwycił reling, żeby się na nim wesprzeć, cały czas patrząc na nacierającą w ich stronę galery.

– Ja nie... – zaczął, wlepiając w nią wzrok jak urzeczony. – Pojawiła się znikąd...

Odwrócił się, chcąc dalej się tłumaczyć, i zobaczył, że Narmer miał minę jeszcze bardziej przerażającą i spojrzenie tak hipnotyzujące, że mężczyzna dostrzegł klingę tylko na mgnienie oka, zanim uderzyła. Cofnął się nieco, ogarnięty nagle paniką, kiedy zdał sobie sprawę z tego, co się dzieje. Uniósł ręce do szyi, a palce zalała mu krew. Próbował krzyknąć, ale odgłos ten zamarł w jego rozplatanym gardle, i wypadł tyłem za reling, uderzył o ster, a potem pochłonęły go wody kilwateru biremy.

Narmer splunął za reling, kiedy ciało obserwatora wypłynęło na powierzchnię zabarwionej na czerwono wody. Odwrócił się twarzą do Belusa, wciąż ściskając w ręce zakrwawiony sztylet, i wymienili spojrzenia, w których było milczące wyzwanie. Kapitan nie miał zamiaru przyjmować od Kartagińczyka kolejnych słów krytyki.

Belus podszedł do relingu. Rzymska galera nadciągała z prędkością siedmiu węzłów. Nie potrafił uwierzyć, że Narmer dał się tak łatwo złapać, szczególnie biorąc pod uwagę, że w ciągu poprzednich tygodni niezwykle umiejętnie unikał patrolujących okolice rzymskich jednostek. Belus wiedział, że to po części jego wina. Poprzedniego dnia, kiedy birema w końcu skierowała się w stronę Tyndaris, zauważył, że w pirackiej załodze zaszła zmiana: w obliczu zakończenia misji spoczęli na laurach i Belus zdał sobie sprawę, że powinien był poruszyć z Narmerem tę kwestię. Teraz – gdy sukces był tak blisko – Belus stał w obliczu całkowitej porażki. Niezbyt dbał o własne życie, ponieważ należało ono do Kartaginy, ale wiadomości, które wiózł, były bezcenne.

Belus odwrócił się raz jeszcze i przesunął wzrokiem po załogantach pirackiej galery. Dobrze posługiwali się mieczami, ale każdy z nich walczył na własną rękę, polegając na tym, że szybkość i zajadłość rozstrzygnie potyczkę. W starciu z żołnierzami floty Rzymu ta taktyka będzie bezużyteczna i Belus przypomniał sobie własną desperacką walkę pod Myle. Aby pokonać Rzymian, musiałby zmienić ich zwyczajowy plan ataku; spojrzał na Narmera, kiedy na powierzchnię jego umysłu wypłynął pomysł, na który wpadł, widząc ataki nieprzyjaciół pod Myle. Może Rzymianie znajdą jakiś sposób na to, żeby dostać się na ich pokład, ale Belus po raz pierwszy poczuł cień wiary w to, że może da się pokonać wychwalanych

żołnierzy rzymskiej floty.

– Prędkość ofensywna!

Odstęp między galerami zmniejszył się do mili i kiedy *Aquila* przyspieszyła do jedenastu węzłów, Attyk zaczął wyczekiwać pierwszego skrętu. Gajusz stał pewnie po jego prawej na lekko rozstawionych stopach, aby lepiej zachować równowagę, gotów w każdej chwili zaprzeć się całym ciężarem ciała o rumpel. Lucjusz zajmował miejsce pod pokładem, przy boku dobosza, i przyglądał się uważnie wiosłarzom, podczas gdy oni powtarzali sekwencje ruchów będących całym ich życiem. Niewolników uprzedzono o tym, jaki zaraz padnie rozkaz; był on taki sam jak podczas wielokrotnych ćwiczeń tego manewru, tyle że tym razem przez ucho kajdan w ich kostkach biegł łańcuch. Niepowodzenie podczas musztry karano razem bata. W obliczu wroga, gdy byli przykuci do siedemdziesięcotonowej galery, stawka była niewyobrażalnie większa.

Pierwszy zwrot nastąpił zupełnie niespodziewanie: piracka galera skręciła ostro na sterburtę. Gajusz zareagował, nie czekając na rozkaz, i *Aquila* przechyliła się mocno pod stopami Attyka. Kapitan zauważył, że Gajusz nie skręcił pod takim samym kątem, ale utrzymał *Aquile* na zbieżnym kursie, aby przy każdym pociągnięciu wiosłami zmniejszała odległość między jednostkami. Attyk patrzył uważnie na pokład rufowy statku piratów, usiłując przewidzieć ich następny ruch. Z pełną

przerażenia fascynacją przypomniawsobie scenę, którą widział zaledwie przed chwilą: jednego z załogantów wrzucono do wody z rufy biremy, a *Aquila* – nieugięcie podążająca śladem piratów – zmiażdżyła pod swoim taranem jego ciało. Ten widok wystraszyłby mniej zaprawione w bojach załogi, ale ludziom *Aquili* przypomniawsobie tylko o zjadłości zdobyczy, którą niedługo mieli dopaść, zdobyczy znacznie bardziej niebezpiecznej niż Kartagińczycy w bezpośredniej walce.

Piracka galera znów skręciła, tym razem na bakburtę, a Gajusz ponownie dostosował się do tej zmiany kursu. Dwie galery dzieliło teraz mniej niż czterysta metrów, a kurs *Aquili* wiódł na dwa rumby wewnątrz kursu biremy, aby jeszcze zmniejszyć odległość. Deszcz wciąż bombardował powierzchnię morza i uderzał rytmicznie o pokład *Aquili*, z tym odgłosem w uszach Attyk usiłował dostrzec kapitana na galerze płynącej przed nimi, ale uniemożliwiła mu to odległość oraz nabrzmiałe wilgocią morskie powietrze.

– Przygotować się! – Attyk przekrzyczał szum deszczu, aby wydać rozkaz Gajuszowi. Instynktownie wiedział, że galera piracka zaraz rozpocznie potyczkę, ponieważ odległość i wzajemne kursy obu jednostek były niemal idealne.

– Odwraca się! – krzyknął Gajusz, pewną ręką ściskając rumpel i napinając mięśnie z wyczekiwaniem. – Robi zwrot!

Birema skręciła gwałtownie na bakburtę, wykonując

zwrot z niewiarygodną szybkością i nakierowując swój dziób na trasę *Aquili*. Jej zwinność była widowiskowa.

– Ster prosto! – rozkazał Attyk, a Gajusz nakierował taran *Aquili* na nadciągającą biremę. Dwie galery znalazły się teraz na kursie kolizyjnym, taran w taran, a większa trirema mknęła po linii natarcia.

Attyk skoncentrował całą uwagę na nadciągającej galerze, usiłując ocenić dystans między dwoma statkami, zmniejszający się błyskawicznie przy tych prędkościach. Birema zrobiła zwrot, wykazując się niebywałą sterownością, i Attyk zważył nieco w zdolności żeglugowe własnego statku. Zignorował jednak to uczucie, zły na siebie za ten brak zaufania wobec *Aquili*. Nigdy wcześniej go nie zawiodła. Obejrzał się przez ramię na Gajusza. Sternik dalej stał cały napięty i trzymał ster prosto, ale był gotów w każdej chwili zareagować. Kurs pirackiej galery był samobójczy i obaj mężczyźni wiedzieli, że to tylko manewr mylący.

Gdy odstęp zmniejszył się do dwustu kroków, jednostka piratów wykonała manewr klasyczny dla bardziej zwrotnej galery, który przygotowywał ją do uderzenia w burtę *Aquili*: skręciła o trzy rumby na bakburtę, kończąc atak czołowy. Gajusz zareagował instynktownie, też skręcając o trzy rumby na bakburtę, dzięki czemu galery znalazły się na równoległych kursach i mogły się wyminąć, płynąc w przeciwnych kierunkach, w odległości stu metrów. Był to jedyny oczywisty manewr obronny dla triremy rozmiarów *Aquili*.

– Gońca! – krzyknął Attyk i natychmiast stanął przy nim jeden z załogantów. – Rozkazy pod pokład: przygotować się do skrętu na sterburtę!

Załogant przyjął rozkaz i zbiegł z pokładu rufowego, po czym zniknął w luku prowadzącym na pokład wioślarzy.

Attyk ponownie skupił uwagę na statku piratów. Znajdował się teraz na linii przedniej ćwierci *Aquili* od sterburty, niecałe sto pięćdziesiąt kroków od niej, i miał przewagę.

Gdyby *Aquila* spróbowała wymusić starcie i skręciła na kurs biremy, aby staranować jej śródkręcie, zwrotność okrętu piratów pozwoliłaby mu wciąć się w ten zakręt i wyminąć *Aquilę*, zanim trirema zdążyłaby zrobić użytek z tarana lub kruka, a może nawet po drodze zmieść wysunięte wiosła rzymskiej galery. Z drugiej strony, gdyby *Aquila* zadziałała ostrożnie i została na kursie, minęłaby biremę, a potem musiałaby zawrócić, aby ponownie ruszyć w pościg, co pozwoliłoby piratom na powtórzenie całej tej sekwencji zwrotów. Mogliby uniemożliwić Rzymianom związanie ich bitwą, pokonując jej szybkość i potęgę zwrotnością.

Utrzymywana przez Gajusza na kursie *Aquila* pędziła dalej, a piracka birema robiła to samo, zadowolając się wyminięciem rzymskiej galery w odległości stu kroków. Attyk stał na pokładzie rufowym, wlepiając oczy w taran biremy. Deszcz kapał z jego zmatowiałych włosów i przemoczył tunikę, którą nosił pod zbroją. Odniósł

wrażenie, że piracka galera zwalnia, jakby jego przenikliwe spojrzenie jakoś utrudniało jej drogę. Attyk zerknął na dziób własnej galery, oceniając kąty między statkami, dzięki wrodzonym zdolnościom podejmując decyzję w mgnieniu oka.

– Teraz, Gajuszu! – krzyknął bez zastanowienia. – Cała na sterburtę!

Sternik rzucił się na rumpel, przesuwając go po linii półokręgu, aby galera mogła gwałtownie skręcić. Attyk przyglądał się pirackiej biremie w napięciu – minęła chwila, potem następna, a on wciąż czekał na reakcję piratów, na to, żeby rozpoczęli własny zwrot. Czas znów jakby zwolnił, a Attyk ruszył biegiem w momencie, kiedy zauważył, że piracka galera zaczyna skręcać w stronę kursu *Aquili*. Zmieniła kurs szybciej niż rzymski okręt, z prędkością, która pozwoliłaby jej nie dopuścić do ataku Rzymian.

Dotarł do luku w czasie, jaki zajęło piratom całkowite wykonanie zwrotu. Ryknął w stronę niewolników, a straszliwe ryzyko, które miał właśnie podjąć, wprowadziło nutę paniki do jego głosu. Wiedział, że moment opóźnienia skończy się utratą *Aquili*.

– Teraz, Lucjusz!

Przez chwilę myślał, że nie dosłyszano jego rozkazu, ale nagle galera – która już skręcała powoli na bakburtę w reakcji na ruch sterem – przechyliła się gwałtownie, gdy statek przyspieszył na zakręcie.

Poniżej, na pokładzie dla niewolników, Lucjusz dał

sygnał do manewru, który wiosłarze i dobosz już tylokrotnie przećwiczyli w czasie musztry. Na komendę wiosłarze po sterburcie rzucili się do przodu, natychmiast podnosząc wiosła z wody. Ludzie po bakburcie wiosłowali dalej, a dobosz narzucał im najszybsze możliwe tempo, prędkość do taranowania. Ponieważ ster był całkowicie wychylony, a wiosła po sterburcie nie stawiały oporu, galera skręciła na odcinku równym połowie długości statku, a pokład przechylił się o dwadzieścia stopni z powodu nierównego rozkładu napędu.

Attyk przechylił się w przeciwnym kierunku niż skręt, balansując z łatwością. *Aquila* skręciła w czasie, w którym można byłoby policzyć do sześciu, podczas gdy ten sam ruch wykonywany tylko za pomocą steru trwałby trzykrotnie dłużej.

– Wiosła w ruch! – ryknął do Lucjusza Attyk, a pokład *Aquili* się wyprostował, gdy wiosła po sterburcie ponownie wbiły się w wodę. Galera piratów znajdowała się tylko dwadzieścia kroków od dziobu, na kursie zbieżnym. Straciła możliwość ścięcia zakrętu, ponieważ statki były już zbyt blisko, żeby wykonać kontrmanewr.

– Ster prosto! – krzyknął Attyk, odwróciwszy się do Gajusza. – Na nich!

– Przygotować kruka! – wrzasnął Septymus, kiedy dziób pirackiej galery znalazł się w jego polu widzenia. Kiedy *Aquila* wykonywała zwrot, stał na głównym pokładzie i choć był przygotowany na gwałtowną i nagłą

zmianę kursu, niemal stracił równowagę, a od upadku uratował go tylko właściwy wojownikom refleks. Niektórzy z młodszych *hastati* nie mieli tyle szczęścia, ale podnieśli się bez wahania i odtworzyli szyk, zanim Druzus zdążył ich złajać.

Septymus pobiegł wraz z *hastati* i *principes* na pokład dziobowy, tylko dzięki podbitym ćwiekami podeszwowom sandałów nie ślizgając się po przemoczonych belkach. Wyciągnął miecz i stanął za podniesionym krukiem, a w uszach rozbrzmiał mu odgłos czterdziestu innych kling wysuwających się jednocześnie z pochew.

– Spokojnie, chłopcy! – warknął i choć między nim a jego ludźmi był pewien odstęp, niemal czuł, jak na niego napierają, a ledwo powstrzymywane natarcie można już rozpocząć na pokładzie nieprzyjaciela. Przygotował się na wstrząs i chwilę później taran *Aquili* uderzył o dziób pirackiej galery. Choć to solidne uderzenie nie przebiło belek, obie galery wytraciły rozpęd. – Haki! – ryknął. – Opuścić kruka!

Corvus opadł w czasie, który zajęło centurionowi rozpoczęcie natarcia: zdążył postawić stopę na rampie, zanim jeszcze metrowe kolce od jej spodniej strony przebiły i roztrzaskały belki pokładu okrętu pirackiego, aż dwa statki połączyły się w śmiertelnym uścisku. Septymus pobiegł przed siebie, nie wypowiadając żadnego rozkazu, a jego ludzie podążyli za nim bez wahania, wydając przeszywające okrzyki bojowe, z ramionami wsuniętymi za wysokie tarcze *scutum*. Dzięki temu niemożliwemu do

powstrzymania natarciu w mgnieniu oka znaleźli się na pustym pokładzie dziobowym statku nieprzyjaciela.

Narmer stracił równowagę, kiedy rzymska galera zadała dziobowi jego biremy straszliwy cios, gwałtownie przechylając pokład pod jego stopami i całkowicie wyhamowując pęd statku. Podnosząc się na nogi, zaklął siarczyście i odruchowo dobył miecza. Zaledwie kilka chwil wcześniej sądził, że w pierwszej rundzie potyczki odniósł zwycięstwo: serią ostrych zakrętów swojej biremy zagrał na nosie rzymskiemu okrętowi. Narmer nawet roześmiał się głośno, kiedy Rzymianie zaczęli ostatni zwrot, najwyraźniej w rozpaczliwej nadziei, że uda się im zmniejszyć odstęp między okrętami. Narmer natychmiast skręcił ostro, gotów ściąć zakręt i połamać wiosła nieprzyjaciela, a jego galera zareagowała zwinnie. Śmiech jednak zamarł mu na ustach, kiedy rzymska galera skręciła w niewiarygodnym tempie, równie zwrotnie jak birema, i odcięła jej drogę ucieczki.

Wszędzie dookoła Narmera rozbrzmiał buntowniczy ryk jego załogi, gdy rampa abordażowa Rzymian opadła z hukiem na pokład dziobowy. Choć Belus ostrzegł go przed tą nową taktyką, widok był przerażający i Narmer przez moment nie mógł oderwać wzroku od tej potwornej sceny. Zgodnie z fortem zaproponowanym przez Belusa pokład dziobowy był pusty, a Rzymianie szybko utworzyli zwartą ścianę tarcz na całej szerokości galery. Na widok tej inwazji na jego statek, na jego terytorium,

furia Narmera sięgnęła zenitu, porzucił więc stworzony wcześniej plan, zaniósł się demonicznym okrzykiem bojowym i popędził naprzód. Jego załoga podążyła za nim z tą samą straceńczą szybkością, ponieważ piraci doskonale wiedzieli, iż napastnicy nie okażą im żadnej litości.

Narmer gnał przed siebie z wysoko podniesionym mieczem oraz okrągłą grecką tarczą *hoplon* na przedramieniu i wlepił wzrok w środek ściany z tarcz, choć deszcz smagał mu twarz. W tym samym czasie na pokładzie znaleźli się też Rzymianie, wepchnął więc bark za tarczę i z impetem natarł na ścianę legionistów. Od siły uderzenia zdrętwiało mu ramię, ale ledwie to zauważył, ponieważ jego umysł skoncentrowany był wyłącznie na wszechogarniającej żądzy wbicia klingi miecza w ciała nieprzyjaciół i zaplamienia pokładu biremy rzymską krwią.

Narmer wykonał mieczem cięcie w dół, odparowując cios zadany spomiędzy dwóch tarcz ustawionych przed nim, i cofnął się instynktownie, gdy szyk Rzymian przesunął się do przodu. Ten ruch otrzeźwił go na moment. Cofnął się jeszcze jeden krok, tym razem niezmuszony do tego przez przeciwnika, ponieważ przypomniał sobie plan Belusa. Rzymianie parli dalej przed siebie, a Narmer wraz ze swoim oddziałem wciąż im ustępował, broniąc się nieustannie, ale nie angażując w walkę. Dostrzegł, że jeden z jego ludzi padł, potem następny, ale mimo to uśmiechnął się złośliwie, kiedy

uderzył plecami o grotmaszt. Rzymianie walczyli zajadle, nie przerywając natarcia, a ściana ich tarcz wciąż była zwarta. Wszystko działo się tak, jak zapowiedział Belus.

– Naprzód marsz! – rozkazał Septymus, a jego głos poniósł się wyraźnie w stronę żołnierzy ponad okrzykami bojowymi piratów i głośnym szumem deszczu.

Szyk ruszył przed siebie równocześnie i dotarł do głównego pokładu, zanim uderzył o niego atak piratów. Mur z tarcz ugiął się, po czym wchłonął i odparł rozpęd natarcia, i scalił się na nowo. Septymus z zaciętą miną zajął miejsce za linią frontu. Jego ludzie byli dobrze wyszkoleni i działali ze śmiertelną skutecznością, a nieprzyjaciel niemal natychmiast ustąpił im pola.

– Utrzymać szyk! – krzyknął Septymus, uprzedzając jakiegokolwiek wyrywanie się przed szereg. Odczekał moment, a potem rozkazał: – Naprzód!

Żołnierze trzymający tarcze natarli jak jeden mąż. Ich siła leżała w jedności i Septymus poczuł, że nabiera pewności. Piraci walczyli brutalnie, ale byli niezdyscyplinowani i nieskoordynowani. Głupio zmarnowali jedyną szansę na odparcie ataku legionistów, kiedy ci przechodzili po kruku i nie zdążyli jeszcze ustawić się w szyku, co stanowiło jedyny słaby moment ich strategii. Pokład dziobowy był jednak opuszczony i legioniści bez przeszkód ustawili się w szyku, tworząc zwarty, niemożliwy do przełamania szereg, który pokonał już połowę długości galery i teraz docierał do głównego

pokładu.

Powietrze rozdarł sygnał ostrzegawczy trąbki. Septymus instynktownie odwrócił się w stronę *Aquili*, z której dobiegał dźwięk. Nie spuścił jednak oka z pirackiego statku, a powód ostrzeżenia od razu stał się oczywisty: z zamkniętego wcześniej luku na bliższym dziobowi krańcu głównego pokładu wyłoniła się szarża piratów prowadzona przez – Septymus nie wierzył własnym oczom – kartagińskiego dowódcę.

– *Orbis!* – centurion automatycznie otrząsnął się z zaskoczenia i wykrzyczał rozkaz stworzenia kolistej formacji obronnej. – Wróg na tyłach!

Legioniści zareagowali bez wahania i drugi szereg stojący za murem tarcz odwrócił się na pięcie, aby wraz z Septymusem stawić czoło temu nowemu zagrożeniu, ale spóźnili się o mgnienie oka. Błyskawiczny atak z zaskoczenia przypuszczony przez piratów zwiódł ludzi po obu stronach centuriona i nieprzyjaciel zderzył się z nieprzygotowanym szykiem Rzymian tak zajadle, że ten momentalnie się ugiął, a potem załamał.

Septymus walczył jak opętany, a jego natarcie od razu straciło znamiona ścisłej dyscypliny legionów i przeobraziło się w płynną sekwencję ruchów właściwych walce jeden na jednego. Otaczający go żołnierze działali równie desperacko, ale wielu z nich nigdy nie szkolono w indywidualnych potyczkach i po chwili pół tuzina legionistów leżało już na pokładzie, a krzyki rannych ginęły wśród hałasu starcia.

Septymus pchnął miecz z całą siłą, którą dawały mu frustracja i gniew, przekreślił klingę brutalnie i ją wyciągnął, a pirat padł do przodu z twarzą zastygłą w wyrazie bólu i zjadłości. Centurion odepchnął go guzem tarczy, pirat osunął się na mokry od deszczu pokład i Septymus mógł na moment odetchnąć. Rozrzuceni już po całym pokładzie legionieści walczyli o życie. Druzus stał przy grotmaszcie, nie ustępując nikomu, znacząc najdalszy punkt, gdzie zaszedł rzymski szyk. Septymus przesunął po pokładzie morderczym wzrokiem, szukając kartagińskiego dowódcy, który poprowadził atak z zaskoczenia. Zauważył go niemal natychmiast, ponieważ jego punicka zbroja wyróżniała go spośród załogi piratów. Septymus ponownie podniósł miecz, którego rękojeść była śliska od krwi i deszczu, ścisnął go mocniej i zaczął się przepychać do przodu, całym ciężarem napierając na tarczę. Po drodze wydał z siebie ryk wyzwania, a Kartagińczyk odpowiedział na nie własnym okrzykiem bojowym.

Trąbka wisiała Attykowi luźno w ręce, kiedy patrzył, jak niespodziewany atak piratów roztrzaskuje się o wystawiony na ciosy, nieprzygotowany szyk Rzymian. Wcześniej chwycił trąbkę na widok pierwszej oznaki ataku i choć instynktownie zdawał sobie sprawę, że jego ostrzeżenie jest daremne, desperacko chciał uprzedzić Septymusa, którego rosłą sylwetkę łatwo było dostrzec wśród legionistów. Centurion zareagował na alarm Attyka natychmiast, ale mimo to fala napastników w mgnieniu

oka pochłoneła jego i otaczających go ludzi.

– Gajuszu! – krzyknął Attyk i rzucił się do przodu. – Trzymaj ster. Lucjusz, za mną!

Wskakując na główny pokład, Attyk dobył miecza, niepomny na ostre ukłucie bólu w klatce piersiowej.

– Ludzie *Aquili*, do mnie! – ryknął, biegnąc pewnie po mokrych deskach pokładu. Podążający za kapitanem Lucjusz powtórzył to wezwanie, krzycząc do poszczególnych załogantów, i też wyciągnął miecz. Dwudziestu *triarii* z oddziału Septymusa stało w szyku na pokładzie dziobowym i Attyk wrzasnął, żeby zaczęli natarcie; nie do końca znał rozkazy wydawane zwyczajowo w legionach, ale był pewien, że rozumieją.

Pędząc po kruku, Attyk wydał okrzyk bojowy, natychmiast podjęty przez Lucjusza oraz resztę załogantów, których gniew podsyciła perspektywa przejęcia inicjatywy w potyczce z piratami. Za nimi podążyli w luźnym szyku *triarii*, zaprawieni w bojach żołnierze, którzy najlepsze lata mieli już za sobą, ale wciąż odznaczali się siłą i wolą walki. Po dotarciu na główny pokład biremy ludzie *Aquili* rozstawili się w półkolu, a piraci i Rzymianie zatopieni w wirze bitwy dookoła grotmasztu w końcu usłyszeli ich okrzyki bojowe. Wyłonili się z deszczu jak horda wojowników Hadesu, prowadzeni przez Attyka, który ze świeżą blizną na twarzy i miną wyrażającą zakorzenioną w nim od pokoleń nienawiść do piratów wyglądał, jakby miał na sobie maskę demona.

Wdali się w potyczkę z rozpędem, który wepchnął kapitana w sam środek tłumu wojowników. Jeden z legionistów padł mu pod nogi, a Attyk machnął mieczem w górę, atakując pirata, który zadał śmiertelny cios. Ten odparował jego pchnięcie, a Attyk wywinął klingą, chcąc zablokować następny ruch przeciwnika, i gwałtownie wykręcił tors, aby uzyskać odpowiedni kąt. Kiedy odpierał cios, zalała go fala bólu, a po jego klatce piersiowej pociekła rzeka ciepłej, ciemnej krwi. Przemoczona deszczem tunika pod jego napierśnikiem przykleiła się do otwartej na nowo rany. Attyk stęknął, przewycięzając ból, i dźgnął mieczem w dół, przesuwając ostrzem klingi po pachwinie pirata, aż powstało głębokie, śmiertelne cięcie, od którego zabarwił się oręż Greka. Pirat krzyknął, upuścił miecz i upadł z pełną przerażenia miną; nieustający deszcz zmył jego krew z pokładu. Attyk osunął się na kolana i sięgnął dłonią za napierśnik, a kiedy ją wyciągnął, była zaplamiona czerwienią.

Septymus dwukrotnie uderzył tarczą pierś Kartagińczyka, za każdym razem wydając z siebie ryk bezmiernego gniewu na myśl o ginących dookoła niego Rzymianach. Belus odpowiedział tym samym, waląc mieczem w guz tarczy, a umysł miał przepełniony wizjami spod Myle i desperacką świadomością, że musi zwyciężyć, aby dostarczyć swoją wiadomość. Septymus dostrzegł napływ ludzi z *Aquili*, kiedy go otoczyli, ale

nieprzerwanie koncentrował się na Kartagińczyku, głowie węża, który zaatakował tyły jego szyku. Nie pamiętał już swojego początkowego niedowierzania na widok kartagińskiego dowódcy na czele ataku piratów, a gniew zwyciężył nad rozsądkiem.

Belus odstąpił w prawo, żeby zyskać trochę miejsca, jednocześnie robiąc zwód mieczem, po czym na powrót stanął pewnie na obu nogach i odparł tarczą straszliwy cios Rzymianina. On też zauważył, że do potyczki dołączyła druga fala żołnierzy nieprzyjaciela, i wiedział, że ma on teraz zdecydowaną przewagę liczebną nad piratami. Rzymianie zareagowali znacznie szybciej, niż Belus się spodziewał; sądził, że atak z zaskoczenia oszołomi resztę załogi triremy i utrzymają z daleka na czas konieczny do pokonania legionistów. Zaatakowali jednak bez wahania, co odebrało Belusowi i jego ludziom cenne chwile, dzięki którym odnieśliby zwycięstwo. Na tę myśl znów instynktownie pchnął do przodu, czując, że zaczyna nim kierować narastająca lekkomyślność, uświadomił sobie bowiem, że odwrotu nie będzie.

Septymus cofnął się, gdy Kartagińczyk przypuścił nagle jeszcze bardziej zajadły atak mieczem, który wyglądał jak smuga żelaza i światła. Deszczówka spłynęła po końcówce klingi, kiedy Kartagińczyk ciął nisko mieczem. Septymus ledwie uniknął ciosu i przeniósł ciężar ciała, żeby wywinąć tarczą i walnąć jej mosiężnym guzem o rękę, w której Kartagińczyk trzymał miecz, czym przełamał jego atak i spowodował wściekły ryk gniewu.

Belus zaatakował ponownie, a jego umiejętny fechtunek ustąpił nieposkromionej furii, z jaką zasypał ciosami tarczę Rzymianina, znienawidzonego wroga, przez którego nie mógł wypełnić swojego obowiązku. Wydał ryk prośby do Anat, bogini wojny, aby dała siłę jego ramieniu; jego wrzask narastał, aż zagłuszył wszystkie inne dźwięki, a kiedy poczuł, że Rzymianin ustępuje pod jego atakiem, jego twarz wykrzywił złowrogi grymas.

Septymus ugiął kolana i przygotował się do zadania ciosu, gdy natarcie nieprzyjaciela osiągnęło kulminację. Zbliżył tarczę do siebie i skulił za nią ciało, przyciągając Kartagińczyka coraz bliżej. Nagle – z siłą wyrobioną w legionach – rzucił się do przodu i zderzył z Kartagińczykiem, odpychając go. Centurion się nie zatrzymał i dalej odpierał wroga po pokładzie, czekając na właściwy moment do ataku. Kartagińczyk poderwał prawe ramię, usiłując utrzymać równowagę, a Septymus zatopił krótką klingę w odsłonięty bok Kartagińczyka, zadając mu śmiertelny cios poniżej zbroi i dopełniając go przekręceniem ostrza. Jego rękę pokryła fala krwi i wnętrzności, a przeciwnik wrzasnął z bólu.

Miecz i tarcza wypadły Belusowi z niemal bezwładnych palców, a on sam upadł na deski, sięgając rękami do rany w boku. Jego krew splamiła pokład, w którego obronie oddał życie. Spojrzał na stojącego nad nim Rzymianina: przenikliwość spojrzenia tego młodszego od niego mężczyzny równała się zajadłości

jego ataku, po hełmie i zbroi spływał mu deszcz, a miecz w jego ręce był unurzany w krwi Belusa.

Rzymianin jeszcze przez chwilę patrzył mu w oczy, a potem zniknął, zostawiając Punijczyka ze wzrokiem wlepionym w szare niebo i straszliwą świadomością, że zawiódł Kartaginę.

Narmer ryknął do otaczających go ludzi, pędząc ich do przodu, zaogniając ich gorączkę bitewną, aż przeobraziła się w szał. Piraci odpowiedzieli narastającymi okrzykami rozbrzmiewającymi buntem i wyzwaniem; nie okazywali żadnej litości w coraz bardziej desperackiej walce z mającymi przewagę napastnikami. Moment wcześniej Narmer widział, jak Belus pada od ciosu rzymskiego centuriona, który teraz gromadził ludzi do finalnego natarcia. Kapitan wiedział, że ostatecznie zmiążdży ono jego załogę. Cofnął się z szyku bojowego, a ostatnie natarcie jego ludzi dało mu okazję do ucieczki pod pokład; odwrócił się i pobiegł do luku na bliższym rufie krańcu głównego pokładu.

Lądując na przejściu prowadzącym przez środek pokładu niewolników, Narmer podniósł miecz. Otaczający go wioślarze zaczęli w panice chwytać go za nogi i błagać, żeby ich uwolnił. Ciął mieczem, bojąc się, że ich szarpiące dłonie go powstrzymają, i jeden z wioślarzy krzyknął, gdy klinga przecięła jego nadgarstek. Pozostali cofnęli się i Narmer popędził do trapu wiodącego do głównej kabiny, wpadł do środka, po czym

zamknął i zarygłował za sobą drzwi.

Na pokładzie głównym nad jego głową wciąż toczyła się walka. Narmer krążył powoli po kabinie z mieczem wiszącym luźno u boku i czując narastającą panikę, szukał drogi ucieczki. To, że umknął na niższy pokład, mogło dać mu kilka dodatkowych chwil, ale nie załatwiało sprawy. Nagle wezbrał w nim gniew i Narmer rąbnął mieczem o stół pośrodku kabiny, przeklinając dzień, w którym wziął udział w konflikcie toczącym się między Rzymem a Kartaginą. Zdał już sobie sprawę z tego, że Belus odebrał mu jego galereę oraz dowodzenie i zaprowadził go na wody usiane rzymskimi galerami. Teraz z kolei Rzymianie byli gotowi go okraść, zagrabić to, co należało do niego, i pozbawić go galery, którą zdobył dzięki pomysłowości i rozlewowi krwi.

Kiedy z góry dobiegły wiwaty Rzymian, Narmer ponownie chwycił miecz, przyjrzał się jego ostrzu i schował go do pochwy, wypowiadając bezgłośnie przysięgę. Nie potrzebował już oręża, ponieważ jedna klinga więcej nie powstrzyma Rzymian przed przejęciem okrętu. Do tego celu Narmer potrzebował innej broni, prastarej i śmiercionośnej; przygotowując się powtórzył przysięgę, że odbierze nieprzyjaciołom galereę, którą odważyli się mu skraść.

– Stać! – ryknął Septymus, kiedy jego ludzie zaczęli gonić pół tuzina piratów, którzy rzucili się do ucieczki pod pokład, a legionieści zatrzymali się jak smagnięci

biczem; wpojona im dyscyplina zwyciężyła żądzę krwi. Stali przez moment w milczeniu, dysząc ciężko i dochodząc do siebie. Kiedy zdali sobie sprawę, że pokład jest ich, opuścili miecze, a pojedynczy okrzyk triumfu wkrótce powtórzyli wszyscy.

Septymus pozwolił im krzyczeć. Zdobyli statek, ale aby dokończyć zadanie, musieli usunąć spod pokładu niedobitki załogi piratów.

– Druzusie! – zawołał do swojego *optio*. – Weź dziesięciu ludzi i zabezpieczcie luk na głównym pokładzie od dziobu. Ja zajmę się tym od rufy.

Druzus zasalutował i zgromadził ludzi stojących najbliżej, po czym pobiegli luźną formacją w stronę luku. Septymus zrobił to samo, nie zwracając uwagi na martwych i umierających, czy to swoich, czy wrogów, pozostałym ludziom rozkazawszy, aby utrzymali pozycję na głównym pokładzie.

Przy luku zatrzymał się na moment, zanim zsunął się w dół. Jego oczy szybko przyzwyczyły się do półmroku zalegającego na pokładzie dla wioślarzy. Odsunął się nieco i pozwolił swoim ludziom podążyć jego śladem, a oni utworzyli dookoła drabiny obronny krąg, osłaniając się tarczami. Przez całą długość pokładu dla wioślarzy prowadziło przejście, a po obu jego stronach siedzieli zakuci w kajdany niewolnicy. Ich żałosne błagania o uwolnienie były ogłuszające w tej ciasnej przestrzeni. Septymus nie zwrócił na nich uwagi i sięgnął wzrokiem ponad dwadzieścia kroków w przód, do bliższego

dziobowi luku – oddział Druzusa już przez niego przeszedł i ruszył w stronę kabin na dziobie.

Septymus kazał swoim ludziom ustawić się za sobą i zrobił kilka kroków w stronę trapu prowadzącego do głównej kabiny na rufie galery. Po obu jej stronach, na sterburcie i bakburcie, znajdowały się dwie kolejne, mniejsze kabiny. Centurion przygotował tarczę i czubkiem miecza pchnął drzwi kabiny od bakburty. Była maleńka, nie miała więcej niż dwa kroki po przekątnej, i pusta. Okręcił się na pięcie i pchnął przeciwległe drzwi, spodziewając się tego samego, ale tam na niskiej koi leżał jakiś mężczyzna o straszliwie zmasakrowanej twarzy, w podartej, zakrwawionej tunice. Septymus skinieniem głowy nakazał jednemu ze swoich żołnierzy wejść do kabiny i przyjrzeć się nieprzytomnemu, jak się zdawało, człowiekowi, a sam poprowadził pozostałych do ostatnich drzwi, głównej kabiny.

Septymus obejrzał się przez ramię, gdy z dziobu galery dobiegła nagła seria okrzyków, a brzęk żelaza o żelazo dał mu znać, że Druzus odkrył kolejnych piratów. Spojrzał na jednego ze swoich ludzi, stojącego na tyłach.

– Idź do *optio* – rozkazał. – Dowiedz się, czy nie potrzebuje pomocy.

Żołnierz kiwnął głową i pobiegł na dziób, łomocząc ciężko stopami po drewnianym pokładzie. Septymus ponownie skoncentrował się na głównej kabynie i tak jak wcześniej pchnął jej drzwi czubkiem miecza. Nie otworzyły się, więc obrócił się nieco, przyłożył do desek

tarczę i napał na nią całym ciężarem ciała.

– Zaryglowane – powiedział sam do siebie, a potem odwrócił się do dwóch stojących za nim ludzi.

– Wyważcie je! – rozkazał, a legioniści podeszli bliżej, odwrócili miecze i zaczęli walić w drzwi głowicami. Twarde kule roztrzaskały podniszczone deski.

– Przygotować się, chłopcy! – krzyknął Septymus, szykując się do natarcia. Drzwi mogły wytrzymać jeszcze tylko chwilę. Oddychał głęboko, napinając mięśnie w pozycji gotowej do ataku; spodziewał się, że za drzwiami znajdzie większość reszty załogi. Nagle ogarnął go niepokój, poczuł bowiem budzącą postrach woń, silniejszą od zapachu krwi plamiącej jego miecz oraz smrodu brudu i śmieci pokrywających pokład pod jego nogami. Zapach ten budził przerażenie drżące w każdym człowieku mieszkającym na drewnianych okrętach tej epoki, zapach świadczący o obecności wroga, którego nie da się powstrzymać, który strawi galerę i wszystkich ludzi na pokładzie.

– Stać! – krzyknął Septymus i kucnął. W ciszy, która go ogarnęła, znów pociągnął nosem. Nie było wątpliwości. Ktokolwiek znajdował się za drzwiami, podpaliłabinę. Septymus natychmiast się poderwał. – Z powrotem na pokład. Ale już! – ryknął, a jego ludzie zareagowali. Choć nie wyczuli jeszcze tego co on, bez wahania wypełnili rozkaz. – Centurionie! – Septymus odwrócił się do żołnierza, który właśnie wyłonił się z bocznej kabiny.

– To Rzymianin – powiedział, wskazując palcem za siebie. Septymus spojrział na mężczyznę leżącego na koi.
– Mówi, że jest kapitanem statku handlowego, który schwytali ci piraci – wyjaśniał dalej żołnierz. Septymus chwycił za ramię jednego z uciekających legionistów.

– Ty – rzucił – pomóż mu zanieść tego człowieka na górę.

Żołnierz usłuchał i dwaj legioniści wciągnęli rzymskiego kapitana po trapie. Septymus podążył za nimi, nieustannie oglądając się przez ramię na drzwi głównej kabiny, a właśnie kiedy zaczął się wspinać na główny pokład, dostrzegł pierwsze smużki dymu. Na ten widok przyspieszył kroku i natychmiast wysłał ludzi na dziób, aby przekazali Druzusowi komendę wypłatania się z potyczki. Dostrzegł Attyka i ruszył w jego stronę, po drodze rozkazując swoim ludziom, aby stworzyli szyk.

Kapitan siedział wśród rzymskich rannych, a twarz miał śmiertelnie bladą w porównaniu z zaplamioną krwią tuniką. Przy nim klęczał Lucjusz.

– Zdobyliśmy statek? – spytał Attyk. Głos miał słaby, ale triumf malował się wyraźnie w jego spojrzeniu.

– Nie – syknął z gniewem Septymus. – Ten statek jest w rękach Wulkana.

– Na bogów... – wyszeptał Attyk. – Ogień?

Kiedy Septymus kiwnął głową, z pokładu niewolników dały się słyszeć pierwsze okrzyki paniki. Ten przerażający odgłos poniósł się po całej długości galery w czasie, jaki zajęło niezorientowanym spośród

Rzymian zrozumienie, co się dzieje. Żołnierze, którzy wcześniej nieustraszenie atakowali w bitwie, teraz rzucili się do ucieczki, rozglądając się z niepokojem i szukając dowodów na to, że się pali. Na całym pokładzie głównym rozległy się ostrzegawcze okrzyki: dym zaczął się nagle wydostawać kłębamii z luku na rufie.

– Wszyscy z powrotem na *corvus*! – wrzasnął Septymus i pomógł Attykowi wstać, biorąc na siebie jego ciężar. Wciąż wydawał komendy swoim ludziom i upewniał się, czy może się doliczyć wszystkich rannych.

– Czekaście! – krzyknął nagle jeden z młodych *hastati* stojący przy przednim luku. Nasłuchiwał okrzyków o litość wznoszonych przez niewolników. – Słyszę rzymskie głosy!

– Stój! – ryknął Attyk, zdając sobie sprawę z niebezpieczeństwa, ale jego rozkaz zagłuszyła desperacka kakofonia dobiegająca z pokładu dla niewolników i przyglądał się bezsilnie, jak młody żołnierz znika w luku, a zaraz za nim podąża dwóch następnych. Attyk pobiegł przed siebie, zapominając o bólu, kiedy zobaczył, że kolejni legionieści są gotowi ruszyć za pierwszymi trzema pod pokład.

– Wy tam, stać! – krzyknął Attyk, a żołnierze się zawahali i popatrzyli na stojącego za greckim kapitanem centuriona.

Rzymskie głosy rozpaczliwie błagające o pomoc sprawiły, że ponownie ruszyli powoli przed siebie. Septymus bez wahania powtórzył rozkaz Attyka i nakazał

swoim ludziom wrócić na pokład *Aquili*. Zakwestionował decyzję kapitana dopiero, kiedy dotarł do luku. Nieustający strumień przerażonych głosów dobiegający z dołu sprawił, że jego słowa słyszał tylko Attyk.

– Psiakrew, Attyku – syknął zły, że wcześniej nie przyszło mu do głowy, iż wśród wioślarzy mogą być Rzymianie. – Dlaczego zakazałeś kolejnym moim ludziom schodzić pod pokład? Musimy dopilnować, aby uratowano spośród niewolników wszystkich Rzymian.

– Niewolnicy już są trupami – odparł Attyk, odprowadzając wzrokiem wycofujących się legionistów, z których wielu odwzajemniało nienawistnie jego spojrzenie. – Każdego, kogo pošlesz na dół, skazujesz na śmierć.

Septymus obejrzał się przez ramię, aby ocenić zasięg ognia, usiłując zignorować krzyki.

– Wciąż jest czas – powiedział. – Ale trzech ludzi, którzy są na dole, potrzebują pomocy.

Attyk odwrócił się do Septymusa z rozpaczą wypisaną na twarzy.

– Już widziałem takie sytuacje – powiedział z udręczoną miną. – Nie można im pomóc. – Wskazał głową luk. – Troszcz się o siebie.

Septymus patrzył Attykowi przez chwilę w oczy, a potem odwrócił się, żeby zejść pod pokład. Attyk chwycił go za ramię.

– Trzymaj się poza zasięgiem ich rąk – ostrzegł.

Septymus kiwnął głową i ruszył po drabinie,

dobrywając miecza, kiedy w pełni dotarły do niego straszliwe, paniczne krzyki, które zdawały się płynąć z trzewi galery. Zatrzymał się w połowie drabiny i kucnął, aby objąć wzrokiem całość otchłani Hadesu, w którą zamienił się teraz pokład dla niewolników. Ogień ogarnął już rufę statku – tylna część pokładu spowita była dymem – a niewolnicy widoczni przed szarą ścianą szarpali desperacko za unieruchamiające ich okowy dookoła kostek. Deski pokładu pod nimi zabarwione były na czerwono wskutek ran, które sami sobie w ten sposób zadawali; wielu z nich wpadło niemal w obłąd z przerażenia.

Centurion zauważył dwóch swoich ludzi nie dalej niż trzy kroki od podstawy drabiny i rozpoznał ich tylko dzięki pozostałościom zbroi; rozszalała horda, która desperacko chwyciła się ich, aby ją wypuścili, oderwała im kawałki ciała. Wioślarze zabrali im też miecze i sztylety, wszystko, czego mogli użyć do uwolnienia się, w zbiorowej panice nie zauważając, że ludzie ci chcą ich uratować. Septymus przyglądał się z pełną przerażenia fascynacją jednemu z niewolników, walącego klingą miecza o twardy łańcuch, i kilkunastu rękoma wyciągniętym desperacko po wyszczerbiony *gladius*.

Za nieżyjącymi żołnierzami Septymus dostrzegł ostatniego ze swoich ludzi, legionistę, który nieustraszenie poprowadził za sobą pozostałych. Wrzeszczał na całe gardło, choć nikt nie zwracał uwagi na jego krzyki, i z przerażeniem wypisanym na twarzy ciął mieczem w

stronę niezliczonych wczepionych w niego dłoni. Nagle odwrócił się w stronę Septymusa i kiedy go rozpoznał, jego strach ustąpił na moment, a oczy nabrały błagalnego wyrazu. Instynktownie zrobił pół kroku w stronę drabiny, ale nie udało mu się dokończyć ruchu. Ryknął coś niezrozumiale, lecz wir paniki zatopił sens jego prośby i Septymus mógł tylko odwzajemnić jego spojrzenie, zanim desperacka walka, którą toczył żołnierz, zmusiła go do ponownego odwrócenia się.

Centurion zawahał się przez chwilę, a potem odwrócił się plecami do skazanego na zagładę mężczyzny, wspiął się z powrotem po drabinie i wyminął Attyka bez słowa. Kapitan przeszedł za nim przez kruką, a rampa podniosła się, oddzielając *Aquilę* od jej ofiary. Septymus podszedł do relingu na dziobie i wpatrywał się w galerę piratów, chowając miecz do pochwy; przesunął wzrokiem po martwych legionistach na pokładzie, ludziach, którzy oddali życie za nic niewarty przyz. Błagalne okrzyki uwieczonych na pokładzie niewolników cichły, w miarę jak *Aquila* się oddalała, a w końcu zamilkły zupełnie.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Warro stał samotnie na pokładzie dziobowym *Tygrysa* i przyglądał się, jak ciche Falkone budzi się do życia. Była to nędzna wioska rybacka, kilka zrujnowanych drewnianych chat stłoczonych dookoła jednego pomostu, a ludzi charakteryzowała ponuro przygarbiona postura, świadcząca o ich nieszczęśliwym życiu. Ten widok wzbudził w Warronie obrzydzenie, odwrócił się więc plecami do brzegu, aby spojrzeć na otwarte morze.

Patrole przybywały do bazy przez cały poprzedni dzień, bez przekonania, jak maruderzy. Wszyscy donosili, że nie zaobserwowali jednostek wroga. Wszyscy, poza jedną galera, która jeszcze nie wróciła: *Aquila*. Warro uśmiechnął się złowrogo na tę myśl. Może *Aquila* napotkała nieprzyjaciół i razem z tym swoim przeklętym greckim kapitanem przepadła pod falami, a może – jeszcze lepiej – jest zaledwie kilka godzin drogi od nich i Warro będzie mógł skazać kapitana na chłostę za niesubordynację. W każdym razie Warro rozkoszował się tą myślą i odwracała ona jego uwagę od wieści, które trapiły go, od kiedy otrzymał je kilka dni wcześniej. *Regulus* przybył na Sycylię.

Brolium leżało zaledwie sześć godzin statkiem od miejsca, gdzie teraz stał, ale starszy konsul mógłby równie dobrze być w Rzymie, biorąc pod uwagę otchłań, jaka

dzieliła obecnie Warrona od tego najpotężniejszego człowieka w republice. Przez ostatnie kilka dni były trybun bezowocnie szukał wiarygodnego powodu, aby skontaktować się z Regulusem i w końcu ocenić nastawienie konsula, biorąc pod uwagę, że od czasu ich ostatniego spotkania w Rzymie – kiedy Regulus wydał rozkaz, aby wypędzić Warrona na północną granicę republiki – Scypion zainterweniował w jego imieniu i najwyraźniej przekonał konsula o jego prawdziwym oddaniu i wartości. Teraz Warro desperacko chciał osobiście wykazać się tymi cechami, potwierdzić słowa Scypiona i w pełni odzyskać zaufanie Regulusa.

– Zbliża się galera!

Warro spojrział na szczyt masztu, a potem we wskazanym kierunku, i dostrzegł okręt, który płynął prosto do brzegu; jego wiosła wznosiły się i opadały pozornie bezskutecznie, jakby galera stała nieruchomo na wodzie. Mogła to być tylko *Aquila* i Warro zaczął natychmiast rozmyślać o karze, którą postanowił przywitać kapitana zabłąkanej galery.

– Przed nami Falkone! – krzyknął Korin ze szczytu masztu. Attyk zadarł głowę. Spodziewał się, co obserwator powie. – Reszta oddziału jest tam już zebrana!

Attyk kiwnął głową i spojrział na nisko położoną wioskę przed nimi. *Aquila* była oddalona od niej o jakieś trzy mile, pół godziny drogi przy obecnej prędkości. Kapitan podszedł do rumpla, odruchowo raz i drugi

sprawdzając olinowanie i ułożenie grotzagli. Łagodny oddech bryzy od morza wypełniał płócienną płachtę i napierał gładko na ster, co wraz z nieznacznymi poprawkami kursu dokonywanymi przez Gajusza przy rumplu utrzymywało *Aquilę* na niezmiennym kursie.

Spojrzenie Attyka powędrowało na główny pokład. Widok ten przyciągał jego uwagę już wielokrotnie od chwili, gdy ukazało go światło brzasku. Obok siebie spoczywali trzej mężczyźni: dwaj legionieści i jeden człowiek Attyka. Twarze i klatki piersiowe żołnierzy przykryto z szacunkiem tarczami, a oblicze marynarza – kawałkiem materiału, aby zasłonić ich niewidzące oczy. Wszyscy umarli w nocy z powodu odniesionych ran. Na szczęście dwaj odeszli, nie odzyskując przytomności, ale trzeci krzyczał z bólu do chwili, kiedy Mars go zabrał, a z głębokiej rany w okolicach nerki płynęła na pokład czarna krew, tworząc trwałą plamę.

– Piętnastu ludzi – wyszeptał Attyk, przypominając sobie twarze trzech z nich, którzy należeli do jego własnej załogi. Z determinacją, na którą mógłby się zdobyć tylko dowódca, wycofał wspomnienie o nich do głębin swojego umysłu.

Z zamyślenia wyrwał go Lucjusz, który stanął przed nim ze wzburzoną miną.

– Musisz natychmiast porozmawiać z Albinem! – powiedział zastępca.

– Albinem?

– Rzymskim kapitanem, którego legionieści znaleźli

na pokładzie pirackiej galery – wyjaśnił Lucjusz. – Jakaś godzinę temu odzyskał przytomność.

Attyk chciał zadać Lucjuszowi jeszcze kilka pytań, ale ten już wracał do luku prowadzącego do kabin pod pokładem, zmuszając kapitana do podążenia za nim. Attyk dostrzegł nadchodzącego za jednym z załogantów Septymusa i wzruszył ramionami w odpowiedzi na jego pytające spojrzenie, po czym obaj zeszli po drabinie na niższy pokład.

Rzymski kapitan leżał na koi w jednej z małych bocznych kabin. Podpierał się na łokciu, a jeden z marynarzy pomagał mu przy picciu wody z kielicha. Kapitan zakrztusił się małym łykiem płynu i zaniósł się bolesnym kaszlem. Położył się, zamknął oczy i powoli przesunął rękoma po klatce piersiowej. Attyk dopiero wtedy zauważył, że wszystkie jego palce są połamane: wiele z nich sterczało pod obrzydliwymi kątami.

– Albinie – powiedział Lucjusz, a kapitan ponownie otworzył oczy. Zanim ich spojrzenie się wyostrzyło, na moment pojawił się w nich cień jakiegoś potwornego wspomnienia. – Albinie, to kapitan Perennis i centurion Kapito – ciągnął Lucjusz i odsunął się, żeby mogli wejść do ciasnego pomieszczenia.

Attyk klęknął przy głowie koi, a Septymus stanął przy nogach ze skrzyżowanymi na piersi ramionami i z gniewem wypisanym na twarzy przesunął spojrzeniem po zmasakrowanym ciele Rzymianina.

– Powiedz im to, co powiedziałaś mnie – zachęcił

Lucjusz, a kapitan kiwnął głową prawie niedostrzegalnie i przełknął mocno ślinę, jakby chcąc się pozbyć z gardła jakiegoś ohydneho smaku.

– Jestem Albin Lepidus z galery handlowej *Glycon* – zaczął kapitan. Mówił szeptem, ale łatwo było go usłyszeć w maleńkiej kabinie. – Płynęliśmy do Lokr, kiedy zasadziła się na nas piracka galera. – Albin zamilkł na moment. – Pojawiła się znikąd... – wymamrotał, a Attyk odruchowo położył dłoń na jego ramieniu. Wydawało się, że kapitan czerpie z tego gestu siłę, i po chwili podjął wątek: – Pojmali wielu moich ludzi żywcem. Mnie zabrali do głównej kabiny, a innych... innych zadreczyli na śmierć.

Wydawało się, że mówienie o tych okropnościach odbiera mu siły życiowe.

– Zadreczyli? – spytał Septymus. – Dlaczego?

– To ten Kartagińczyk – syknął Albin, nagle pełen zajadłości i gniewu. – Torturowano ludzi z jego rozkazu, a potem ten sukinsyn... – Zaczął kaszleć gwałtownie, zmęczony mówieniem, a na jego tunikę opadło nieco zabarwionej krwią śliny.

W głowie Septymusa natychmiast pojawił się obraz kartagińskiego dowódcy na galerze pirackiej i przypomniał sobie swoje niedowierzanie, spowodowane nie tylko obecnością punickiego żołnierza na pokładzie, ale też tym, że wyglądało na to, iż dowodzi on załogą.

– Dlaczego na pokładzie był kartagiński dowódca? – spytał centurion. – I dlaczego dowodził?

Albin znów przełknął z wysiłkiem ślinę, aby złapać oddech.

– To raczej nie było na stałe – powiedział, wracając myślą do chwil tuż przed tym, jak Kartagińczyk zaczął go torturować. – Powiedział kapitanowi piratów, że statek jest pod jego komendą, aż dotrą do Tyndaris.

– Tyndaris? – zapytał Attyk. – Portu w Syrakuzach?

Albin kiwnął głową.

– Dlaczego kazał torturować twoich ludzi? – spytał Attyk i wyczuł, że stojący za nim Lucjusz nachyla się do przodu. – Czego chciał się dowiedzieć?

– Chciał wiedzieć wszystko o naszych umocnieniach wzdłuż brzegu – zaczął Albin – i czy kiedykolwiek natknąłem się na jakieś patrole. Czy gdzieś na południe od miasta jest czynna linia obrony. Gdzie stacjonuje większość galer. Jakich działań byłem świadkiem.

– O jakie chodzi miasto? – zapytał Attyk, szukając na wybrzeżu Sycylii miejsca, które mogło stanowić cel nieprzyjaciela. – Planują atak na Agrigentum?

Albin pokręcił głową, a potem odwrócił ją, żeby spojrzeć Attykowi prosto w oczy.

– Nie, kapitanie – powiedział, a jego głos był po raz pierwszy głośniejszy od szeptu. – Kartagińczycy mają zamiar zaatakować Rzym.

Warro gniewnie przemierzał główny pokład *Tygrysa*, patrząc, jak zbliża się mała łódka. Witulus przycupnął na jej bukszprycie, a poza nim na łódce znajdowali się tylko

dwaj wioślarze. Greckiego kapitana, z którym wedle rozkazów Warrona Witulus miał wrócić, nie było. Warro spojrzął na zakotwiczoną sto metrów dalej *Aquile*.

– No i? – warknął, kiedy Witulus wdrapał się po drabince sznurowej na galerę.

– Kapitan jest na pokładzie – zaczął Witulus pospiesznie, chcąc się wytłumaczyć, zanim jego dowódca zareaguje dosadniej. – Ale prosi, żebyś to ty przybył na *Aquile*. Na jej pokładzie przebywa rzymski kapitan, który jest zbyt słaby, aby go przenieść, ale ma niezwykle ważne wiadomości. Musisz ich wysłuchać.

Warro podszedł niespodziewanie do przodu i uderzył Witulusa ramieniem w klatkę piersiową, aż ten upadł na deski.

– Nie będę przyjmował rozkazów od Greka – ryknął. W jego ręce nagle znalazł się miecz, którego czubek wisiał tuż nad Witulusem. – Zbierz *contubernium* i każ sternikowi podpłynąć do *Aquili*. Sam zajmę się tą niesubordynacją.

Witulus kiwnął głową i podniósł się niezgrabnie, pospieszył na pokład rufowy i wydał konieczne rozkazy. Uderzenia w bęben rozpoczęły się chwilę później, gdy *Tygrys* ruszył w drogę, po czym sternik wprawnie zbliżył się do *Aquili*.

Trap *Tygrysa* opuszczono na pokład *Aquili* i Warro przeszedł po nim zdecydowanym krokiem w towarzystwie Witulusa i dziesięciu legionistów.

– Gdzie jest kapitan? – zapytał, chwytając jakiegoś

załoganta za kark.

Marynarz wskazał luk na rufie i Warro poszedł dalej, ledwie zwracając uwagę na trzy przykryte ciała leżące na pokładzie. Zszedł po drabinie z dłonią na rękojeści miecza i podszedł do uchylonych drzwi bocznej kabiny. Ludzie idący za nim tłoczyli się w przejściu.

Attyk dostrzegł Warrona, kiedy ten stanął w drzwiach.

– Dowódcu – zaczął z ulgą w głosie. – Dzięki bogom zdążyłeś. Jest bliski śmierci – dodał, wskazując człowieka leżącego na koi.

– Ty! – rzucił Warro i wyciągnął miecz, choć w ciasnej kabinie nie było to łatwe. – Ostatni raz nie wypełniłeś mojego rozkazu.

– Dowódcu! – ryknął Septymus, a w tak niewielkiej przestrzeni jego okrzyk był ogłuszający.

Warro zamarł, rzucając mordercze spojrzenie wysokiemu centurionowi stojącemu w nogach pryczy.

– To bardzo ważne, wysłuchaj doniesień tego człowieka – ciągnął Septymus. Właściwy mu władczy ton głosu sprawił, że Warro się zawahał.

Odepchnął Attyka i spojrzał na wymizerowaną twarz rzymskiego kapitana.

– Kto to? – warknął, potrząsając mocno ramieniem kapitana, aż ten ocknął się i otworzył oczy.

Albin zaczął znów opowiadać swoją historię, jakby pogrążony w transie i nieświadom tego, kto go słucha. Wyrecytowanie raportu zajęło mu długą chwilę: jego głos

cichł wielokrotnie, a oczy uciekały mu do tyłu, gdy tracił na moment przytomność. Warro siłą zmuszał go do wzięcia się w garść. Niecierpliwość i narastające podniecenie odebrały mu jakąkolwiek wyrozumiałość dla stanu kapitana. Kiedy mężczyzna zakończył swój meldunek, Warro wyprostował się i odwrócił do Septymusa.

– Wspomina o statku piratów – oznajmił. – Powiedz mi, co się stało.

Centurion natychmiast zrelacjonował tok bitwy z poprzedniego dnia.

Warro kiwnął głową, przypominając sobie ciała ułożone na pokładzie.

– Czy tobie też złożył już ten meldunek o natarciu na Rzym? – upewnił się.

– Tak – odparł Septymus. – A także kapitanowi i jego zastępcy.

– I za każdym razem brzmiał on dokładnie tak samo?

– Tak jest – potwierdził centurion.

Warro nie miał już żadnych wątpliwości, czy opowieść ta nie jest aby majaczeniem spowodowanym poważnymi ranami mężczyzny. Wywołanej gorączką gadaniny nie dałoby się tak dokładnie powtórzyć.

– No dobrze – zakończył przesłuchanie Warro i wyszedł z kabiny bez słowa.

Witulus i inni legionieści zrobili mu miejsce na korytarzu i podążyli za nim z powrotem na górę. Warro zatrzymał się dopiero, wróciwszy na pokład *Tygrysa*.

– Natychmiast oddać cumę – rozkazał kapitanowi – i obrać kurs na Brolium.

Kapitan zasalutował i zagonił załogę do działania.

– Czy mam dać sygnał reszcie oddziału, żeby popłynął za nami? – zapytał Witulus.

– Nie, każ im czekać tutaj na stanowisku.

Witulus zasalutował i poszedł na pokład rufowy. Warro rzucił okiem na pozostałe okręty z oddziału. Na głównym pokładzie *Aquili* dostrzegł greckiego kapitana i wysokiego centuriona, zatopionych w rozmowie. Przyglądając się im uważnie, Warro doszedł do wniosku, że łączy ich coś więcej niż tylko zwykłe stosunki między kapitanem a marynarzem: najwyraźniej się przyjaźnili, a Warro był ciekaw, z jakiego powodu rzymski centurion chciałby mieć za przyjaciela człowieka takiego jak ten Grek. Jakakolwiek była przyczyna, zakonotował sobie spostrzeżenie o tej przyjaźni, wiedząc, że kiedy nadejdzie czas decyzji, lojalność względem przyjaciela zwycięży w centurionie z jego oddaniem Rzymowi.

Warro ponownie przeanalizował wiadomości dostarczone przez rzymskiego kapitana, które będzie musiał usłyszeć konsul i które Warro dostarczy mu osobiście, pilnując, aby to jego imię było kojarzone z odkryciem planu nieprzyjaciela. Uśmiechnął się triumfalnie. Jego ranga i honor znów znalazły się w zasięgu ręki.

Warro patrzył na okręt flagowy konsula z podziwem.

Była to jedna z dziesięciu kwinkwerem zakotwiczonych na północnym krańcu portu w Brolium. Ich potężne kadłuby przytłaczały jedyną triremę, którą dostrzegł między nimi, galerę używaną do przewożenia zapasów i ekwipunku między większymi statkami, co stanowiło bezlitosną zapowiedź losu, który z pewnością czekał przestarzałe mniejsze galery *classis Romana*.

Warro rozkazał kapitanowi, aby ustawił *Tygrysa* wzdłuż okrętu flagowego, po czym przesunął wzrokiem po pokładzie wyższego statku, chcąc się zorientować, czy konsul jest na pokładzie. Dostrzegł Regulusa niemal natychmiast: konsul stał wśród grupy dowódców ze sztabu, a jak zawsze czujna ochrona zajmowała pozycję na dziobie i rufie. Cięższa sylwetka konsula odróżniała go wyraźnie od szczuplejszych, młodszych trybunów, którzy mu towarzyszyli, i Warro poczuł, jak jego determinacja słabnie; wiedział, że gdy wejdzie na pokład, ci ludzie, którym niegdyś dorównywał rangą, obrzucą go lekceważącymi spojrzeniami.

Tygrys zatrzymał się o kilka metrów od okrętu, kiedy czekano na pozwolenie, aby mógł się zbliżyć. Warro czekał niecierpliwie na głównym pokładzie, aż trirema pokona resztę odległości do kwinkweremy, a kapitan rozkazał, aby wioślarze zaczęli pracować wiosłami w tył i całkowicie zatrzymali *Tygrysa*, chcąc uniknąć hańby, jaką byłoby przypadkowe uderzenie kadłubem o okręt flagowy. Z wyższego pokładu opuszczono trap, który Warro pokonał zwawym krokiem, zmierzając w stronę

grupy dowódców. Stali dookoła wielkiego stołu usłanego mapami, których rogi były przyciśnięte do blatu sztyletami i kielichami. Regulus brylował pośrodku grupki, a otaczający go trybunowie nachylali się nad stołem i robiąc inteligentne miny, przytakiwali rozważaniom konsula. Regulus dostrzegł nadchodzącego i zrobił pogardliwą minę. Warrona zdumiał ten jawny pokaz lekceważenia. Interwencja Scypiona przecież z pewnością zmieniła opinię Regulusa na jego temat?

– Warronie, nie jesteś na patrolu? – przywitał go konsul.

– Za twoim pozwoleniem, konsulu – powiedział Warro, wciąż usiłując zrozumieć jego zachowanie. – Mam ważne wieści i uznałem, że muszę dostarczyć ci je osobiście.

Kącik ust Regulusa uniósł się w krzywym uśmiešku.

– A zatem mów, dowódco oddziału – powiedział, a to, jak podkreślił nowy tytuł Warrona, wywołało uśmiechy u wielu trybunów.

– Byłoby chyba najlepiej, gdybyśmy porozmawiali na osobności – nalegał Warro. Miał nadzieję, że konsul pomówi z nim w cztery oczy, ponieważ wiedział, że bardziej osobisty kontakt zwiększy efekt jego słów.

– Jestem pewien – niecierpliwość Regulusa była wyczuwalna – że jakiegokolwiek przynosisz wieści, bez względu na to, jak ważne są w twoim odczuciu, możesz zdradzić je tutaj, w obecności moich dowódców.

Słowa konsula znów ociekały protekcjonalnością i

Warro z ledwością opanował narastający gniew.

– Bardzo dobrze, konsulu – powiedział spokojnie i zaczął powtarzać doniesienie Albina, na co trybunom zrzędyły miny, a ze spojrzenia Regulusa zniknął wyraz pogardy.

– I mówisz, że ta dowodzona przez Kartagińczyka piracka galera została przejęta i zniszczona – odezwał się Regulus cicho, zdając sobie sprawę z implikacji raportu.

– Tak jest, konsulu – odparł Warro. Wróciła mu już wcześniejsza pewność siebie. – Zgodnie z wydanymi przeze mnie rozkazami mój oddział czatował na piracką galerę w ciągu ostatniego tygodnia i wczoraj ją dopadliśmy. Kartagiński dowódca zginął podczas natarcia, a załoga podpaliła własną galerę, ale na szczęście udało nam się uratować rzymskiego kapitana.

– I powiedział, że Kartagińczyk miał bazę w Tyndaris? – zapytał Regulus.

– Tak jest, konsulu. – Warro kiwnął głową.

Regulus wykrzywił twarz z gniewu.

– Jeśli Hieron zdradził Rzym... – zaczął. Potem spojrzał prosto na Warrona i powiedział: – Natychmiast płyniemy do Tyndaris. Gdzie reszta twojego oddziału?

– Sześć godzin na wschód stąd, w Falkone. Zebrałem ich tam na wypadek, gdybyś ich potrzebował.

Regulus skinął głową.

– Dobrze się spisałeś, Warronie – powiedział szczerze. – Daj sygnał swojej galerze, aby płynęła za moim oddziałem. Zostaniesz na pokładzie *Victorii*,

żebyśmy mogli szerzej omówić ten raport.

Warro zasalutował z miną niewyrażającą niczego poza posłuszeństwem i odwrócił się, aby wydać swojej galerze rozkaz.

Regulus przyjrzał się rozłożonej przed nim mapie. Tyndaris leżało na północno-wschodnim krańcu Sycylii. Zagapił się na napis, przesuwając wzrokiem po literach składających się na nazwę portu, po czym zerknął ukradkiem na młodego człowieka, którego niegdyś chciał zniszczyć. Być może go nie docenił. Kiedy podejmował decyzję o zrujnowaniu mu kariery, uważał, że jest słuszna, a wstawiennictwo Scypiona jeszcze pogłębiło jego antypatię względem Warrona, ale teraz oczywista śmiałość i zdolności dowódcy pozwoliły mu odkryć kartagiński plan zaatakowania Rzymu. Warro wykazał się nawet skromnością: wspomniał, że to jego oddział schwytał piracką galerę, nie przypisując sobie żadnej zasługi.

Regulus znów spojrział na mapę, chwytając się stołu, kiedy galera drgnęła i zawróciła. Jeśli Kartagińczycy faktycznie planowali inwazję, a działania Warrona przyczyniły się do jej ujawnienia, honor nakazywałby przyznać, iż źle ocenił byłego trybuna.

– Galery na sterburcie!

Attyk obrzucił wzrokiem ciemne sylwetki nadpływające w szyku w stronę wioski.

– Zidentyfikuj je! – krzyknął w stronę Korina.

Lucjusz i Septymus stali czujnie obok niego na pokładzie rufowym i przenosili wzrok z obserwatora na odległe galery i z powrotem.

– Rzymskie! – odkrzyknął po chwili Korin.

Kapitan wypuścił powietrze, dopiero teraz zdając sobie sprawę, że spodziewał się najgorszego.

Warro nakazał oddziałowi pozostać na niemożliwej do obronienia pozycji; galery były wciśnięte w chroniącą je linię brzegową portu i nie miały miejsca na manewry konieczne do ucieczki, w razie gdyby zaatakowała jakaś większa siła. W ciągu ostatnich godzin Attyk cały czas wahał się, czy nie rozkazać *Aquili* wypłynąć dalej na morze, lecz Septymus wybił mu to z głowy, po części z powodu niewielkiego prawdopodobieństwa ataku wroga, ale głównie dlatego, że po powrocie Warro byłby zachwycony, widząc, iż *Aquila* nie znajduje się na swoim miejscu i rozmyślnie ignoruje jego komendy.

– Kwinkweremy – dodał Korin. – Co najmniej osiem albo dziesięć i mniejszy okręt na tyłach.

Attyk dostrzegł już rzymskie bandery. Płynąca na czele galera była nimi szczególnie bogato obwieszona, a na szczycie grotmasztu powiewał ogromny sztandar.

– To konsul – powiedział ze zdumieniem Septymus, wskazując galerę, której przyglądał się Attyk. – To jego sztandar.

Na ich oczach flota zmieniła kurs na równoległy do brzegu. Attyk nigdy wcześniej nie widział dziesięciu kwinkwerem płynących w szyku i widok ten go zadziwił.

Uśmiechnął się pod nosem. Lucjusz nazwał te statki tłustymi maciorami; Attyk obejrzał się przez ramię, próbując złapać jego spojrzenie. Kwinkweremom było daleko do macior i kapitan zdawał sobie sprawę, że właśnie przepływa przed nim przyszłość *classis Romana*, że to jej triumfalny marsz przed flotą przyglądających się trirem.

– Sygnał od galery na tyłach! – wrzasnął Korin. – To *Tygrys*.

– *Tygrys* płynie w formacji z okrętem flagowym konsula? Warro musiał popłynąć do Brolium z raportem Albina – stwierdził Attyk.

– Co oznacza... – powiedział Septymus, czekając, aż Korin zawiadomi ich o reszcie sygnału, choć wiedział, czego się spodziewać.

– Oddział ma podążać za nimi w formacji bojowej! – krzyknął obserwator. – Płyniemy do Tyndaris!

Attyk kiwnął głową i wyminął Lucjusza, który zaczął wydawać załodze *Aquili* konieczne rozkazy. Jego krzyki powtórzono na pozostałych galerach z oddziału i okręty ruszyły w drogę, zanim przepłynęła przed nimi ostatnia kwinkwerema.

Attyk zerknął na główny pokład i czwarte ciało leżące bezwładnie przy trzech pozostałych. Ponieważ *Aquila* płynęła na bitwę, przepadła szansa na pogrzebanie tych ludzi na lądzie i choć dla legionistów wyrzucenie dwóch ich towarzyszy za burtę będzie niemal świętokradztwem, Attyk wiedział, że jego załogant i Albin odnajdą spokój

pod falami.

Sylwetki kwinkwerem zmieniały kształt z każdym pociągnięciem wiosł, podczas gdy *Aquila* zbliżała się już do swojej pozycji. Przed świtem okręty znajdą się w pobliżu Tyndaris i dopiero wtedy okaże się, czy wiadomości dostarczone im przez Albina były zgodne z prawdą. Attyk raz jeszcze spojrzął na przykryte całunem zwłoki rzymskiego kapitana. Mógł tylko mieć nadzieję, że Albin miał rację i że straszliwe męki, których doświadczył, nie pójdą na marne. Jego ciało zostanie wraz z pozostałymi wyrzucone za burtę, ale ciemne plamy ich krwi pozostaną na pokładzie i rozpalą ogień w sercach załogantów Attyka. Jeśli Kartagińczycy faktycznie przejęli kontrolę nad Tyndaris, ludzie z *Aquili* nie pozwolą żadnemu uniknąć ich gniewu.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Nawet z pokładu rufowego *Alissar* Hamilkar widział, że coś jest nie w porządku. Galera patrolowa wracała zbyt wcześnie – godzinę po świcie zamiast w południe – i płynęła co najmniej prędkością bojową, wynoszącą siedem węzłów.

– Załoga, przygotować się do odpłynięcia! – krzyknął, a jego rozkaz przekazano na galery otaczające *Alissar* w środkowym porcie w Tyndaris. Rytm bębna wyznaczający prędkość standardową wdarł się w spokój wczesnego poranka, a gdy zaczęła go powtarzać reszta floty, wszystkie te dźwięki stopiły się w staccato, które niosło ponaglenie niespodziewanego rozkazu Hamilkara.

Barkas pokierował *Alissar*, tak aby spotkała się z nadciągającą galerą, a serce waliło mu w piersi, gdy umysł podsuwał kolejne możliwe wyjaśnienia dla przedwczesnego powrotu patrolu. Belus był już spóźniony o dwa dni; Hamilkar nie potrafił opędzić się od tej myśli. Dwa dni wcześniej nad Tyndaris przetoczył się sztorm, przynosząc ze sobą ulewny deszcz i silny wiatr od morza. W obrębie portu spowodował tylko łopotanie bander, ale na morzu zmusiłby Belusa do płynięcia blisko wybrzeża, co znacznie wydłużyłoby jego podróż, choć nawet w tym wypadku jego przyjaciel powinien był wrócić już do domu.

Zbliżając się do *Alissar*, galera patrolowa zwolniła do

prędkości sterownej, a kwinkwerema zrobiła to samo, aby obie jednostki mogły przepłynąć wzdłuż siebie. Hamilkar podszedł do relingu, szukając wzrokiem kapitana na pokładzie odpływającej jednostki. Dostrzegł go na rufie, a jego wzburzenie dało się wyczuć nawet z odległości pięćdziesięciu kroków. Już po chwili galery zrównały się ze sobą i Hamilkar z narastającym lękiem patrzył, jak kapitan biegnie po pokładzie i staje naprzeciwko niego. Dzieliło ich jakieś dziesięć kroków.

– Nadciągają statki wroga! – krzyknął kapitan, wskazując za siebie, na otwarte morze poza ujściem portu.

W Hamilkarze wezbrała nagle furia, kiedy wyczuł jego nieskrywany strach.

– Ile? – ryknął, a furia przemieszała się w nim z głębszym gniewem, że jego planowi, tak bliskiemu realizacji, grozi zdemaskowanie.

– Prawie dwadzieścia! – krzyknął kapitan. – Przynajmniej połowa z nich to kwinkweremy.

– Na Anat... – wyszeptał Hamilkar. Zerknął na galery ustawione po obu burtach jego własnej: było ich trzynaście, a wszystkie poza *Alissar* były triremami. Wróg miał absolutną przewagę. – Prędkość bojowa! – wrzasnął.

Jego zszokowana wiadomościami załoga zamarła na kilka cennych chwil.

Barkas dobył miecza, a charakterystyczny odgłos klingi wysuwającej się z pochwy wyrwał z osłupienia stojących dookoła niego ludzi, którzy pobiegli na swoje stanowiska. Rozkaz przekazano na pokład dla

niewolników. *Alissar* znów ożyła, ale tym razem w gorączkowym tempie, które wraz z każdym pociągnięciem wiosła wpychało jej taran głęboko pod powierzchnię fal. Rzymian nie było jeszcze widać, ale Hamilkar potrafił zobaczyć oczami duszy nadciągające kadłuby ich okrętów i pokłady tłoczne od uzbrojonych żołnierzy floty. Ten obraz przepelnił jego serce determinacją.

– Szyk bojowy! – wrzasnął i tym razem jego komendę powtórzono bez wahania.

Duch dowódcy wzbudził w każdym człowieku na pokładzie *Alissar* żądze bitwy, którą mógł zaspokoić jedynie rozlew rzymskiej krwi.

– Przed nami galery wroga!

Warro spojrział na ujście portu w Tyndaris, z którego z prędkością bojową wypływała kartagińska flota. Stłumił radość, którą wzbudziło w nim to potwierdzenie raportu Albina, i zachował hardą, obojętną minę.

– Wygląda na to, że twój rzymski kapitan miał rację, Warronie – skomentował stojący obok niego Regulus.

Warro odwrócił się w jego stronę i potwierdził te słowa zwykłym skinieniem głową. W milczeniu rozkoszował się niewypowiedzianą aprobatą konsula.

– Niech kapitan przyspieszy do prędkości bojowej – rozkazał Regulus, a Warro ponownie skinął głową i poszedł w stronę kapitana zajmującego pozycję przy rumplu.

– Trzynaście galer! – krzyknął obserwator na

szczyt masztu. – Kwinkwerema w awangardzie, reszta wygląda na triremy.

Wiadomość ta dotarła do Warrona, kiedy przekazywał kapitanowi rozkaz konsula. Jeśli był to cały szereg obronny Kartagińczyków, rzymska flota miała sporą przewagę. Warro wrócił do Regulusa i znów stanął u jego boku; zezwolono mu na zajęcie tej uprzywilejowanej pozycji, w odróżnieniu od innych trybunów ze sztabu Regulusa. Widząc, że wróg faktycznie kontroluje Tyndaris, Warro postanowił, że miejsce to pozostanie jego. Nabierał coraz większej pewności siebie i uznał, że zwycięstwo jest w zasięgu ręki; uśmiechnął się na myśl, jak był niegdyś niedoświadczony, jak Kartagińczycy i ludzie, którzy mieli być pod jego komendą, przechytrzyli go pod Terme. W nieuchronnej potyczce Warro miał zamiar odwzajemnić się Kartagińczykom za tamtą potwarz. Odwagi dodawał mu widok formacji rozmieszczonej za *Victorią*. Rzymskie okręty były większe i było ich niemal dwa razy więcej niż jednostek wroga. Tym razem nie czekała go żadna zasadzka, żadne ukryte siły nie pokonają rzymskiej floty, a prowadząc konsula do Tyndaris, Warro zapewnił sobie to, że jego imię będzie kojarzone ze zwycięstwem.

Aquila zajmowała pozycję na flance od sterburty i poruszała się prędkością nieco większą niż jej zwykła prędkość bojowa, aby utrzymać tempo narzucane przez kwinkweremy znajdujące się pośrodku rzymskiego szyku. Attyk wlepił wzrok w nadciągającego wroga, teraz

odległego już tylko o niecałą milę. Samotna kwinkwerema z sześcioma triremami na każdej flance wyglądała dość rozpaczliwie, biorąc pod uwagę większą liczebność rzymskich sił. Attyk wyczuł, że pokład przechyla się nieco pod jego stopami, ale nie spuszczał oczu z wroga, ufając, że wszelkie zmiany wprowadzane przez Gajusza w kursie *Aquili* mają na celu utrzymanie jej w szyku.

– Jest jakaś szansa, że tym razem zostaniesz na pokładzie rufowym? – usłyszał Attyk i odwrócił się. Za nim stał Septymus. Rzucił centurionowi zdziwione spojrzenie, nie pojmując aluzji.

– Ta twoja rana – wyjaśnił przyjaciel z lekkim uśmiechem na twarzy, ale powagą w głosie, i wskazał na klatkę piersiową Attyka. – Nie chcę, żebyś wylał więcej krwi na pokład okrętu wroga.

Attyk uśmiechnął się, zdumiony prośbą Septymusa, która brzmiała prawie jak rozkaz. Kusiło go, żeby zwrócić uwagę, dlaczego przy ostatniej okazji w ogóle znalazł się na pokładzie nieprzyjaciela.

– Wątpię, żebyś tym razem nawet ty miał szansę – odpowiedział, wskazując głową środek rzymskiego szyku. – Całego natarcia dokonają te kwiny.

– Chyba że jedna czy dwie spróbują się przebić przez naszą formację? – zauważył Septymus.

– Nasze kwinkweremy bez trudności dopadną każdą triremę – odparł Attyk, ale ta perspektywa zaszczepiła w nim pewną myśl, więc odwrócił się, żeby omówić tę sprawę z Gajuszem. Jeśli któraś z trirem faktycznie

spróbuje się przebić, chciał, aby *Aquila* była gotowa.

– Prędkość ofensywna! – ryknął Hamilkar, a jego głos słychać było wyraźnie na dwóch triremach płynących tuż obok jego statku. Natychmiast przyspieszyły, a komendę powtórzono na całej długości szyku z szybkością wykształconą dzięki doświadczeniu i dyscyplinie obowiązującej we flocie.

Od statków wroga dzieliło ich mniej niż czterysta kroków i Hamilkar wprawnym okiem zaczął analizować szczegóły. Kwinkweremy wyglądały prawie tak jak *Alissar* – bez wątpienia były kopiami *Melkarta* przechwyconego pod Myle – z jedną rażącą różnicą: pokład dziobowy każdej z nich szpeciła przekłeta rampa do abordażu, za którą czyhały niewidoczne szeregi rzymskich legionistów.

Na ten widok Hamilkar się otrząsnął i zdał sobie sprawę, że jego rozkaz, aby flota wpłynęła prosto w bitwę, był podyktowany frustracją. W Kartaginie flota miała niemal pełną liczebność, a on zamierzał wysłać ją do Tyndaris za niecały tydzień, aby założyła magazyn oraz bazę wypadową, których jego plan inwazji tak bardzo potrzebował, i czekała na piechotę. Oddziały piechoty właśnie walczyły na wschodzie, a Hamilkar mógł włączyć je do inwazji, dopiero gdy Hieron przejdzie na ich stronę i ubezpieczy flankę Barkasa.

Teraz Rzymianie byli o krok od zdemaskowania i udaremnienia przygotowań poczynionych w Tyndaris, a

także pokrzyżowania planu Hamilkara w chwili jego realizacji. Znów poczuł tę samą zajadłość, która wyła w nim, aby za wszelką cenę wbił taran swojej galery w ciała wrogów, aby tak jak pod Terme umoczył miecz w rzymskiej krwi i zginął honorowo w obronie swojego miasta. I tym razem się opamiętał, gdy pomyślał o Kartaginie. Jeśli tego dnia mu się nie powiedzie, miasto będzie na łasce Hannona, człowieka, który byłby gotów bez wahania porzucić dwieście lat osadnictwa na Sycylii.

Był jeszcze czas. Hamilkar wciąż mógł kazać swoim statkom się rozproszyć i uciec przed Rzymianami. Ci rzuciliby się w pogoń, ale przy trzynastu celach odpływających w różnych kierunkach zamęt byłby na tyle duży, że przynajmniej połowa mogłaby uciec. Jeśli dadzą się wciągnąć w bitwę, wszystkie okręty, łącznie z *Alissar*, będą zgubione. Kiedy wskutek zmniejszającej się odległości rzymskie okrzyki bojowe było słychać wyraźniej, Hamilkar uświadomił sobie, że musi dokonać niehonorowego wyboru, którego mógł się podjąć tylko honorowy dowódca.

Podszedł powoli do sternika.

– Rozkaż triremom na bakburcie i sterburcie zbliżyć się do *Alissar* – polecił.

Natychmiast nadano sygnał, a galery dokonały drobnych korekt kursu. Hamilkar kiwnął głową, kiedy manewr zakończono. Komenda ta bez wątpienia zdumiała kapitanów trirem – przy prędkości ofensywnej taka zmiana kursu była ryzykowna – ale wypełnili ją tak czy

owak, ślepo lojalni. Przez to tym trudniej było Hamilkarowi pogodzić się ze swoją decyzją i choć wiedział, że jest słuszna, nie potrafił powstrzymać gorzkiej żółci hańby, której smak czuł w gardle.

Warro ryczał wraz z resztą załogi, kiedy *Victoria* przyspieszyła do prędkości ofensywnej. W porównaniu z triemą była molochem i Warro czuł się niepokonany, dzieląc pokład ze starszym konsulem, z setką żołnierzy floty ustawionych w zwarte szeregi za krukiem, z doboszem wybijającym rytm sześćdziesiąt razy na minutę. Galery wroga znajdowały się sto kroków od nich, a ich pokłady też szczelnie wypełniały grupy wojowników, najeżone niezliczonymi grotami włóczni i tarczami.

Pozostałe kwinkweremy po obu burtach utrzymywały równe tempo. Ich kadłuby unosiły się i opadały w rytm pociągnięcia wiosłami, a tarany przebijały grzywacze, wzbijając drobną mgiełkę, która opadała na pokłady. Warro widział, że płynące na flankach triemy zostają z tyłu, ponieważ nie były w stanie dorównać wyczerpującej prędkości narzucanej przez kwinkweremy napędzane siłą dwustu siedemdziesięciu wioślarzy.

Znów spojrzał przed siebie. Osiemdziesiąt kroków. Widział pojedyncze twarze Kartagińczyków; wykrzykiwali wyzwania, które porywał wiatr. Pięćdziesiąt kroków. Od strony kartagińskich galer nadleciała chmara strzał. Powietrze przeszyły okrzyki bólu i gniewu. Centurion wykrzyknął rozkaz i z głównego pokładu

poleciał w powietrze rój włóczni, które uderzyły o stłoczone kartagińskie zastępy niczym siejący zniszczenie grad. Trzydzieści kroków. Warro zapał się nogami, przygotowując się na zderzenie, i chwycił mocno rękojeść miecza, zewsząd otoczony potęgą Rzymu.

– Teraz! – ryknął Hamilkar. – Cała stop! Pełny zwrot!

Alissar błyskawicznie wyłamała się z szyku i zaczęła wytracać szybkość, aż pędzące galery po obu stronach ją wyprzedziły i sternik pchnął ster na burtę. Kartagińska galera odwróciła się rufą do linii ataku, po czym padł rozkaz do nabrania prędkości bojowej.

Hamilkar utkwiał wzrok w oddalonym o niecałe trzydzieści kroków szyku wroga, widocznym przez wąską szczelinę, którą zostawiła w formacji *Alissar*, żadna z kwinkwerem nie mogłaby jej przebyć z prędkością ofensywną, ponieważ uderzyłaby o wiosła trirem, które przed momentem znajdowały się na flankach *Alissar*, i zarazem roztrzaskałaby własne.

Chwilę później powietrze rozdarł trzask udreńczonych belek i pękającego drewna – dwie siły zderzyły się. Mgnienie oka po tej kakofonii rozległ się mniej ogłuszający odgłos tuzina opadających rzymskich ramp abordażowych, które złapały wszystkie kartagińskie triremy w śmiertelny uścisk. Pełne gniewu i nienawiści okrzyki bojowe dosięgły *Alissar*, gdy odwróciła się o sto osiemdziesiąt stopni, zostawiając za sobą wrzawę bitewną. Hamilkar odwrócił się i wlepił wzrok prosto

przed siebie, w puste morze. Na końcu języka miał rozkaz, aby wrócić do potyczki: jego instynkt wojownika ryczał w nim, aby dołączył w tej rozpaczliwej walce do swoich skazanych na klęskę krajan. Przełknął jednak te słowa, a one pozostawiły ohydny smak w jego gardle. Poświęcił tuzin statków i uciekł nie po to, aby ocalić własne życie, ale żeby ochronić Kartaginę przed podłymi ludźmi. Jako dowódca nie miał wyboru: musiał wydać taką komendę. Jako wojownik czuł, że zbezczęściła ona samą jego duszę.

– Trzy rumby na bakburtę! – krzyknął stojący na rufie Attyk. – Opłynąć ich flankę!

Gajusz zareagował natychmiast, a *Aquila* utrzymała prędkość ofensywną, choć pozostałe triremy na prawej flance zwolniły i pozostały na pozycjach; bitwa, która toczyła się pośrodku, była ewidentnie nierówna i z pewnością nie mogła potrwać długo.

Wzrok Attyka przyciągnęło chaotyczne zderzenie dwóch szyków, ale kiedy *Aquila* minęła południowy kraniec szyku, na otwartych wodach pojawiło się coś, co zwróciło uwagę wszystkich obecnych na pokładzie.

– Galera wroga na wschodzie! – krzyknął Korin.

– Kwinkwerema – mruknął Attyk. Galerę było widać wyraźnie; znajdowała się o pół mili od nich.

Podszedł do niego Septymus.

– Co o niej sądzisz? – zapytał.

– Bez wątplenia statek dowództwa... płynie środkiem

szyku i to jedyna kwinkwerema.

– Dlaczego więc ucieka? – chciał wiedzieć centurion.

Attyk milczał przez chwilę, a potem nagle odwrócił się do Septymusa.

– Musimy ją dopaść – powiedział i zwrócił się do sternika: – Gajuszu, kurs zbieżny. Lucjusz!

Zastępca kapitana biegiem przeciął pokład rufowy.

– Rozkazy na niższy pokład. Utrzymać prędkość bojową. Uruchomić rezerwowych wioślarzy.

Lucjusz kiwnął głową i zniknął.

– Chcesz zaatakować kwinkweremę? – zapytał ze sceptycyzmem Septymus.

– Dlaczego ucieka? – odpowiedział pytaniem Attyk, zerkając to na niego, to na galerę wroga płynącą wprost przed nimi, a potem na kurs *Aquili*. – Jeden rumb na sterburtę! – krzyknął i odwrócił się znów do Septymusa.

– Ponieważ czeka ją pewna przegrana – odpowiedział centurion.

– W takim razie po co w ogóle zaangażowała się w bitwę?

Septymus zastanawiał się chwilę. Kartagińska kwinkwerema zachowywała się przedziwnie. Mogła zawrócić o wiele wcześniej, co więcej – cały kartagiński szyk mógł to zrobić; a jednak kwinkwerema powiodła go do bitwy tylko po to, żeby uciec, kiedy wszystkie inne punickie galery były już zaangażowane w potyczkę.

– Stchórzyli? – zaryzykował bez przekonania Septymus.

Attyk pytająco uniósł brwi.

– Wielu znalazł kartagińskich tchórzy?

Septymus pokręcił powoli głową. W końcu zrozumiał.

– Na bogów, Attyku, ktokolwiek dowodzi tą galera, poświęcił pozostałe okręty, żeby samemu uciec.

– Co oznacza, że to ktoś ważny – odpowiedział kapitan, kiwając głową.

Kwinkwerema znajdowała się niecałe czterysta kroków od *Aquili* oraz pół mili od szyku bojowego i wyglądało na to, że nikt inny jej nie goni.

– Mamy tylko trzydziestu ludzi zdolnych do walki, więc możemy najwyżej zająć pokład rufowy i utrzymać go, dopóki nie przybędą posiłki. Na pewno nie uda nam się objąć walką całego okrętu.

Attyk znów skinął głową. Domyślał się tego.

– Zaatakujemy więc ponad relingiem na rufie – powiedział, wiedząc, że szanse na zatrzymanie kwinkweremy są boleśnie znikome. – Może się nam poszczęści i unieruchomimy jej ster – dodał. Zdawał sobie sprawę, że jest to wyłącznie w rękach Fortuny.

Kartagińska galera znajdowała się teraz niecałe trzysta kroków przed nimi, *Aquila* zaś zbliżała się do niej od rufy po sterburcie, kursem, który oznaczał, że już za chwilę znajdzie się w kilwaterze kwinkweremy. Attyk ponownie zwrócił wzrok w stronę bitwy. Żaden z rzymskich pięciorzędowców nie przebił się jeszcze przez szyk. *Aquila* była sama.

– Rzymska galera wciąż na kursie zbieżnym!

Hamilkar co chwila spoglądał ponad relingiem na rufie. Trirema wroga znajdowała się już dokładnie za *Alissar*, w odległości dwustu kroków.

– Czy mam przyspieszyć? – usłyszał za sobą głos kapitana.

– Nie – odpowiedział. – Utrzymać prędkość bojową. Rozkaż łucznikom przejść na pokład rufowy i sprowadź tu pięćdziesięciu ludzi.

Hamilkara kusiło, żeby zwiększyć prędkość, ale wioślarze utrzymaliby szybsze tempo tylko przez kwadrans. Potem ich siły się wyczerpią, a *Alissar* utknie nieruchomo na wodzie. Ponieważ szyk bojowy znajdował się tylko milę za nią, jakaś rzymska kwinkwerema wciąż miałaby czas się wyplątać i zacząć ją gonić, a byłby to znacznie groźniejszy przeciwnik niż zwykła trirema, której taran nie na wiele by się zdał w starciu z *Alissar* – nie dość, że była solidniej zbudowana, to jeszcze oddalała się od bitwy z prędkością ośmiu węzłów. To oznaczało, że taran uderzyłby ją z rozpędem nie większym niż pięć czy sześć węzłów, zbyt małym, żeby choć zadrapać jej kadłub. Jedynym narażonym na atak punktem na rufie i jedyną troską Hamilkara był ster, ale ponieważ rozpościerało się przed nimi otwarte morze, pozbawiona steru *Alissar* mogłaby płynąć po prostym kursie wystarczająco długo, aby oddalić się od niebezpieczeństwa.

Wyglądało więc na to, że należy utrzymać prędkość bojową i pozwolić Rzymianom się zbliżyć. Potem jednak – poprzysiągł sobie Barkas – impertynencka trirema odczuje furię Kartagińczyków, a on i jego załoga będą mogli choć trochę zaspokoić żądzę walki, którą wcześniej musieli powstrzymać.

– Pięćdziesiąt kroków! – krzyknął Korin.

– Tarcze w górę – rozkazał Septymus. – Przygotować się na pociski.

Chwilę później w cel trafiły pierwsze strzały. Wiele nadleciało po płaskiej trajektorii i wbiło się głęboko w podniszczone belki *Aquili*, a inne posłano wysokimi lukami, aby opadły niczym śmiernonośny deszcz na podniesione tarcze trzydziestu ludzi Septymusa ustawionych za krukiem. Rozległo się kilka okrzyków bólu; do Septymusa – który gapił się ponuro przed siebie przez szczelinę w ścianie tarcz i szacował dystans między zbliżającymi się do siebie galerami: teraz czterdzieści kroków, teraz trzydzieści – dotarło, że jeden ze stojących za nim ludzi padł.

– *Pila!* – krzyknął i legionieści jak jeden mąż wyłonili się spod swojej osłony, gotowi wykonać rzut dwuipółmetrowymi włóczniami. Kartagińskie strzały zaczęły nadlatywać gęściej i powaliły kolejnego legionistę, a potem jeszcze jednego; ich odsłonięte szeregi stanowiły łatwy cel. Septymus trwał stanowczo na pozycji, powstrzymując chęć rzucenia oszczepem i

podniesienia tarczy. Śledził wzrokiem ruch pokładu *Aquili* i czekał na idealny moment.

– Już! – wrzasnął, a legioniści ryknęli mściwie i dziko, wyrzucając włócznie w powietrze. *Pila* przez moment wyglądały tak, jakby zawisły w powietrzu, utknęły nad wodą tuż za pokładem rufowym Kartagińczyków, po czym wbiły się w ich zwarte szeregi. Krzyki bólu i agonii dotarły na pokład dziobowy *Aquili*, gdy włócznie dokonały brutalnej rzezi. Siła ich śmiercionośnego uderzenia przygwoździła niektórych wojowników do pokładu.

Attyk przyglądał się początkowi starcia obojętnie, całkowicie skoncentrowany na pokładzie rufowym punickiej galery, a podniesioną ręką dawał ledwo widoczne sygnały, które kierowały dłonią Gajusza na rumplu. Wszędzie dookoła niego i na głównym pokładzie załoga *Aquili* pracowała niewzruszenie wśród padających przypadkowo strzał, a nad galerą unosiła się dłoń Plutona, który powalał na pokład nieszczęśników. Za każdym razem, kiedy ktoś padał, Lucjusz wykrzykiwał rozkaz, aby ofiarę zabrano pod pokład.

– Dziesięć kroków – powiedział na głos Gajusz, w duchu po raz kolejny przeklinając kruka za to, że zasłania mu widok na ster okrętu wroga. – Mamy ją.

Attyk kiwnął głową, ale milczał, zaniepokojony myślą o ciężkiej walce, która czekała Septymusa i jego ludzi. Chwilę wcześniej, przy odległości stu kroków, Attyk czuł, że Kartagińczyk może jeszcze uciec, ale

odrzuć tę myśl, niemal zanim jasno ją sformułował, i zaufał swojemu wcześniejszemu wnioskowi, że Punijczycy spróbują odeprzeć atak mniejszego statku, zamiast uciekać. To oznaczało, że Septymus będzie musiał stoczyć desperacką walkę, która zelżeje, dopiero gdy przybędą posiłki.

– Spokojnie, Gajuszu – powiedział Attyk niemal do siebie, a słowa te pozwoliły mu ponownie skoncentrować się na ataku, linii tarana *Aquili* i steru nieprzyjaciela. – Spokojnie.

– Teraz! – wrzasnął Hamilkar, a pokład niemal stanął dęba pod jego stopami, kiedy sternik pchnął rumpel mocno na burtę na mgnienie oka przed tym, jak rzymska galera trzasnęła o rufę *Alissar*. Ten manewr usunął ster z drogi tępo zakończonego tarana. Hamilkar poczuł uderzenie o kadłub przez stopy, ale i tak uśmiechnął się okrutnie, ponieważ wiedział, że cios ten nie poczynił dużych zniszczeń, i wydał prowokujący okrzyk bojowy, który podchwycili jego ludzie, ustawieni na pokładzie rufowym w obronną formację, przygotowaną na nadciągającą nawałnicę.

Ponad wąską szczeliną oddzielającą galery przeleciała chmara haków. Ludzie w przednim szeregu nie zwrócili na nie uwagi, wlepiając wzrok w potężny rzymski pomost abordażowy, górujący nad pokładem dziobowym niewielkiego okrętu wroga. Ponad wrzawą bitewną dał się słyszeć rzymski rozkaz i chwilę później

pomost zaczął opadać, na początku powoli, jakby powstrzymywała go jakaś wielka ręka, ale potem coraz szybciej. Ciężar prawie jedenastometrowej struktury nadał jej niepowstrzymany rozpęd, a pierwszy szereg zachwiał się, kiedy metrowe szpikulce wbiły się w pokład.

Hamilkar wydał rozkaz do ataku, patrząc, jak potężny centurion gna pomostem; różnica wysokości między pokładami galer niezbyt spowolniła natarcie rzymskich legionistów. Kartagińczycy rzucili się do kruka i dwie siły zderzyły się przy jego końcu, a centurion wraz z kolejnymi legionistami wdarli się w punicki szyk, używając potężnych tarcz, aby stworzyć przyczółek na pokładzie rufowym *Alissar*. Hamilkar stał nieruchomo, gdy jego załoga wymijała go biegiem, i spokojnym wzrokiem ogarniał rzymski atak, genialną prostotę pomostu abordażowego i dziką odwagę legionistów. Cofnął się, zerkając szybko przez ramię w poszukiwaniu kapitana, i dostrzegł go natychmiast na przedzie pokładu rufowego; wpatrywał się w niego. Kartagiński dowódca uśmiechnął się ponownie i znów odwrócił w stronę potyczki szalejącej ledwie kilka kroków od niego. Na punickim pokładzie było już dwunastu Rzymian, już piętnastu – ich przyczółek powiększał się z każdą chwilą, a kartagińska obrona sprowadzała się do zajadłego, lecz daremnego ataku na nacierającą nieustępliwie ścianę rzymskich tarcz. Teraz nie mogli się już wyplątać. Hamilkar się odwrócił. Kapitan dalej wlepiął w niego wzrok. Barkas wykrzyczał rozkaz i choć zdawał sobie

sprawę, że bitewny hałas i tak go zagłuszy, wiedział, że kapitan czeka na tę jedną komendę. Barkas miał ochotę na całe gardło wywrzeszczyć wyrok śmierci na rzymskich legionistów.

– Prędkość ofensywna!

Coś szarpnęło *Aquilą* do przodu, a Attyk upadł na pokład i odruchowo od razu zerknął na reling na rufie, spodziewając się, że zobaczy, iż jednostka wroga wbiła się w jego statek.

– Na bogów! – rozległ się okrzyk Gajusza. Attyk spojrzał na sternika, który zbladł jak chusta i stał oniemiały. – Wysunęli wiosła!

Attyk ledwie pojął słowa Gajusza; okręcił się na pięcie i spojrzał na kwinkweremę, zapominając o potyczce szalejącej na jej pokładzie rufowym i wlepiając wzrok w jej wiosła.

Aquila znów drgnęła w przód, tym razem nabierając prędkości: początkowy bezwład siedemdziesięcotonowego kadłuba ustąpił i po chwili galera zaczęła przyspieszać, choć jej wiosła wciąż były podniesione.

– Lucjuszu! – ryknął Attyk, pędząc do przodu, na główny pokład. – Prędkość ofensywna, natychmiast!

Kątem oka zobaczył, że jego zastępca biegnie do luku prowadzącego na pokład dla niewolników i wykrzykuje rozkaz. Attyk zlekceważył swoje obawy, że wiosła *Aquili* nie uderzą o wodę jednocześnie. Rozpoczynanie ruchów

wioseł na ruszającym się okręcie było trudnym manewrem. Gdyby choć jedno wiosło poruszyło się nie w porę, zahaczyłoby o inne, co doprowadziłoby do zmiany kursu galery, ale nie było innego *wyjścia*. *Aquila* musiała nabrać prędkości własnymi siłami.

Attyk zbierał ludzi, biegnąc w stronę kruka, a załoga natychmiast dobyła mieczy, gotowa podążyć za swoim kapitanem w wir potyczki. Rozmieszczył ludzi przy podstawie rampy, aby mogli bronić *Aquili*, gdyby Kartagińczycy przypuścili kontratak. Żołnierze ryknęli w odpowiedzi na jego komendę, ale ten okrzyk urwał się, kiedy pokład znów zadrżał pod ich stopami i Attyk po raz pierwszy usłyszał trzeszczenie nadwerężonego drewna. Zerknął na żerdź podtrzymującą kruka i prawie mógł zobaczyć, jak drzewce wyginają się pod naporem siły koniecznej do utrzymania połączenia między dwiema galerami. *Aquila* wierzgnęła i zadrżała ponownie, a jedna z grubych lin konopnych przywiązanych do haków pękła z głośnym trzaskiem i urwany fragment wystrzelił do tyłu, uderzając o tarczę jednego z załogantów tak mocno, że żołnierz przewrócił się na pokład.

– Słodka, łaskawa... – szepnął Attyk i patrząc na legionistów, poczuł, że po plecach przebiega mu zimny dreszcz paniki.

Dwie galery rozdzielały się: różnica napędzających je sił była zbyt wielka, a odmienne ruchy i rytmy wiosła powodowały nierówne przyspieszenie, choć prędkości jednostek były równe. *Corvus* był dość silny, aby unieść

ludzi idących na bitwę, a nawet aby utrzymać triremę nieruchomo na wodzie, ale nie zaprojektowano go po to, aby wyhamował galerę ważącą ponad sto ton i poruszającą się z prędkością dwunastu węzłów. Wstrząśnięty do głębi Attyk zdał sobie sprawę, że rampa zawiedzie, a kiedy to się stanie, wszyscy Rzymianie, którzy zostaną na kartagińskiej galerze, zostaną bezlitośnie wymordowani.

– Utrzymać szyk! – rozkazał Septymus, a jego ludzie przyjęli rozkaz rykiem, który łączył okrzyk wojenny ze zdecydowanym postanowieniem, że nie cofną się ani o krok. Centurion ponownie zaparł się ramieniem o tył swojej tarczy, nachylając ciało w stronę napierającego wroga, a jego miecz wysuwał się przez szczelinę i wracał pokryty świeżą krwią. Pokład pod jego stopami już był zabarwiony na czerwono i Septymus nie ślizgał się po nim tylko dzięki ćwiekom na podszewkach sandałów. Dookoła panował ogłuszający hałas: krzyki bólu i gniewu, wyzwolonej furii i śmierci, niemal gorączkowej nienawiści mężczyzn, którzy wymierzali sobie ciosy mieczami i tarczami. Centurion usłyszał, że po lewej Druzus nakazuje żołnierzom nie ustępować, i kiwnął głową, pewny, że jego *optio* nie pozwoli szykowi się załamać.

Kartagińczyk stojący naprzeciwko niego padł i Septymus mógł odetchnąć w pozycji gotowej do następnego natarcia. Jego umysł przywołał zapomnianą

myśl, wspomnienie sprzed kilku chwil, że pokład poruszył się nagle pod nim; to wrażenie dotarło do niego, ale zignorował je w pierwszych desperackich chwilach ataku. Teraz znów poczuł, jakby kwinkwerema sunęła po wodzie, a nie była utrzymywana w miejscu przez *Aquilę*. Kusiło go, żeby spojrzeć w bok i potwierdzić swoje podejrzenie, ale tego nie zrobił: instynkt wojownika nakazywał mu się nie rozpraszać i jakby na potwierdzenie tego topór rąbnął o jego tarczę, aż uderzyła go w ramię. Zareagował odruchowo i zadał cios mieczem, cofając tarczę, a jego klinga uderzyła o żelazo: Kartagińczyk odparował cios. Centurion wycofał miecz i ciął raz jeszcze, wciąż trzymając tarczę wysoko, tak jak reszta nieustępliwego szyku, i nie przerywając natarcia.

– Baro! – krzyknął Attyk, po raz pierwszy dobywając miecza. – Powiedz Lucjuszowi, że rozkazuję prędkość do taranowania!

Baro odbiegł, a tymczasem pękła kolejna lina przywiązana do haka.

– Ty i ty – wskazał Attyk, a dwaj załoganci podeszli bliżej. – Idźcie na rufę i przynieście więcej haków i lin! Reszta, zostać na stanowiskach.

Kapitan odwrócił się i wbiegł na kruka, przesuając wzrokiem po plecach rzymskich legionistów; natychmiast dostrzegł Septymusa, który stał pośrodku. Rampa zatrzęsa się nagle pod nim i Attyk padł na kolana, instynktownie wyciągając wolną rękę, żeby złagodzić

upadek. Zaklął głośno i podparł się na rękę, żeby się podnieść, ale od razu ją cofnął: deski poruszyły się pod jego dłonią, a Attyka ogarnęło przerażenie. *Corvus* nie wytrzyma już długo.

Greki znów ruszył biegiem i w mgnieniu oka dotarł na kartagiński pokład rufowy. Zeskoczył z kruka i od razu spojrział na końcówkę rampy. Żelazny szpikulec wciąż był wbity w pokład, ale teraz tkwił w półmetrowej wyrwie, której początek stanowiło miejsce, gdzie *corvus* uderzył pierwotnie. Attyk pobiegł dalej, szukając Septymusa. Pokład był usiany ciałami kilkunastu martwych Kartagińczyków; krew wciąż lała się z ich otwartych ran na pokład, a nieruchome twarze wciąż były wykrzywione jak podczas ich ostatniego krzyku buntu i gniewu, z którym zakończyli życie. Wśród nich leżało pół tuzina legionistów w czerwonych pelerynach. Co najmniej dwóch jeszcze żyło, ale ich rany były śmiertelne.

Rzymski sztyk znajdował się trzy kroki od końca rampy – nie zaszedł dalej podczas kilku minut zjadłej walki. Był szeroki na piętnastu ludzi i tylko gdzieś głęboko na dwóch, Attyk widział, że dalsze natarcie jest niemożliwe: Kartagińczyków było zbyt wielu i stali w zbyt zwartej formacji, aby ustąpić tak płytkiemu sztykowi. Podbiegł do Septymusa i stanął przy jego lewym ramieniu, poza zasięgiem prawego, które wymachiwało mieczem z niewiarygodną szybkością. Attyk odczekał kilka cennych chwil na moment, kiedy centurion nie będzie bezpośrednio zaangażowany w walkę.

– Septymusie! – przekrzyczał wrzawę bitewną.

Centurion obejrzał się przez ramię i po jego zastygłej w wyrazie determinacji twarzy przemknęło zaskoczenie, a potem jeszcze inne uczucie: gniew, jakby Attyk jakoś mu się przeciwstawił, będąc na pokładzie.

– Kartagińska galera się od nas odrywa! *Corvus* niedługo opadnie! – krzyknął Attyk.

Septymus zerknął na rampę za Attykiem i wlepił wzrok w jej zakończenie, jakby się spodziewał, że w każdej chwili zniknie. Wahał się tylko moment.

– Przygotować się! – wrzasnął i jego ludzie znów wykrzyczeli potwierdzenie, dając sygnał, że czekają na kolejny rozkaz.

– Odwrót taktyczny... !

Septymus utrzymał ich w miejscu jeszcze mgnienie oka, czekając na idealny moment na rozpoczęcie odwrotu. Wiedział, że Punijczycy rzucą się przed siebie na pierwszą oznakę słabości ze strony Rzymian.

– Marsz! – krzyknął i cały szyk cofnął się o krok, a żołnierze uważali, żeby nie potknąć się o martwych lub umierających, którzy leżeli za nimi.

Kiedy nieprzyjaciel zaczął ustępować, Kartagińczycy zaatakowali z rykiem, aby krok za krokiem odzyskać własny pokład.

Attyk pobiegł z powrotem za szyk i ponownie zatrzymał się przy kuku. Wyrwa w pokładzie miała już długość dobrych dwóch stóp, a szpikulec znajdował się już tylko o stopę od relingu na rufie. Kiedy Attyk był na

kartagińskiej galerze, pękły dwie kolejne liny, ale na jego oczach przerzucono z *Aquili* cztery kolejne, a on szybko umocował je i dał swoim ludziom sygnał, aby mocno je napięli. Ogarnął spojrzeniem rampę i wyszeptał modlitwę do swoich bogów, kiedy zobaczył, że *corvus* ponownie wygina się pod naciskiem galer, a zewnętrzna krawędź po jednej stronie pęka gwałtownie z trzaskiem.

Septymus nadal napierał na swoją tarczę i wymierzał cięcia na oślep, cofając się i nieustannie krzyząc do żołnierzy, żeby poruszali się spokojnie i powoli. Musiał zapobiec jakimkolwiek przejawom paniki, które mogłyby spowodować kogoś do ucieczki. Ktoś nagle chwycił go za nogę i centurion spojrzał w dół, w udręczoną twarz jednego z *hastati*, który drugą ręką obejmował swoją pachwinę. Spomiędzy jego palców płynęła w rytmie uderzeń serca krew. Septymus patrzył, jak żołnierz wypowiada bezgłośnie jego imię, ale zgiełk bitwy zagłuszył to błaganie. Septymus nie był w stanie nic zrobić: nie było drugiego szeregu legionistów, który zebrałby rannych podczas odwrotu. Nie mógł pomóc młodemu człowiekowi bez rozrywania szyku i osłabiania formacji. Szedł dalej, odrywając wzrok od leżącego na pokładzie legionisty, a kiedy usłyszał jego krzyki o litość, jego duszę wypełniła udręka. Pierwszy szereg Kartagińczyków przekroczył żołnierza i go wchłonął, a jego lamentsy przepadły wśród hordy nieprzyjaciela.

Padł jeden z legionistów, potem następny; Kartagińczycy wykorzystywali swoją przewagę z

przerazającą zajadłością, każąc Rzymianom płacić za każdy zdobyty kawałek pokładu. Szyk skurczył się do obronnego półkola dookoła kruka, Septymus stał na czele, pośrodku, a Druzus u jego boku. Formacja składała się teraz mniej więcej z osiemnastu ludzi ustawionych w dwóch szeregach, najeżonych nieustępliwym orężem i tarczami, a Kartagińczycy napierali na nich z trzech stron. Kiedy szyk ścieśnił się jeszcze bardziej, Attyk wybrał dwóch legionistów i rozkazał im przejść po kрку. Zawahali się – nie chcieli uciekać i zostawiać towarzyszy – ale Attyk pchnął ich do przodu, aby zapobiec zgubnemu zatorowi. Weszli na rampę i odwróciwszy się, ruszyli zdecydowanym krokiem po nachylonym niebezpiecznie kрку. Attyk odprowadził ich wzrokiem, ale kiedy odwrócił się, aby wybrać kolejnych dwóch, żołnierze spadli nagle z rampy, ugodzeni strzałami wypuszczonymi przez kartagińskich łuczników, którzy zajęli pokład rufowy na flankach. Attyk przyglądał się z przerażeniem, jak obaj żołnierze uderzają o dziób *Aquili* – jeden z nich krzyknął z bólu – wpadają do morza i znikają pod kadłubem triremy.

– Łucznicy! – ryknął Attyk w stronę własnej załogi, ogarnięty bezgraniczną furją.

Marynarze zareagowali natychmiast, szyjąc strzałami w stronę łuczników nieprzyjaciela i odciągając ich salwy od kрку.

Attyk chwycił trzech kolejnych legionistów, pospiesznie nakazał im ostrożność i wysłał ich na drugi

koniec kruka; zeszli tyłem, podniesionymi tarczami chroniąc się przed strzałami. Trochę to potrwało i Attyk czekał niecierpliwie. Zostało dziesięciu legionistów: półkole tłoczyło się teraz przy ramieniu Attyka. Chwycił dwóch następnych ludzi. Jeden z nich odwrócił się wojowniczo, unosząc miecz jak w gniewnym transie, ale rozpoznając kapitana, powstrzymał cios. Attyk pchnął ich na kruka, a legioniści cofnęli się tak, jak przed chwilą ich towarzysze – ich tarcze przyjmowały na siebie kolejne pociski, ale chroniły ludzi.

Powietrze rozdarły nagle trzaski i Attyk zobaczył, że pozostałe cumy opadają do morza, odcięte toporem przez Kartagińczyka stojącego przy relingu rufowym kwinkweremy. *Corvus* ugiął się w lewo, a jego nadwerężone deski stanowiły ostatnie połączenie między galerami. Dwaj legioniści od razu stracili równowagę; jeden wleciał do morza i zgmiotła go *Aquila*, a drugi instynktownie upuścił miecz oraz tarczę i uchwycił się kurczowo skraju rampy, wisząc niepewnie nad straszliwą otchłanią ziejącą między statkami. Nie wahając się ani chwili, Attyk zbiegł bez tarczy po rampie, rzucił się na brzuch i chwycił legionistę za przedramiona. Trzymał go w miejscu, a ból promieniujący z rany na klatce piersiowej przeszywał jego umysł. Zachłysnął się, zginając ramiona i unosząc żołnierza, aby mężczyzna mógł zarzucić nogę na rampę. W deski obok niego wbiła się jedna strzała, potem następna, a Attyk słyszał, jak jego załoga wykrzykuje ostrzeżenia i nasila własny atak, aby

chronić kapitana. Legionista oparł wyprostowaną nogę o rampę, wgramolił się na nią, stękając ciężko, a Attyk puścił go, podniósł się i pchnął przed siebie, w dół rampy.

Dotarłszy do podstawy kruka, Attyk odwrócił się i popatrzył w górę, na pięciu pozostałych na pokładzie wroga ludzi, między innymi Septymusa i Druzusa. *Corvus* zaczął się łamać: zewnętrzne belki pękały i wpadały do morza. Nie było już czasu.

– Septymusie! – krzyknął, patrząc, jak przyjaciel zarzuca nagle głową w bok, nieświadomie potwierdzając, że usłyszał ostrzeżenie Attyka.

Septymus z krzykiem przewyciężył palący ból w ramieniu i jeszcze raz wypchnął miecz do przodu, w stronę wroga, który nie przerywał ataku, nie ustępował. Wyczuwał piętą krawędź kruka, czuł, jak rampa przesuwa się, ledwie zostając w miejscu. Gorączkowe ostrzeżenie Attyka rozbrzmiało mu w uszach. Septymus zadał jeszcze jeden cios i przekręcił ostrze brutalnie, aby szybko wyciągnąć je z ciała jednego z ludzi wroga, który zgładził niemal wszystkich jego żołnierzy i nie oddał nic w zamian. Centurion musiał ocalić pozostałych, ludzi, którzy stali przy nim, których powiodł do skazanego na klęskę natarcia.

– Legioniści! – krzyknął. – Pełen odwrót na mój rozkaz.

Jak zawsze potwierdzili rozkaz, ale bez zapachu: wykończeni żołnierze wiedzieli, że rozpadająca się rampa za nimi jest zdradliwą ścieżką do zbawienia.

– Teraz! – ryknął Septymus i raczej wyczuł, niż zobaczył, że żołnierze po jego obu stronach odwracają się i ruszają biegiem po rampie. Zrobił krok w prawo, zajmując miejsce tuż przed krukiem, i wszedł na końcówkę rampy, ale jeszcze się nie odwrócił. Był gotów poświęcić ostatnie chwile życia, żeby ocalić swoich ludzi, dając im czas na powrót na *Aquilę*.

Cofający się Rzymianie nagle pozostawili po sobie pustkę i jeden z Kartagińczyków wbiegł w wolne miejsce przed Septymusem, unosząc miecz w bezmyślnym ataku, podczas gdy ostatni rzymscy obrońcy stali zdecydowanie w miejscu. Septymus machnął tarczą, odparowując zadany na oślep cios, po czym sam ciął mieczem. Czubek klingi odbił się od zbroi Kartagińczyka, ale Septymus się nie zatrzymał i przesunął ostrzem miecza po odsłoniętym boku przeciwnika: głęboko rozciął mięśnie w jego boku i go powalił. Centurion doszedł do siebie w mgnieniu oka, ale i tak było już zbyt późno, żeby odeprzeć następny atak, z lewej – jego ciężar ciała był niewłaściwie rozłożony, a tarczę trzymał zbyt wysoko. Dostrzegł nadbiegającego Kartagińczyka i jego umysł nakazał ciału zareagować szybciej, odwrócić się w kierunku natarcia, ale nie miał dość czasu i zdał sobie sprawę, że jego walka właśnie się skończyła.

Kartagińczyk padł nagle z twarzą wykrzywioną bólem i zaskoczeniem: jakaś klinga zatrzymała go w miejscu. Jego śladem nadbiegł kolejny, ale odziany w czerwień legionista stanął mu na drodze, chroniąc bok

Septymusa. Był to Druzus.

– Wracaj, człowieku! – krzyknął Septymus, kiedy nadciągnęli następni Kartagińczycy i zaczęli walić w tarcze dwóch Rzymian. – *Corvus* zaraz opadnie!

Druzus nie odpowiedział, ale też nie opuścił Septymusa, i odparł atak dwóch Kartagińczyków, pracując metodycznie mieczem, a jego ramieniem kierował trening, na którym spędził pół życia. Zasłonił tarczę Septymusa prawym ramieniem i pchnął go do tyłu. Obaj weszli na kruka.

– Druzusie! – krzyknął Septymus, czując, że rampa rusza się pod nimi gwałtownie i że są to jej przedśmiertne drgawki. – Zatrzymam ich. Wracaj na *Aquilę*!

Optio walczył dalej, ignorując centuriona i po raz pierwszy w życiu lekceważąc rozkaz. Odpierał ataki Kartagińczyków z siłą, na którą stać było wyłącznie legionistę. Odwrócił się na moment do Septymusa i krzyknął rozkazującym tonem:

– Idziemy razem!

Septymus kiwnął głową w odpowiedzi.

– Biegnij! Już! – wrzasnął Druzus i rzucił się nagle na ścianę napastników, odpychając ich tarczą do tyłu. Stracili równowagę, co dało Rzymianom jedyny moment na ucieczkę.

Septymus chwycił kołnierz zbroi Druzusa i siłą oderwał go od potyczki, po czym pchnął go w dół kruka. Zawahał się jeszcze przez mgnienie oka, a potem podążył jego śladem, odrzucając tarczę i przebierając co sił

nogami. Jego stopy pokonały ostatni odcinek rampy w chwili, kiedy powietrze rozdarł dźwięk pękających belek, drzewce na *Aquili* w końcu nie wytrzymało, a szpikulec oderwał się od kwinkweremy. Druzus wskoczył na pokład dziobowy, a Septymus rzucił się przed siebie z desperacją: całe jego pole widzenia wypełniała dziobnica i taran *Aquili*, lewą ręką wymachiwał w powietrzu, a prawą ścisnął miecz. Nagle stracił dech – uderzył klatką piersiową o przedni reling *Aquili*, której prędkość do taranowania uratowała go przed wpadnięciem do morza przed galerą. Silne ręce chwyciły go pod pachami i wciągnęły na pokład.

Wstał niepewnie, odpychając dłonie pomagających mu ludzi, i spojrzał na uciekającą kwinkweremę, niepomny na kartagińskie strzały, które wciąż uderzały o przedni pokład *Aquili*. Załoga statku nieprzyjaciela wykrzykiwała przekleństwa i szyderstwa pod adresem pokonanych Rzymian. *Aquila* zwolniła, ponieważ wioślarze nie mieli już sił, a wszelkie próby pogoni były skazane na niepowodzenie. Kwinkwerema zaczęła się oddalać. Septymus odprowadził ją wzrokiem, wlepiając wzrok w jej reling rufowy. Nagle odwrócił się do swoich żołnierzy.

Ośmiu ludzi zostało z trzydziestu, których przeprowadził po kuku nie dalej jak dziesięć minut wcześniej, a miny tych niedobitków wyrażały mieszaninę gniewu i wstydu, ponieważ oni przeżyli, podczas gdy inni zginęli.

Septymus ponownie spojrział w stronę kwinkweremy i nagle z całą siłą ciała, z całym gniewem szalejącym w duszy rzucił mieczem za kartagińskim statkiem, a klinga poszybowała, po czym wbiła się w belki galery na rufie. Centurion patrzył na nią jeszcze chwilę, potem na swoją pustą dłoń, a w końcu odwrócił się i wyminął ludzi z oddziału. Z dala, z odległości dwóch mil za *Aquilą*, rozległ się odgłos trąb obwieszczających rzymskie zwycięstwo.

Warro wspiął się po drabince sznurowej na pokład *Victorii*, poprawił pochwę miecza i zdecydowanym krokiem ruszył w stronę czekającego nań starszego konsula.

– I co? – spytał Regulus.

– Jak widzisz, panie, przy pomostach może zmieścić się około stu galer – zaczął Warro, wskazując ręką za siebie, na linię brzegową Tyndaris – a na płyciznach jest kotwicowisko na co najmniej kolejną setkę.

– Co jeszcze? – zapytał Regulus, wskazując niewidoczne dla niego tereny.

– Magazyn, dość wielki, aby zaopatrzyć sporą flotę, i kwatery dla co najmniej dwudziestu tysięcy żołnierzy.

Konsul pokręcił powoli głową, zadziwiony tym, jak blisko Kartagińczycy byli realizacji swojego planu i jak świetnie byli do tego przygotowani. Teraz, kiedy cel ich ostatecznego natarcia był już znany, atak z zaskoczenia na zachodzie nabrał sensu. A co z Sykaruzami? Ponieważ

Hieron pozwolił Punijczykom zrobić użytek z jego portu, z pewnością był w to zamieszany. Czy było to przymierze z wygody, czy może dobrze znał ich plany? W każdym razie Regulus poprzysiągł sobie, że król Syrakuz za to odpowie.

– Jakie wieści o *Alissar*? – zapytał Warro, wyrywając konsula z zamyślenia. Nazwę punickiej kwinkweremy i tożsamość jej kapitana ustalono wkrótce po wymuszonej na Kartagińczykach kapitulacji, a Regulus natychmiast wysłał dwie kwinkweremy w pościg. Wracając na *Victorię* chwilę wcześniej, Warro zobaczył, że już wróciły.

– Uciekła – odpowiedział z żalem Regulus. – Miała zbyt wielką przewagę.

– A zatem Hamilkar Barkas, kartagiński głównodowodzący na Sycylii, wymknął się nam – dodał Warro, podjudzając konsula.

Regulus zagapił się nań, zirytowany, że uznał za stosowne wspomnieć o czymś tak oczywistym.

– *Alissar* nie dało się powstrzymać – powiedział. – Kiedy pierwsze nasze kwinkweremy przebiły się przez sztyk, znajdowała się już dwie mile dalej.

– Jedna galera powinna była ją powstrzymać – rzekł Warro – ale nie udało się jej.

– *Aquila*? – spytał sceptycznie Regulus. – Jej załoga zrobiła wszystko, co było w jej mocy.

– A jednak – nie ustępował Warro – szansa na schwytanie Barkasa przepadła, a kapitan *Aquili* powinien

za to zapłacić.

Regulus machnął lekceważąco ręką.

– Jesteś zbyt surowy, Warronie. Pojedynek był nierówny... trirema przeciwko kwinkweremie... a załoga *Aquili* poniosła wielkie straty. Jestem pewien, że zrobili wszystko, co mogli, aby powstrzymać *Alissar*.

Warro kiwnął głową i postanowił nie naciskać; wiedział, że nie ma silnych argumentów, i zadowolił się myślą, że podczas ledwie dwóch ostatnich dni już bardzo wiele osiągnął.

Regulus odwrócił się do niego, jakby czytał mu w myślach.

– Dobrze się spisałeś, Tytusie – powiedział. – Gdybyś nie zdemaskował tego planu, sam Rzym mógłby być zagrożony.

Warro wyprostował się, słysząc ten komplement. Wiedział, że na niego zasłużył, ale pilnował, żeby jego twarz nie zdradzała nic poza pokorą.

– Spełniłem swój obowiązek względem Rzymu – powiedział skromnie.

– Tak, jesteś lojalny – przyznał Regulus. – Ale pokazałeś też, że działasz znacznie skuteczniej, niż wcześniej sądziłem. Przechwyciłeś galerę piratów i uwolniłeś rzymskiego kapitana. Tylko dzięki temu plan Barkasa legł w gruzach.

Warro kiwnął głową z wdzięcznością, wiedząc już, że jego los nieodwołalnie zmienił się na lepsze.

Regulus podjął w duchu decyzję, pewien jej

słuszności.

– Wiadomość dla kapitana, trybunie – powiedział. –
Natychmiast płyniemy do Rzymu.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Hamilkar krążył niecierpliwie po przedsionku, bez przerwy zerkając na złote zdobienia na trzymetrowych odrzwiach prowadzących do komnat króla. Czekał ponad godzinę, za jedyne towarzystwo mając dwóch wartowników królewskich stojących w milczeniu po obu stronach drzwi. Instynktownie sięgnął do miecza – miał ochotę ścisnąć rękojeść dłonią, zmniejszyć napięcie, które czuł w całym ciele – ale przypomniał sobie, że odebrano mu oręż przy bramie; musiał przełknąć tę obelgę, zanim pozwolono mu wejść dalej, do wewnętrznego pałacu.

Alissar przybyła do Syrakuz zaledwie godzinę wcześniej, a jej załoga była wyczerpana po czterodniowej przeprawie wzdłuż wschodniego wybrzeża Sycylii. Hamilkar cały ten czas spędził, próbując uratować swój plan, stworzyć możliwości, które zapewniłyby mu poparcie Hierona i doprowadziły do tak niezbędnego sojuszu z nim. Hamilkar znalazł też najlepszy sposób na dostarczenie wieści o tym, że Rzymianie dowiedzieli się o Tyndaris, pewien, że *Alissar* przybędzie do Syrakuz na długo przed jakimkolwiek miejscowym czy rzymskim statkiem. Teraz jednak nie był już o tym tak przekonany. To, jak inaczej go tym razem przyjęto, nie wróżyło dobrze i starannie ułożony raport zaczął mu się rozpadać w myślach.

Odrzwia otworzyły się nagle i Hamilkar zobaczył

kolejnych dwóch wartowników, gotowych zaprowadzić go do komnaty króla. Podążył za nimi do środka. Tym razem nie zwracał uwagi na piękne, bogate zdobienia komnaty, lecz na Hierona. Tak jak poprzednio, tuż przy lewej ręce władcy siedział jego doradca, ten sam pomarszczony starzec, którego wcześniej Hamilkar właściwie zignorował. Tym razem jednak jego obecność go zirytowała: wiedział, że przez tę godzinę, kiedy czekał, doradca miał czas wpłynąć na władcę.

Hamilkar dotarł do podestu i skłonił się, zachowując pozorną pewność siebie, jak podczas poprzednich spotkań z Hieronem. Hieron milczał, nie spuszczał wzroku z Kartagińczyka i uśmiechając się lekko.

– Jakie wieści, Barkasie? – zapytał w końcu.

Hamilkar natychmiast nabrał czujności: coś w głosie króla sugerowało, że Hieron wie więcej, niż chciałby Hamilkar. Ale co konkretnie?

– Nastąpiła komplikacja, panie – powiedział Hamilkar, uciekając się do półprawdy. – Rzymianie wiedzą, że moje siły używały Tyndaris jako bazy dla swoich działań.

– Jak się o tym dowiedzieli? – zapytał Hieron, a Kartagińczyk ponownie odniósł wrażenie, że już zna odpowiedź.

– Tuż na zachód od Tyndaris doszło do potyczki – odparł, uznawszy, że Hieron z pewnością nie zna całej prawdy, a na pewno nie z pierwszej ręki. – Zbliżył się do nas mały oddział rzymskich jednostek i musieliśmy

związać go bitwą.

Hieron kiwnął głową.

– I przyplłynąłeś do Syrakuz, aby poinformować mnie o tym osobiście? – upewnił się. W jego głosie słychać było nutę sarkazmu.

Hamilkara ogarnął lęk. Hieron wiedział. Nie zadał jeszcze najpilniej nasuwającego się pytania: kto zwyciężył? Hamilkar zdał sobie sprawę, że ciągnięcie tych podstępów nie ma sensu.

– Wciąż mamy czas, panie – powiedział, usiłując przekonać władcę. – Moje siły znajdują się niemal przy twojej granicy. Gdyby twoja armia teraz powstała i połączyła się z nimi...

– Dosyć! – krzyknął Hieron z twarzą zaczerwienioną z gniewu. – Pokonano cię pod Tyndaris. Rzymianie kontrolują teraz port, a twój plan spalił na panewce.

– Jak... ? – zaczął Hamilkar. Nie pojmował, jakim sposobem Hieron mógł już wiedzieć, co się stało.

Uśmiech władcy złowrogo wykrzywił jego twarz.

– Twój poprzednik, Gisko, przydał się w jednej kwestii – powiedział pogardliwie. – Zaznajomił mnie z pomysłową perską metodą wysyłania raportów: za pomocą gołębi. Wiedziałem o twojej porażce dwa dni temu.

Hamilkar z trudem usiłował zachować spokój, myśląc pospiesznie, aby znaleźć odpowiedź i sposób na przekonanie Hierona do zaangażowania w jego plany.

– Wciąż jest szansa, panie – przekonywał. – Nasze

sprzymierzone siły mogłyby pokonać rzymskiego najeźdźcę. Tyndaris jest tylko komplikacją, a nie porażką. Upłynie wiele dni, zanim do Rzymu dotrą pełne raporty, może kilka tygodni, zanim wróg zareaguje. Mamy przewagę, jeśli teraz połączymy siły.

– Nie ma czasu, Barkasie – uciał Hieron, przepełniony gniewem wywołanym tym, w jakiej sytuacji postawił go Kartagińczyk. – Ujawniono mój współdziałanie w kwestii Tyndaris, a mój przebywający tam dowódca już ostrzegł mnie, że wysłannik od konsula jest w drodze do Syrakuz.

– Od konsula? Tak szybko?

– Dowodził pod Tyndaris – wyjaśnił Hieron. Jego cierpliwość się wyczerpywała, a myśl o przybyciu posła i tym, jak ma uniknąć gniewu Rzymu, nie dawała mu spokoju. – A teraz wynoś się. Odtąd będę związany wyłącznie jawnym przymierzem z Rzymem.

Hamilkar już miał zaprotestować, ale ugryzł się w język: wiedział, że jego sprawa jest przegrana, a honor zabraniał mu dłużej upokarzać się przed mało znaczącym władcą. Ledwo się skłonił i wycofał z komnaty, świadom, że znajduje się teraz na terytorium wroga, a Hieron może uznać, iż dostarczenie głowy kartagińskiego dowódcy udobrucha wysłannika z Rzymu i samego konsula. Dotarłszy do drzwi, odwrócił się i zdecydowanym krokiem pokonał niezliczone kondygnacje schodów oraz korytarze prowadzące do głównej bramy. Wychodząc z pałacu, wyrwał swój miecz z ręki jednemu ze strażników i

poprzysiągł sobie w duchu, że Hieron pożąda dnia, kiedy stanął po stronie Rzymu.

Longus, młodszy konsul, czekał cierpliwie, aż służący ponownie napełni dwa kielichy winem. Senat wciąż obradował, ale Longus wymknął się i wrócił do swojej rezydencji, aby dostarczyć najświeższe wiadomości człowiekowi siedzącemu teraz naprzeciwko niego i poprosić go o radę przed spotkaniem z Regulusem.

– Zgodnie z twoją sugestią pomówiłem z Seneką – powiedział Longus, kiedy niewolnik już zniknął.

– I co? – zapytał Duiliusz, podnosząc kielich do ust.

– Poprze strategię Regulusa.

Duiliusz kiwnął głową, rozkoszując się smakiem wina i wiadomościami Longusa.

– Seneka ma wpływ na pięciu innych senatorów – powiedział. – Z poparciem tej grupy i innych, o których lojalności już się upewniłeś, Regulus ma znaczącą większość.

Longus kiwnął głową, ale wciąż miał sceptyczną minę.

– Poparcie udzielone przez Senekę mnie zaskoczyło – przyznał – nawet biorąc pod uwagę, jak popularny jest Regulus po swoim zwycięstwie pod Tyndaris. Co sprawiło, że uznałeś, iż nie jest już pionkiem Scypiona?

Ponieważ jest teraz moim pionkiem, pomyślał Duiliusz, kryjąc satysfakcję za obojętnym wyrazem twarzy.

– Po prostu sądziłem, że Seneka jest gotów zagłosować zgodnie ze swoim sumieniem – powiedział.

Jako cenzor Duiliusz odpowiadał za *regimen morum*, utrzymywanie norm moralności publicznej, i szybko użył tego obowiązku na swoją korzyść. Zwyczajowo senat i cenzorowie ignorowali niemoralne wyczyny mniej znacznych senatorów, którzy w większości byli młodzieńcami z zamożnych rodów; starsi mężowie stanu uważali takie zachowanie za rytuał przejścia, którego sami zaznali w młodości. Duiliusz jednak zerwał z tą tradycyjną pobłażliwością i szybko zebrał ogromną liczbę dowodów przeciwko wielu spośród młodych senatorów, co natychmiast dało mu przewagę nad winowajcami w rodzaju Seneki, a ten młody człowiek był zaledwie jednym z wielu.

– Kiedy spotkam się dziś po południu z Regulusem, powiadomię go, że ma teraz większość wśród młodszych senatorów – powiedział Longus. – Spodziewam się, że potem ogłosi publicznie swoją strategię.

Duiliusz kiwnął głową.

– Pamiętaj, Longusie, Regulus nie może wiedzieć o moim zaangażowaniu w tę sprawę.

– Rozumiem – odparł Longus ciekaw, dlaczego Duiliusz nie udzielił starszemu konsulowi otwartego poparcia, biorąc pod uwagę, jak bardzo mu pomagał. Jak dotąd jego wstawiennictwo pozwoliło Longusowi zapewnić Regulusowi kilka tuzinów głosów. Mimo to miał zamiar zgodnie z poleceniem utrzymać udział

swojego mentora w tajemnicy.

Duiliusz rozsiadł się wygodniej i ponownie przemyślał swój plan, szczegółowo go analizując. Kilka dni po tym, jak Regulus został starszym konsulem, Duiliusz umieścił w jego domu dwóch szpiegów, którzy pełnili tam rolę służących. Ich doniesienia, wraz z meldunkami szpiegów obecnych w siedzibie senatu, zapewniły Duiliuszowi dokładną wiedzę o konflikcie między Regulusem a Scypionem. Początkowo Duiliusz był podejrzliwy – wcześniej niektóre doniesienia okazały się błędne – ale poczynania Regulusa potwierdziły ten rozłam i Duiliusz powoli zmienił zdanie na temat starszego konsula.

Dwa dni wcześniej, kiedy Regulus powrócił do Rzymu, Duiliusz kazał Longusowi udzielić mu pełnego i jawnego poparcia, jak najczęściej się z nim spotykać i zdobyć jego zaufanie. Longus posłusznie wypełnił to polecenie, regularnie zawiadamiając Duiliusza o tym, jak kształtują się plany Regulusa. To właśnie jego strategia, a także ocena, której na temat pozornie niezależnego teraz starszego konsula dostarczył Longus, przekonała Duiliusza, że nadszedł czas, aby udzielić Regulusowi poparcia z użyciem nacisków, które mógł wyrzucić na młodszych senatorów. Duiliusz nie był jeszcze gotów całkowicie zaufać Regulusowi, więc nie miał zamiaru zdradzać się ze swoim poparciem, ale jak na razie jedno wydawało się pewne: Regulus przedłożył potrzeby Rzymu nad małoduszną rywalizację i kumoterstwo i choćby z

tego powodu Duiliusz czuł potrzebę wsparcia dowódcy republiki.

Regulus wstał, kiedy ogłoszono przybycie młodszego konsula, i wyszedł zza stołu o marmurowym blacie, stojącego pośrodku jego komnaty. Skinął Longusowi z przyjazną miną, której nie udawał: ich spotkania z ostatnich dwóch dni i całkowite poparcie, którego udzielił mu młodszemu mężczyźnie, dały mu nową perspektywę, odmienną od opinii zakorzenionej w nim przez Scypiona tuż po wyborach.

Longus odwzajemnił powitanie i usiadł. Regulus wrócił na swoje miejsce za stołem i zerknął na *oculus* w kopule i niebieskie niebo, które ukazywał.

– A zatem, Longusie – zagał konsul – co mówią młodzi senatorowie?

– Są za, konsulu – odparł Longus z poważną miną. – Po twoim zwycięstwie pod Tyndaris i ujawnieniu kartagińskich planów senat jest gotów wypełnić każdy rozkaz, który mu wydasz.

Regulus kiwnął głową. Jego własne dyskretne dochodzenie wśród wysokich rangą przedstawicieli senatu potwierdziło to poparcie, a jednak chciał być go pewien przed ogłoszeniem swojego planu. Spojrzał na Longusa. Młodszy konsul zapewnił mu tuziny głosów niskich rangą senatorów, których Regulus uważał za całkowicie oddanych Scypionowi, i choć nie miał pojęcia, jak Longusowi udało się to osiągnąć, był wdzięczny za

wsparcie.

– A zatem jesteśmy gotowi, Longusie – powiedziała po chwili. – Ogłoszę...

Przerwało mu stukanie do drzwi i wszedł jego prywatny sekretarz ze skruchą na twarzy.

– Mówiłem, że nie chcę, aby nam przerywano – rzekł z gniewem Regulus.

– Przepraszam, konsulu – powiedział sekretarz – ale przybył senator Scypion i nalega na audiencję u ciebie.

– Powiedz mu to, co powiedziałem mu wczoraj i przedwczoraj! – krzyknął Regulus, aby Scypion mógł sam usłyszeć jego słowa. – Wezwę go, jeśli sam uznam to za konieczne.

– Tak jest, konsulu – odparł sekretarz, ale kiedy odwrócił się, aby odejść, Scypion wślizgnął się do środka, niemal przewracając mężczyznę na ziemię.

– Spotkasz się ze mną teraz! – wrzasnął gniewnie, ale zatrzymał się natychmiast, kiedy dostrzegł, kto towarzyszy Regulusowi. – Longusie – warknął, patrząc nienawistnie na młodszego mężczyznę.

– Konsulu Longusie – poprawił tamten i wstał, prostując się jak struna i odwzajemniając wrogie spojrzenie.

Scypion prychnął z pogardą.

– Muszę z tobą pomówić na osobności – zwrócił się do Regulusa głosem, w którym wyraźnie pobrzmiwała determinacja. Jego gniewu i niecierpliwości nie sposób było nie zauważyć.

Regulus dalej siedział, a na jego ustach powoli wykwitł uśmiech. Na ten widok Scypion prawie stracił nad sobą panowanie.

– Sądysz, że to zabawne? – warknął i stanąwszy obok Longusa, nachylił się nad stołem. – Sądysz, że możesz mnie traktować jak pospolitego senatora, że możesz odmówić mi spotkania?

– Ja nic nie sędzę – powiedział Regulus. Scypion po raz pierwszy słyszał w jego głosie taką pewność siebie. – Wiem, że jestem starszym konsulem i jako człowiek na tym stanowisku sprawuję władzę nad Rzymem.

– Nic nie wiesz – odciął się Scypion. – Wydaje ci się, że jesteś bezpieczny dzięki swojemu zwycięstwu pod Tyndaris, że teraz twoja pozycja w senacie jest niezachwiana, ale ciekaw jestem, ilu senatorów poparłoby cię, gdyby wiedzieli, jak zdobyłeś swój urząd, jaką rolę ja w tym odegrałem i to, że byłeś tylko pionkiem.

Regulus wstał. Uśmiech zniknął, a twarz nabrała hardego, zimnego wyrazu.

– Możesz opowiedzieć swoją historyjkę każdemu, kto zechce cię wysłuchać – szepnął gniewnie. – Ale wiem... i oni też zdadzą sobie sprawę... że to, co zrobiłeś, zrobiłeś dla siebie, a ja robię to, co robię, dla Rzymu. Senat dostrzeże, że to prawda.

Scypion wytrzymał spojrzenie Regulusa; przepływająca między nimi nienawiść była wyczuwalna i stanowiła niemal fizyczną siłę tworzącą między nimi trwałą podział. Nie mówiąc już ani słowa, Scypion rzucił

ostatnie spojrzenie Longusowi i wypadł z pomieszczenia, zostawiając za sobą głuchą ciszę.

Attyk odsunął się od drzwi, kiedy usłyszał po drugiej stronie odgłos zbliżających się kroków. Dotknął blizny na linii żuchwy, przesuwając po niej lekko palcami. Zobaczył ranę po raz pierwszy dopiero trzy dni wcześniej, kiedy *Aquila* przybiła do portu w Ostii: z wypolerowanego miedzianego lustra balwierza spojrzała na niego obca twarz. Teraz znów sobie o niej przypomniawszy, wciąż dotykając jej bezwiednie i cały czas myśląc o osobie po drugiej stronie drzwi, która też zobaczy ją po raz pierwszy.

Drzwi otworzyły się i stanęła w nich Hadria. Cofnęła się, aby pchnąć je za siebie, okręcając się lekko na jednej stopie. Wyraz jej twarzy zmienił się tak szybko, że Attyk nie zarejestrował wszystkiego: zaskoczenie zmieniło się w euforię i miłość, a potem w troskę na widok jego rany. Rzuciła mu się w ramiona i przywarła mocno do jego piersi, dotykając grubej warstwy bandażu na torsie, a potem położyła uścisk, bojąc się, że zadaje mu ból. Ponownie przyciągnął ją blisko do siebie, obejmując jej smukłe ciało i szepcząc do ucha uspokajające słowa. Odwzajemniła uścisk i zaczęła lekko drżeć; poczuł na ramieniu ciepło i wilgoć łez, gdy lęk o niego, który próbowała powstrzymać, ponownie w niej wezbrał na widok jego strasznych obrażeń.

Godzinę później leżeli w zaciszu jej sypialni, gdzie

przez otwarte okiennice ledwie docierały odgłosy miasta, przytłumione żarem wczesnego popołudnia. Attyk leżał na plecach, przesuwał wzrokiem po refleksach światła na suficie, i wspominał świt sprzed kilku tygodni, niedaleko Terme, i oślepiające rozbłyski światła odbitego od fal. Hadria, muskając palcem miejsce nad blizną znaczącą jego twarz, rozmyślała o słowach, którymi chwilę wcześniej opowiedział jej o tym, jak go napadnięto. Słuchała, ciesząc się w duchu, że godzinę wcześniej przejęła inicjatywę i zaprowadziła go do swojego pokoju: ponownie rozbudzony i przypomniany tak wyraźnie strach kazał jej cenić każdą wspólną chwilę, więc złagodziła ich obopólne wyczekiwanie i tęsknotę czułością, jakiej Attyk jeszcze nigdy nie zaznał.

Teraz zaspokojony Grek leżał i pozwalał umysłowi błądzić bezcelowo, po czym nagle zerknął na drzwi, marszcząc brwi, jakby zirytowany.

– Co się stało? – zapytała Hadria.

– Wydawało mi się, że ktoś się zbliża – powiedział, patrząc znów na nią. – Spodziewałem się, że zaraz ktoś zastuka i przyniesie wiadomość z domu twojego ojca, że Septymus wrócił.

Hadria kiwnęła głową i spoważniała.

– Powiedziałaś mu o nas, kiedy ostatnio był w Rzymie – wyznała. – Bardzo go to rozgniewało.

– Wiem – odparł Attyk i opowiedział jej o swojej konfrontacji z Septymusem na pokładzie *Aquili*.

– I od tamtej pory o tym nie rozmawialiście? –

zapytała z troską Hadria.

- Nie ma nic więcej do powiedzenia – warknął Attyk.
- Septymus nie zmieni zdania.

Hadria zmarszczyła czoło, usiłując zgłębić myśli brata. Nie mogła być tego pewna, ale wciąż miała wrażenie, że Septymus nie chciał, aby straciła na wojnie kolejnego ukochanego po swoim pierwszym mężu. Powiedziała to Attykowi, który też zmarszczył brwi.

- To dlatego kazał mi zostać na pokładzie przed Tyndaris – powiedział niemal do siebie – i dlatego był zły, kiedy poszedłem na kartagińską galerę, żeby go ostrzec.

– Co masz na myśli? – zapytała Hadria.

Attyk jej wyjaśnił.

- Więc usiłuje cię chronić... – wyszeptała. Jej słowa zawisły w powietrzu, a Attyk milczał, myśląc o przyjacielu. Po ich sporze na *Aquili* był pewien, jakiego zdania jest Septymus. Teraz ta pewność osłabła.

Senatorowie wstali jednocześnie, kiedy Regulus wszedł do kurii; zapowiedział, że wszystkich prosi o obecność, stawili się więc każdy senator, a także trybunowie i wysocy rangą urzędnicy, którzy też zostali wezwani z polecenia starszego konsula. Regulus zbliżył się powoli do podium, gestem prosząc zebranych, aby usiedli. Przez chwilę stał w milczeniu, delektując się poparciem senatu, ale także wzmożonym poczuciem wspólnego celu, które przepelniało kurię: zażegnane w ostatniej chwili zagrożenie wyznaczyło senatowi nowe

dążenia, ważniejsze od małoszkowych gier o władzę i sprzeczek właściwych codziennym obradom. Regulus doświadczył już niegdyś takiego poczucia zgody – tuż po zwycięstwie pod Myle, kiedy cały Rzym powstał triumfalnie. Był wtedy podrzędnym senatorem, anonimowym pośród trzystu innych. Teraz zajmował stanowisko starszego konsula i mógł rozporządzać zjednoczoną potęgą Rzymu.

– Bracia Rzymianie! – zaczął, a jego głos poniósł się do wszystkich obecnych w pogrążonej w ciszy komnacie. – Dotarliśmy w naszej walce z Punijczykami z Afryki do rozdroża, do chwili prawdy, kiedy to mogą, a wręcz muszą przeważyć zdecydowane działania.

W siedzibie senatu rozległy się pomruki zgody.

– Jak wszyscy wiecie, ujawniono kartagiński plan zaatakowania naszego miasta – ciągnął Regulus, wskazując stojącego z boku Warrona. Była to jego pierwsza wizyta w kurii od czasu, kiedy ogłoszono wieści o porażce pod Terme. Teraz skłonił głowę, przyjmując oklaski senatu. – Następnie został on udaremniiony pod Tyndaris.

Senatorowie znów zaczęli klaskać, tym razem pod adresem mówcy na podium, ale szybko przestali, gdy Regulus uniósł dłoń.

– Był to śmiały, zdecydowany plan i gdyby Kartagińczykom udało się go zrealizować, zyskaliby nie tylko bezwarunkową kontrolę nad Sycylią, ale też poszerzyliby swoje imperium o... Rzym.

Wielu senatorów zareagowało z instynktownym gniewem, wykrzykując słowa protestu i przeklinając Kartagińczyków, którzy odważyliby się na coś takiego. Regulus pozwolił im wyładować wrogość, patrząc na tych senatorów, którzy milczeli, rozumiejąc podtekst jego słów; wielu z nich już kiwało głowami z aprobatą.

– A zatem proponuję, senatorowie Rzymu – Regulus przekrzyczał ogłuszającą kakofonię – odwróćmy plan nieprzyjaciół, przejmijmy ich inicjatywę i nasyćmy ją rzymską śmiałością! – Podniosły się wiwaty. – Rzymskim męstwem! – Owacja niemal zagłuszyła Regulusa. – Oraz potęgą tej wspaniałej republiki!

Senatorowie podnieśli się jak jeden mąż, żeby go oklaskiwać, a wrzawa osiągnęła kulminację, gdy Regulus wyciągnął ramiona, ogarniając wzbierającą dookoła niego władzę.

– Przeniesiemy tę bitwę na wybrzeża samej Kartaginy! – ryknął.

Na te ostatnie słowa senat już całkowicie zapamiętał się w aprobacie dla swojego przywódcy.

Warro stał dumnie u boku ojca, kiedy kolejny senator podszedł, aby uścisnąć mu rękę. Regulus skończył mowę ponad godzinę wcześniej i kuria dopiero teraz zaczęła pustoszeć; obrady przedłużono, aby wysocy rangą senatorowie mogli publicznie poprzeć plan konsula. Peany pod adresem Regulusa i Warrona były ciężkie od retoryki wychwalającej ideały Rzymu oraz wizji

cywilizującego wybrzeża Afryki zwycięstwa nad Kartaginą. Słowa te kazały każdemu obecnemu trybunowi wyobrazić sobie swoje chwalebne czyny w nadciągającej bitwie, ale nikomu bardziej niż Warronowi, który uważał swój sukces pod Tyndaris jedynie za początek.

Tłum szybko się przerzedził i wkrótce ojciec Warrona w towarzystwie grupy wysokich urzędników też się oddalił, przed odejściem ściskając lekko ramię syna; z każdego jego gestu emanowała duma. Warro ruszył powoli w stronę obramowanego kolumnadą wyjścia. Światło późnego popołudnia tworzyło między filarami jasne plamy, przez które leniwie przelatowały owady. Przystanął na moment w jednym z tych strumieni światła, zerknął przez ramię na wewnętrzną komnatę siedziby senatu i uśmiechnął się lekko, czując na twarzy ciepło słońca. Odwrócił się i drgnął zaskoczony, widząc przed sobą jakąś sylwetkę.

– Gratuluję, trybunie – powiedział mężczyzna.

Warro od razu rozpoznał jego głos.

– Dziękuję, senatorze Scypionie – odparł Warro, próbując go wyminąć.

Scypion go jednak uprzedził i znów zaszedł mu drogę, mocno chwytając go za ramię.

– Dobrze się spisalesz, Warronie – powiedział z cieniem sarkazmu w głosie.

Warro wyrwał mu się, zirytowany protekcjonalnością senatora.

– Zrobiłem to, co zamierzałem: wrócić do Rzymu,

odzyskawszy honor.

– Ale co z naszą umową? – zapytał Scypion. – Grek Perennis wciąż żyje.

– Na razie – odpowiedział lekceważąco Warro – a jeśli chodzi o naszą umowę, wygląda na to, że myliłem się, sądząc, iż potrzebuję twojej pomocy.

Scypion zaczerwienił się z gniewu.

– Zawartej umowy nie można zerwać – powiedział, podchodząc bliżej i przysuwając twarz do oblicza Warrona. – A ty jesteś moim dłużnikiem.

– Nie jestem ci nic winien, Scypionie – prychnął Warro – a twoje wpływy w senacie to już przeszłość. Zemszczę się na Perennisie, ale wtedy, kiedy sam uznam za stosowne, i z pewnością nie na twój rozkaz.

Scypion już miał zaripostować, ale Warro go wyminął i oddalił się szybkim, lecz pewnym siebie krokiem, aż zniknął mu z oczu. Dopiero wtedy twarz Scypiona wykrzywił grymas czystej wściekłości: to, że zbył go taki żółtodziób jak Warro, uwłaczało jego dumie i poczuciu honoru.

– A zatem wszyscy oni wierzą, że nie mam już władzy – wyszeptał pod nosem, a pamięć podsunęła mu obraz równie nikczemnej pogardy okazanej mu przez Regulusa, co podsycało jego gniew i nienawiść.

Przyniósł Regulusowi rozgłos i uratował Warrona od hańby, a teraz obaj ci ludzie odwrócili się od niego, ponieważ ich sukces dał im fałszywe poczucie niezwyciężoności i tego, że mogą lekceważyć Scypiona

oraz wszystko, czego dokonał. Mylą się jednak, pomyślał Scypion, a na jego twarzy pojawił się złowrogi uśmiech. Z cierpliwością myśliwego zabrał się do obmyślenia nowego planu, który wyeliminowałby jego wrogów i w końcu doprowadziłby do śmierci greckiego kapitana, źródła jego nienawiści.

Attyk otarł twarz z kropelek morskiej mgły. Wychylał się ponad relingiem na dziobie *Aquili*, przyglądając się uporządkowanej formacji galer rozciągającej się po obu stronach wzdłuż czarnego zarysu linii brzegowej w bazie floty. Najbliżej *Aquili*, w szyku szerokim na pięć jednostek ustawione były triremy stanowiące środek formacji. Każdą cenioną pozycję w przedniej i tylnej straży przydzielono kwinkweremom stanowiącym niemal połowę liczącej trzysta okrętów *classis Romana*, potężnej floty, której zebranie potrwało trzy tygodnie.

– Imponujące...

Attyk odwrócił się i zobaczył za sobą Septymusa. Centurion miał na sobie pełne uzbrojenie bojowe, a jego napierśnik był świeżo wymodelowany, aby usunąć wszelkie uszkodzenia pozostałe po potyczce. Attyk kiwnął głową i ponownie spojrzął na flotę, a w jego piersi wezbrało dziwne uczucie; ta demonstracja potęgi Rzymu była wręcz hipnotyzująca.

– Rozkazy z awangardy, kapitanie – powiedział Lucjusz, też wyrywając Attyka z zamyślenia. – Flota ma

stanać w dryfie w Ostii, aby pozwolić okrętowi flagowemu i galerom senatorów zająć pozycje.

– Powiadom Gajusza i czekaj przy sterze – odparł Attyk, po czym zwrócił się do Septymusa: – Jak tam nowi żołnierze?

– To dobrzy ludzie – odparł centurion. – Wszyscy są z siódmego manipułu Piątego legionu.

Attyk zerknął na zebrane na głównym pokładzie szeregi jego oddziału, znów dysponującego pełną liczebnością.

– A zatem nasz pierwszy przystanek to Brolium? – zmienił temat Septymus.

– Najpierw Neapol, żeby dołączyły do nas okręty transportowe, zebrane tam wraz z posiłkami z Dziewiątego legionu. Do Brolium płyniemy potem.

Septymus pomyślał o Marku. Zmasakrowanemu Dziewiątemu legionowi nie nakazano dołączyć do Drugiego w walce z Kartagińczykami na południe od Brolium, ale ponieważ nieprzyjaciel się teraz wycofywał, a posiłki uzupełniły liczebność Dziewiątego, legion ten stanowił oczywisty wybór przy decyzji, kto ma popłynąć z flotą ofensywną.

– Powinniśmy się znaleźć w Brolium za jakieś cztery dni – dodał Attyk. – Dwa dni na uzupełnienie zapasów i wprowadzenie Dziewiątego na pokład, a potem cały tydzień drogi do Agrigentum, gdzie wejdzie na pokład Szósty legion.

Septymus pokręcił głową zadziwiony rozmiarami ich

zastępów. Trzy lata wcześniej cztery legiony – czterdzieści tysięcy ludzi – przeprowiły się przez Cieśninę Mesyńską, aby najeżdżać Sycylię, ale ta przeprawa zajęła im niecałą godzinę po zaledwie czterech milach spokojnych wód przybrzeżnych. Teraz inwazja była wymierzona w samo serce kartagińskiego imperium.

Nagle od strony awangardy rozległ się donośny sygnał trąbki, który mnożył się i roznosił, aż rozbrzmiał na całej długości formacji; powietrze drżało od ryku tysiąca trąb, gdy straż przednia floty dotarła do ujścia portu w Ostii. Wyłonił się okręt flagowy, *Victoria*, w towarzystwie tuzina kolejnych kwinkwerem, których bandery obwieszczały nazwiska rodowe senatorów znajdujących się na ich pokładach. Było ich ogółem ponad pięćdziesięciu, wielu z nich o niskiej randze, chętnych do związania swoich nazwisk z nadciągającą inwazją.

Hamilkar cały ranek spędził, omawiając z wysłannikami Stu Czterech najświeższe wieści, przywiezione do miasta przez handlarzy powracających z Ostii. Pogłoski mówiły o tym, że zbiera się flota, że stocznie w bazie przejawiają nienasycony wręcz apetyt na surowce: sośninę i dębinę, płótno i żelazo, oraz o ponurym napięciu panującym w zastępach wroga.

Barkas podszedł do okna swojego gabinetu w barakach floty w Kartaginie i ogarnął spojrzeniem port zalany upałem stojącego w zenicie słońca. W części

wojskowej i dalej, w handlowej, zakotwiczyły zebrane oddziały floty imperium, ponad dwieście galer; tylko sycylijska flota wciąż stacjonowała na niespokojnych wodach dookoła wyspy, o którą toczył się konflikt. Galery wyglądały, jakby spały, ciągnąc leniwie za cumy zgodnie z ruchami prądów przepływających pod nimi, a energia i wyczekiwanie, których pełne były ich załogi i dowódcy tuż po przybyciu do Kartaginy, zdążyły się zamienić w apatię i ośpienie.

Hamilkar miał w ciągu godziny się stawić przed najwyższą radą Kartaginy, aby przedstawić jej zarys skorygowanego planu kampanii, ponieważ proponowana przezeń wcześniej inwazja była teraz prawie niewykonalna. Potężna flota czekająca w kartagińskim porcie bezustannie uszczuplała środki miasta, opróżniała zarówno spichrze, jak i skarbiec, i Hamilkar zdawał sobie sprawę, że większość rady, której to grupie przewodził Hannon, bardzo chce wysłać statki z powrotem do portów macierzystych.

Pogrążony w myślach i zapatrzony szklanym wzrokiem na galery Hamilkar nie dosłyszał pukania do drzwi. Zareagował dopiero na powtórne. Drzwi otworzyły się i wszedł Himilko. Kapitan zerknął najpierw z ożywieniem na stół Hamilkara, po czym rozejrzał się po pomieszczeniu i gdy dostrzegł dowódcę, podszedł do niego szybko.

- Panie, mam nowe wieści o Rzymianach – zaczął.
- Chcesz powiedzieć „plotki”? – zapytał lekceważąco

Hamilkar.

– Nie, panie. Za drzwiami stoi kapitan z Malty, którego musisz wysłuchać – nalegał Himilko.

– Z Malty? – upewnił się zaintrygowany Barkas.

– Tak jest, panie. Podpłynął swoim statkiem do okrętu flagowego *Alissar* w porcie handlowym i poprosił o rozmowę z dowódcą. Kiedy usłyszałem jego raport, czym prędzej przyprowadziłem go tutaj.

– No dobrze – zgodził się Hamilkar. – Każ mu wejść.

Kiedy Himilko wprowadził kapitana do środka, Hamilkar przyjrzał mu się uważnie. Maltańczyk był wysoki, lecz nie wyglądał na wojskowego: wejrzenie miał bystre i inteligentne, ale nie było w nim determinacji kogoś, kto zaznał już wojaczki.

– Masz jakieś wiadomości? – zapytał Hamilkar, patrząc na niego podejrzliwie.

– Tak jest, panie – odparł kapitan. – Z Neapolu.

– Mów dalej.

– Jak wiesz, panie, Maltańczycy nie są już mile widziani w Ostii, więc musimy handlować z republiką dalej na południu, gdzie miejscowi wykazują się większą lojalnością względem drachmy i denara.

Hamilkar kiwnął głową niecierpliwie. Malta była prowincją Kartaginy od ponad stu pięćdziesięciu lat, ale jej kupcy działali niezależnie od handlarzy z metropolii, podróżując do niemal każdego portu w basenie Morza Śródziemnego, czy należał do sprzymierzeńców, czy wrogów Kartaginy, a wszyscy uznawali ich niezwykle

oddanie handlowi. Tylko Ostia zabraniała im wstępu.

– I co słyszałeś? – zapytał Hamilkar.

– Chodzi o to, co widziałem, panie – odparł pośpiesznie kapitan. – Wielką rzymską flotę, która tydzień temu wypłynęła z miasta na południe.

– Ile jednostek? – W głosie Hamilkara pojawiła się nagle ostra nuta.

– Co najmniej trzysta galer, panie – odpowiedział mężczyzna. – Eskortowały okręty transportowe, które przewoziły legionistów.

Hamilkar milczał przez moment, a jego myśli gnały.

– Dokąd zmierzali?

– W mieście krążyły pogłoski, że do Brolium na wybrzeżu Sycylii.

Hamilkar znów zamilkł, usiłując się domyślić, jakie zamiary mają Rzymianie. Podszedł bliżej, kładąc dłoń na rękojeści miecza.

– Dlaczego przynosisz nam te wieści? – zapytał, uważnie przyglądając się kapitanowi.

– Rzymianie już zamknęli dla naszych statków port w Ostii – zachnął się kapitan. – Jeśli powiększą swoje terytoria, kto wie, jakie wprowadzą na nich zasady? My, Maltańczycy, chcemy tylko handlować, a Kartagina od wielu pokoleń daje nam wolną rękę. Gdybym miał wybierać, wolałbym, żeby Rzymianie nie mogli wyściubić nosów z własnego półwyspu.

Hamilkar kiwnął głową, ale zachował czujność. Ta informacja wraz z pogłoskami, które jak dotąd usłyszał,

zdawała się wskazywać na to, że szykuje się potężna ofensywa. Ale co było jej celem? Panormos? Syrakuzy? W każdym razie był teraz w posiadaniu kluczowych wiadomości, którymi mógł się podzielić z radą najwyższą, wiadomości, na podstawie których należało zdecydować o następnym ruchu floty kartagińskiej.

– Czy ta wiadomość jest wiarygodna? – zapytał radny niepewnym głosem, patrząc na swoich towarzyszy, a na jego pytanie padło jednocześnie kilka odpowiedzi. Zakończywszy swój raport, Hamilkar stał w milczeniu, podczas gdy dwunastu przedstawicieli rady najwyższej debatowało, i czekał, aż ktoś się do niego zwróci. Jak zawsze zerkał ukradkiem na ojca, szukając na jego twarzy jakiejś niewypowiedzianej porady, ponieważ złożone sojusze i podgrupy w radzie stanowiły dla niego tajemnicę, więc nie miał najmniejszego pojęcia, kto wciąż popiera go jako wojskowego dowódcę.

– Wierzysz w prawdziwość tego doniesienia? – zapytał w końcu sufet, wlepiając w Hamilkara wzrok.

– Wysłałem do Terme galerę z rozkazami, żeby kapitan skontaktował się z naszymi szpiegami w Brolium – odpowiedział Hamilkar możliwie obojętnie. – Jeśli rzymska flota faktycznie stoi tam w porcie, sądzę, że otrzymamy weryfikację tej wiadomości. Tymczasem zatrzymałem maltańskiego kapitana i jego załogę. Jeśli jego meldunek jest kłamliwy, wyciągniemy z niego prawdę.

– Co proponujesz – ciągnął sufet – jeśli raport okaże się prawdziwy?

– Poznać ostateczny cel inwazji wroga, a potem przejąć inicjatywę i zaangażować do walki całą naszą flotę – odparł śmiało Hamilkar.

– Po co? Aby odzyskać zaufanie rady? – zapytał z drwiną Hannon.

– Nie – odparł gniewnie Hamilkar. – Aby usunąć plagę Rzymian z naszych mórz.

Hannon już miał się odciąć, ale sufet zażądał ciszy, podnosząc rękę.

– Aprobuję plan młodego Barkasa – powiedział po chwili, patrząc po kolei na każdego radnego. – W obliczu obecności na morzach tak wielkiej rzymskiej floty musimy podjąć zdecydowane działania.

Część radnych pokiwała głowami, lecz większość, łącznie z Hannonem, patrzyła przed siebie kamiennym wzrokiem. Sufet dostrzegł ten podział i świadom, że konieczna jest zgoda wszystkich, zwrócił się bezpośrednio do Hannon.

– W kwestii tej zmiany w planie Barkasa – powiedział. – Nie pokładasz już wiary w jego umiejętność dowodzenia?

– Nie, sufecie – odparł Hannon. – Sądzę, że zaślepiła go ambicja.

Hamilkar najeżył się na te słowa, ale ugryzł się w język, kiedy kątem oka dostrzegł ostrzegawczą minę ojca.

– Hamilkar Barkas jest naszym najzdolniejszym

dowódcą – zaczął sufet – ale być może Hannon ma rację, może jest zbyt zdeterminowany, zbyt agresywny. Proponuję, żebyś ty, Hannonie, popłynął wraz z flotą, aby powściągnąć stanowczość doświadczeniem.

Hannon skinął głową, wiedząc, że nie może zrobić wiele więcej. Odmowa byłaby poczytana za tchórzostwo. Sufet dostrzegł, że sprzymierzeńcom Hannona również to odpowiada, więc szybko zarządził głosowanie, w którym bez trudności zatwierdzono jego decyzję.

Hamilkar zasalutował radzie, po czym odwrócił się na pięcie, aby opuścić komnatę. Jego uwagę zwróciło spojrzenie Hannona, pełne hamowanej wrogości, która płynęła też w jego żyłach. Barkas zamknął za sobą drzwi komnaty i stał przez chwilę, zdając sobie doskonale sprawę, że linie bojowe zostały właśnie nakreślone nie tylko na morzach, ale też w poprzek samej rady Kartaginy, a on musi je przekroczyć, jeśli chce zniszczyć swoich wrogów. Na jego twarzy wykwitł wyraz zimnej determinacji, kiedy delektował się tą myślą. Zniknęły już podstępny, zasadzki i knucie, które pochłaniało go w ciągu ostatnich kilku miesięcy, i zastąpiła je jasność, znana jedynie wojownikowi stojącemu z mieczem w ręku na polu bitwy i patrzącemu na swojego śmiertelnego wroga.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Szorstka cuma unosiła się i opadała wraz z rytmicznymi ruchami wiosł *Aquili*, dyktowanymi przez uderzenia bębna, a przy każdym uniesieniu z jej włókien kapąła kaskada wody morskiej. Attyk wychylił się ponad relingiem rufowym i chwycił linę, wypróbując jej siłę i czując, jak jest napięta. Przesunął wzrokiem po całej jej długości, patrząc, jak wpada do morza, a potem ponownie się unosi, przytwierdzona do bukszprytu statku transportowego znajdującego się pięćdziesiąt kroków za *Aquilą*. Tuż obok niej stał jeden z załogantów; kiedy zauważył, że ktoś go obserwuje, pomachał w stronę drugiego statku, a Attyk odwzajemnił ten gest i ponownie się odwrócił.

Od strony steru podszedł do niego Lucjusz.

– Przyłodek Eknomos – powiedział, wskazując palcem nad relingiem od sterburty. – Jesteśmy jakieś osiem godzin drogi od Agrigentum.

Attyk z powrotem spojrzął na linę, którą wlokła za sobą galera. *Aquila* znajdowała się blisko środka długiego szyku trirem, rozciągającego się od brzegu; każda z jednostek holowała statek transportowy. Trzeci oddział otrzymał to upokarzające zadanie poprzedniego dnia, kiedy wiatr nagle ustał, unieruchamiając płynące pod żaglami transportowce. Teraz tylko okręt dowódcy trzeciego oddziału, *Orcus*, nie ciągnął za sobą cumy:

kwinkwerema Warrona płynęła o całą długość statku przed szykiem, jakby chcąc się odciąć od koni pociągowych, jakimi były triremy.

– Osiem godzin drogi za nami – powiedział Attyk, kiedy Septymus przyszedł do niego z głównego pokładu. Czoło centuriona lśniło od potu, a w ręce trzymał luźno drewniany miecz do ćwiczeń; w ciągu ostatniego tygodnia, kiedy doprowadzał swoich nowych ludzi do gotowości bitewnej, rzadko wypuszczał go z dłoni.

– Wciąż nie ma śladu Marka? – zapytał Septymus, wskazując statki transportowe płynące za nimi.

– Nie, nie widziałem go – odparł Attyk. – Czwarty musi być na jednym ze statków na flankach.

Septymus kiwnął głową.

– Gdzieś tam jest – powiedział i przesunął wzrokiem po pokładach jednostek najbliższej *Aquili*. Na każdym tłoczyli się legionieści w czerwonych pelerynach, a wielu wychylało się za relingi z twarzami bladymi i wymizerowanymi po tygodniowej przeprawie wzdłuż wschodniego wybrzeża Sycylii; kadłuby statków były zaplamione efektami ich choroby morskiej.

– Sygnał od pierwszego oddziału! – krzyknął Korin i Attyk spojrział na grotmaszt, czekając, aż obserwator odcyfruje całą wiadomość. Ogarnął go nagły niepokój, kiedy zobaczył, jak Korin obraca się doń pospiesznie z malującym się na twarzy przerażeniem.

– Flota wroga na horyzoncie! – ryknął obserwator.

Warro poczuł ucisk w dołku.

– Potwierdzić tę wiadomość! – odkrzyknął w stronę szczytu masztu, idąc pospiesznie do steru.

– Potwierdzam sygnał od pierwszego oddziału! – krzyknął mężczyzna. – Zaobserwowano flotę wroga.

Warro spojrział w morze, ale nie widział nic poza pierwszym i drugim oddziałem, oddalonymi od jego okrętu o pół mili. Flota płynęła w formacji w kształcie grotu – każdy oddział stanowił jeden bok, a dwa statki dowództwa zajmowały pozycję na czele: *Victoria* pod komendą Regulusa przewodziła pierwszemu oddziałowi, a kwinkwerema Longusa – drugiemu.

Warro otrzymał dowodzenie nad *Orcusem* w dniu, w którym flota wypłynęła z Brolium. Wyjątkowy honor nadzorowania trzeciego oddziału przyznano mu w uznaniu jego zasług w udaremnieniu kartagińskiego natarcia na Rzym. Warro stał dumnie na głównym pokładzie *Victorii*, kiedy Regulus ogłosił wieści o jego awansie zebranim trybunom i senatorom, po czym pochlebnie opisał dzielne czyny Warrona pod Terme, które uratowały tylu *hastati* z Dziewiątego, oraz to, jak przechwycił piracką galerę, co doprowadziło do ujawnienia podstępny nieprzyjaciela.

Teraz jednak, płynąc pół mili za senatorami, Warro nagle poczuł się oszukany. Miejsce potężnego *Orcusa* było w awangardzie floty, gdzie mógłby niszczyć triremy wroga, jak dokonały tego z taką łatwością rzymskie kwinkweremy pod Tyndaris. Zamiast tego prowadził flotę

niezdarnych okrętów transportowych oraz przestarzałych trirem, a przez ten karygodny sposób rozdzielenia dowództwa chwała nadciągającej bitwy z pewnością przypadnie innym, mniej na to zasługującym ludziom.

Warro przeszedł powoli na pokład dziobowy, nie odrywając wzroku od rzymskiej formacji przed sobą. Z każdą chwilą oddalała się ona coraz bardziej: awangarda przyspieszyła do prędkości bojowej. Zerknął za nią, na horyzont, i dopiero teraz dostrzegł ciemne kształty zbliżających się okrętów nieprzyjaciela. Ich nagie grotmaszty wyglądały na tle nieba jak fala spalonej trawy. Na ten widok Warro jeszcze bardziej spochmurniał; oszacował wzrokiem szyk wroga nie więcej niż na sto jednostek. Liczba ta była żałosna w porównaniu z dysponującą trzystoma galerami *classis Romana*. Rzymską flotę czekał pewny triumf – biorąc pod uwagę dysproporcję w liczebności, wytnie nieprzyjaciela w pień – i Warro przeklinał los, który odebrał mu udział w tak łatwym zwycięstwie.

Trybun już się odwracał, kiedy powstrzymało go jakieś ciemne mgnienie na krańcach kartagińskiego szyku. Warro otworzył lekko usta, patrząc, jak szyk wroga rozszerza się po obu stronach; ciemna smuga galer ciągnęła się od brzegu po horyzont na południu, wypełniając całą perspektywę pejzażu morskiego przed Warronem. Mroczny nastrój trybuna natychmiast zniknął, zastąpiony zimną falą przerażenia, która wypełniła całą jego duszę.

– Prędkość bojowa! – krzyknął Hamilkar. Serce mu waliło, kiedy szyk wroga, klin galer ciągnący się z północy na południe, rozpostarł się na jego oczach; jego galery patrolowe zaobserwowały tę formację poprzedniego dnia. Barkas pobiegł z powrotem na pokład rufowy, lawirując między uwijającymi się załogantami przygotowującymi *Alissar* do nadciągającej bitwy. Kiedy dotarł na rufę, Himilko podszedł do niego żwawym krokiem.

– Sygnał do floty – powiedział Hamilkar. – Flanki naprzód!

Kapitan zasalutował, pobiegł do relingu i wydał rozkaz sygnalistom, a ci szybko wysłali wiadomość, która w ciągu kilku chwil miała się roznieść na całej długości liczącego trzysta pięćdziesiąt galer szyku.

Hamilkar spojrzał na ląd, leżący nie dalej niż pięćset kroków od jego statku, po bakburcie. Przed nimi znajdował się przylądek Eknomos, kontrolowany przez Rzymian fragment Sycylii; Hamilkar przypomniał sobie, jak wiele miesięcy wcześniej przyglądał się temu miejscu na mapie. Wtedy wyobrażał sobie, jak jego siły lądowe nacierają na wschód, przez ten właśnie przylądek, i odcinają Agrigentum od drogi, którą mogłaby przybyć pomoc. Kartagińską flankę ochraniałaby armia Syrakuz, a rzymskie zastępy pogrążyłyby się w chaosie i znalazłyby na skraju kapitulacji na wieść, że ich prześwietne miasto, Rzym, zostało zmuszone do uległości.

Ta wizja rozpadła się w myślach Hamilkara w dniu, kiedy Rzymianie zaatakowali Tyndaris. Wciąż się zastanawiał, jak wrogowi udało się zdemaskować jego plan. Musiało się z tym jakoś wiązać zniknięcie Belusa, ale Barkas nie był w stanie połączyć tych dwóch wydarzeń ponad wszelką wątpliwość. Hamilkar był już teraz pewien, że bogini Tanit steruje jego losem: zdjęła dłoń z jego ramienia pod Tyndaris tylko po to, żeby znów wziąć go pod opiekę w chwili, gdy trafił do niego meldunek maltańskiego kapitana. Kartagińscy szpiedzy w Brolium najpierw potwierdzili, że rzymska flota tam przybyła, a potem, ponieważ miasto huczało od plotek, gdy legionieści wkraczali na pokłady okrętów transportowych, odkryli jej prawdziwy cel: wybrzeża Kartaginy.

Rzymianie faktycznie zastosowali jego strategię, ale odwrócili jej klingę, aż celowała teraz prosto w Kartaginę. Ich obóz w Agrigentum był tak samo wygodną bazą wypadową do Kartaginy, jak Tyndaris do Rzymu. Ten paradoks wzbudził niemal szaleńczą furję Hamilkara – owa jawna arogancja była typowa dla rzymskiego nieprzyjaciela, który sądził, iż przewagę w boju można tak łatwo odzyskać. Kartagina w niczym nie przypominała Rzymu. W odróżnieniu od niego nie była śpiącą ofiarą, lecz czyhającą panterą, zawsze gotową chronić swoje potomstwo przed każdym, kto śmiałby je zaatakować.

Alissar zaczęła przecierać przed siebie na rozkaz Hamilkara, aby flanki wypłynęły do przodu, po czym

manewr powtórzono po drugiej stronie szyku, aż kartagińska formacja przypominała półksiężyc. Szyk szybko i zręcznie wyrównano manewrami galer, które świadczyły o świetnej znajomości sztuki żeglarskiej. Hamilkar przesunął spojrzeniem po formacji i zatrzymał wzrok na okręcie flagowym *Baal Hammon*, płynącym pośrodku. Wysunął się on nieco przed szyk, bez wątpienia na rozkaz jego dowódcy, Hannon; arogancki radny domagał się tej czołowej pozycji, ponieważ nominalnie był głównodowodzącym floty. Zanim wypłynęli, Hannon niechętnie przyjął strategię Hamilkara, dostrzegając niezaprzeczalną logikę jego planu. Ta aprobata doprowadziła do niełatwego rozejmu między mężczyznami: odłożyli na bok wzajemną wrogość, ponieważ żaden z nich nie chciał ryzykować losu Kartaginy. Patrząc na *Baal Hammona*, Hamilkar poczuł, że nabiera pewności siebie: wiedział, że potęga Kartaginy jest jak na razie zjednoczona pod jednym sztandarem i walczy w tej samej sprawie. Śmierć Rzymianom.

Czuąc, jak pokład unosi się i opada pod jego stopami, Regulus chwycił się relingu na rufie, aby zachować równowagę, i wlepił wzrok w nadciągający kartagiński szyk. Orzeźwiający wiatr wiał mu w twarz, oddychał więc głęboko, wciągając do płuc przesycone solą powietrze, smakując je tak, jakby czuł je po raz pierwszy. Całe wieki temu dowodził legionem i poznał smak bitwy, zarówno gorycz porażki, jak i słodycz

zwycięstwa. Dawno już zapomniał o tym okresie swojego życia – wspomnienie o nim splamiły ciężkie powietrze kurii i grobowa atmosfera łaźni. Teraz zdobywał nowe wspomnienia i ponownie odkrywał w sobie uśpioną do niedawna energię. Regulus rozejrzał się po zastępach, które znajdowały się pod jego komendą.

Na głównym pokładzie *Victorii* tłoczył się cały manipuł żołnierzy – pierwszy z Piątego legionu – oraz kolejna sześćdziesiątka legionistów z oddziałów straży; wszyscy żołnierze na okręcie flagowym byli zahartowanymi w boju weteranami, gotowymi do starcia, czekającymi z wyciągniętymi mieczami. Regulus, uważnie przyglądając się kartagińskiej flocie, po raz kolejny zastanawiał się, jaka to umiejętność pozwoliła wrogom uprzedzić przybycie *classis Romana* i zebrać tak ogromną siłę. Pojawili się nie wiadomo skąd, w całkowicie ukształtowanym i przygotowanym do potyczki szyku, i Regulus zrozumiał, że katastrofie zapobiegło jedynie to, iż jego flota też już była rozmieszczona w ofensywnej formacji. Regulus ledwie kilka dni wcześniej uparł się, aby tak rozstawić rzymskie siły – chciał w ten sposób ochronić bezbronne okręty transportowe – i teraz spojrział w niebo, szepcząc modlitwę do Marsa, boga wojny, który z pewnością miał swój ukryty udział w tej decyzji. Jego przewodnictwo dało Regulusowi szansę na przejęcie inicjatywy.

– Kapitanie, zarządz prędkość ofensywną i nadaj sygnał do trzeciego oddziału: niech się przygotują –

rozkazał Regulus mężczyźnie stojącemu u jego boku.

– Tak jest, konsulu.

Okręt flagowy przyspieszył do dwunastu węzłów, dzięki smukłej linii i gładkiemu kadłubowi mknąc lekko po łagodnych falach. Regulus puścił reling i podszedł do steru, zerkając w stronę okrętu prowadzącego drugi oddział, na którego tylnym pokładzie zauważył samotną sylwetkę Longusa. Mężczyzna odwrócił nagle wzrok w jego stronę, jakby wiedział, że ktoś go obserwuje, i kiwnął mu głową, a konsul odwzajemnił ten krótki, lecz pełen pewności siebie gest.

Grot utworzony przez zbiegające się szyki pierwszego i drugiego oddziału mknął dalej przed siebie, a sternicy okrętów na czele utrzymywali idealną równowagę formacji wycelowanej dokładnie w środek kartagińskiej linii bojowej. Regulus obserwował, jak pierwszy manipuł Piątego zajmuje pozycję za krukiem, a potem jego wzrok powędrował w górę, wzdłuż podniesionej rampy do abordażu. Słyszając ryk bojowy ludzi z Piątego w odpowiedzi na okrzyk centuriona, czuł narastające wyczekiwanie przed bitwą.

Konsul spojrział jeszcze na szyk wroga, oddalony o niecałe czterysta metrów. Na mgnienie oka zabrakło mu tchu, zerknął w obie strony i podbiegł ponownie do relingu, żeby mieć lepszy widok. Kiedy już się upewnił, poczuł, że rytm jego serca przyspiesza z radości. Kartagińska formacja była wciąż nieprzerwana, ale zmieniała kształt na wklęsły, jakby środek szyku cofał się

przed rzymskim uderzeniem; była to instynktowna reakcja na agresję, której nie spodziewali się po Rzymianach. Kartagińczycy najwyraźniej wierzyli, że uda się im zaskoczyć *classis Romana*.

Podczas gdy odstęp między siłami się zmniejszał, Regulus utkwiał wzrok pośrodku szyku nieprzyjaciela, przewidując jego ruch. Modlił się, żeby to przeczucie okazało się prawdziwe: zwycięstwo byłoby wtedy zapewnione. Podniósł rękę i zacisnął dłoń w pięść, trzymając ją nieruchomo nad głową, aż mięśnie zaczęły mu drżeć. Całym jestestwem skoncentrował się na jednej galerze: okręcie flagowym, który płynął nieco przed resztą szyku.

Zmiana nastąpiła nagle i Regulus ryknął triumfalnie, a jego uderzenie pięścią o reling było jak podzwonne dla Punijczyków. Kartagiński okręt flagowy skręcał, jego pokład przechylił się gwałtownie, a galery dookoła niego podążyły za nim. Kartagiński szyk w mgnieniu oka pogrążył się w chaosie i przerażeniu, a wyzywające okrzyki dobiegające z rzymskich galer zmieniły się w wycie triumfu.

– Utrzymać prędkość ofensywną! – krzyknął konsul.
– Dopaść ich! Przygotować się do opuszczenia kruka!

Rozkaz poniósł się szybko po pokładzie i na pozostałe galery tworzące formację, a legionieści potwierdzili jego otrzymanie rytmicznym uderzaniem w swoje tarcze. Regulus rozkoszował się tym dźwiękiem, czując, jak bicie jego rzymskiego serca dopasowuje się do

rytmu dziesięciu tysięcy uniesionych na jego komendę mieczy.

Statki pośrodku szyku nieprzyjaciela zdążyły się już odwrócić i uciekały przed nacierającym rzymskim grotem, a odstęp trzystu kroków stanowił dla nich żalosną obronę. Regulus znów patrzył na kartagiński okręt flagowy, błędząc wzrokiem po jego pokładzie rufowym w poszukiwaniu tchórzliwego dowódcy nieprzyjaciela, który sądził, że uda mu się uciec przed losem.

Koncentracja konsula zaślepiła go na manewry galer wroga znajdujących się poza środkiem szyku.

– Odwracają się! – krzyknął ze szczytu masztu Korin, a w jego głosie pobrzmiwała niepohamowana ekscytacja.
– Nieprzyjaciel się wycofuje!

Attyk pobiegł na dziób, żeby lepiej widzieć, lawirując szybko między zwartymi szeregami legionistów na głównym pokładzie. Mijając dopiero co wymieniony *corvus*, otarł się ramieniem o rampę i wymamrotał niewyraźne przekleństwo, nie spuszczając oczu z morza, aż dotarł do przedniego relingu. Oddziały na czele znajdowały się w odległości ponad mili, a za nimi widać było szyk wroga, pogrążony w całkowitym bezładzie: galery odwracały się od linii boju.

– Coś jest nie w porządku – usłyszał obok siebie Attyk i skinął głową zastępcy.

– Nie ma żadnych kolizji – zwrócił uwagę kapitan.

– I jeszcze nigdy nie widziałem uciekającego

Kartagińczyka – dodał Lucjusz. – Tym bardziej że potyczka nawet się jeszcze nie zaczęła.

– Lucjuszu – powiedział Attyk – idź na maszt. Rozejrzyj się po całym horyzoncie.

Lucjusz kiwnął głową i się odwrócił, schodząc z drogi Septymusowi.

– Wycofują się? – zapytał centurion, zdjął hełm i otarł czoło wierzchem dłoni.

– Nie jestem tego taki pewien – odpowiedział Attyk, a Septymus spojrział na niego zdziwiony. – To niepodobne do Kartagińczyków, że tak łatwo łamią szyk.

– Ale uciekają przed potyczką – stwierdził Septymus.

– Nie wpadli w panikę – powiedział Attyk, rozglądając się teraz po całym morskim pejzażu. – Czy kiedykolwiek widziałeś, żeby nieprzyjaciel wykonał nagły odwrót i przy tym nie przerwał szyku? – zapytał.

Septymus milczał przez chwilę, spoglądając w stronę rzymskiego natarcia. Pokręcił głową. Coś rzeczywiście było nie tak.

Hamilkar uderzył pięścią o reling, patrząc, jak środek jego szyku wykonuje pełen odwrót; dwieście galer rzymskiej formacji nie zwolniło ani trochę, a ich agresywny atak zamienił się w szaleńczy pościg. Prowadzące galery Rzymian szybko znalazły się na wysokości *Alissar*, która płynęła przed szykiem na flance od strony lądu. Dało to Hamilkarowi idealny widok na drugą stronę półmilowego odstępu między siłami i

wprawnym okiem od razu rozpoznał, że nowe rzymskie kwinkweremy zbudowano według klasycznego tyryjskiego projektu, tak ukochanego przez Kartagińczyków. Doniesienia z Brolium dotyczące siły i rozmiarów rzymskiej floty były szczegółowe i po chwili, kiedy Hamilkar policzył większe kadłuby w formacji, na jego twarzy pojawił się złowrogi uśmiech.

– Dwa rumby na sterburtę! – rozkazał sternikowi Barkas, a *Alissar* skręciła szybko na nowy kurs. Natychmiast zareagowała na to cała flanka od lądu, oddzielając zastęp Hamilkara od galer pośrodku szyku, które uciekały na zachód, z dala od Rzymian. Hamilkar znów spojrzał na południe i przez pojedyncze szeregi rzymskiej formacji dostrzegł przeciwległą flankę kartagińskiego szyku, który właśnie się odwracał, aby odzwierciedlić kurs jego statku. Jeszcze raz przeniósł wzrok przed siebie, w końcu skupiając całą uwagę na prawdziwym celu swojego ataku: miękkim podbrzuszu rzymskiej floty.

– Flanki robią zwrot!

Warro podniósł oczy w stronę szczytu masztu, po raz pierwszy odwracając wzrok od rzymskiego pościgu, i ze zmarszczonymi brwiami pospiesznie rozszyfrowywał znaczenie tego okrzyku. Widok rozrastającego się szyku Kartagińczyków wstrząsnął nim, ale szybko pozbył się obaw, zdecydowane sygnały do ataku z *Victorii* ponownie przydały mu pewności siebie i wraz z resztą załogi

wiwatował, gdy środek formacji wroga zawrócił.

Nagle niepewność wróciła i Warro spojrzął na galery wroga płynące najbliżej brzegu. Nacieraly po obu stronach rzymskiego grotu, wiodące galery już znajdowały się na kursie wymierzonym prosto w środek trzeciego oddziału, a okręty za awangardą rozmieszczały się tak, aby utworzyć linię boju. W Warronie natychmiast obudził się niepokój; wlepił wzrok w galery pośrodku szyku, z których wszystkie były kwinkweremami, okrętami potężniejszymi od każdej jednostki trzeciego oddziału poza *Orcusem*. Nie wytrzymają. Nie ma nadziei. Pierwszy i drugi oddział z każdą minutą odpływały coraz dalej, izolując Warrona, odcinając go od reszty statków, zostawiając go na łasce kartagińskich szakali.

Warro zerknął na odległe o niecałą milę wybrzeże, ciąg zatoczek i nieregularnych cypli. Gdyby *Orcus* dotarł tam pierwszy, miałby szansę odeprzeć atak, ponieważ ląd chroniłby go od rufy. Trybun poszukał wzrokiem kapitana i dostrzegł szereg trirem wciąż uwiązanych do statków transportowych. Zamarł na mgnienie oka. Nie mógł nic dla nich zrobić. Galery wroga były zbyt potężne, zbyt liczne. Utrzymanie pozycji i walka oznaczałyby śmierć, a Warro nie miał ochoty umierać za jakąś skazaną na porażkę sprawę. Ucieczka była jedyną alternatywą – dla niego i dla wszystkich.

– Kapitanie! – krzyknął Warro, w końcu dostrzegając mężczyznę. – Prędkość ofensywna. Skieruj się w stronę brzegu!

– Tak jest, trybunie – odparł kapitan i szybko wydał rozkazy. – Jaki sygnał mam nadać reszcie oddziału? – zapytał, kiedy *Orcus* wyłamał się z szyku.

Warro ponownie spojrzął na szyk, rozważając, jakie ma możliwości. Gdyby wszyscy odcięli cumy okrętów transportowych i zaczęli uciekać, *Orcusowi* łatwiej byłoby się ukryć przed nieprzyjacielem w całym tym zamieszaniu. Ponownie odwrócił się do kapitana.

– Do Hadesu z nimi.

Attyk przyglądał się, jak kartagińskie flanki kończą obrót dookoła tyłów nacierającego rzymskiego szyku. Lucjusz nieprzerwanie, spokojnym i niespiesznym głosem, wykrzykiwał ze szczytu masztu wieści o ich ustawieniu. Attyk zerknął na statek przycumowany do *Aquili*, obliczając maksymalną prędkość, z jaką jego galera mogła ciągnąć ten balast, i porównując ją z odległością i prędkością nadciągającego szyku Kartagińczyków. Nie mogli uciec, chyba że poodcinaliby statki transportowe i skazali na zagładę cały Dziewiąty legion. Triremy trzeciego oddziału będą musiały zostać na pozycji i walczyć.

– *Orcus* wyłamuje się z formacji! – krzyknął Lucjusz, a w jego głosie po raz pierwszy pojawiło się napięcie.

Attyk pobiegł do relingu na burcie i spojrzął na statek dowództwa: kwinkwerema już przyspieszała do prędkości ofensywnej i zaczęła uciekać kursem, który przecinał rzymski szyk. Attyk poczuł przyływ straszliwego

gniewu, kiedy dostrzegł na pokładzie rufowym Warrona, który stał wyprostowany przy sterze, odwrócony plecami do własnego szyku, i patrzył na nadciągające natarcie wroga.

– Warro! – ryknął, ale trybun się nie ruszył.

– *Pomona!* – krzyknął Lucjusz.

Trirema znajdująca się o dwa statki dalej w formacji odcięła swoją cumę i ruszała śladem *Orcusa*, dołączając do jego ucieczki. Po chwili formację opuścił już kolejny tuzin galer, a w powietrzu rozbrzmiewał odgłos uderzeń toporów przecinających cumy. Następne okręty transportowe pozostawały samotnie na falach, a szeregi żołnierzy szybko ogarnęła panika: widok ucieczki statku dowództwa uruchomił instynkt samozachowawczy na pozostałych galerach.

– Nie możemy uciec! – rzucił Septymus, biegnąc na pokład rufowy. Sięgnął wzrokiem na otaczające ich z każdej strony galery: na jego oczach zamieszanie przemieniło się w całkowitą panikę. – Dziewiąty!

Attyk ponownie obejrzał się na statki – te, które zwolniono z cumy, rozwijały żagle, co było daremną próbą ruszenia z miejsca z pomocą lekkiej bryzy, a ich kadłuby odwracały się powoli, ledwie osiągając prędkość sterowną. Powietrze przeszył nagły trzask pękającego drewna: dwie galery zderzyły się, ponieważ w całkowitym beżładzie Rzymianie wchodzili w drogę sobie nawzajem, usiłując uciec.

– Na bogów, Attyku! – Septymus chwycił przyjaciela

za ramię i odwrócił twarzą do siebie. Po jego minie wyraźnie było widać, że bardzo się boi o los Dziewiątego.
– Musimy coś zrobić!

Attyk wlepił wzrok w centuriona, jego myśli gnały, czuł wczepiające mu się w kręgosłup pazury paniki. Na pokładzie rufowym pojawił się Lucjusz z oczami pociemniałymi od gniewu i frustracji. Attyk zerknął na *Orcusa*, który kierował się prosto w stronę wybrzeża. Warro zniszczył oddział, złamał mu kręgosłup równie bezlitośnie, jak zrobiliby to Punijczycy. Wszystkie galery uciekały. Każdy walczył o siebie, a żadna z galer nie potrafiłaby samotnie powstrzymać Kartagińczyków. Attyk opuścił wzrok na pokład pod swoimi stopami, po czym podniósł głowę i ogarnął spojrzeniem całą *Aquile*. Była wspaniałym okrętem.

Odwrócił do Lucjusza oczy o twardym, zimnym spojrzeniu.

– Odciąć cumę – powiedział spokojnym głosem, jak przystało na kapitana *classis Romana*. – Prędkość ofensywna.

Regulus odprowadził wzrokiem gońca pędzącego na pokład rufowy *Victorii*; mężczyzna rozglądał się na wszystkie strony w poszukiwaniu kapitana. Dostrzegłszy go, podbiegł do niego, wyrzucając z siebie szybko słowa i wskazując palcem ponad relingiem na rufie. Regulus zobaczył, że kapitan odwraca się z zaniepokojoną miną.

– O co chodzi? – zapytał Regulus, idąc w jego stronę.

Odwrócił na moment głowę w stronę uciekających przed jego jednostkami statków wroga.

– O flanki wroga – powiedział kapitan. – Obserwator na gnieździe raportuje, że one nie zawróciły.

– jakim płyną kursem? – zapytał Regulus, nagle czując niepokój.

– Zwrócili się w stronę trzeciego oddziału, konsulu – odparł kapitan. W każdym słowie pobrzmiwała obawa.

– Trzeciego oddziału... – wyszeptał Regulus. Dziewiąty legion, dziesięć tysięcy ludzi. Tylko pojedynczy szereg trirem dzielił ich od wroga. Regulus zaklął głośno i podszedł do relingu, wymijając kapitana. Nie przyszło mu do głowy, żeby spojrzeć poza środek szyku nieprzyjaciela, był zbyt zachwycony tym, że Punijczycy tak szybko zmienili kurs. Spojrzał na trzeci oddział, który znajdował się półtorej mili za nim. Do jego flank szybko zbliżało się kartagińskie natarcie, teraz utworzone już ze zwartych szeregów złożonych z co najmniej dwunastu kwinkwerem każdy. Nie dało się dostrzec szczegółów rzymskiej formacji, ale Regulus miał wrażenie, że jest pogrążona w chaosie, jakby Warro zmieniał rozmieszczenie swoich sił, aby stawić czoło wrogowi. Była to dzielna próba, ale Regulus wiedział, że bez pomocy części jego zastępów jest skazana na porażkę.

– Kapitanie! – krzyknął, zerkając przez ramię. Miał zamiar rozdzielić swój oddział na połowy i jedną wysłać, aby zasiliła szeregi Warrona. Skończy się to ucieczką wielu galer ze środka kartagińskiego szyku, ale okręty

transportowe trzeba było chronić za wszelką cenę. Kapitan pojawił się u jego boku i konsul odwrócił się do niego. – Sygnał do konsula Longusa – zaczął. – Niech weźmie drugi...

– Wróg się odwraca! – krzyknął ktoś.

Regulus spojrział na rozciągające się przed nim wody. Cała kartagińska formacja odwracała się ponownie, wszystkie galery, co do jednej, wykonały płynny, skoordynowany manewr, jakby ich szykiem manipulowała jakaś niewidzialna ręka.

– Niech Mars ma nas w opiece... – mruknął Regulus, kiedy spłynęła na niego pełna świadomość tego, czego jest świadkiem. Nie było żadnego odwrotu. Była tylko zasadzka, a rzymska awangarda bez mrugnięcia okiem połknęła przynętę, pozostawiając kluczową część floty na odsłoniętej pozycji, co groziło utratą, która uniemożliwiłaby inwazję na Kartaginę: śmiercią dziesięciu tysięcy legionistów.

Hamilkar zerknął w obie strony, kiedy ostatnie z jego galer wślizgnęły się do szyku, uzupełniając linię boju. Tworzyły rozległą falę pięćdziesięciu statków, która nacierała na rzymski szyk z prędkością siedmiu węzłów. Flanka od strony morza znajdowała się milę na południe, ustawiona tak samo jak galery Hamilkara, a Rzymianie byli uwięzieni pośrodku.

– Prędkość ofensywna! – rozkazał Hamilkar i *Alissar* wierzgnęła pod nim, nabierając dodatkowych węzłów

prędkości z dziką zajadłością dorównującą zdecydowaniu jej dowódcy. Hamilkar ponownie stanął przy relingu na burcie, aby mieć lepszy widok na odległy o pół mili rzymski oddział. Z każdym ruchem wiosł miał coraz większe powody do radości: dzięki zmniejszającemu się dystansowi mógł potwierdzić wcześniejsze doniesienia obserwatora o tym, że wróg się wycofuje. Szyk nieprzyjaciela był w całkowitym nieładzie, galery uciekały na północ, w stronę wybrzeża, oraz na wschód, z dala od linii natarcia. Tylko okręty transportowe były prawie nieruchome – kapryśny, słaby wiatr kpił z ich prób manewrowania pod żaglami. Hamilkar był wcześniej gotów na bitwę, już pogodził się w myślach ze stratą wielu galer, nawet kwinkwerem, które byłyby wystawione na atak podczas taranowania okrętów transportowych. Teraz ta potyczka rozpraszała się na jego oczach, a ściana tarcz cofała się, odsłaniając bezbronnych.

Hamilkar obejrzał się na tyły rzymskiego grota, gdzie galery wroga powoli rozpraszały się, aby stawić czoło kartagińskiemu szykowi i uniemożliwić mu otoczenie ich. Hannon idealnie wyczuł właściwy moment na swoje przeciwuderzenie. Wykonał pierwszą część planu dokładnie według zaleceń, więc teraz – dopiero teraz – Hamilkar był pewien, że radny wypełni też drugą część jego planu, która zakładała, że zwiąże walką awangardę nieprzyjaciela.

Ponieważ jego tyły były bezpieczne, Hamilkar mógł w pełni skoncentrować się na flocie transportowej i jej

wycofujących się eskortach. Znowu poczuł falę ogromnej radości i zamknął oczy, oddychając głęboko, analizując zapachy wypełniające jego nozdrza: czysty aromat soli, stęchły, suchy zapach łądu, a poza tym coś jeszcze, woń, którą niemal był w stanie sobie wyobrazić – woń potu, żółci oraz przerażenia dziesięciu tysięcy ludzi uwięzionych w pływających drewnianych trumnach.

– Galera wroga na kursie zbieżnym!

Hamilkar natychmiast otworzył oczy i spojrzał na szczyt masztu. Zobaczył wyciągnięte ramię i podążył wzrokiem w kierunku, który wskazywało. Nadciągała samotna trirema o dziobie uniesionym w prędkości ofensywnej i pokładzie dziobowym przemokniętym od mgły morskiej wyrzucanej w górę za każdym razem, kiedy jej dziobnica rozcinała łagodne fale. Spojrzał na jej flanki i dalej, szukając wzrokiem innych galer, natarcia, które z pewnością prowadziła, ale nie dostrzegł żadnych. Trirema była sama, pojedyncza galera przeciwko pięćdziesięciu. Gdy Hamilkar patrzył na samotną jednostkę, jego usta wykrzywił grymas; był pełen podziwu dla odwagi tego samobójczego ataku, ale natychmiast go zlekceważył.

– Utrzymać kurs! – krzyknął do sternika.

Hamilkar już wielokrotnie widział, jak Rzymianie atakują ofiarę: nacierają od czoła, utrzymują ją zdecydowanie w miejscu, a potem uruchamiają swoją przeklętą rampę do abordażu. Jednak nadpływająca galera była triremą wśród grupy kwinkwerem i Hamilkar

wiedział, że *Alissar* zepchnie ją z kursu, ledwie zwalniając. Uśmiechnął się na tę myśl i mocniej chwycił reling, wyczekując strasznego ciosu, który wkrótce padnie.

– Spokojnie – powiedział Attyk, kładąc rękę na ramieniu Gajusza. Sternik ścisnął rumpel tak mocno, że pobielały mu kostki palców.

Zwarty szyk kartagińskich galer ciągnął się pozornie w nieskończoność przed dziobem *Aquili*. Kwinkweremy pośrodku reprezentowały straszliwe połączenie szybkości i brutalnej siły, a w porównaniu z ich kadłubami mniejsze galery na flankach i samotna trirema, która się do nich zbliżała, robiły wrażenie maleńkich.

Attyk spojrzał na główny pokład, gdzie Septymus ustawiał swoich ludzi w obronne szeregi. Mężczyźni poruszali się z zaciętą determinacją, ich twarze widoczne pod żelaznymi hełmami i za osłonami policzków były ponure, a w przygotowaniu na nadciągającą bitwę wszystkie miecze wyciągnięto z pochew. Attyk sprawdził własny, zawieszony u boku oręż: wyciągnął nieco klingę, poczuł znajomy ciężar, a potem wsunął miecz z powrotem i ponownie skoncentrował się na nieprzyjacielu.

Skupił się na środkowej galerze, płynącej na czele, która właśnie leniwie rozwijała zwieszające się ze szczytu masztu bandery, i w mgnieniu oka przeniósł się do Tyndaris, do chwili sprzed kilku tygodni; przypomniał sobie, że widział te same sztandary na uciekającej

kwinkweremie, galerze Hamilkara Barkasa. Podbiegł do relingu na burcie i utkwiał wzrok w szczycie grotmasztu galery wroga, aby móc potwierdzić swoje przypuszczenia. Zdał sobie sprawę, iż jego cel jest tym bardziej niebezpieczny, że znajduje się na nim dowódca armii Kartaginy.

Attyk odsunął się od relingu i przeszedł na środek pokładu rufowego, ponownie przesuając wzrokiem po swoim okręcie. Korin zszedł z masztu i stał wraz z resztą załogi na głównym pokładzie. Ludzie zbili się w ciasną grupkę, a Lucjusz wydawał wszystkim ostatnie rozkazy. Legioniści za nimi tworzyli własne szeregi, ale Attyk zauważył, że dwie grupy wymieniają się spojrzeniami, które świadczyły, że dzielą los wspólny dla wszystkich, czy to Rzymian, czy obywateli prowincji.

Septymus zostawił swoich ludzi i pomaszerował na pokład rufowy.

– Są gotowi – powiedział z ponurą, nieustępliwą miną.

Attyk kiwnął głową.

– Spodziewaj się co najmniej dwóch ataków – ostrzegł. W jego głosie po raz pierwszy pojawiło się napięcie: odległość od wroga spadła poniżej czterystu metrów. – Moja załoga spróbuje obronić rufę, wy kontrolujcie główny pokład.

Septymus kiwnął głową. Patrząc na Attyka uważnie, dostrzegł na twarzy przyjaciela odrobinę niepewności.

– To jest coś – powiedział, a Attyk rzucił mu pytające

spojrzenie.

– Powiedziałem, że musimy coś zrobić – wyjaśnił Septymus, a kąciki jego ust uniosły się w lekkim uśmiechu – i to jest coś.

– Musieliśmy dać Dziewiątemu jakąś szansę... – powiedział Attyk zadowolony, że Septymus rozumie jego rozkaz, aby zaatakować kartagińską formację. Spojrzał na nadciągających wrogów, na to, jaką mieli miażdżącą przewagę, i odwrócił się do przyjaciela. – Jeśli chodzi o Hadrię... – zaczął niepewny, co chce powiedzieć.

Septymus rzucił mu długie spojrzenie.

– Powiedziała mi, że z ciebie nie zrezygnuje – odparł, a po jego twarzy przebiegł cień jakiegoś uczucia.

– A ty nie możesz tego zaakceptować? – zapytał Attyk, w duszy błagając Septymusa, żeby ustąpił.

Septymus spojrział na rozciągające się przed nimi wody. Każde uderzenie bębna i ruch wiosł zblizały *Aquile* do pewnej porażki i tego właśnie losu, przed którym chciał chronić siostrę: utraty kolejnego ukochanego w bitwie. Ponownie odwrócił się do Attyka.

– Nie dzisiaj – powiedział i poszedł z powrotem do swoich ludzi, sięgając po miecz i wyciągając go płynnym ruchem ramienia, aż metal zadźwięczał o pochwę.

Attyk jeszcze przez chwilę spoglądał na Septymusa. Nie dzisiaj, pomyślał i sam dobył oręza, czując pod palcami solidną rękojeść z litego drewna. Podchwycił spojrzenie Lucjusza, wydał mu rozkaz skinieniem głowy, a starszy mężczyzna prawie niedostrzegalnie odwzajemnił

gest i wydał załodze komendę, aby się przygotowała.

Aquila pędziła dalej, jej dwieście wioseł pracowało pewnie, a wiatr szarpnął sztandarem na szczycie masztu, ukazując orła w locie. Siedemdziesięcotonowy kadłub mknął jak strzała wypuszczona z łuku ze śmiertelnością precyzją, ślizgając się po falach. Attyk cofnął się do steru i napotkał twarde, niezachwiane spojrzenie Gajusza, które dodało mu sił. Popatrzył na wroga. Dwieście metrów.

– Prędkość do taranowania!

Sto metrów, trzynaście węzłów, nieprzyjaciel pędził przed siebie, flanki szyku zatarły się, gdy Rzymianie skoncentrowali całą uwagę na środku szyku, dobosz walił w bęben, wiosła cięły powietrze i parły przez wodę.

– Spokojnie, *Aquilo* – szepnął Attyk, kładąc dłoń na rumplu za ręką Gajusza. Całe jego pole widzenia wypełniał widok nacierającego na nich molocha.

Pięćdziesiąt metrów.

– Załoga, przygotować się do abordażu nieprzyjaciela!

Czterdzieści metrów. Trzydzieści.

– Teraz, Gajuszu! – ryknął Attyk i rzucił się na rumpel.

Sternik zrobił to samo i całym ciężarem ciała przesunęli ster lewo na burtę. *Aquila* zareagowała ruchem w przeciwnym kierunku, jej dziób skręcił w prawo, wpływając na kurs okrętu flagowego, a kadłub w mgnieniu oka skręcił, wystawiając w stronę wroga zwartą ścianę drewna, żelaza i ludzi.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

Alissar uderzyła o przednią część *Aquili* z całą siłą swojego stutonowego kadłuba, a dzięki prędkości jedenastu węzłów jej taran bez trudu przedziurawił twardą dębinę; jego tępo zakończona pięść wbiła się głęboko w pokład dla niewolników triremy. Sześćdziesiąt kroków dalej uderzyła druga kwinkwerema, której taran zadał *Aquili* cios głęboko pod linią fal. Niższą ładownię zalała woda, a rozłupane belki okrętu wczepiły się w niższą część dziobnicy kwinkweremy, jakby desperacko usiłowały powstrzymać uderzenie.

Hamilkar odzyskał równowagę i popędził na przód pokładu rufowego, ledwie wierząc własnym oczom. Usłyszał ogłuszający trzask i skrzypienie belek i zobaczył, jak dwie jego galery się zderzają – jakaś kwinkwerema wpłynęła na kurs innej, usiłując uniknąć spotkania z tylną częścią rzymskiego okrętu. Hamilkar zaklął na całe gardło, złorzecząc kapitanowi idiocie, który spowodował kolizję, oraz rzymskiej galerze, która rozbiła środek jego szyku. Trirema była mu dziwnie znajoma, ale ogarnięty furją zlekceważył tę myśl i bez zastanowienia wyszarpnął miecz z pochwy. Pobiegnął na główny pokład, gromadząc po drodze załogę. Prowadził ją niczym wzbierającą burzę, która przetoczyła się w stronę dziobu i dalej, na pokład statku wroga.

– To *Aquila* – ryknął obserwator na maszcie.

Warro patrzył, jak triremę przeszywają tarany dwóch kwinkwerem wroga. Nie był w stanie odwrócić wzroku, a jego umysł zalała fala z wątpienia, gniewu i dezorientacji.

– Musimy im pomóc! – krzyknął ktoś obok niego. Zawołanie kapitana poniosło się po całym pokładzie.

Warro spojrział nań gniewnie.

– Utrzymać kurs! – wrzasnął, idąc zdecydowanie w stronę kapitana.

– Sternik! Kurs kolizyjny! – krzyknął obserwator rozgorączkowanym głosem.

Warro i kapitan spojrzeli prosto przed siebie, na trzy rzymskie galery, które odwróciły się i płynęły – przecinając trasę *Orcus a* – prosto w stronę kartagińskiego ataku; ich załogi również dostrzegły samotne natarcie *Aquili* i widok ten zachęcił je do podążenia jej śladem.

– Sternik, manewr wymijający! – krzyknął kapitan i *Orcus* skrzył na sterburkę.

Warro spojrział na bezładną formację, która kiedyś była jego oddziałem, i natychmiast dostrzegł tuzin kolejnych galer, które zwracały się w kierunku potyczki. Wykrzykiwane rozkazy oraz gniewne zawołania o wsparcie goniły do walki każdy statek, a ich efekt poniósł się falą po całym szyku – coraz więcej rzymskich galer kierowało się prosto na natarcie wroga.

– Trybunie – powiedział kapitan z surowym wyrazem twarzy. – Jakie rozkazy?

Warro odwrócił się do kapitana, zerkając na puste morze przed sobą oraz wybrzeże. Było blisko, kilka chwil

drogi od nich.

– Jakie rozkazy? – powtórzył kapitan.

Warro położył dłoń na rękojeści miecza, walcząc z pokusą, aby dobyć oręża, przebić nim kapitana, uciec. Dostrzegł w jego oczach wyzwanie, a także jawną pogardę dla swojego wahania.

– Ster lewo na burtę – warknął, a kapitan natychmiast zareagował, wykrzykując komendę do sternika.

Orcus zawrócił raz jeszcze, tym razem w kierunku nadciągającego ataku nieprzyjaciela.

Warro patrzył, jak krajobraz zmienia się przed dziobem jego galery: wybrzeże ustąpiło otwartemu morzu, a ono – kartagińskiej formacji z ziejącą wyrwą pośrodku, którą zostawiła *Aquila*.

– Perennis – wyszeptał Warro, a cała jego nienawiść i strach przybrały kształt jednego człowieka, greckiego kapitana, który – zdawało się – postanowił znów pokrzyżować mu plany. Samotny atak *Aquili* zdemaskował odwrót Warrona w całej jego hańbie. Po bitwie można byłoby zrzucić winę na innych, na kapitana *Orcusa*, dowódców pozostałych galer, ludzi utraconych w chaotycznej walce z dysponującym miażdżącą przewagą wrogiem, pod których zgonami Warro pogrzebałby prawdę, ale teraz to zamieszanie zniknęło. Zastąpiła je jasność właściwa atakowi: cały trzeci oddział rzymskiej floty zaangażował się w walkę z wrogiem. Rozkaz Warrona do odwrotu zostanie zapamiętany, umieszczony w raportach, a jego reputacja na zawsze zniszczona.

Doprowadził do tego jeden człowiek, ktoś, kto już raz był tego tak bliski. Warro ponownie odwrócił się do kapitana.

– Kurs na *Aquilę* – powiedział. – Przyjdziemy jej z pomocą.

– Tak jest, trybunie – odparł kapitan.

Orcus był największą galerą w oddziale, tylko on mógł bez przeszkód pokonać wyrwę w kartagińskim szyku i ocalić dzielnych ludzi *Aquili*.

Warro dostrzegł na twarzy kapitana aprobatę i odwrócił się, by ukryć wzbierającą w nim furję.

– Witulusie! – krzyknął. Dowódca straży podbiegł do niego.

– Wkrótce wejdziemy na pokład *Aquili* – powiedział Warro cichym, złowrogim głosem. – Będzie zamieszanie, chaos, wielu zginie. Dopilnuj, żeby był wśród nich Perennis.

Witulus kiwnął głową i z zimnym spojrzeniem zasalutował trybunowi.

Kartagińscy wojownicy zalali główny i dziobowy pokład *Aquili* od strony bakburty straszliwą falą żelaza i furii, okrzykiem wyrzucając z siebie nienawiść i żądzę mordy, a rozpęd poniósł ich nieubłaganie w stronę zwartego półkola legionistów stojących plecami do relingu na sterburcie. Septymus rozkazał wykonać rzut *pila*, które uderzyły w środkowe i tylne szeregi punickiego natarcia – linia frontu była już zbyt blisko, aby mogły w nią trafić – a Kartagińczycy atakowali dalej z za

swoich tarcz, biegnąc w stronę rzymskiej formacji po nachylnym od uderzenia tarana pokładzie.

– Utrzymać szyk! – ryknął Septymus. Nie mógł wydać żadnego innego rozkazu: morze za nimi było równie bezlitosnym wrogiem jak Punijczycy.

Kartagińczycy uderzyli w legionistów z niebywałą siłą, a rzymski szyk zachwiał się i ugiął. Ludzie z tyłu wypchnęli do przodu linię frontu, doprowadzając formację do pierwotnego kształtu desperackim wysiłkiem sześćdziesięciu żołnierzy walczących z trzykrotnie większą siłą. Septymus ciał mieczem z całej siły, wbijając klingę w ciała przeciwników z zjadłością zrodzoną z rozpaczliwej nadziei, rykiem dając upust odwadze, a ludzie po obu jego stronach dorównywali mu dziką agresją, nie przejawiając żadnego miłosierdzia i żadnego się nie spodziewając, z każdej strony okrążeni nieustępliwymi wrogami.

Kartagińczycy rozbili się o ścianę rzymskich tarcz i otoczyli ją, przypierając do relingu na sterburcie. Wyczuli, że niedługo dobiją swoje ofiary, i opanowała ich żądza krwi, podczas gdy inni pobiegli w stronę pokładu rufowego, niczym wyjąca wataha wilczarzy szukających zwierzyny. Attyk stał w miejscu, załoga *Aquili* zajmowała pozycję za nim, a Lucjusz i Gajusz u jego boków. Na każdej twarzy wypisany był gniew: wszyscy wiedzieli, że ich statek umiera im pod stopami. Kartagińczycy dotarli do pokładu rufowego i rozproszyli się, ale nie zwolnili ani na chwilę. Attyk uniósł wysoko nieskazitelną, żelazną

klingę, a miecz był lekki w jego dłoni. Zebrał się w sobie i krzyknął: „*Aquila*” To zawołanie rozpętało wolę walki jego załogi; okrzyk bojowy Rzymian wyprzedził ich, kiedy ruszyli na łeb, na szyję w stronę kartagińskiego natarcia. Attyk wbiegł głęboko w szeregi wroga, zatapiając w ciałach przeciwników miecz, aż jego klinga umoczona była we krwi, która opadała na pokład umierającej galery. Kartagińska horda pochłonęła załogę, walka toczyła się z każdej strony, a Attyk nie ustępował ze swojej pozycji na środku pokładu rufowego. Towarzyszyła mu grupka ludzi, z których każdy walczył z demoniczną zjadłością, przeciwstawiając się większej liczbie Punijczyków.

Poza pokładami *Aquili* kartagińskie flanki starły się z bezładnym szykiem galer trzeciego oddziału, a gdy okręty zderzyły się czołowo, kwinkweremy się przebiły, natomiast kartagińskie triremy unieruchomiono. Rzymianie zaczęli przebiegać po rampach abordażowych, a bitwa podzieliła się na potyczki na mniejszą skalę. Przez szyk przedarła się samotna rzymska kwinkwerema, która cięła wodę z prędkością dwunastu węzłów. Na jej pokładach tworzyły się szeregi pełnego manipułu, którego żołnierze trzymali wysoko tarcze i dobyli już mieczy, a na maszcie powiewała bandera trybuna.

Wiosła *Baal Hammona* zaczęły pracować w tył, ale jego taran początkowo się opierał, ponieważ roztrzaskany kadłub rzymskiej triremy hamował ruch kartagińskiego

okrętu. Hannon przyglądał się agonii jednostki wroga z pokładu rufowego, zerkając w lewo i w prawo, na łuczników na jego własnej galerze, którzy nieprzerwanie zalewali śmiertelnościami deszczem strzał pokłady rzymskich statków. Legioniści chowali się za murem obronnym z tarcz, aby opóźnić nieuniknioną śmierć czekającą ich oraz ich statek.

Hannon ogarnął wzrokiem całość bitwy: szyki bojowe wyglądały teraz jak zaplątana sieć. Nagle pomyślał o strategii Hamilkara, planie, na który zgodził się przed bitwą – zakładał on pozorowany odwrót, a potem kontratak, ale wykluczał pełne zaangażowanie się w starcie z wyposażonymi w kruki rzymskimi galerami. Hamilkar ostrzegł Hannoną, że Rzymian nie można pokonać na ich warunkach, że rampy abordażowe wciąż przesądzą wynik otwartej walki. Hannon spojrzał na triremę tonącą przed *Baal Hammonem* i nieprzyjaciół ginących na jego oczach; wyzwolona w końcu kwinkwerema zawróciła szybko, aby wyszukać nową ofiarę. Uśmiechnął się drwiąco. Hamilkar był głupcem albo, co gorsza, chciał przypisać sobie lwią część zwycięstwa, a jego strategia stanowiła sprytny wybieg, aby umniejszyć wpływ Hannoną na rezultat potyczki.

Baal Hammon wykonał pełen zwrot i Hannon zyskał szerszą perspektywę na całą walkę. Otaczała go rzeź, morze usłane było szczątkami statków, a przebite taranami rzymskie galery unosiły się na falach między kartagińskimi okrętami podpalonymi przez zwycięskich

legionistów. W walkę zaangażowała się połowa floty po obu stronach – większość galer toczyła desperackie indywidualne potyczki – a Rzymianie usiłowali przejąć kontrolę na kartagińskich pokładach, na które dostali się za pomocą przeklętych ramp abordażowych.

Patrząc na kilkanaście starć toczących się najbliżej *Baal Hammona*, Hannon nagle poczuł cień niepewności. Rzymianie mieli przewagę w każdym, w którym udało im się zrobić użytek z ramp, a Kartagińczykom wiodło się tylko wtedy, gdy o rezultacie zadecydował taran. W walce toczonej na niewielkiej przestrzeni taktyka Rzymian była skuteczniejsza; w myślach Hannona ponownie rozbrzmiało ostrzeżenie Hamilkara.

Attyk zadał silny cios tarczą, której miedziany guz walnął Kartagińczyka w pierś, odpychając go, aż stracił równowagę. Kapitan rzucił się przed siebie i ciął nisko, a klinga jego miecza wbiła się w pachwinę przeciwnika, który upadł, zanim jeszcze Attyk cofnął oręż. U jego boku stał Lucjusz, który, jak przystało na zaprawionego w bojach weterana, czerpał z sił wykształconych dzięki tysiącom przebytych walk; jego ramię było niezmordowane, a myśli wciąż skupiał wyłącznie na tym, żeby wypędzić Kartagińczyków ze swojego statku i jakoś uratować go przed zatonięciem.

Robiąc unik przed agresywnym natarciem, Attyk poczuł, że uderza plecami o reling. Wykonując straszliwą sekwencję pchnięć, klinga Punijczyka wyglądała jak

smuga żelaza, a ramię Attyka zaczęło drętwieć pod tarczą, na którą przyjmował cięcia. Sam dźgnął desperacko mieczem, aby zmusić wroga do ustąpienia; oczy zalewał mu pot, ale dostrzegł, że Kartagińczyk blokuje uderzenie tarczą po lewej, dając Attykowi okazję do zadania ciosu. Grek odepchnął się od relingu i wykonał odruchowo serię pchnięć – każdym jego ruchem kierowały lata doświadczenia w walce twarzą w twarz – a Kartagińczyk zaczął powoli ustępować, aż uderzył plecami o innego walczącego i musiał się zatrzymać. Przypuścił wtedy gorączkowy kontratak, a Attyk ponownie osłonił się tarczą, nie spuszczając wzroku z przepęlnionych furją oczu Kartagińczyka, ponieważ wiedział, że uprzedzą go one o ruchach miecza przeciwnika. Grek zmniejszył zasięg swojej obrony, zbliżając się do wroga na odległość mniejszą niż długość klingi i przerywając jego natarcie, i parł do przodu, aż niemal stykali się klatkami piersiowymi, a jego nozdrza wypełnił smród potu zmieszanego z agresją. Attyk nie zwracał uwagi na ciosy padające nieprzerwanie na jego tarczę – z tak bliska nie były zbyt mocne – i zatoczył mieczem niski, szeroki łuk, aż klinga znalazła się za Kartagińczykiem i przecięła mu ścięgno podkolanowe. Mężczyzna krzyknął z bólu, noga ugięła się pod jego ciężarem i upadł na pokład, upuszczając miecz, aby sięgnąć ręką do rany. Jego twarz zastygła w masce cierpienia.

Attyk odskoczył i błyskawicznie podniósł oręż: potyczka szalała ze wszystkich stron, a człowieka, którego

powalił na pokład, szybko przestąpili dwaj Kartagińczycy, wyciągając klingi w stronę kapitana, a na widok swojej ofiary przybrali złowrogie, szydercze miny. Attyk uniósł tarczę do ramienia i na czas pierwszego ataku opuścił nisko miecz, zerkając to na jednego przeciwnika, to na drugiego, i przykucając nieco, żeby zebrać się w sobie i przygotować do natarcia. Kartagińczycy zbliżyli się, a jeden uśmiechnął się złośliwie; Attyk odwzajemnił uśmiech, choć jego oczy ani na chwilę nie straciły zimnego wyrazu. Zamarł na chwilę, kiedy zbliżał się moment ataku, i mocniej ścisnął rękojeść. Już miał się rzucić do natarcia, ale powstrzymał go nagły wyraz niepokoju na twarzach napastników. Nie patrzyli już na niego, ale poza niego. Zaczęli się cofać.

Attyk zerknął przez ramię i wypuścił oddech. *Orcus* znajdował się niecałe pięćdziesiąt kroków dalej; za jego już częściowo opuszczonym krukiem widać było zwarte szeregi całego manipułu – solidną ścianę z tarcz, a nad nią żelazne hełmy i osłony policzków okalających pełne wrogości i determinacji twarze. *Orcus* pokonał tę odległość w ciągu kilku chwil, a jego zanurzone w wodzie wiosła spowolniły go, aż dziób kwinkweremy uderzył lekko o rufę *Aquili*. Kruk opadł z hukiem na pokład rufowy, a kolce od jego spodu wbiły się w belki.

Legioniści przelali się falą po rampie i utworzyli szyk, popędzani ostrymi komendami centuriona. Kartagińczycy zawahali się, a potem odwrócili w stronę nowego zagrożenia. Do początkowo nielicznych w

mgnieniu oka dołączyły tuziny następnych i Punijczycy gruchnęli o ścianę tarcz, z gorączkową nienawiścią okładając ciosami skórę i mosiądz.

Attyk przywołał resztę załogi *Aquili* do relingów, aby walczyła dalej na flankach, świadom, że w zamęcie bitewnym legioniści mogą pomylić pozbawionych zbroi załogantów z Kartagińczykami. Spojrzał na główny pokład i okrążonych przez wroga ludzi z oddziału Septymusa; to odciągnęło jego uwagę od kwinkweremy, więc nie dostrzegł Witulusa biegnącego po kuku i szukającego wzrokiem swojej ofiary.

– Ster prawo na burtę! Schować wiosła! – ryknął kapitan *Baal Hammona*, a Hannon przechylił się, aby nie stracić równowagi, kiedy kwinkwerema skręcała, umykając przed kukiem.

Rzymski pięciorzędowiec przepłynął przed dziobem kartagińskiego okrętu, a jego dziobnica uderzyła o wysunięte czteroipółmetrowe wiosła Rzymian, łamiąc je jak gałązki, aż rozpęd jednostki sprawił, że reszta wiosł znalazła się poza zasięgiem *Baal Hammona*.

– Prędkość ofensywna! – krzyknął ponownie kapitan, przesuwał wzrokiem po otwartym morzu, zdenerwowany, że po raz drugi ledwie uniknęli abordażu. Hannon poczuł, że po jego okręcie roznosi się zaraźliwa panika, która wsączyła się i do jego umysłu. Straszliwa rzeczywistość, jaką była absolutna przewaga rzymskich kwinkwerem nad równie wielkimi galerami z jego floty,

nagle kazała *Baal Hammonowi* walczyć o przetrwanie.

Kartagiński okręt flagowy staranował i zatopił dwie rzymskie triremy, dopadając i przedziurawiając ich kadłuby z siłą, której nie mogły się przeciwstawić. Hannon był zadowolony ze swojej decyzji, aby w pełni zaangażować się w walkę z wrogiem. Czuł, że zwycięstwo jest coraz bliżej wraz z każdym rzymskim okrętem, który padał ofiarą tarana jego kwinkweremy. Jednak poza własną galerą Hannon nagle dostrzegł prawdziwe realia tej bitwy: rzymskie triremy były jak polujące szakale i atakowały jednostki swoich rozmiarów za pomocą straszliwej broni o ostrych kłach, którą bezlitośnie pokonywały przeciwników. A wśród nich krążyły większe kwinkweremy, które atakowały galery dowództwa, obezwładniając i mordując ich kartagińskie załogi.

Baal Hammon znalazł fragment otwartego morza i kapitan ponownie zawrócił galerę – znów przed jej dziobem ukazała się chaotyczna rzeź, w którą przeobraziła się linia boju – a sternik utrzymał kurs, czekając na rozkaz do ponownego zaangażowania się w bitwę. Kapitan spojrzał na Hannona pytającym wzrokiem pozbawionym pewności, którą powinien wykazywać dowódca okrętu flagowego. Hannon dostrzegł rzymskie triremy uczeplone kartagińskich galer, które spoczywały nieruchomo na wodzie i stanowiły idealne cele dla *Baal Hammona*., wahał się jednak, wiedząc, że gdy staranuje którąś z trirem, jego własnemu statkowi będzie groził abordaż ze

strony innej rzymskiej jednostki. Wiedział, że tej potyczki nie byłby w stanie wygrać, i po raz pierwszy przyszło mu do głowy coś nie do pomyślenia, nieznośna prawda, z której już wcześniej zdał sobie sprawę, ale jego duma nie pozwoliła jej dojść do głosu.

Rzymski szyk parł nieprzerwanie przed siebie, tak więc tylne szeregi Kartagińczyków szły do przodu, podczas gdy przednie się cofały, tworząc naprzeciwko legionistów zwartą masę ludzi, lecz rzymskie klingi i tak siały straszliwe zniszczenie. Attyk stał przy relingu na sterburcie wraz z wieloma załogantami i razem nękali zewnętrzną flankę kartagińskiego zastępu, nie dając mu chwili wytchnienia. Napór ludzi zwiększał się pośrodku, aż rzymski szyk się zapadł: boki szeregu parły naprzód, lecz środek się zatrzymał.

Witulus stał za prawą flanką, idąc powoli wraz z ruchem reszty formacji i nie spuszczać oczu z greckiego kapitana, który znajdował się ledwie kilka kroków od niego, wraz z każdym martwym Kartagińczykiem coraz bliżej. Przygotował miecz i zbliżył się do relingu, przepychając się w przód, aż dotarł do pierwszego szeregu natarcia. Wpasował swoją tarczę w sam kraniec szeregu i zaczął instynktownie wymierzać ciosy mieczem. Grek był tuż przy nim i nie zwracał uwagi na nadciągającą ścianę, lecz wlepił wzrok w przeciwnika, z którym toczył pojedynek, uderzając mieczem w jego tarczę. Witulus rozpoznał marynarza po lewej ręce kapitana; starszy

mężczyzna stał bliżej ściany tarcz i stanowił przeszkodę, którą Witulus musiał wyminąć. Wyłamał się z szyku i tarczą odepchnął stojącego przed nim Kartagińczyka od relingu i w stronę kotłującego się środka formacji. Witulus przyszykował się do ciosu, gotów pchnąć; czekał już tylko na to, żeby zrobiło się więcej miejsca, żeby kapitan był bardziej odsłonięty. Dostrzegł okazję i bez namysłu rzucił się przed siebie.

Lucjusz dostrzegł klingę kątem oka i błyskawicznie cofnął własny oręż od Kartagińczyka stojącego przed nim, aby zablokować miecz mknący z tyłu. Poczował uderzenie żelaza w całym ramieniu, a siła i kierunek niespodziewanego natarcia zdumiały go: zdał sobie sprawę, że jego kapitan ledwie uniknął śmierci. Odwrócił się w mgnieniu oka, już pewniej ściskając miecz, a jego umysł wezwał go do ostrożności, kiedy mignęła mu przed oczami czerwona opończa legionisty.

– Jesteśmy Rzymianami! – wrzasnął Lucjusz w znajdującą się o włos od jego własnej twarzy napastnika.

Rysy legionisty wykrzywił wyraz furii. Splunął z gniewem i ponownie natarł. Lucjusz odparł cios, lecz powstrzymał kontratak – podniósł tarczę, ale miecz trzymał z dala. Odsunął się nieco i już miał znów krzyknąć, przebić się przez zapamiętanie, w które najwyraźniej wpadł rzymski żołnierz, ale słowa uwięzły mu w gardle, kiedy rozpoznał, kim jest legionista. Witulus zaatakował bez wahania, prąc do przodu z mieczem i tarczą. Lucjusz usiłował zareagować, ale Witulus zadał

cios zbyt szybko. Od potężnego uderzenia Lucjuszowi zabrakło tchu, a ostrze wślizgnęło się bez trudności w jego brzuch, aż głowica miecza uderzyła o skórę, odpychając go w tył. Witulus popatrzył mu w oczy i dostrzegł płonącą w nich wrogość, która była silniejsza nawet niż ból. Legionista wytrzymał to spojrzenie, po czym przekręcił klingę. Gdy ją wyciągnął, Lucjusz upadł na pokład. Krzyk zamarł mu na ustach.

Attyk poczuł, że o jego nogi uderza jakiś ciężar, i zerknął w dół. Z jego ust wyrwał się okrzyk rozpacz, kiedy zobaczył u swoich stóp Lucjusza, który przyciskał dłoń do straszliwej rany. Spomiędzy jego palców wylewała się krew i wnętrzności, a oczy miał wytrzeszczone z przerażenia i bólu. Attyk już miał przy nim kucnąć, ale jakiś instynkt kazał mu podnieść wzrok i natychmiast rozpoznał Witulusa, który trzymał zakrwawiony miecz. Legionista dostrzegł spojrzenie Attyka i zareagował natychmiast, tnąc mieczem z niewiarygodną szybkością. Attyk się uchylił i walnął tarczą klingę miecza Witulusa, który podniósł własną tarczę, chcąc osłonić się przed Grekiem.

Zadawszy pierwsze ciosy, mężczyźni natychmiast odsunęli się od siebie, aby złapać równowagę na zalanym krwią i usłanym ciałami pokładzie. Tymczasem losy potyczki się odwróciły, ponieważ Kartagińczycy powstrzymali natarcie rzymskiej ściany tarcz; sama ich liczba sprawiła, że rzeź mogła toczyć się tylko wzdłuż nieruchomego pierwszego szeregu. Attyk rzucił się do

natarcia, a jego umysł był absolutnie pusty poza jedną myślą. Posługiwał się mieczem całkowicie odruchowo. Witulus nie ustępował, przyjmując atak na tarczę, a jednocześnie sam dźgał mieczem, szukając wyrwy w obronie przeciwnika. Attyk nie zważał na ciosy padające na jego *hoplon* \ trawił go gniew, a żądza zemsty nie pozwalała mu ustąpić. Zaczął przeć do przodu i przestąpił ciało przyjaciela, zmuszając Witulusa do cofnięcia się – walczyli przy relingu i nie mieli miejsca na to, żeby krążyć.

Attyk wywalczył miejsce na dwa kolejne kroki do przodu, po czym nagle stanął, utrzymując pozycję, podczas gdy Witulus przypuścił kontratak, a jego ciało już było przygotowane do zrobienia kroku w tył;

wiedział, że Witulus zacznie napierać, więc powstrzymał własny atak, czekając na moment, który musiał nastąpić. Witulus zbliżył się, a jego atak natychmiast przeobraził się we wpajaną legionom sekwencję ruchów. Wypychał tarczę przed siebie, zadawał cios mieczem i ponownie wysuwał tarczę w przewidywalnym rytmie, który był śmiertelny, kiedy stosowano go w formacji. Attyk wabił Witulusa coraz dalej, krok za krokiem – gniew nakazywał mu uderzyć, ale instynkt powstrzymywał rękę. Przyglądał się, jak Witulus wpada w nieustępliwy rytm, jak na jego twarzy pojawia się wyraz triumfu, gdy Attyk wycofywał się coraz bardziej, pchany w tył rzymską tarczą.

Attyk pozwolił, aby tarcza zmusiła go do cofnięcia

się ostatni raz, odparł cios mieczem i poczekał, aż Witulus wykona kolejny ruch tarczą. W walce twarzą w twarz przewidywalność stała się śmiertelną słabością i kiedy Witulus pchnął, Attyk wykręcił nagle całe ciało. Gdy opór na jego tarczę zniknął, legionista poleciał w przód, wyciągając rękę, którą trzymał miecz, aby nie stracić całkowicie równowagi. Attyk nie przerywał obrotu i okręcił się na pięcie, a jego miecz podążył za nim szerokim łukiem, nabierając rozpędu. Kiedy wykonał pełen obrót, zebrał w ciosie całą swoją siłę i trafił czubkiem klingi w odsłonięty brzuch Witulusa. Attyk dokończył cios i wbił klingę pod żebra legionisty. Siła uderzenia przyspieszyła jego upadek, ostrze miecza zniknęło aż po rękojeść, a potem się wysunęło; legionista uderzył o pokład już martwy.

Warro przyglądał się jego śmierci z pokładu dziobowego *Orcusa*. Jego niedowierzanie ustąpiło wściekłości, a triumf, który wzbierał w nim ledwie mgnienie oka wcześniej, kiedy Witulus przypuścił atak, zmienił się w furję, od której napięły się wszystkie mięśnie jego ciała. Ogarnęła go przemożna żądza czynu i nieświadomie dobył miecza, po czym przebiegł po kruk, nie spuszczać wzroku z tego greckiego pomiotu Hadesa, który śmiał się z nim nie liczyć, którego każdy oddech stanowił kpinę z honoru Warrona. Zatrzymał się wśród zwłok Kartagińczyków i legionistów rozrzuconych bezładnie po tylnym pokładzie *Aquili* za rzymską linią natarcia. Grecki kapitan klęczał nad innym mężczyzną, a

walka toczyła się tuż przy nich; Kartagińczycy nie ustępowali pod naporem ściany tarcz. Czując, jak krąży w nim zółć nienawiści, Warro uniósł miecz.

– Perennis! – jego ryk rozciął powietrze.

Attyk błyskawicznie podniósł wzrok i zobaczył, że trybun stoi ledwie kilka kroków dalej i wlepia w niego wzrok. Wstał. Mijały chwile tej nagłej wyrwy w wirze bitwy, a obu mężczyzn związała śmiertelna wrogość; Attyk powoli sięgnął dłonią do twarzy i dotknął znaczącej ją blizny. Potem jego ręka opadła, a spojrzenie zatrzymało się na umierającym Lucjuszu. Warro zaatakował, wyciągając przed siebie miecz, niemal hipnotyzującym ruchem, jakby czas biegł dla nich dwóch wolniej, a Attyk zrobił krok do przodu, odrzucił tarczę na pokład i mocniej ścisnął rękojeść oręża.

Warro ruszył gwałtownie przed siebie, a z jego gardła wyrwał się krzyk. Biegący na spotkanie z Rzymianinem Attyk też ryknął wyzwaniem, wydając z siebie okrzyk bojowy swoich przodków. Dwie klingi zderzyły się w smudze żelaza i straszliwej nienawiści. Pojedynek zamienił się w naparzanekę: obaj mężczyźni wymierzali ciosy z bezlitosną furją, nieprzerwanie, odpierając każde cięcie i natychmiast je odwzajemniając.

Ta równowaga nie trwała długo, ponieważ doświadczenie i wprawa w boju Attyka zaczęły dominować, a niczym nieskazona nienawiść, z jaką Warro przypuścił atak, nie wystarczała, żeby pokonać bardziej umiejętnego przeciwnika. Trybun cofnął się, dopiero teraz

zdając sobie sprawę z narastającego bólu w ramieniu, którym trzymał miecz. Paliły go mięśnie, a jego kontrataki coraz częściej sprowadzały się do desperackiej obrony przed miażdżącym natarciem. Grecki kapitan zbliżał się coraz bardziej, ani na chwilę nie ustępując, i Warro poczuł, jak jego serce oplatają pierwsze nitki paniki, gdy dostrzegł twardą determinację malującą się na twarzy przeciwnika. Nienawiść wygrała jednak ze strachem, zmuszając go do myślenia, i trybun natychmiast przeszedł do ofensywy, wiedząc, że tylko jeden atak może ocalić go w walce z lepszym wojownikiem. Gdy walka toczyła się na coraz mniejszym dystansie, myśl o zemście wypełniła duszę Warrona, który całą siłą pchnął w przód, aż dwa miecze uwięzły między walczącymi, a ich główce zahaczyły o siebie. Warro nachylił się jeszcze bliżej, patrząc ponad skrzyżowanymi klingami w oddaloną o szerokość dłoni twarz wroga i jego zielone oczy, których spojrzenie ani na moment go nie opuszczało. Warro odwzajemnił je, jego usta wykrzywił złowrogi uśmiech i trybun niemal poczuł w ustach smak zwycięstwa, kiedy sięgnął w dół wolną ręką.

Attyk wytrzymał spojrzenie trybuna, choć gniew napinał każde ścięgno jego ciała. Klingi zmieniły nieco położenie ze zgrzytem metalu o metal, kiedy przygotowywał się do ostatniego pchnięcia, rozdzielenia mieczy i zakończenia pojedynku. Zobaczył, że wargi Warrona unoszą się nieco w zjadliwym uśmiechu, który świadczył o jakimś skrywanym obłędzie, a kiedy znów

skoncentrował się na oczach Rzymianina, dostrzegł, że zerkają prawie niedostrzegalnie w dół i w lewo. Attyk zareagował natychmiast, mimowolnie wyciągając rękę i spuszczać wzrok, aby spojrzeć tam, gdzie Warro. Dostrzegł śmiertelne ostrze.

Attyk sięgnął desperacko po sztylet, chwytając dłoń Warrona. Jego palce ześlizgnęły się z rękojeści na klingę, która rozcięła jego ciało. Zmusił Warrona do skierowania noża w górę, odsuwając ostrze od swojego brzucha. Kiedy pchał nóż coraz wyżej, czubek oręża otarł się o jego tunikę. Ponownie spojrzawszy Warronowi w oczy i poza nienawiścią zauważył w nich coraz wyraźniejsze przerażenie. Attyk pchnął mocniej, mięśnie jego ramienia napięły się jeszcze bardziej, uścisk stał się jeszcze mocniejszy, a klinga cięła jego palce coraz głębiej. Zignorował ból, a klinga znalazła się już na wysokości jego klatki piersiowej. Attyk przytrzymał ją tam, czując, jak ramię Warrona drży z napięcia. Ponownie wlepił wzrok w trybuna, a kiedy zobaczył już całkiem jawną panikę w jego oczach, kiwnął lekko głową.

Attyk powoli przechylił klingę w przód, aż ostrze dotknęło szyi Warrona. Rzymianin ostatnim wysiłkiem próbował się odsunąć, ale Attyk parł dalej, a klinga przebiła skórę przeciwnika. Trysnęła jaskrawoczerwona krew, plamiąc Grekowi twarz. Napór na sztylet się nie zmniejszył: Warro upuścił miecz i sięgnął w górę drugą ręką. Attyk zrobił krok w tył, wciąż przyciskając nóż do gardła trybuna, i nagle przesunął klingę w poprzek,

wykonując głębokie cięcie. Warro natychmiast chwycił się za gardło, a krew popłynęła strumieniem przez jego palce; usta miał otwarte w niemym przerażeniu, a wzrok dziki, niewidzący.

Attyk patrzył, jak Warro się chwieje, i wyciągnął szybko ramię, chwytając go za nadgarstek, ponieważ myśl o tym, że ciało Rzymianina miałoby splamić pokład *Aquili*, wydała mu się nagle obrzydliwa. Zaciągnął wroga do relingu i przytrzymał go tam przez chwilę, popatrzył na niego ostatni raz, po czym wyrzucił go za burtę. Warro uderzył o morze dwa i pół metra poniżej i zniknął pod powierzchnią, po czym po chwili się wynurzył: jedną ręką wciąż trzymał się za gardło, drugą wywijał w wodzie. Jego twarz wyrażała najczystsza panikę, zbroja wciągała go coraz głębiej, a krew barwiła wodę dookoła na czerwono. Sięgnął w stronę kadłuba *Aquili*, szukając czegoś, czego mógłby się chwycić, ale gładkie belki nie dały mu żadnego punktu zaczepienia. Trybun wślizgnął się pod powierzchnię, a morze wkrótce się uspokoiło pod obojętnym spojrzeniem Attyka.

– Nadciągają galery wroga!

Hamilkar pobiegł do relingu na pokładzie dziobowym *Alissar*, aby zyskać lepszy widok. Nadpływały tuziny rzymskich galer, większa część formacji grot. Hamilkar spojrział na horyzont i widząc szare kłęby dymu znaczące każdą z płonących galer, przeklął imię Hannonna; zdawał sobie sprawę, że radny zbuntował się przeciwko jego

zaleceniom i że ten bunt zmienił się w porażkę. Klęska ta pozbawi Hamilkara czasu, którego desperacko potrzebował, aby rozgromić flotę rzymskich statków transportowych. Odwrócił się i spojrzał poza unieruchomioną rzymską triremę; jego galery, poza kilkoma, którym udało się przebić, były związane walką, zatopiono żałośnie mało okrętów transportowych, a pozostałe były rozrzucone po całym horyzoncie.

Rzymska awangarda oddalona była o niecałą milę. Statki te dopadną go w ciągu kilku chwil, a starcie z tak potężną siłą mogło się skończyć tylko porażką i przechwyceniem pozostałych kartagińskich okrętów. Jego wzrok napotkał po drugiej stronie starcia rzymską triremę nadzianą na taran *Alissar*. Szyki bojowe wyraźnie wyznaczały ściany z rzymskich tarcz: jedna z nich znajdowała się na pokładzie rufowym, a druga ułożona była w obronne półkole na głównym. Wraz z pojawieniem się rzymskiej kwinkweremy szybkie zwycięstwo, którego spodziewał się Hamilkar, zmieniło się w krwawy pat. Po krótkim wahaniu wezwał do siebie kapitana. Rozkaz z trudem przeszedł mu przez gardło, a wydając go, przeklinał w myślach los.

– Sygnał do wycofania się – powiedział. Trapiły go myśli o konsekwencjach tej decyzji. – Pełny odwrót.

Chwilę po wygrywanych na trąbkach sygnałach do odwrotu rozległy się triumfalne krzyki, a rzymskie szyki rzuciły się przed siebie, na co Kartagińczycy wrócili

biegiem na dwie kwinkweremy. Wielu Punijczyków upuściło w pośpiechu oręż i zaczęło przeskakiwać na pokłady dziobowe, aby uciec przed rozpętanym natarciem legionistów. Wioślarze kartagińskich galer zaczęli pracować wiosłami w tył, powoli wycofując tarany, a morska woda wlewała się strumieniami, wypełniając niższe ładownie *Aquili*. Odwrót natomiast szybko przeobraził się w pogrom, a Kartagińczycy, którzy wciąż znajdowali się na *Aquili*, usiłowali przesadzić coraz większy odstęp między statkami, lecz wielu się nie udało i morze pochłonęło ich bez trudu.

Septymus poprowadził swoich ludzi na pokład dziobowy *Aquili*, aby zaatakować stłoczonych tam, uciekających Kartagińczyków. Nie okazywali litości wrogowi, który też potraktował ich bezwzględnie, i walka przeobraziła się w gorączkową rzeź: Rzymianie oczyścili *Aquilę* z Punijczyków, a niedobitki same rzucały się do morza, aby uniknąć odwetu.

Dyszząc ciężko, Septymus opuścił zakrwawiony miecz i spojrzał na wycofujące się kartagińskie kwinkweremy. Nagle, kiedy wrzawa bitewna na pokładzie dziobowym ucichła, z dołu dotarły do niego rozpaczliwe krzyki przerażenia. Rozejrzał się po *Aquili* i zauważył, że pokład z każdą chwilą coraz bardziej się przechyla, ponieważ kartagińskie tarany, które ją wcześniej podtrzymywały, zastąpiła niepowstrzymana powódź morskiej wody.

– Wszyscy na *Orcusa* – ryknął, a jego ludzie zareagowali natychmiast i przebiegli całą długość *Aquili*

do kruka rzymskiej kwinkweremy. Legioniści podążyli za nimi bez wahania. Septymus zajął pozycję na tyłach, aby dopilnować, żeby każdego rannego legionistę również zaniesiono na rufę, a potem przesunął wzrokiem po pokładzie, ignorując straszliwe krzyki umierających wioślarzy przykutych do tonącej galery. Dotarł na pokład rufowy i natychmiast dostrzegł Attyka, który klęczał przy relingu, a na kolanach ułożoną miał czyjaś głowę. Septymus podbiegł do dwóch mężczyzn i rozpoznał w bladej postaci Lucjusza.

– Attyku! – krzyknął Septymus. – Czy on... ?

Kapitan spojrzał na centuriona z żalem.

– Sprowadź swoich ludzi ze statku – powiedział – i zatrzymaj dla mnie kruka.

Septymus kiwnął głową i odwrócił się w stronę ostatnich legionistów czekających na swoją kolej na przejście po rampie abordażowej.

Attyk nachylił się do człowieka, z którym służył od tak wielu lat, swojego zaufanego doradcy i mentora, swojego przyjaciela.

– Lucjuszu – szepnął – musimy iść.

Lucjusz otworzył oczy i przesunął wzrokiem po *Aquili*, a potem zerknął na Attyka.

– Ona umiera, Attyku – powiedział łamiącym się głosem. Z kącika jego ust spłynęła strużka krwi i dołączyła do ogromnej kałuży znaczącej pokład pod jego ciałem.

– Wiem – odparł Grek, zmuszając się do popatrzenia

na swoją galerę. Dopiero teraz przyjął do wiadomości tę prawdę i zmierzył się z nią.

– Zostaw mnie tutaj. – Wzrok Lucjusza był błagalny.
– Zostaw mnie z nią.

– Nie, nie mogę – odparł Attyk. – Mamy jeszcze czas.
Ja...

– Nie. – Lucjusz pokręcił głową. – Nie ma czasu. Ja go nie mam. A nie chcę umierać na jakiejś przeklętej kwinie. – Spróbował się zaśmiać i wykrztusił nieco krwi, która zabarwiła jego usta. Z trudnością złapał oddech. – Nie powinna umierać sama – dodał.

Attyk kiwnął głową i wyciągnął rękę. Lucjusz chwycił ją, a trwająca całe życie przyjaźń i szacunek dodały jego uściskowi siły. Attyk delikatnie ułożył głowę Lucjusza na pokładzie i wstał, jeszcze przez chwilę patrząc mu w oczy, po czym odwrócił się i poszedł w stronę kruka. Septymus już przeszedł po rampie, a *Orcus* był gotów do odpłynięcia.

Attyk zatrzymał się na mgnienie oka, spojrzął na pokład *Aquili* i omiótł wzrokiem ją całą; galera tonęła już szybko, od dziobu. Skinął jej głową i wskoczył na kruka. Rampa zaczęła się podnosić, kiedy jeszcze nią szedł, a *Orcus* ruszył w drogę i zawrócił. Wyminęły go pierwsze galery rzymskiej awangardy, a wielu marynarzy patrzyło na tonącą triremę, na poległych na jej pokładach – Rzymian i Kartagińczyków – zastanawiając się, jaka to zajadłość opanowała ten samotny statek. Attyk stał wraz z Septymusem na pokładzie dziobowym *Orcus a*, gdy

kwinkwerema przyspieszyła do prędkości bojowej, płynąc śladem uciekających Kartagińczyków; raz jeszcze obejrzał się przez ramię, na wślizgującą się pod fale *Aquilę*.

EPILOG

Łagodna bryza wpadająca do pokoju Regulusa w barakach górujących nad portem w Agrigentum przyniosła stłumione dźwięki tysiąca głosów, wykrzykiwanych rozkazów i ferworu przygotowań. Regulus zerknął na pergamin leżący na stole i ponownie przeczytał ostatnie wersy spisanego na nim meldunku, wiedząc, że mężczyzna stojący przed nim nie doda już nic więcej. Podniósł wzrok i spojrzał kapitanowi uważnie w twarz, szukając na niej jakichkolwiek oznak nieszczerości, ale nie znalazł żadnych.

– Możesz odejść – powiedział, a kapitan *Orcusa* zasalutował i wyszedł.

– Jego meldunek to potwierdza – powiedział, wstając, młody mężczyzna, który dotychczas siedział pod przeciwległą ścianą. – Warro próbował uciec i zaangażował się w bitwę dopiero, kiedy zmusiła go do tego *Aquila*. Wraz z oświadczeniami innych kapitanów mamy na to niezbite dowody.

Regulus kiwnął głową, ale się nie odezwał, tylko spojrzał przez okno na szeregi galer i okrętów transportowych. Przygotowania do wypłynięcia toczyły się w gorączkowym tempie.

– Zgadzam się, Longusie – powiedział – ale kapitan *Orcusa* twierdzi też, że Warro rozkazał mu popłynąć *Aquili* na pomoc, a wiemy, że sam zginął w tej bitwie.

Longus już chciał odpowiedzieć, ale Regulus podniósł rękę.

– Zginął, próbując ratować tych ludzi, Longusie – powiedział.

– Ale przez jego tchórzostwo prawie straciliśmy Dziewiąty legion – zaprotestował Longus. – Bez względu na to, jaką się potem wykazał odwagą.

Regulus ponownie zamilkł; sam miał już wyrobione zdanie na ten temat. Oczernianie Warrona podkopałoby słuszność jego własnej decyzji o mianowaniu trybuna dowódcą trzeciego oddziału i byłoby oznaką słabości, której Regulus musiał się za wszelką cenę wystrzegać. Inwazja miała się zacząć w ciągu kilku dni i trwać miesiącami, co oznaczało dla konsula długą nieobecność w senacie; nie mógł sobie pozwolić na to, żeby w kurii tliły się jakiegokolwiek wątpliwości co do jego talentów dowódczych.

Regulus spojrział na Longusa, gotów dać sygnał do rozpoczęcia ostatniego spotkania, ale nagle przyszła mu do głowy myśl, która go zaniepokoiła. Stłumienie wszelkich doniesień o tchórzostwie Warrona było wyrachowanym posunięciem, które miało na celu raczej ochronę jego samego, a nie szlachetnym gestem wobec Rzymu, i zdał sobie sprawę, że po części upodobił się do najbardziej znienawidzonego przez siebie człowieka: Scypiona. Odsunął od siebie tę myśl, ponieważ nie był gotów przyznać, że przedłożył własne racje ponad potrzeby Rzymu.

– Wprowadź kapitana Perennisa – powiedział, a Longus kiwnął głową, dziwiąc się nagle pełnej napięcia minie konsula.

Attyk wszedł do pomieszczenia i stanął na baczność przed Regulusem, a Longus obszedł stół i zajął miejsce u boku konsula. Regulus przyjrzał się stojącemu naprzeciwko mężczyźnie: okropnej bliźnie biegnącej wzdłuż żuchwy, jego twardym, pełnym determinacji rysom i zielonym oczom o spojrzeniu tak skupionym, że niemal niewidzącym. Konsul chyba jeszcze nigdy nie widział równie napiętego wyrazu twarzy – jakby uśpiona furia czaiła się tuż pod spokojną fasadą – i utwierdził się w podjętej wcześniej decyzji.

– Należy ci się pochwała, kapitanie – zaczął Regulus serdecznym tonem, z przyjaznym wyrazem twarzy. – Wspaniale przysłużyłeś się Rzymowi i wykazałeś się wielką odwagą oraz śmiałością w walce z zajadłym wrogiem.

Konsul przerwał, czekając, aż kapitan przyjmie komplement, ale młody mężczyzna stał nieruchomo.

– Rzym znalazł w tobie syna, z którego może być dumny – ciągnął Regulus – i niniejszym awansuję cię na nowo utworzone stanowisko *praefectus classis*, prefekta floty, podlegającego bezpośrednio dowódcy *classis Romana*.

Regulus znów zamilkł, czekając na reakcję. Rzucił Longusowi zdumione spojrzenie, ale młodszy konsul wzruszył jedynie ramionami w odpowiedzi, nie umiejąc

wytłumaczyć pozornej obojętności kapitana. Regulus zwrócił się ponownie do Greka.

– To niezwykle zaszczyt, Perennis – powiedział z lekką nutką irytacji w głosie. – Będiesz jedynym prefektem, który nie jest obywatelem Rzymu.

Cisza się przedłużała.

– Perennis? – warknął Regulus, podnosząc się nagle.
– Czy masz cokolwiek do powiedzenia?

Attyk milczał jeszcze chwilę, po czym spojrzał prosto na konsula.

– Rzym zwycięski – powiedział i zasalutował, uderzając pięścią o napierśnik, a potem stanął z powrotem na baczność, odwrócił się i wyszedł.

Attyk zatrzymał się na dziedzińcu. Na chwilę uniósł twarz ku słońcu, zamknął oczy i nabrał głęboko powietrza, a w głowie wirował mu tuzin myśli. Starszy konsul przez cały ranek wysłuchiwał meldunków wielu kapitanów floty, bez wątpienia chcąc zyskać pełny obraz bitwy, i choć nic nie wskazywało na to, że ktokolwiek był świadkiem śmierci Warrona, Attyk przygotował się na najgorsze, kiedy otrzymał wezwanie konsula. Wyobraził sobie tok wydarzeń, który oferta awansu wystosowana przez Regulusa całkowicie zniweczyła.

Rozmyślenia przerwało mu nadejście Septymusa w pełnym uzbrojeniu bojowym. Zmarszczył brwi zdziwiony.

– Co cię tu sprowadza? – zapytał. Godzinę wcześniej zostawił centuriona na pokładzie *Orcusa*.

– Legat Dziewiątego chciał mnie widzieć – odparł Septymus, wskazując ręką za siebie.

– O co chodziło?

– Nic ważnego – powiedział centurion i spojrzał uważnie na Attyka. – I co?

– Awans – odrzekł lekceważąco Attyk. – To nowe stanowisko, prefekt floty.

Septymus zrobił minę pełną ulgi i ścisnął ramię Attyka. Przez chwilę nie odrywał dłoni, przyglądając się przyjacielowi zdumiony, że nie widzi u niego tej samej ulgi. Attyk obejrzał się przez ramię na okna Regulusa, a konsulowie przeobrazili się w jego wyobraźni w niewyraźne postaci, nieróżniących się od siebie ludzi, rzymskich dowódców.

– Kim są ci ludzie? – powiedział sam do siebie.

– Kto? – zapytał Septymus.

– Ci Rzymianie – odparł Attyk, a bezładne emocje sprawiły, że w jego głosie pojawiło się napięcie. – Ci ludzie, w których imieniu walczymy. Na bogów, Septymusie, już nie wiem, kto jest moim wrogiem.

Centurion opuścił dłoń.

– Ja wiem, kto nim jest – powiedział, przypominając sobie furję, jaka go opanowała, gdy rzucił mieczem za uciekającą kartagińską galerą. – Punijczycy, Attyku. Oni są wrogiem.

– Kartagińczycy? – odparł pytaniem Attyk. – To ludzie, którzy walczą honorowo. Ludzie, którzy stawiają czoło nieprzyjacielowi niezależnie od tego, jakie mają

szanse w walce, którzy nigdy nie uciekają przed potyczką.

– Wolałbyś walczyć w ich imieniu? – zapytał Septymus ze zdumieniem. Czuł, że narasta w nim gniew.

– Rozejrzyj się, człowieku. Patrz przed siebie. Jestem Rzymianinem i walczę honorowo. Walcz dla tego Rzymu, nie dla ludzi pokroju konsulów.

– Tak właśnie robię – Attyk dał upust całej swojej frustracji i poczuciu straty. – Poświęciłem *Aguilę*, żeby uratować ludzi z Dziewiątego, żeby uratować Rzymian, i jak się za to odpłacili, jak odpłacili się Lucjuszowi? Rzymianin zaatakował go od tyłu.

Na wzmiankę o Lucjuszowi riposta uwięzienia centurionowi w gardle; wspomniał starszego, szorstkiego żeglarza, który nigdy nie krył się ze swoją antypatią względem legionistów, ale zawsze okazywał Septymusowi szacunek.

– Nie zapomnę, dlaczego Lucjusz zginął – powiedział – i dopilnuję, żeby ludzie tacy jak Marek i jego oddział też o tym wiedzieli. To ludzie honoru, Attyku. Nie zapomną.

Attyk kiwnął głową, a Septymus wyciągnął dłoń w geście braterstwa, trzymając ją spokojnie przed sobą.

Attyk dostrzegł ten gest i spojrzał na centuriona. Nie patrzył na zbroję, lecz na człowieka, Rzymianina, który został jego przyjacielem. Przypomniał sobie Marka, centuriona czwartego manipułu, i powód, dla którego popłynął wraz z *Aquilą* na jej śmierć – teraz, tak samo jak wtedy, wiedział, że musi to zrobić dla legionów. Wspomnienie o *Aquili* ponownie skierowało jego myśli w

stronę Warrona, jadowitego gada ukrytego wśród honorowych towarzyszy, sukinsyna spłodzonego przez to zepsucie, które gniło w sercu republiki. Z drugiej jednak strony Attyk znał przecież człowieka zakorzenionego w niej, Duiliusza, który pod wieloma względami pozostawał na zewnątrz i był w niej nowicjuszem, ale jednak był Rzymianinem z poczuciem honoru.

Spojrzenie Attyka na powrót nabrało ostrości i spojrzął na wyciągniętą dłoń Septymusa; wciąż wrzał w nim konflikt, a utrata *Aquili* i Lucjusza była zbyt świeża, aby potrafił myśleć jasno. Patrząc na Septymusa, pomyślał – jak wiele razy wcześniej – o Hadrii, o swojej miłości do niej i o tym, że jego przyjaciel nie jest w stanie zaakceptować tego związku. Hadria była pewna co do tego, jakie motywy kierują jej bratem, ale Attyk nie potrafił nabrać tego samego przekonania, ponieważ czyny innych Rzymian splamiły jego przyjaźń z Septymusem. Nie dzisiaj – powiedział wcześniej Septymus, a Attyk przeniósł to postanowienie na własny konflikt. W Septymusie miał sprzymierzeńca i przyjaciela; uściśnął mocno jego rękę. Pewnego dnia może odkryje w sobie tę lojalność dla Rzymu, która dla Septymusa była oczywista, ale nie dzisiaj.

Hamilkar zszedł szybko po trapie *Alissar* na nabrzeże portu wojskowego i przepchnął się przez tłum ludzi zebrany na nabrzeżu, przestępując ponad ciałami rannych i martwych, którymi usiane było wąskie przejście. Na

drugim końcu portu dostrzegł *Baal Hammona*, który przybił do brzegu niewiele wcześniej: część floty, w której był Hannon, wyprzedzała flotę Hamilkara tylko o godzinę podczas ucieczki na południe, do bezpiecznej Kartaginy. Hamilkar zdał sobie sprawę, że Hannon już dawno zszedł z pokładu okrętu, z pewnością aby ogłosić przed radą wieści o porażce w taki sposób, by uwolnić siebie samego od wszelkiej winy.

W ciągu poprzednich dni Hamilkar nie potrafił myśleć właściwie o niczym innym, przywołując po kolei każdą chwilę bitwy i szukając momentu, kiedy pewne zwycięstwo zamieniło się w haniebną klęskę, raz po raz analizując swoją strategię i za każdym razem nabierając coraz większego przekonania. Odwrót Hannona był przyczyną klęski Kartaginy. Hamilkar skręcił za róg i wszedł do centrum miasta, a kiedy wyczuł obecny tam wyraźny strach, niemal zabrakło mu tchu. Odniósł wrażenie, że wszyscy mężczyźni, kobiety i dzieci na ulicach emanują paniką, pełnym niepokoju wzrokiem, co chwilę zerkając na północny horyzont, skąd z pewnością miała nadciągnąć rzymska inwazja. Hamilkara zalała fala wstydu z powodu tego przerażenia i stanął jak wryty, czując, że zaraz robi mu się niedobrze. Po chwili ruszył dalej, skupiając wzrok na ciągnącej się przed nim ulicy, która prowadziła do siedziby rady.

Nagle stanął raz jeszcze, a poczucie hańby zastąpił w mgnieniu oka gniew. Nie więcej niż kilka kroków dalej, w cieniu markizy nad drzwiami, stał Hannon otoczony

oddziałem żołnierzy, którzy z ponurymi minami rozglądali się po ulicy. Hamilkar zdał sobie sprawę, że szukają jego, i sięgnął po miecz, przeklinając Hannona w duchu i przysięgając sobie, że zgładzi tyłu jego pacholców, ile będzie mógł, zanim zginie.

Znów ruszył przed siebie, a ludzie umykali mu z drogi, kiedy dostrzegali jego wyciągnięty miecz. Jeden z ludzi Hannonu zauważył go i wskazał ręką, a jego dowódca odwrócił się i wlepiwszy w Hamilkara spojrzenie, sam podszedł do Barkasa.

– Opuść miecz, głupcze – syknął, a Hamilkar się zawahał. – Muszę z tobą pomówić.

Hamilkar zerknął czujnie na oddział stojących nieruchomo żołnierzy. Schował miecz do pochwy.

– Chodź za mną – powiedział Hannon i ruszył z powrotem w stronę *Baal Hammona*. Hamilkar podążył za nim, a jego myśli gnały, lecz podczas krótkiej drogi na kwinkweremę nie był w stanie pojąć, o co może chodzić Hannonowi.

Hannon poszedł na pokład rufowy i kazał go opróżnić. Dwaj mężczyźni zostali sami.

– Ile straciłeś? – warknął gniewnie Hannon z pochyloną głową.

– Trzydzieści osiem – odpowiedział Hamilkar.

– Ja pięćdziesiąt sześć – odparł Hannon i odszedł na dwa kroki.

– Niech Mot ma ich w opiece – szepnął Hamilkar. – Ponad dziewięćdziesiąt galer. Przepadły. – Zamilkł. – To

twoja wina! – wykrzyknął po chwili, czując, jak wzbiera w nim gniew.

Hannon spojrzał na niego.

– Posłuchaj mnie, Barkas, i zrozum jedno – powiedział, ponownie się zbliżając, aż stanął tuż przed Hamilkarem. – Albo się zjednoczymy, albo ta porażka pogrąży nas obu.

– Gdybyś się zastosował do mojej strategii... – zaczął Hamilkar.

– Nikt poza mną nie wie o twojej strategii – syknął Hannon, przerywając mu – a ja się wszystkiego wyprę.

– Nawet przed radą najwyższą? – zapytał Hamilkar, oszołomiony jego zuchwałością.

Hannon wyszczerzył ponuro zęby w uśmiechu, który wiele mówił o jego pewności siebie.

– Zaprzeczę wszystkiemu, Barkas – wycedził – a moje kontroskarżenia skalają nas obu.

Hamilkar się cofnął. Jego wcześniejsze przekonanie legło w gruzach. Pojmował rozumowanie Hannona. Gdyby każdy z nich obstawał przy swojej wersji, konflikt między nimi zniszczyłby obydwu. Mogli się uratować jedynie, stanowiąc jednolity front i biorąc na siebie jednakowy ciężar winy, którą obie facje rady najwyższej szybko zapomną w obliczu widma rzymskiej inwazji.

Hamilkar odwrócił się od radnego i podszedł do relingu, czując na sercu wielki ciężar. Podniósł wzrok na cytadelę górującą nad miastem i przyglądając się jej strzelistej sylwetce, poczuł, że przepływa przez niego

strumień potęgi, którą uosabiała Kartagina. Czerpał siłę z myśli o starożytnych budowniczych tej potężnej fortecy, założycielach Kartaginy, którzy wypłynęli z brzegów Tyru tyle pokoleń wcześniej.

Przeznaczenie i omyłność głupców uniemożliwiły Hamilkarowi powstrzymanie Rzymian pod Eknomos. Teraz linie bojowe zostaną nakreślone na brzegu Kartaginy, granicy, której żaden wróg nie przekroczył niemal od tysiąclecia, i Hamilkar poprzysiągł w głębi duszy, że niepokonane jak dotąd miasto Punijczyków nie upadnie.

Attyk przesunął dłonią po relingu, badając czubkami palców drobne słoje litego drewna, wygładzone heblem cieśli ledwie kilka miesięcy wcześniej. Śladów jego rzemiosła nie stały jeszcze szalejące na morzach żywioły.

– Melduję prędkość standardową, prefekcie.

Attyk odwrócił się i skinął głową Gajuszowi, po czym, podchodząc do niego, zerknął na swój oddział pięćdziesięciu galer, płynący w formacji za *Orcusem*.

– Tak trzymać, Gajuszu – powiedział.

Sternik kiwnął głową, nieustannie przesuając wzrokiem po morzu ciągnącym się przed nimi i obserwując pozycje pozostałych oddziałów *classis Romana* oraz okrętów transportowych płynących pod ich ochroną.

Attyk ogarnął spojrzeniem pokład kwinkweremy: na jego głównej części stali w szeregach legionieści, na

dziobie rysował się *corvus*, Korin obserwował horyzont ze szczytu masztu i przez moment Attyk prawie potrafił sobie wyobrazić, że jest na *Aquili*. Zerknął mimowolnie na główny pokład, spodziewając się, że zobaczy Lucjusza chodzącego między załogą i wykrzykującego rozkazy, które poniosą się po całej galerze. Odsunął tę myśl i zmusił umysł, aby wrócił do rytmu dowodzenia, po czym przesunął krytycznym wzrokiem po galerze, sprawdzając jej kurs, napięcie olinowania, unoszenie się i opadanie jej dwustu czterdziestu wiosł. Pokiwał powoli głową. *Orcus* był dobrym statkiem.

– Legioniści w komplecie, prefekcie – powiedział Septymus, podchodząc do steru, a Attyk się uśmiechnął. Miał teraz wyższą rangę niż przyjaciel, ale był pewien, że używa on jego tytułu tylko po to, żeby się z nim podrażnić, wiedząc być może, iż Attyk nie ma zamiaru wydawać mu żadnych zaleceń co do tego, jak ma dowodzić własnymi ludźmi.

– Świetnie, centurionie – odparł żartobliwie Attyk. – Stań przy sterze.

Septymus kiwnął głową i zajął miejsce u jego boku. Obaj mężczyźni zamilkli, patrząc na morze.

Attyk rzucił spojrzenie na okręty transportowe płynące przed nimi, niemal wyczuwając hamowane wyczekiwanie ludzi znajdujących się na ich pokładach: legionistów Szóstego i Dziewiątego. Zerknął na centuriona ciekaw, czy przyjaciel zdaje sobie sprawę, iż Attyk się dowiedział, że podczas spotkania z legatem

Dziewiątego Septymus odrzucił propozycję dowodzenia jednym z manipułów tego legionu i poprosił, aby pozwolono mu zostać z byłą załogą *Aquili*. Centurion nie zdradził się jeszcze publicznie z tą decyzją i Attyk zaczął podejrzewać, że nigdy tego nie zrobi, choć nie wiedział dlaczego.

– Co sądzisz? – zapytał Attyk, kiedy dostrzegł, że Septymus patrzy prosto na flotę okrętów transportowych.

– O inwazji? – upewnił się Septymus. Zamilkł na chwilę. – Myślę, że czeka nas największa bitwa w życiu.

Attyk skinął głową i objął spojrzeniem morze usiane statkami *classis Romana*, które niosły dwadzieścia tysięcy legionistów, niczym nieskrępowaną potęgę republiki. Za horyzontem leżały ponure wybrzeża Afryki, bastionu Punijczyków oraz ich pradawnej ojczyzny, i Attyk uzmysłowił sobie, że Septymus ma rację. Kartagińczycy przegrali bitwę, ale z pewnością nie wojnę, a zjadłość okazana przez nich na Sycylii była zaledwie cieniem okrucieństwa, z jakim będą walczyć plecami do murów Kartaginy.

NOTA HISTORYCZNA

Bitwa koło przylądka Eknomos rozegrała się w 256 r. p. n. e. , przy południowym wybrzeżu Sycylii, kiedy to kartagińska flota starła się z rzymskimi siłami, gotowymi do popłynięcia na południe i zaatakowania północnej Afryki. Liczba okrętów i ludzi biorących w niej udział jest naprawdę oszałamiająca: Polibiusz twierdzi, że 350 kartagińskich jednostek zmierzyło się z 330 rzymskimi, a w bitwie walczyło ponad 250 000 ludzi. Współcześni badacze zakwestionowali te dane, ale w ich szacunkach obie floty były mniejsze zaledwie o sto jednostek, przez co Eknomos wciąż można zaliczyć do jednej z największych bitew morskich w historii.

Rzymską flotą dowodzili Marek Acyliusz Regulus oraz Lucjusz Manliusz Wulson (Longus), a kartagińską – Hannon (który naprawdę powiodł do boju jedną z flank) i dowódca o imieniu Hamilkar. (Nie Hamilkar Barkas, jak w książce. I w tym tomie Barkas został wprowadzony do konfliktu wcześniej, niż mówią zapisy historyczne, dla celów narracji).

Floty rozmieszczono podobnie, jak opisałem: Rzymianie płynęli trójkątną formacją – dwaj konsulowie znajdowali się na szczycie owego grotu – a okręty transportowe holowano na tyłach w szyku czołowym. Kartagińczycy poruszali się szykiem czołowym, a flanki (szczególnie ta od strony lądu) były wysunięte przed

formację. Ich prosty plan polegał na wciągnięciu do środka, a potem związaniu walką rzymskiego grota, i jednoczesnym oskrzydleniu głównej siły, aby zaatakować trudniejsze do obrony okręty transportowe.

Początkowo plan Kartagińczyków zadziałał. Środek ich szyku wycofał się w obliczu natarcia rzymskiego grota, aż między nim a rzymskimi okrętami transportowymi utworzył się spory odstęp. Potem Punijczycy ponownie związali w potyczce środek rzymskiej formacji, atakując zarazem na flankach. Rzymskie galery holujące okręty transportowe (wiozące głównie konie) przecięły cumy holownicze i zaczęły walczyć na flankach, przez co bitwa rozpadła się praktycznie na dwie potyczki.

Kluczowy moment nastąpił, kiedy centrum kartagińskiego szyku wyplątało się z walki i uciekło, dzięki czemu Rzymianie mogli się odwrócić i popłynąć na pomoc nękanej atakami straży tylnej, i – jak podczas wielu bitew – Kartagińczycy ponieśli największe straty pod koniec starcia, kiedy ich formacje rozpadły się podczas odwrotu. Przepadły ogółem 94 kartagińskie galery – 64 przechwycono, 30 zatopiono – a Rzymianie stracili 24 galery, co stanowiło o ich zdecydowanym zwycięstwie.

Pod Eknomos, jak i pod Myle, decydującą rolę odegrał *corvus*, ponieważ Kartagińczykom nie udało się znaleźć żadnej skutecznej taktyki na unieszkodliwienie prostego pomostu abordażowego.

Większość obu flot stanowiły kwinkweremy – mniejsze galery straciły na znaczeniu w boju – a Polibiusz donosi, że rzymscy konsulowie płynęli dwoma sześciorzędowcami. Wobec tej zmiany wydawało się odpowiednie, aby była to ostatnia bitwa *Aquili*.

Tuż po bitwie rzymska flota popłynęła na wybrzeże Sycylii, aby się przegrupować i odpocząć, ale nie zabawiła tam długo. Jej zwycięstwo pod Eknomos zagnało Kartagińczyków z powrotem na ich wody macierzyste, u wybrzeży Afryki, i Rzymianie bardzo chcieli szybko za nimi podążyć. Następnie jednak wydarzyło się coś, co wstrząsnęło republiką rzymską w posadach.

Flota nieprzyjaciół bynajmniej nie została rozgromiona, a za plecami mają oni Kartaginę, niemożliwą do pokonania fortecę, która nie padła od pięciuset lat. Wojna będzie szaleć dalej – w jej awangardzie znajdą się Attyk i Septymus – lecz Rzymianie nie są świadomi, że czeka ich największa porażka, a ich straty nie będą miały sobie równych w historii.